



Bestseller  
„New York Timesa”

# Anioły i wampiry

KERRELYN  
SPARKS

  
AMBER

**Kerrelyn Sparks**

# **Anioły i wampiry**

**Po 499 latach istnienia Connor Buchanan doszedł do nieuchronnego wniosku: jest zimnokrwistym draniem.**

**Patrzył, jak jego przyjaciele – biedni, romantyczni głupcy – rzucają się w miłość na łeb na szyję. Ale nie Connor. On wie, że miłość prowadzi wyłącznie do bólu...**

**Marielle nie jest taka jak inne kobiety, a jej nieziemska uroda skrywa piekielnie groźną tajemnicę. Czy Connor może czuć się przy niej bezpieczny? Czy sparzy się jak poprzednio, czy może dotyk Marielle uleczy jego serce? I czy Marielle wystarczy anielskiej cierpliwości, by sprawić, żeby seksowny nieśmiertelny zapomniał o przeszłości i poznał wreszcie niebiańską rozkosz...**



*Pamięci*

*Cadena Joshuy Grajkowskiego.*

*28 sierpnia 2009 roku*

*niebo powitało małego aniołka.*

## Rozdział 1

Po czterystu dziewięćdziesięciu dziewięciu latach egzystencji Connor Buchanan doszedł do nieuniknionego wniosku na temat własnej osoby. Otóż był zimnokrwistym starym draniem.

Gdy sprawdził już wielkie ogrody Romatech, zwolnił do marszu. Lubił śmigać między drzewami z wampiryczną prędkością, gdy zimny wiatr smagał mu twarz, wypełniał nozdrza oszałamiającym zapachem rozwijających się pąków liści i kwiatów. Ale nagle zrozumiał, dlaczego tak cieszy go nadejście wiosny. Nie ze względu na obietnicę rozkwitu i odnowy, bo przecież on sam pozostanie taki jak przez stulecia. Nie, jeśli chciał być z sobą brutalnie szczery, nie mógł się już doczekać krótszych nocy. Bo to oznaczało dłuższe dni i dłuższy śmiertelny sen. Więcej czasu spędzonego w kompletnej nieświadomości. Bez myśli. Bez wspomnień. Bez wyrzutów sumienia.

Jego oczom ukazał się główny budynek Romatech Industries i Connor jeszcze bardziej zwolnił kroku, zdjęty nagłą niechęcią, by wejść pod dach. Ostatnimi czasy coraz bardziej wolał być sam.

Po co zawracać sobie głowę towarzystwem? Czy była jeszcze jakaś rozmowa, której by nie odbył tuzin albo i więcej razy? A jeśli choć napomknął o czarnej rozpacz, która próbowała go pochłonąć, w rewanżu dostawał tylko znaczące spojrzenia innych wampirów i

diagnozę tę samą co zwykle. Oto zbliżały się jego pięćsetne urodziny, a podobno przekroczenie granicy połowy milenium nawet najbardziej zatwardziałego wampira potrafiło wpędzić w kryzys wieku średniego.

Bzdury. Roman i Angus są starsi od niego i obaj są zadowoleni z życia. Ale oni są szczęśliwymi mężami, pomyślał, i natychmiast odepchnął tę myśl. On nie zamierzał paść ofiarą tego rodzaju szaleństwa, choćby był nie wiadomo jak stary.

Nie, nie miał nic przeciwko temu, żeby być zimnokrwistym starym draniem. Był w tym dobry. Szlifował tę umiejętność od lat. Przeszedł przez środek klombu, miażdżąc pod stopami świeże kwiatki.

Przy bocznym wejściu przeciągnął kartę magnetyczną przez czytnik i przyłożył dłoń do skanera. Kiedy jego ultraczuły słuch wychwycił kliknięcie zwalnianego zamka, pchnął drzwi i powłókł się do biura ochrony firmy MacKay.

Jego kroki rozlegały się echem po pustym korytarzu. Nikt nie przychodził do Romatech w sobotnie noce, z wyjątkiem tych, którzy brali udział we mszy odprawianej w najdalszym końcu kompleksu.

Connor wszedł do biura ochrony i przyjrzał się ścianie monitorów połączonych z kamerami nadzoru. Parking pusty. Korytarze puste. Stołówka pusta. Serce puste. Odepchnął od siebie tę zbłąkaną myśl i skupił się na monitorze ukazującym kaplicę.

Z nawyku przeszukał wzrokiem niewielką

kongregację, by upewnić się, że Roman i jego rodzina są cali i zdrowi. Connor, jako pracownik firmy MacKay Usługi Ochroniarskie i Detektywistyczne, strzegł Romana już od ponad sześćdziesięciu lat, z początku jako szef ochrony w Romatech, a w ostatnich latach jako osobisty ochroniarz. Roman Draganesti, wynalazca syntetycznej krwi i właściciel firmy Romatech Industries, gdzie ją produkowano, był kuszącym celem dla Malkontentów, którzy uważali sztuczną krew za obrazę i zagrożenie swojego zbrodniczego stylu życia.

Jednakże ich nienawiść sięgała jeszcze głębiej. To Casimir przemienił Romana w 1491 roku. Przywódca Malkontentów uważał, że przemieniając pokornego mnicha w żądnego krwi, morderczego wampira, da Bogu prztyczka w nos. Ale Roman nie stał się zły. Zgromadził wokół siebie grupę dobrych wampirów, by walczyć z Malkontentami i chronić ludzkość.

Kiedy Roman go przemienił, Connor leżał umierający na polu bitwy. To dzięki Romanowi wciąż chodził po świecie i nie popadł w obłąd. Zapewnianie bezpieczeństwa Romanowi i jego rodzinie dawało mu godny cel egzystencji – na tyle godny, że czasem niemal zapominał, jakim był zimnokrwistym starym draniem.

Patrzył na monitorze, jak ojciec Andrew udziela wszystkim błogosławieństwa. Obecni zaczęli wychodzić z kaplicy na korytarz. Serce Connora ścisnęło się boleśnie na widok dzieci Romana, Constantine'a i Sofii. Były dla niego niemal jak własne dzieci. W marcu,

miesiąc temu, Tino obchodził piąte urodziny, a Sofia miała skończyć trzy lata w maju. Connor dotknął ekranu, na którym widać było dwójkę dzieciaków brykających po korytarzu. Po mszy spędzonej na siedząco teraz roznosiła je energia, którą musieli wyładować. Uśmiechnął się, kiedy w podskokach pobiegli do znajdującej się obok kaplicy sali zgromadzeń, zapewne nie mogąc się doczekać ponczu i ciastek. Ich matka, śmiertelniczka Shanna, szybko uściskała Romana i pobiegła za dziećmi.

Uśmiech Connora zniknął. Jego wampiryczni przyjaciele wysypali się z kaplicy i niemal każdy z nich miał żonę u boku. Większość mężczyzn wpadła w jedwabną pułapkę miłości. Nieszczęśni, romantyczni głupcy! Jak to możliwe, że pozostawali samotni przez stulecia, a potem nagle, jeden po drugim, rzucili się z tego urwiska niczym stado ogłupiałych baranów? Nie tylko narazili się na ból serca i rozpacz, które niosła z sobą miłość, ale narazili też na niebezpieczeństwo cały wampiryczny świat, bo coraz więcej śmiertelnych kobiet wiedziało o jego istnieniu.

Na razie wydawali się dość szczęśliwi. Cóż, ignorancja to błogosławieństwo, pomyślał Connor. Nie dostrzegali ryzyka. Nie czuli zimnego cienia katastrofy, czyhającej tuż za ścianą tej złotej klatki. Nie mieli pojęcia, że miłość może doprowadzić mężczyznę do rozpaczliwych, niewyobrażalnych czynów, przy okazji przyczyniając się do zguby jego duszy.

Odwrócił głowę i skupił się na monitorze, na którym

leciała transmisja telewizji Digital Vampire Network. Animowany czarny nietoperz łopotał skrzydłami, a napis pod nim głosił: *DVN. Przez całą dobę, przez cały tydzień. Bo zawsze gdzieś jest noc.*

Zaczęły się *Nocne Wiadomości*, więc Connor włączył dźwięk.

– I jeszcze jedna informacja. – Stone Cauffyn podniósł kartkę, którą podsunięto mu na stole. – Pewien wampir w Los Angeles jest przekonany, że kilka nocy temu widział w mieście Casimira. – Prezenter przeleciał wzrokiem kartkę z obojętną twarzą, jak zawsze. – Obawiam się, że w tej chwili nie jesteśmy w stanie potwierdzić tej informacji.

Connor prychnął. W zeszłym tygodniu jakiś wampir twierdził, że widział Casimira wiosłującego w kanu z pływakiem na Bora-Bora, a jeszcze wcześniej ktoś przysięgał, że widział Casimira dojącego reniferzycę na północy Finlandii. Przywódca Malkontentów stał się straszycielem świata dobrych wampirów: czał się za każdym drzewem, szeptano o nim w ciemnych pokojach.

– I to koniec audycji na dzisiaj – ciągnął Stone swoim nijakim głosem. – By być na bieżąco z wydarzeniami w świecie wampirów, oglądajcie DVN, najlepszą wampiryczną stację telewizyjną.

Nie było to jakieś szczególne osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że była to jedyna wampiryczna stacja telewizyjna. Connor ściszył dźwięk, kiedy na ekranie pokazały się napisy końcowe.



Znów spojrzął na monitor pokazujący korytarz przed kaplicą. Większość kongregacji przechodziła do sali zgromadzeń. Ojciec Andrew był pogrążony w rozmowie z Romanem, który z powagą kiwał głową. Uścisnęli sobie ręce i w końcu Roman poszedł do sali, a ksiądz ruszył w stronę foyer ze swoją skórzaną aktówką w dłoni. Wychodził wcześniej niż zwykle.

Connor znów zerknął na DVN. Zaczęła się reklama vamposów, poobiednich miętówek, które gwarantowały likwidację zapachu krwi z ust. Przystojny wampir w drogim smokingu wsunął miętówkę do ust i pocałował swoją towarzyszkę, która, o dziwo, była ubrana w skąpe bikini, choć oboje znajdowali się w Central Parku, w nocy. Konno. Bardzo prawdopodobny scenariusz, pomyślał Connor, krzywiąc usta, choć owszem, jego spojrzenie zabawiło trochę dłużej na krągłościach kobiety.

Do licha. Ile to już czasu minęło? Trzydzieści lat? Pięćdziesiąt? To było tak dawno, że nawet nie pamiętał. Nic dziwnego, że był zimnokrwistym starym draniem.

Gregori, który zawsze trzymał rulonik vamposów w kieszeni marynarki, wiecznie męczył Connora, by wyciągnąć go do wampirycznych nocnych klubów. Ponoć kraciasty kilt i szkocki akcent byłyby niezawodnym magnesem na laski. W klubach było mnóstwo „ostrych laseczek”, jak nazywał je Gregori, które szukały dzikiego, szalonego seksu, by zapomnieć o nudzie nieśmiertelności. Gregori przekonywał, że

uszcześliwianie tych wszystkich wampirzyc to ich męski obowiązek.

Jak na razie Connor odmawiał. Wypełnianie samotności szeregiem bezimiennych, zdesperowanych nieumarłych kobiet jakoś nie wydawało mu się pociągające. Ani szczególnie honorowe. Hipokryta, pisnął cichy głosik w głębi jego mózgu. Kogo ty chcesz oszukać, udając, że jesteś człowiekiem honoru? Sam wiesz, co zrobiłeś.

Connor zdusił ten głos i znów spojrział na monitory. Ojciec Andrew dotarł już do foyer i postawił aktówkę na stole, na którym Phineas przeszukał ją parę godzin wcześniej. Był to jeden ze środków ostrożności – wszystkie bagaże wnoszone do Romatech musiały być przeszukane.

Ksiądz, wchodząc do budynku, zostawił na stole płaszcz, ale teraz, zamiast założyć go na siebie i opuścić zakład, przeciął foyer i wszedł w korytarz po lewej. Connor zmarszczył brwi, zastanawiając się, co też stary ksiądz kombinuje. W tym korytarzu nie było nikogo oprócz...

– Do licha – szepnął Connor, kiedy ksiądz pomaszerował prosto do biura firmy MacKay.

Nie mógł udawać, że go nie ma. Z jękiem odgarnął do tyłu długi kosmyk włosów, który wymknął się spod rzemyka na karku, kiedy biegał po ogrodach.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

– Mogę w czymś pomóc, ojczy?

Ksiądz się uśmiechnął.

– Connor, miło cię widzieć. – Uścisnęli sobie dłonie, po czym ksiądz zajrzał do biura. – Fascynujące. Nigdy nie widziałem tego pokoju. Mogę?

Connor zaprosił go gestem i wszedł za nim do środka.

Ojciec Andrew obrócił się wokół własnej osi, oglądając wewnątrz. Uniósł brwi na widok magazynu broni w okratowanej, tylnej części pomieszczenia. Odwrócił się w stronę ściany monitorów.

– Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo jesteśmy wdzięczni, że zapewniasz nam bezpieczeństwo podczas mszy.

Connor skinął głową. Nie był to pusty komplement. Malkontenci próbowali już kiedyś wysadzić kaplicę w powietrze. Obecność Romana, Angus MacKaya i innych prominentnych członków pijącej syntetyczną krew wampirycznej społeczności była niemal zaproszeniem do ataku.

Ksiądz wskazał monitor, na którym widać było wewnątrz kaplicy.

– Więc mogłeś oglądać mszę?

– Tak. – Connor nie przyznał się, że nie włączył dźwięku. – Ale nie byłem tu przez cały czas. Zrobiłem cztery obchody.

– Jesteś bardzo czujny – pochwalił ojciec Andrew z cieniem uśmiechu. Srebrna korona włosów, okalająca jego łyse ciemię, wskazywała na mocno podeszły wiek,

ale jego bystre niebieskie oczy i gładka skóra nadawały mu dziwnie młodzięczy i niewinny wygląd. – Roman i jego rodzina mają szczęście, że ich strzeżesz.

Connor przestąpił z nogi na nogę.

– Roman jest dla nas bardzo ważny.

Uśmiech księdza się poszerzył.

– Wszyscy jesteście ważni w oczach Pana. Tak się zastanawiałem, dlaczego co tydzień zgłaszasz się do ochrony. Przecież mógłbyś się wymieniać z innymi? Już od wielu miesięcy nie widziałem cię na mszy.

Connor skrzywił się w duchu. Powinien był wiedzieć, że się na to zanosi.

– Martwię się o ciebie – ciągnął ksiądz. – Może tylko mi się zdaje, ale mam wrażenie, że przez ostatnich parę lat coraz bardziej się izolujesz i jesteś coraz bardziej... nieszczęśliwy. Roman to potwierdza...

– Ojciec rozmawiał o mnie z Romanem? – rzucił ostro Connor.

Ksiądz otworzył szerzej oczy, ale nie skomentował tego. Connor poczuł wyrzuty sumienia, że podniósł głos.

– Roman mówi, że zbliżają się twoje pięćsetne urodziny – stwierdził ojciec Andrew pojednawczym tonem. – Słyszałem, że to może wywoływać depresję albo...

– Bzdury.

– ...albo gniew – dokończył zdanie ksiądz, patrząc na niego znacząco. – W twoim przypadku jest jeszcze inaczej. Mam wrażenie, że odcinasz się od wszystkich,

przez co będziesz czuł się jeszcze bardziej samotny. Co ty na to, Connor? Czy nie oddalasz się od przyjaciół?

Widocznie oddalił się jeszcze za mało, skoro musiał znosić tę rozmowę. Niecierpliwie założył irytujący kosmyk za ucho.

– Już nie jest tak, jak kiedyś. Oni wszyscy się pożenili.

– Słyszałem, że nie pochwalasz ich związków.

Connor posłał mu zirytowane spojrzenie.

– Nie chodzi o to, że chcę, żeby byli samotni i nieszczęśliwi. Oni po prostu nie widzą, jakie podejmują ryzyko. Dla wampirów nic nie jest ważniejsze niż utrzymanie naszej egzystencji w tajemnicy. To było naszym priorytetem przez wieki, a oni tak głupio narażają go na szwank.

– Są zakochani.

Connor prychnął.

– Nie wierzysz w miłość?

Connor skrzywił się, jakby ktoś dźgnął go włócznią. O, wierzył w miłość, jeszcze jak. Miłość była koszmarem.

Ojciec Andrew przyglądał mu się uważnie.

– Connor, nie musisz czuć się samotny. Możesz przyjść na mszę z przyjaciółmi i przyjąć komunię świętą.

Podstępny ksiądz uderzył tam, gdzie bolało najbardziej. Connor z rozmysłem unikał komunii. Wychował się w przekonaniu, że najpierw trzeba się wyświadczyć.

Ojciec Andrew założył okulary do czytania i wyjął terminarz z kieszeni marynarki.

– Chciałbym umówić się z tobą na spotkanie.

– Jestem zajęty.

Ksiądz zignorował tę uwagę i dalej przeglądał stronicę.

– Roman da ci wolne.

– Nie, dziękuję.

– To może w przyszły czwartek, o dziewiątej wieczorem? Możemy się spotkać tutaj.

– Nie.

Z dłonią na otwartym terminarzu ojciec Andrew zerknął nad brzegiem okularów.

– Jestem księdzem od ponad pięćdziesięciu lat. Potrafię poznać, kiedy człowiek potrzebuje spowiedzi.

Connor zrobił krok w tył, zacisnął zęby.

– Z niczego nie będę się spowiadał.

Ojciec Andrew zdjął okulary i wbił w Connora twarde spojrzenie.

– Nie odstraszysz mnie. Będę o ciebie walczył.

Po skórze Connora przebiegł dreszcz. Ta walka została przegrana wieki temu.

Ksiądz zamknął z trzaskiem terminarz i wepchnął go do kieszeni marynarki.

– Zakładam, że walczyłeś w wielkiej bitwie wampirów w 1710 roku? I dopóki Roman nie wynalazł syntetycznej krwi w roku 1987 żywiłeś się krwią ludzi?

Connor założył ręce na piersi. Więc zamiast

spowiedzi ksiądz próbował przesłuchania.

– Przez ostatnie pięć lat nauczyłem się bardzo dużo o waszym świecie. – Ojciec Andrew wsunął okulary z powrotem do kieszonki na piersi. – I szczerze wątpię, byś mógł mi powiedzieć jeszcze coś, czego bym już kiedyś nie słyszał.

Mylił się. Connor wskazał drzwi, by dać mu do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

W oczach księdza błysnęło rozbawienie.

– Nie jesteś gadułą. Podoba mi się to. – Jeszcze raz rozejrzał się po biurze i jego wzrok padł na ekran z transmisją DVN. – Ta kobieta wygląda mi znajomo. Czy to nie ona próbowała zakłócić przyjęcie zaręczynowe Jacka?

Connor spojrział na monitor, na którym widniało zbliżenie kobiety z jaskrawoczerwonymi wargami, wygiętymi w uśmiešku wyższości.

– To Corky Courrant. Prowadzi program *Na żywo wśród nieumarłych*.

– Więc to jest wampiryczna telewizja? – Ksiądz podszedł bliżej. – Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Connor westchnął. Staruszek najwyraźniej był zafascynowany wszystkim co wampiryczne. Pasek informacyjny u dołu ekranu głosił, że Corky zaraz przeprowadzi wywiad z jakimś tajemniczym gościem. Corky drżała z podniecenia, kiedy kamera odsunęła się do tyłu i plan się poszerzył.

Connorowi opadła szczeka.

– Do wszystkich diabłów! – Skoczył do ekranu i dziabnął palcem parę przycisków, by włączyć nagrywanie i dźwięk.

– ...osiągnęłam szczyt mojej kariery dziennikarskiej – mówiła Corky, wskazując swojego rozmówcę. – To prawdziwy zaszczyt gościć cię w moim programie, Casimirze.

Ojciec Andrew się zachłysnął.

– To jest Casimir?

Connor śmignął do biurka i wcisnął guzik alarmu, emitującego dźwięk zbyt wysoki dla ludzkich uszu. Wiedział, że wampiry i zmiennokształtni w sali zgromadzeń usłyszą go i zjawią się tu w ciągu paru sekund.

Connor spojrzał na sztylet w podkolanówce, jednocześnie sięgając za plecy, by sprawdzić, czy jego claymore jest na miejscu.

– Niech im ojciec powie, że poleciałem do DVN – powiedział księdzu i się teleportował.

Tuż za głównym wejściem do brooklyńskiej siedziby Digital Vampire Network wisiał wielki plakat: *Dziś przesłuchania do jednej z głównych męskich ról serialu Wszystkie moje wampirzyce!*

Connor z ponurą miną przepychał się przez zatłoczoną poczekalnię. Wyglądało na to, że ponad stu młodych wampirycznych amantów chciało być gwiazdorem najpopularniejszego wampirycznego serialu. Przyszli wystrojeni do roli przeważnie w czarne



smokingi. Ale niektórzy zdecydowali się na kostiumy: gladiatora, matadora, Drakuli w długiej jedwabnej pelerynie. Connor zmarszczył nos od duszącego zapachu wód po goleniu i żelu do włosów.

– Hej! – Młody wampir w czarnym trenczu i ciemnych okularach trącił go łokciem. – Musisz się ustawić w kolejce i wypełnić formularz. – Czarnym paznokciem wskazał kolejkę, wijącą się po pomieszczeniu.

Connor sięgnął za głowę i wyjął claymora. Rozległ się chór krzyków i pisków i tłum rozstał się niczym Morze Czerwone.

– Oj, do licha, przyniósł własne rekwizyty – mruknął młody wampir w kostiumie kowboja. – A ten kilt wygląda super. Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

– Do licha. – Imitator pana Darcy’ego szarpnął się za żabot. – Wiedziałem, że twardziele robią lepsze wrażenie.

Connor podszedł do biurka recepcjonistki.

Dziewczyna otworzyła usta na widok obnażonego miecza.

– Ja... ja...

Wydawała się niezdolna do logicznej komunikacji. Connor obszedł więc biurko i ruszył do dwuskrzydłowych drzwi za jej plecami.

– Zaraz! – krzyknęła recepcjonistka. – Nie może pan wejść...

Jej słowa zostały odcięte przez zatrzaśnięte drzwi. Connor szybko szedł korytarzem, mając nadzieję

odnaleźć studio nagraniowe, zanim Casimir ucieknie. Gdyby zabił tego przekłętego drania dzisiaj, Malkontenci poszliby w rozsypkę. Uratowałyby niezliczone istnienia ludzkie.

Dostrzegł czerwoną, pulsującą lampkę nad wejściem do jakiegoś studia i powstrzymał chętkę, by wpaść tam z wojennym okrzykiem na ustach. Otworzył drzwi po cichutku i wśliznął się do środka. Przy wejściu było ciemno, ale w dalszej części sali dwa przyćmione reflektory oświetlały plan zdjęciowy. Connor po cichu przemknął między kamerami, które wyglądały na włączone, choć nikt ich nie obsługiwał.

– Wiesz, że cię kocham – szepnął męski głos za monitorem. – Dzięki tobie tak wspaniale wyglądam.

Connor jęknął w duchu. To nie był głos Casimira, ale Stone’a Cauffyna. Wyglądało na to, że po zakończeniu *Nocnych Wiadomości* prezenter miał tu schadzki z kochanką, być może wizażystką, która upiększała go przed nagraniem.

Connor obszedł monitor i nakrył Stone’a namiętnie obejmującego... szczotkę do włosów.

– Aaa! – Stone podskoczył przerażony, a szczotka z klekotem upadła na podłogę. – Do diaska, aleś mnie wystraszył.

Connor sam nie wiedział, co jest bardziej dziwaczne: facet, który używa wyrażenia „Do diaska” czy facet zakochany we własnej szczotce do włosów.

– Gdzie jest Corky Courrant?

– Zobacz, co przez ciebie zrobiłem. – Stone złapał szczotkę z podłogi i zaczął szukać uszkodzeń. – Niech to licho, mogła się porysować.

– Do diabła, gdzie jest Corky Courrant?

– Nie ma potrzeby używać tak wulgarnego języka. I sugeruję, żebyś odłożył tę monstrualną, średniowieczną broń. – Stone odwrócił się do monitora, w którym widział samego siebie, i przeciągnął szczotką po gęstych włosach. – Powiem ci, że ogromnie tęsknię za starymi, dobrymi czasami. Anglia okresu regencji, wiesz, o czym mówię? Kiedy ludzie z odpowiednich sfer przestrzegali etykiety i...

– Cholerny skurczybyku, gadaj, gdzie jest Corky!

Stone fuknął pogardliwie.

– Panny Courrant nie ma w studiu. Chwała Bogu. Chciała zbrukać tę scenę tak niesmaczną postacią.

Zapaliły się światła.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach studia stał łysy mężczyzna z dłonią na włączniku. Podejrzliwie przyjrzał się Connorowi. – Wezwałem ochronę.

– Ja jestem ochroną – odparł Connor. – Gdzie jest Corky Courrant?

Łysy mężczyzna westchnął.

– Chodzi o ten głupi wywiad z Casimirem, tak? Mówiłem jej, że będą z tego kłopoty.

– Niesmaczna postać. – Stone Cauffyn zadrzał.

Connor patrzył na mężczyznę, nie wierząc własnym oczom.

– Jest odrobinę bardziej niż niesmaczny. To cholerny terrorysta.

– Myślisz, że tego nie wiem? – spytał łysy mężczyzna. – Jego kolega Janow trzymał zakładników w tym studiu. Na szczęście pokazali się ludzie z MacKay UOD. Hej, ty też dla nich pracujesz?

– Tak. – Connor podszedł do niego. – Gdzie jest Corky?

– Dostała ataku szału, kiedy jej powiedziałem, że nie może zrobić tego wywiadu tutaj. Kazałem jej wziąć parę tygodni wolnego, żeby ochłonęła. I nagle ona przysłała mi DVD...

– Skąd? – przerwał mu Connor.

Zanim łysy mężczyzna zdążył odpowiedzieć, został wepchnięty głębiej do studia przez Angusa MacKaya i trzy inne wampiry, które były obecne na mszy w Romatech. Wszyscy czterej mieli obnażone miecze.

– Gdzie jest Casimir? – spytał groźnie Angus.

– Nie wiem. – Łysy mężczyzna skinął głową Phineasowi, Ianowi i Jackowi. – Pamiętam was z incydentu z Janowem. Wy też jesteście z MacKay UOD.

– Ja jestem Angus MacKay. A ty?

– Sylvester Bacchus, menedżer stacji.

– Gadaj. – Angus zbliżył się do niego. – Pomagasz znanemu terrorystyce?

– Nie! – Sylvester przeciągnął dłonią po łysej głowie, błyszczącej pod jaskrawymi światłami. – Oświadczyłem Corky, że nie chcę mieć z tym nic

wspólnego. Wygoniłem ją na urlop, ale ona przysłała mi DVD...

– Skąd? – powtórzył swoje pytanie Connor.

Sylvester wzruszył ramionami.

– Nie powiedziała. Paczka miała kalifornijski stempel sprzed paru dni. Domyślam się, że z Hollywood.

– Cóż za zbieg okoliczności. – Stone przyklepał włosy, oglądając się w monitorze. – Mieliśmy doniesienie, że ktoś widział tę niesmaczną postać w Los Angeles.

– Kilka nocy temu – mruknął Connor. – Widocznie wtedy został nagrany wywiad. Casimir może być teraz gdziekolwiek.

– Niech to diabli. – Angus schował miecz do pochwy.

– Merda – burknął Jack. – Miałem nadzieję, że go dziś zabiję.

– Fakt – zgodził się Phineas. – A najbardziej gówniana wiadomość jest taka, że ten gnojek znów jest w Stanach.

Stone wzruszył ramionami.

– Cóż za ordynarny język. Całe szczęście, że to nie idzie w eter, do moich widzów.

– Odczep się – ostrzegł go Connor.

– Hm. – Stone wysunął podbródek i pomaszerował do drzwi. – Jesteś po prostu zazdrosny, bo twoje włosy są nieuczesane i barbarzyńskie.

– Chcesz powiedzieć, że twoje włosy są prawdziwe?

– zastanawiał się Phineas, kiedy Stone go mijał. – Myślałem, że to futrzak.

Stone zachłysnął się z oburzenia i wybiegł ze studia, przyciskając szczotkę do piersi. Phineas wyszczerzył się radośnie i przybił piątkę z Ianem.

– Sylvestrze, masz jeszcze kopertę, którą przysłała Corky? – zapytał Connor. – Potrzebujemy jej i tego DVD, które nagrała.

– Jasne. – Menedżer stacji wybiegł ze studia.

Angus wyjął komórkę ze sporranu.

– Zadzwońię po J.L.-a. Kiedy tylko ustalimy lokalizację w Kalifornii, będziemy mogli sprawdzić to miejsce.

Connor skinął głową i schował miecz. J.L. Wang był bardzo młodym wampirem, ale jako były agent FBI wiedział, jak wykonać takie zadanie.

– Powinniśmy sprawdzić wszystkie miejsca w Stanach, w które Casimir teleportował się dawniej. Te punkty były już zapisane w jego pamięci, więc było bardziej prawdopodobne, że skorzysta właśnie z nich niż że będzie ryzykował teleportację w nieznane miejsce.

– Słusznie – zgodził się Angus. – Jack, leć z Larą do kompleksu w Maine. Jeśli Casimir tam będzie, wezwij wsparcie.

– Robi się. – Jack teleportował się ze studia.

– Ianie, ty leć do Nowego Orleanu, żeby ostrzec tamtejszy klan – ciągnął Angus. – Potem do Jeana-Luca w Teksasie; on też musi wiedzieć, co jest grane. Czy

szkoła jest pod dobrą strażą?

– Tak, jest tam Phil ze swoimi młodymi wilkołakami  
– odparł Ian i również zniknął.

– Phineas, ty i Robby sprawdźcie Saint Louis, Leavenworth i farmy w Nebrasce – rozkazał Angus. – Jak tylko będę miał w ręce DVD od Corky, wracam do Romatechu, więc dzwońcie tam do mnie z raportem.

– Przyjąłem. – Phineas się teleportował.

– Więc pozostaje nam kemping pod górą Rushmore  
– oznajmił cicho Connor. Przekłęte miejsce, gdzie Casimir i jego podwładni już dwa razy mordowali niewinnych ludzi. Miejsce, gdzie przetrzymywany i torturowany był Robby MacKay. Gdyby Connor miał się zakładać, to założyłby się, że to było ulubione miejsce Casimira w Stanach.

Angus westchnął.

– Nie chciałem tam posyłać Robby’ego.

– Rozumiem. – Connor wiedział, jak to jest, kiedy dręczą cię złe wspomnienia. – Już tam lecę.

Angus wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

– Nie powinieneś lecieć sam. Wpadnij do Romatechu i weź z sobą któregoś ze zmiennokształtnych. Carlosa albo Howarda.

– Nic mi nie będzie.

– To nie była sugestia, Connor. To był roz...

Connor teleportował się, nim Angus zdążył dokończyć.

## Rozdział 2

Silny wiatr gwizdał po lesie, niosąc z sobą zapach, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym – odór śmierci.

Connor zaklął cicho, przemykając między drzewami. Ilu jeszcze śmiertelników musi zginąć na tym kempingu, zanim to miejsce zostanie zamknięte na stałe? Sean Whelan z CIA zatuszował ostatnią masakrę, wmawiając mediom, że winny był wirus grypy. Właściciele po prostu wysprzątaali domki i zaprosili kolejnych szczęśliwych turystów. Kolejne ofiary dla Casimira i jego sługusów.

Connor stanął w cieniu wielkiego drzewa i się rozejrzał. Casimira mogło tu dawno nie być, ale mógł się też ukrywać w pobliskich jaskiniach.

Zbierało się na burzę – w powietrzu kumulowały się napięcie i wilgoć. Gęste, szare chmury pędziły po niebie, przesłaniając księżyc tuż przed pełnią i wymazując gwiazdy. Po kempingu rozlegało się walenie niezamkniętych drzwi szarpanych wiatrem.

Nagły podmuch poderwał mu kilt z tyłu; Connor skrzywił się, czując zimne powietrze na gołym tyłku. Wykręcił się w pasie, żeby obciągnąć spódniczkę, i w tej chwili wiatr wyrwał mu kolejny kosmyk włosów spod rzemyka zawiązanego na karku. Założył włosy za ucho i ruszył dalej, kontynuując swój milczący patrol. W oddali widział rzeźbione prezydenckie głowy Góry Rushmore; granit połyskiwał bielą pośród ciemnych wzgórz.



Casimira bez wątpienia bawiła ironia losu, że zniewala psychicznie i morduje obywateli amerykańskich tak blisko pomnika symbolizującego ich potęgę i wolność.

Drewniane domki na polanie były ciemne. Nie dobiegał z nich żaden dźwięk, żadne jęki umierających śmiertelników, bicie serc. Connor postanowił, że zajrzy do nich później, ale na razie założył, że są puste.

Łomot i smród dobiegały z chaty mieszczącej świetlicę, rustykalnego budynku z kamienia i lakierowanych bali. Connor podbiegł do chaty, przylgnął do ściany koło okna i zajrzał do wnętrza. Duża skórzana kanapa, kilka drewnianych bujanych foteli, stół z niedokończoną partią szachów. Węgle tliły się jeszcze na palenisku wielkiego, kamiennego kominka. Przytulne, przyjazne miejsce – gdyby nie liczyć trupów na tkanym dywaniku.

Connor poczuł gniew i obrzydzenie przewalające się w żołądku. Nic nie mógł zrobić. Casimira i jego poddanych pewnie już tu nie było. Ci ohydni mordercy dokonali już swojego zbrodniczego dzieła.

Mimo wszystko nie chciał, by ktoś zaskoczył go nieprzygotowanego, więc dobył miecza, zanim teleportował się do wnętrza. Sprawdził cały budynek. Pusty. Zamknął tłukące się drzwi i wrócił do sali, by obejrzeć zmarłych, ułożonych schludnym szeregiem na dywaniku. Siedem ciał. Gardła poderżnięte, by ukryć ślady po zębach, ale na podłodze ani kropli krwi. Wszyscy zostali wysساني do sucha. Nie zaczęło się

jeszcze stężenie pośmiertne, a więc umarli tego wieczoru, prawdopodobnie tuż po zachodzie słońca.

Connor czuł wzbierający gniew, był na granicy wybuchu. Ścisnął rękojeść miecza, aż zbieleły mu palce. Malkontenci z pewnością użyli kontroli umysłów, by zmusić biwakowiczów do uległości. Dwie rodziny, jak zakładał – wyraźnie widział dwie pary rodziców. Dwie urocze matki. Trójka pięknych, niewinnych, małych dzieci. Zniewoleni ojcowie pewnie patrzyli bezradnie, jak Malkontenci mordują ich żony i dzieci.

Ogarnęła go furia, przyspieszając bicie serca. Tak intensywne emocje sprawiały, że błękitne tęczęwki jego oczu zaczynały świecić, nadając wszystkiemu, co widział, lodowato niebieski odcień. Zaciśnął pięści, zdjęty pragnieniem mordy. Błagam, niech oni będą jeszcze w jaskiniach, pomyślał.

Teleportował się przed chatę, z uniesionym claymorem, gotów do walki. Pozabija ich. Co do jednego.

Popędził jak burza ścieżką prowadzącą do niedalekich jaskiń. Wiatr wzmagał się, targał drzewami i zaśmiecał ziemię drobnymi gałązkami i szyszkami. Luźne pasma włosów smagały Connora po twarzy. Odgarnął włosy i spojrzał w górę, na księżyc o dziwnym, niebieskim odcieniu, niemal całkowicie zasłonięty chmurami. Świetnie. Ciemność ukryje jego atak. Nie zorientują się, że nadchodzi, dopóki jego ostrze nie przesyje ich zgniłych serc.

Zabić. Zabić ich wszystkich.

Zatrzymał go nagły przypływ przytomności. *Déjà vu*. Ta sama lodowata furia. Ta sama czarna noc. To samo lodowato niebieskie widzenie. Ten sam wicher targający drzewami, ten sam zapach sosen. Zabić ich wszystkich.

Superwrażliwe, świecące oczy zapiekły od zimnego wiatru. Ależ był głupcem. Czy naprawdę nie kontrolował swojej furii ani odrobinę skuteczniej niż przed wiekami? A jeśli Casimir miał z sobą pięćdziesięciu ludzi? Setkę? Czy naprawdę był tak żądny krwi, by wejść prosto w pułapkę?

Przemknął do lasu, oparł się plecami o pień drzewa, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Zapanuj nad sobą, pomyślał. Serce zwolniło biegu. Furia osłabła.

Kiedy otworzył oczy, znów widział normalnie. Wyjął komórkę ze sporranu. Brak zasięgu. Niech to szlag. Nie chciał zostawiać tego terenu bez nadzoru i teleportować się do Romatechu. Ruszył z powrotem w stronę chaty. Wciąż brak sygnału. Nie mógł ryzykować posyłania Angusowi telepatycznej wiadomości, bo każdy Malkontent w pobliżu mógłby ją usłyszeć.

Jego spojrzenie padło na błyszczące bielą, granitowe głowy w oddali. Tam pewnie złapałby zasięg. I miałyby widok z góry na całą okolicę. Zobaczyłby każdego, kto wyszedłby z jaskiń.

Świat na sekundę zniknął w czerni; w następnej sekundzie Connor stał już na litej skale. Ale zanim zdążył się zorientować, gdzie jest, silny wiatr uderzył go w plecy

i pchnął naprzód. Do licha. Wylądował za blisko krawędzi czoła Waszyngtona. Zatrzymał się z poślizgiem, zrzucając w przepaść kilka luźnych kamieni.

Kiedy już stanął pewniej, spojrział w dół. Dźwięczne stukoty kamieni, turlających się po ścianie, niosły się z wiatrem. Niewiele brakowało, by spadł, choć pewnie by go to nie zabiło. Prawdopodobnie teleportowałyby się w bezpieczne miejsce, zanim uderzyłby w ziemię.

Na wzgórzu przed nim rzędy aluminiowych ławek wspinały się po stoku niczym gigantyczne schody. Amfiteatr pod gołym niebem. Na szczycie wzgórza znajdowało się centrum turystyczne i parkingi. Puste. I całe szczęście, bo Connor nie chciał widowni, która podziwiałaby, jak się teleportuje czy też oglądałaby jego zmarznięty tyłek za każdym razem, kiedy wiatr podwiewał mu kilt.

Burcząc z irytacji, znów szarpnął kilt na dół, po czym zaczął przepatrywać pobliskie góry. Skupił swój superwzrok na kempingu. Żadnego ruchu. Nieopodal widział skalną ścianę z wejściem do jaskiń. Na razie spokój.

Wybrał numer Angusa i wreszcie się połączył.

– Niech cię diabli porwą – warknął Angus. – Mówiłem ci, żebyś nie leciał sam. Szukasz śmierci czy co, do cholery?

– Dzwonię z raportem, jeśli cię obchodzi, co mam do powiedzenia.

– Obchodzi mnie, żebyś słuchał rozkazów! –

krzyknął Angus. – Może ty sam nie cenisz własnej skóry, ale...

– Siedem trupów w głównej chacie – przerwał mu Connor. To powinno przerwać ten irytujący wykład. Nagrodziła go chwila ciszy.

– Siedem? – spytał cicho Angus.

– Tak. Typowy *modus operandi* Casimira. Ofiary pozbawione krwi, podcięte gardła. – Zacisnął zęby. – Trójka dzieci.

Angus zaklął po gaelicku.

– Co za przeklęty drań. Nie wiesz, czy jeszcze tam jest? Nie, zapomnij o tym! Nie rób niczego, dopóki się nie zjawimy.

Silny podmuch wiatru znów uderzył w Connora, który podniósł głos.

– Ci ludzie zginęli dziś wieczorem. Casimira może tu dawno nie być.

– Albo mógł się schować w tych przeklętych jaskiniach – odparł Angus. – Zbiorę paru ludzi. Siedź w ukryciu, dopóki nie przylecimy. Słyszysz mnie? Nie sprawdzaj niczego sam. To jest rozkaz.

Connor zerknął na południe; jego uwagę przyciągnęła błyskawica.

– Do licha. – Burza z piorunami, a on stał sobie na szczycie góry z wyciągniętym mieczem.

– Co? – spytał Angus. – Zobaczyłeś coś?

Wizję samego siebie spalonego na skwarę. Connor rzucił miecz w las za rzeźbionymi głowami. Niebo znów

pojaśniało, więc obrócił się na pięcie i zdążył dostrzec kolejny rozbłysk. Dziwne. Piorun uderzył dwa razy w to samo miejsce.

– Connor! – krzyknął Angus. – Co się tam dzieje?

– Coś... dziwnego. – Zmrużył oczy. – Parę kilometrów na południe od kempingu.

Kolejna błyskawica rozjaśniła czarne niebo.

Connor wstrzymał oddech. Nie spadła z chmur.

– Oddzwonię.

– Connor, nie rób...

Rozłączył się i wrzucił telefon do sporranu. Zastanawiał się, czy nie skoczyć po miecz, ale uznał, że lepiej go zostawić. Wyjął tylko ze sporranu drewniany kołek. Po co ściągać te błyskawice na siebie, choć wcale nie był pewien czy to błyskawice.

Kropla deszczu spadła mu na czubek głowy. Spojrzał w górę. Kolejna kropla plasnęła go w nos i popłynęła zimnym strumykiem po policzku. Otarł twarz i skupił myśli na miejscu, gdzie widział te błyski. Świat zniknął mu z oczu.

Zmaterializował się w czarnym cieniu drzew, lądując stopami na miękkiej poduszce sosnowych igieł. Nad głową słyszał lekki szum deszczu, jeszcze nie dość intensywnego, by przebić się przez gęste korony drzew. Po cichutku ruszył przez las, idąc za zapachem dymu z palonego drewna.

Kiedy usłyszał męski głos, powoli podszedł na tyle blisko, by rozróżniać słowa, ale pozostać w ukryciu za

grubym pniem.

– Zostawiłaś je żywe! – krzyczał mężczyzna. – Musiałem tam wrócić i dokończyć robotę za ciebie.

Connor zeszywniał. Albo byli to Malkontenci, albo natknął się na jakichś śmiertelników w trakcie morderczego rajdu.

– Dostaliśmy wyraźne rozkazy – ciągnął mężczyzna. – Wszyscy ci śmiertelnicy mieli umrzeć.

Malkontenci. Śmiertelnik nigdy nie wyraziłby się w ten sposób o własnym gatunku. Connor opanował furję, która znów zaczęła w nim wzbierać. Musiał zachować spokój i panowanie nad sobą. Mocniej ścisnął kołek w dłoni. Miał jeszcze cztery w sporrannie i sztylet w podkolanówce. Ale nim zaatakuje, musiał wiedzieć, ilu drani będzie musiał pokonać.

Kobieta szepnęła coś w odpowiedzi, zbyt cicho, by mógł dosłyszeć. Mimo to brzmienie jej głosu sprawiło, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Musnęło jego skórę niczym pieszczota. Do licha. Nie można tak reagować na żadną krew Malkontentkę.

Jej głos nabrał mocy, kiedy wygłosiła ostateczną deklarację:

– Nie mogę tego dłużej robić.

Czyżby się buntowała? Serce Connora zabiło żywiej. Gdyby schwytał ją żywcem, mogłaby im udzielić mnóstwa informacji.

– Musisz słuchać rozkazów – rzucił szorstko mężczyzna.

– Oni nie musieli wszyscy umierać – nie dawała za wygraną. – Chciałam tylko oszczędzić dzieci.

– Nie wykonałaś rozkazu, Marielle – warknął mężczyzna. – Musisz ponieść konsekwencje.

– Nie – wyszeptała drżącym głosem. – Zack, proszę cię.

Strach w jej uroczym głosie sprawił, że Connorowi ścisnęły się wnętrzności i ogarnęło go przemożne pragnienie chronienia jej. Ale chronić Malkontentkę? Zasługiwała na śmierć.

– To już twój trzeci akt nieposłuszeństwa – oznajmił mężczyzna grzmiącym głosem. – Decyzja zapadła. Zostaniesz wygnana.

– Nie!

Connor nie mógł znieść rozpaczki w jej głosie. Niech to cholera. Uratuje ją.

Wysunął sztylet ze skarpety. O ile się zorientował, miał przed sobą tylko dwójkę Malkontentów: mężczyznę zwanego Zackiem i tę kobietę, Marielle. Wymyślił, że zaskoczy mężczyznę, zmieni go w pył, a potem złapie kobietę i teleportuje się z nią do Romatechu, gdzie będzie mógł ją dokładnie przesłuchać.

Ze sztyletem w jednej ręce, z kołkiem w drugiej, śmignął w stronę ich głosów.

Zatrzymał go nagły błysk światła, który oszołomił go i kazał zacisnąć powieki z bólu. Do diabła, jak miał ją ratować, skoro nic nie widział?

Jej rozpaczliwy krzyk przedarł się ku niemu.



– Nie – warknął. Pokonał ból i przemocą otworzył powieki. Przed oczami zatańczyły mu gwiazdy tak jasne, że potknął się o gałąź i uderzył o pień drzewa. Mimo to dostrzegł przed sobą płonący ogień i ruszył w jego stronę. Jego nozdrzy dosięgnął zapach przypalonego ciała, zemdliło go. Czyżby ten drań ją podpalił?

Znów wrzasnęła. Do diabła. Ruszył pędem w jej stronę, odgarniając gałęzie z drogi.

Kula ognia eksplodowała przed nim kolejnym oślepiającym, palącym błyskiem. Odwrócił głowę, zacisnął powieki.

Bum. Uderzyła go fala powietrza, porwała i grzmotnęła nim o drzewo. Mocno uderzył się w głowę i osunął na ziemię.

Leżał tak oszołomiony, z boleśnie pulsującą czaszką. Co to było, do diabła? Jakaś bomba? Nawet z zamkniętymi oczami widział gwiazdy, migoczące boleśnie i jaskrawo pod zaciśniętymi powiekami. Potarł oczy, próbując odpędzić gwiazdy i ból. Jakaś część jego skołowanego umysłu zarejestrowała, że stracił broń i że przestał padać deszcz. Ile czasu leżał tutaj, zupełnie bezbronny?

Pomalutku otworzył oczy. Jaskrawe fajerwerki zgasły i znów otaczał go tylko ciemny las. Zapach zwęglonego drewna i przypalonej ziemi drażnił jego nozdrza. W oddali dostrzegł czerwony blask dogasającej głowni.

Czy ona mogła jeszcze żyć?

W jego mózgu rozbłysło wspomnienie. Martwe ciało jego ukochanej. I ich maleńkiej córeczki. Trzymał je obie w ramionach i płakał. Były to ostatnie łzy, jakie uronił.

Odepchnął od siebie ten obraz i zaczął szukać broni. Jego sztylet błysnął matowym srebrem w świetle księżyca. Connor chwycił go i ostrożnie dźwignął się z ziemi.

Błagam, niech ona będzie żywa.

Na niepewnych nogach ruszył w stronę czerwonego żaru. Był to konar, przypalony ogniem, który dogasał, zamiast się rozprzestrzeniać. Dziwne. Connor widział linię drzew, żywych i zielonych po jednej stronie i zwęglonych po drugiej. Te nadpalone drzewa tworzyły krąg wokół dużej polany, całkowicie pozbawionej roślinności. Tuż nad ziemią wisiała trzydziestocentymetrowa warstwa dymu. Powietrze cuchnęło spaloną ziemią i spalonym ciałem. Dwójki Malkontentów chyba już nie było.

Wszedł na polanę, brodząc w gęstym dymie. Zwęglona trawa chrzęściła pod jego butami.

Po niebie przetoczył się grzmot i polanę owionął silny podmuch. Dym zaczął się przemieszczać, poruszony wiatrem – wirował wokół polany niczym tornado, niczym czarne chmury krążące wokół mrocznego centrum. Uniósł się powyżej kolan Connora, sięgnął pasa.

Connor zakrył usta i nos i przeczekał, aż dym uniósł się ponad jego głowę i rozproszył na nocnym niebie.

Nagle zobaczył – czarną, wypaloną dziurę pośrodku polany.

Ruszył w jej stronę, bojąc się, co tam znajdzie. I rzeczywiście, na dnie dołu leżało pokryte sadzą ciało. Spóźnił się. Znowu.

Zaczął padać łagodny deszczyk, jakby chciał zastąpić łzy, których nie miał już Connor. Kropelki wsiąkały w czarną ziemię, tworzyły maleńkie strumyki ściekające krętymi korytami do wnętrza dołu.

Wspomnienie ukochanej żony znów wróciło, żeby go torturować. To nie jest ona. Wiedział to, a mimo wszystko czuł ten straszny ból straty. Przez Malkontentkę.

Zamrugał. A może i nie. Przecież Malkontentka, jak każdy inny wampir, po śmierci przemieniłaby się w proch. Ta kobieta musiała być istotą ludzką. A jeśli była wampirzycą, nie była martwa.

Zjechał na dno dołu, żeby się lepiej przyjrzeć. Leżała zwinięta w kłębek, jak nowo narodzone dziecko. Deszcz płynął po jej ciele, splukując sadzę i odsłaniając białe, jędrne ciało.

– Panienko? – zawołał do niej. – Dziewczyno?

Jęknęła.

Żyje. Deszcz nie przestawał zmywać sadzy i błota. O dziwo, wyglądała na nietkniętą i była piękna. Spojrzenie Connora omiotło jej nagie, białe ramiona założone na piersi. Nogi miała podgięte do brzucha, ale wyglądały na długie i zgrabne, a skóra była wręcz świetlista.

Mimo to czuł zapach krwi i palonego ciała. Aromat krwi był silny, uderzał do głowy, był o wiele piękniejszy niż zapach krwi syntetycznej, którą Connor przywykł pić. Jego ciało zareagowało wbrew jego woli. Zaczęły go swędzieć dżiąsła, kły pragnęły zaspokojenia głodu.

Zacisnął szczęki. Ta biedna kobieta ledwie przeżyła atak, a on chciał ją ugryźć? Ależ był zimnokrwistym draniem. Zbliżył się i obszedł ją, żeby obejrzeć ją od tyłu.

I aż się zachłysnął. Chryste Panie. Dół jej pleców pokrywały krzyżujące się ślady poparzeń, czerwone i paskudne szramy. Wyżej, na łopatkach, krew sączyła się z ziejących ran. Widocznie uciekała i ten drań zaatakował ją z tyłu.

– Panienko. – Pochylił się nad nią. – Zabiorę cię do uzdrowiciela. – Roman mógł jej pomóc.

Żadnej reakcji. Nie widział jej twarzy. Długie włosy spletaną masą opadały na twarz i ramiona. Ich końce były przypalone i ciemne od krwi, ale dostrzegł błysk złota w tej burzy loków.

– Dziewczyno? – szepnął i delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy, zachwycając się ich jedwabistą miękkością. Były cieniutkie jak u niemowlaka.

Poczuł ściskanie w piersi na widok jej rysów. Od pięciuset lat nie widział tak nieziemskiej urody. Tak delikatnej elegancji. Od jej skóry bił perłowy blask, jakby piękno sączyło się z jej wnętrza.

Krople deszczu padły na jej twarz, dziewczyna drgnęła.

– Spokojnie – powiedział miękko. – Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Jęknęła i pokręciła głową.

Connor odpiął tartan, który nosił udrapowany na ramieniu, i okrył jej biodra.

Powieki jej zatrzepotały i otworzyły się, źrenice rozszerzyły się ze strachu.

– Nie!

Connor się wyprostował.

– Dziewczyno, nie zrobię ci krzywdy.

Ale ona drżała, zdjeta niezrozumiałym lękiem.

– Nie dotykaj mnie! – Poruszyła nogami, usiłując odsunąć się od niego. Kiedy przeturlała się na plecy, krzyknęła z bólu.

Padła bezwładnie, oczy jej się zamknęły.

– Nie dotykaj mnie – szepnęła i straciła przytomność.

## Rozdział 3

Trzymając na rękach kobietę okrytą tartanem, Connor podszedł do bocznego wejścia do Romatechu. Teleportacja wprost do budynku spowodowałaby uruchomienie alarmu i wywołała panikę, więc wylądował na parkingu z boku budynku. Ktokolwiek siedział w biurze ochrony, powinien zauważyć go na monitorze i wpuścić. Z zajęтыми rękami Connor nie miał jak sięgnąć po kartę magnetyczną.

Staął przed szklanymi drzwiami i ujrzał żonę Angusa, Emmę MacKay, która pędziła w jego stronę korytarzem z wampiryczną prędkością.

Otworzyła drzwi i spojrzała na kobietę w jego ramionach.

– Ktoś jednak przeżył.

– Tak. – Connor wszedł do korytarza. – Zabieram ją do przychodni. Możesz zawiadomić Romana?

– Oczywiście. – Emma dotknęła barku nieprzytomnej kobiety. – Biedactwo. Czuć od niej krew i przypalone ciało. Pewnie ją torturowali, jak Robby’ego. Znalazłeś ją w jaskiniach?

– Nie. Została zaatakowana parę kilometrów na południe od kempingu.

Emma spojrzała na niego zdezorientowana.

– A widziałeś się z Angusem? Teleportował się na kemping jakieś pięć minut temu.

– Widocznie się z nim minąłem. – Connor szybko

ruszył korytarzem. – Powiedz Romanowi, że będę w przychodni.

Emma westchnęła z rezygnacją za jego plecami.

– Nie posłuchałeś rozkazów Angusa, tak?

Connor szedł dalej. Nie było czasu tłumaczyć się ze swoich decyzji, kiedy trzymał w ramionach krwawiącą kobietę. Zresztą i tak zwykle się nie tłumaczył.

– Więc Angus ma rację? – zawołała za nim Emma. – Szukasz śmierci?

– Nie. – Dotarł do foyer i skręcił w lewo. Dlaczego miałby chcieć umierać, skoro poszedłby prosto do piekła?

Przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi do korytarza z przeszkloną jedną ze ścian. Za szybą widział ogrody i boisko do koszykówki, oświetlone jasnymi lampami. Dzieci – Constantine i Sofia – kozłowały piłkami, a ich matka, Shanna, siedziała na ławce obok i rozmawiała ze swoją siostrą.

W dalszej części korytarza Roman wyłonił się ze swojego gabinetu. Szeroko otworzył oczy na widok rannej kobiety.

– Ledwie słyszeć bicie jej serca. Co się stało?

– Została zaatakowana. Ma paskudne rany na plecach.

Roman spojrział przez okno na żonę i dzieci.

– Będziemy potrzebowali Laszla do pomocy. – Załomotał w drzwi gabinetu obok własnego i zawołał swojego asystenta, niskiego chemika.

– Tak, panie? – Laszlo wyjrzał zza drzwi i krzyknął

cicho. – O rety! – Pobiegnął za nimi przez poczekalnię do ciemnej przychodni.

Silny zapach środków dezynfekcyjnych zaatakował nozdrza Connora. Delikatnie położył kobietę na boku na przykrytej prześcieradłem leżance i upewnił się, czy jego tartan zakrywa to, co trzeba, odsłaniając jednocześnie rany na plecach.

– To jak to było? – spytał Roman, zapalając światło.

Connor skrzywił się, widząc rany kobiety w tak jaskrawym oświetleniu.

– Byłem przy tym, jak została zaatakowana kilka kilometrów na południe od kempingu na Górze Rushmore.

– Byłeś świadkiem ataku? – wypytywał Roman. I on, i Laszlo myli już ręce nad dużym, stalowym zlewem.

– Słyszałem go. Był tam jakiś rozgniewany osobnik o imieniu Zack, Malkontent, jak sądzę, i wrzeszczał na nią, że nie zabiła wszystkich śmiertelników. A ona...

– Ona też jest Malkontentką? – przerwał mu Roman, wycierając dłonie.

– Być może. Ewidentnie się zbuntowała, a on ją zaatakował.

– A ma kły? – spytał Laszlo, zakładając lateksowe rękawiczki.

Connor skrzywił się z zażenowania. Taka prosta sprawa, a on nie pomyślał, żeby obejrzeć jej zęby. Choć z pewnością obejrzał sobie całą resztę jej ciała. Dokładnie. Ale tylko by ustalić, jak bardzo jest poraniona.



Mężczyzna musiałby być martwy, by nie zauważyć urody tej zgrabnej kobiety o ślicznej twarzy i miękkiej, świetlistej skórze. A on nie był martwy. Przynajmniej nie przez cały czas.

Pochylił się nad nią i szepnął:

– Spokojnie. Nie zrobię ci krzywdy. – Przycisnął czubek palca do górnej wargi kobiety i delikatnie podniósł ją do góry. Drobne, białe zęby. I ani śladu kłów.

Więc była człowiekiem.

Ale kim był Zack? Mówił o ludziach jako o śmiertelnikach i powiedział coś o jakimś panu, który rozkazał ich zabić. Z pewnością brzmiało to jak słowa Malkontenta. Czyżby próbował zastosować wampiryczną kontrolę umysłów, by zmusić tę kobietę do morderstwa? Ale jaki wampir potrafiłby wywołać te potężne błyski i falę powietrza, która odrzuciła Connora ponad dziesięć metrów do tyłu? Co zwęgliło drzewa i wypaliło ziemię? I jakim cudem Marielle przetrwała taki atak?

Wyprostował się powoli. Roman przyglądał mu się uważnie, a Laszlo przygotowywał tacę z narzędziami chirurgicznymi.

– No więc? – Roman naciągnął rękawiczki. – Jest wampirzycą?

– Nie. – Connor wziął głęboki wdech. – Nie wiem, co o niej myśleć.

– Och, jak dramatycznie. – Laszlo posłał mu rozbawione spojrzenie, kładąc stosik ręczników na stole obok leżanki. – Z całą pewnością jest rodzaju żeńskiego.

Nie pachnie jak zmiennokształtna, więc chyba możemy założyć, że to istota ludzka.

– Nie wydaje się wam, że jej krew pachnie trochę dziwnie? – spytał Connor. – Jest wyjątkowo aromatyczna.

Laszlo przekrzywił głowę i pociągnął nosem.

– To prawda. Nie mogę określić grupy krwi, a zwykle to potrafię.

– Dość gadania. – Roman podszedł do leżanki. – Obejrzyjmy ją, zanim się wykrwawi na śmierć. – Szarpnięciem odrzucił na podłogę zakrwawiony tartan.

– Nie! – Connor szybko przeturlał kobietę na brzuch i spojrzał na Romana z irytacją. – Już ją obejrzałem. – Z wampiryczną prędkością porwał ręcznik ze stołu, strzepnął go i przykrył siedzenie kobiety. – Tylko jej plecy wymagają opatrunków.

Kobieta jęknęła i wymamrotała parę słów.

– Wszystko będzie dobrze, dziewczyno – odpowiedział jej Connor, starannie zawijając ręcznik wokół jej bioder. Czy dźwięk jej głosu działał na tamtych dwóch tak samo jak na niego? Może i nie, skoro Laszlo miał tę samą minę co zawsze, uprzejmą minę.

– Czy ona powiedziała: „Nie dotykajcie mnie?” – spytał Laszlo.

– Tak. To samo mówiła, kiedy ją znalazłem. Może się boi, że jej nagość skłoni mężczyzn do nadużyć. – Connor zauważył, że włosy opadły jej na twarz, kiedy położył ją na brzuchu. Odgarnął je do tyłu, żeby mogła

oddychać. – Spokojnie, dziewczyno, nie skrzywdzimy cię.

– Nie... – Powieki jej zatrzepotały i znów się zamknęły.

– Och, znowu zemdląca. – Connor wyprostował się i zauważył, że Roman znów przygląda mu się z zaciekawieniem. Poczł gorąco na policzkach. No więc, okazywał komuś zwykłą, ludzką dobroć. Czy to było takie dziwne? Wysunął podbródek.

– To jak, zamierzasz pomóc tej kobiecie, czy dasz jej się wykrwawić?

W oczach Romana błysnęło rozbawienie.

– Oczyszcmy ją, Laszlo.

Niewysoki chemik podał Romanowi butelkę z antyseptycznym środkiem myjącym i garść gazików. Kiedy Roman polał jej rany antyseptykiem, jęknęła.

– Zadajesz jej ból – zaprotestował Connor.

– Musimy ją uchronić przed zakażeniem. – Laszlo wsmarował w poparzenia jakąś maść. – To złagodzi ból i przyspieszy gojenie.

– Mogą jej zostać blizny – stwierdził Roman i zabrał się za oczyszczanie ran na jej łopatkach.

Kobieta drgnęła i znów wydała z siebie jęk.

Connor skrzywił się, widząc tak wyraźnie dwie rany na jej plecach. Każda miała jakieś piętnaście centymetrów długości. Na szczęście przestały krwawić.

Roman skończył oczyszczanie ran i wrzucił zakrwawione gaziki do stalowej miski. Zmrużył oczy,

uważnie oglądając cięcia.

– To... dziwne. Z początku sądziłem, że te rany zostały zadane jakimś ostrym narzędziem, takim jak nóż czy miecz, ale kiedy się przyjrzeć uważniej, widać, że skóra jest przypalona.

– Może została pocięta laserem? – Laszlo pochylił się, by widzieć lepiej. – To rzeczywiście dziwne. – Spojrzał na Connora. – Jesteś pewien, że w grę wchodziła przemoc?

– Oczywiście, że użyto wobec niej przemocy. Przecież jest ranna, do cholery.

Laszlo zmarszczył brwi i zaczął się bawić guzikiem kitla.

– Te dwie rany są idealnie symetryczne. Założyłbym się, że ich długość jest równa co do milimetra. Taka precyzja nie może być zachowana podczas zwykłej walki.

– Laszlo ma rację. – Roman wziął z tacy kleszczyki i delikatnie zbadał jedną z ran.

– Co ty robisz? – spytał Connor. – Powinieneś zamykać te rany, a nie otwierać je jeszcze bardziej.

Roman gwałtownie wciągnął powietrze.

– Laszlo, spójrz na to.

Laszlo przepchnął Connora na bok, żeby móc podejść bliżej.

– Co to jest? Jakaś kość czy chrząstka?

– Tak – szepnął Roman. – I została przecięta.

Laszlo wyprostował się gwałtownie i chwycił guzik

kitla.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego u człowieka. –  
Odwrócił się do Connora z szeroko otwartymi oczami. –  
Coś ty tu przyniósł?

Connor z trudem przełknął ślinę. Więc ona nie była  
człowiekiem? Dotknął pukla jej włosów. Wydawała się  
taka ludzka.

– Wiesz o niej jeszcze coś? – spytał Roman. –  
Słyszałeś cokolwiek...

– Oni się kłócili. – Connor zamknął na moment oczy,  
usiłując przypomnieć sobie wszystko, co się działo,  
zanim został ciśnięty o drzewo i walnął się w głowę. –  
Ten mężczyzna, Zack, krzyczał na nią. Trzy razy była  
nieposłuszna. Została wygnana. – Uniósł powieki i  
spojrzał na jej piękną twarz. – Nazywał ją Marielle.

Roman wybałuszył oczy i popatrzył na jej rany.

– Boska krew – wyszeptał. – To przecież  
niemożliwe.

– Co? – zachłysnął się Connor.

Roman odsunął się o krok, blady jak ściana.

– Gabriel, Michael, Rafael.

Laszlo pokręcił głową, nerwowo szarpiąc guzik.

– Nie. To, że jej imię się przypadkiem rymuje, nie  
znaczy jeszcze...

Drzwi przychodni otworzyły się i Shanna podbiegła  
do zlewu, żeby umyć ręce.

– Dlaczego mnie nie zawołaliście? Dopiero teraz się  
dowiedziałam, że macie tu ranną kobietę. Emma uznała,

że Malkontenci mogli ją torturować.

Connor posłał Romanowi zaniepokojone spojrzenie. Średniowieczny mnich wydawał się zdjęty nabożną zgrozą. Laszlo ścisnął guzik tak mocno, że zbieleły mu kostki palców.

Jeśli naprawdę myśleli to, co przed chwilą sugerowali, to musieli się mylić.

Shanna osuszyła ręce i wzięła parę lateksowych rękawiczek.

– Czemu tak milczycie? – Gwałtownie wciągnęła powietrze. – Chyba nie umarła, co?

– Nie – odparł Connor. – Jest nieprzytomna.

Shanna założyła rękawiczki i podeszła do kobiety.

Skrzywiła się na widok jej ran.

– Straszne. Dałeś jej znieczulenie miejscowe?

Roman pokręcił głową.

– Nie.

– Chyba powinienes, zanim zaczniesz zszywać te rany – pouczyła go Shanna.

– Nie wiem, co robić – wymamrotał Roman. – Chyba powinniśmy wezwać ojca Andrew.

– Dlaczego? – Shanna szeroko otworzyła oczy. – Mówisz o ostatnim namaszczeniu? Przecież ją uratujemy.

– Obronnym gestem położyła dłoń na głowie Marielle. Nagle oczy uciekły jej do góry i osunęła się bezwładnie.

– Shanna! – Roman chwycił ją, nim padła.

– O rety! – Laszlo podbiegł do nich.

– Shanno? – Roman zaczął klepać ją po twarzy. Jej

wiotkie ciało zwisało mu na rękach, więc w końcu położył ją na podłodze. – Shanno?

Connor patrzył na to, zdrętwiały z przerażenia. Nie mógł uwierzyć własnym oczom ani uszom, bo choć wyteżał słuch, ledwie słyszał bicie serca Shanny. Laszlo widocznie zauważył to samo, bo padł na kolana i chwycił Shannę za nadgarstek, by zbadać jej puls.

– Shanno! – krzyczał Roman, potrząsając nią.

– Panie – zaczął cicho Laszlo. – Życie z niej uchodzi.

– Nie! Nic jej nie będzie. Przecież... O Boże. – Chwycił dłonią twarz żony. – Shanno, ocknij się!

– Romanie! – krzyknął Laszlo z oczami błyszczącymi ze wzruszenia. – Ona umiera.

Roman spojrzał na niego gniewnie.

– Nie. Tylko zemdląca, nic więcej. Ona...

– Ona umrze! – krzyknął Laszlo. – Musisz ją przemienić!

– To za wcześnie! Dzieci są za małe. Sofia ma ledwie dwa lata!

– Nie masz wyboru – wycodził Laszlo przez zęby.

Roman zadrżał i spojrzał na żonę.

– Boże! Nie mogę jej stracić. – Rozejrzał się dzikim wzrokiem po sali i jego płonący wzrok padł na Connora. – Coś ty zrobił?

Connor cofnął się pod naporem oskarżycielskiego spojrzenia.

– Ja nie chciałem... Proszę cię, przemień ją, zanim

będzie za późno.

– Miałeś chronić moją rodzinę – wysyczał Roman. –  
A sprowadziłeś tu anioła śmierci!

Krew ścięła się Connorowi w żyłach. Chryste Panie,  
czy naprawdę sprowadził śmierć na rodzinę, którą  
przysiągł chronić?

Roman wycelował palec w kobietę na leżance.

– Zabieraj ją stąd, zanim pozabija mi dzieci! – Z  
ochrypłym krzykiem odchylił głowę do tyłu i wysunął  
kły. Zatopił je w szyi Shanny.

Connor nie wiedział, co jest gorsze: odgłos, z jakim  
Roman gorączkowo wysysał krew ze swojej żony czy  
rozdzierający szloch, z jakim to robił.

Moja wina. Connor zgiął się wpół, bo mdłości  
skręciły mu żołądek. Moja wina. Shanna ufała, że on ją  
ochroni, a on sprowadził na nią śmierć. Tak samo jak na  
swoją żonę i nowo narodzone dziecko.

Padł na kolana. Znów poniósł porażkę.

– Connorze – szepnął Laszlo.

Uniósł głowę i zobaczył Laszla stojącego przy  
leżance.

– Musisz ją zabrać.

Spojrzał na nią, potem na Shannę umierającą w  
ramionach męża na podłodze i znów na Marielle. Czy  
Roman miał rację? Czy naprawdę mogła być aniołem  
śmierci?

Wstał z podłogi, skoczył ku niej i ścisnął w garściach  
brzegi leżanki.



– Dlaczego nie zabiłaś mnie? – wycharczał. Bóg świadkiem, że na to zasługiwał.

– Może nie mogła – odparł cicho Laszlo. – My już jesteśmy... martwi.

Connor prychnął. Miał tylko jedno małe życzenie, a Bóg nie był w stanie go spełnić.

– Dziwne, że nie chce mnie posłać do piekła.

Laszlo spojrział na niego ponuro.

– Zabierz ją stąd. Szybko.

Connor ściągnął prześcieradło z leżanki i okrył nim Marielle. Jak mogła wyglądać tak słodko i niewinnie, kiedy była tak śmiertelnie niebezpieczna? Wziął ją na rękę.

Jęknęła, kiedy jego przedramię dotknęło jej rannych pleców.

– Nie dotykaj mnie – szepnęła.

– Tak. Powinienem być cię słuchać, dziewczyno. – Po raz ostatni zerknął na Shannę i teleportował się, zabierając z sobą anioła śmierci.

## Rozdział 4

Ból. Zalewał jej zmysły, wypełniał ciało i sprawiał, że nie była w stanie myśleć o niczym innym prócz tej tortury. Z każdym oddechem ból narastał i wsysał ją głębiej w czarną dziurę.

Marielle nie miała pojęcia, jak wrażliwe jest ludzkie ciało. Nic dziwnego, że niektórzy ludzie błagali, by szybciej zabrała ich dusze. Zawsze miała wyrzuty sumienia, kiedy spełniała taką prośbę, obawiając się, że czyni to z niej morderczynią. Teraz wreszcie zrozumiała, że Zack przez cały czas miał rację. Wybawiciele nie byli aniołami śmierci, ale miłosierdzia.

Czy to dlatego Zackriel ją ukarał? Czy musiała znosić ból w ludzkim ciele, by wreszcie docenić boskie miłosierdzie i przestać kwestionować rozkazy?

Wciąż z zamkniętymi oczami zaczęła się modlić. Ojciec Niebieski, proszę, wybacz mi. Źle czyniłam, wątpiąc w Twoją nieskończoną mądrość. Dostałam nauczkę. Błagam, przywróć mnie do Twych łask i pozwól dalej Ci służyć.

Żadnej odpowiedzi.

Gwałtownie otworzyła oczy. Dlaczego nie słyszała odpowiedzi? Ojciec Niebieski zawsze odpowiadał swoim aniołom. A przecież ona ciągle była aniołem. Prawda?

Ogarnęła ją panika. Usiadła z trudem, choć przysporzyło jej to jeszcze więcej bólu. Była ściśle owinięta białym prześcieradłem, niczym całunem, co

przeraziło ją jeszcze bardziej. Jeszcze nie umarłam! Szarpnęła prześcieradło, ściągając je do pasa, i spróbowała pokonać ból, choć na tyle, by trochę rozjaśnić umysł.

Chwała na wysokości Bogu, zawołała w duchu.

Cisza.

Oddech ugrzązł jej w płucach. Gdzie się podziały Niebiańskie Zastępy? Powinny odpowiedzieć zwykłym odzewem: A na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Setki tysięcy aniołów – Stróżów, Posłańców, Bożych Wojowników, Uzdrowicieli i Wybawicieli. Oni wszyscy tworzyli Niebiańskie Zastępy i zawsze byli połączeni z sobą duchowo. Byli przy niej od zarania jej istnienia. Chóry anielskie nie przestawały śpiewać ani na chwilę i kolejni aniołowie dołączali do nich w wolnych chwilach pomiędzy misjami. To był stały element, niekończąca się liturgia modlitwy, która przepelniała ich radością i spokojem.

Gorączkowo otworzyła umysł. Oni musieli gdzieś tam być. Gdyby tylko zdołała się przebić przez ból, usłyszałyby ich piękne głosy. Chwała na wysokości Bogu!

Cisza.

Z jej ust wyrwał się szloch niedowierzania.

Wygmana. Nie będzie więcej śpiewów. Nie będzie słów pociechy. Nie będzie żadnego kontaktu z anielskimi towarzyszami. Nie będzie odpowiedzi Ojca Niebieskiego. Była całkiem sama. Opuszczona i udręczona bólem.

Musiała wrócić. Jakimś cudem.

Skupiła się, by wywołać skrzydła, ale poczuła tylko dwa pioruny bólu przeszywające jej plecy. Krzyknęła, ale potworny ból pozbawił ją głosu i z jej gardła wydobył się tylko ochrypy skrzek. Wykręciła się, by spojrzeć przez ramię. Boże, nie! Więc to nie był sen. Zack odebrał jej skrzydła. Nic dziwnego, że tak strasznie cierpiała.

Nie mam skrzydeł. Zakryła usta, by stłumić szloch. Jak miała teraz wrócić do nieba? Była przykuta do ziemi.

Z nagłą zgrozą zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Była tak oszołomiona bólem i tak skupiona na królestwie ducha, że nie poświęciła ani odrobiny uwagi otoczeniu.

Las zniknął. Była w jakimś schronieniu, w którym panowała ciemność. Siedziała na wyściełanym fotelu. Nie, czymś większym niż fotel. Ludzie nazywali to kanapą. Jak się tu znalazła?

Przypomniała sobie niewyraźny sen, który wił się niczym aksamitna wstęga pomiędzy górami bólu. Był jakiś głos – niski, męski głos ze śpiewnym akcentem, działający na nią kojąco. Silne ramiona, które trzymały ją delikatnie. Myślała, że były to tylko piękne marzenia. Żaden człowiek nie mógł jej dotknąć i przeżyć.

Ale przecież ktoś przyniósł ją w to ciemne miejsce. I raczej nie był to nikt z Niebiańskich Zastępów, skoro została wygnana z nieba. Ale oni nie są jedynymi aniołami, przyszła jej do głowy straszna myśl. Skóra zaczęła ją mrowić. A jeśli została uznana za upadłego

aniola? Jeśli porwał ją któryś ze sługusów Lucyfera?

Przerażenie kazało jej zapomnieć o bólu. Rozejrzała się gorączkowo po ciemnym pokoju. Otaczały ją złowrogie cienie nieznanych przedmiotów. Nagłe skrzyknięcie sprawiło, że podskoczyła ze strachu i wyteżyła słuch. Ktoś był niedaleko. Tuż za ścianą. Kroki przemieszczające się w tę i z powrotem, od czasu do czasu natrafiające na skrzypiącą deskę. Ciężkie kroki, najprawdopodobniej męskie.

Kim on był? Czy pilnował jej, żeby nie mogła uciec? Podciągnęła prześcieradło pod brodę, jakby mogła się ochronić przed tym kimś, kto był za ścianą.

Powiodła spojrzeniem po pokoju. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy dostrzegła parę szklistych oczu, wpatrujących się w nią. Nieruchomych. Nieludzkich. Uniosła spojrzenie wyżej i serce załomotało jej ze strachu. Rogi bestii!

Wrzasnęła.

Drzwi otworzyły się błyskawicznie i do pokoju wpadł mężczyzna. Zapalił światło i zatrzasnął drzwi za sobą. Zamarła z szoku na widok jego groźnej miny i sztyletu w dłoni. Czy miała zostać zamordowana dla przyjemności bestii?

Spojrzała znów na te szkliste, nieludzkie ślepia i z jej ust wyrwał się pisk ulgi. To była tylko głowa jelenia zamocowana na ścianie. W pokoju było więcej myśliwskich trofeów: głowa łosia nad kominkiem i odyniec z kłami na kolejnej ścianie, nad bujanym fotelem

i biblioteczką. Pomodliła się krótko za te zwierzęta i skrzywiła się, kiedy znów odpowiedzią była cisza.

Mimo to poczuła pewną ulgę, że te biedne stworzenia niczym jej nie zagrażają. W odróżnieniu od mężczyzny ze sztyletem. Wciąż ściskając prześcieradło pod brodą, odwróciła głowę w jego stronę.

Mężczyzna szybko rozejrzał się po pokoju, po czym skupił wzrok na niej.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową, choć nic nie było w porządku. Była obolała, przestraszona, skołowana i wyjątkowo zdenerwowana obecnością tego człowieka. Patrzył na nią jakoś dziwnie. Ostrożnie i czujnie. Być może z ciekawością, choć intensywność jego spojrzenia wskazywała na coś silniejszego, coś, czego nie potrafiła nazwać.

Miał wygląd wojownika, ale nie Bożego Wojownika. Nie było w nim nic anielskiego. Czy pochodzili z nieba czy z piekła, zarówno aniołowie, jak i demony przybierali zwykle nieskazitelną, ludzką postać o cudownej urodzie.

Ten mężczyzna musiał być śmiertelnikiem. I chyba Szkotem, ponieważ nosił kraciasty kilt. Koszulę miał podartą i poplamioną, kilt stary i wyblakły. Brud i błoto oblepiały jego podkolanówki i buty. Był potężnie zbudowany, wyczuwało się w nim szorstkie, gorące emocje, jakby był dopiero co po bitwie. Taki ziemski. Jego długie włosy, potargane od wiatru, miały piękny, ognisty kolor. Szaroniebieskie tęczęwki oczu, których nie

odrywał od niej, przypominały jej niebo tuż przed burzą, zanim nawałnica spuści ze smyczy szalejący wichur. Ziemia, ogień i wiatr – trzy żywioły stopione razem w jednym, cudownie dzikim bożym stworzeniu.

Spojrzała na sztylet. Zamierzał ją skrzywdzić czy jej bronić?

– Och. – Płynnym ruchem odwrócił broń ostrzem do siebie. – Nie chciałem cię przestraszyć. Myślałem, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Jego głos. To był ten głos, który słyszała przez sen i kiedy była nieprzytomna. Śpiewny akcent przypominał jej muzykę, którą przywykła słyszeć w głowie.

Patrzyła uważnie, kiedy schylił się, żeby schować sztylet w pochwie pod skarpetą. Wyglądało na to, że wpadł do pokoju gotów bić się w jej obronie. Bóg może i nie odpowiedział na jej modlitwy, ale dał jej obrońcę. Dzięki Ci, Panie.

Z westchnieniem wdzięczności opuściła ręce i prześcieradło na kolana.

– Mogę spytać, jak ci na imię?

Spojrzał na nią i wyprostował się gwałtownie.

– Jezu Chryste.

Zmarszczyła brwi.

– Nie wydaje mi się.

– Nie chodziło mi o... – Przesunął wzrok w jakieś miejsce za jej plecami i szepnął: – O Chryste.

– On tu jest? – Wezbrała w niej fala nadziei. Odwróciła się, by spojrzeć, ale ból przeszył jej plecy.

Krzyknęła, zginając się w pół i chwytając za kolana.

– Och, dziewczyno. – Podszedł do niej. – Tak strasznie mi przykro, że cierpisz. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Jęknęła, próbując siłą woli stłumić ból. Poducha, na której siedziała, podskoczyła lekko, i dopiero po chwili zorientowała się, że on usiadł przy niej na kanapie obitej brązową skórą.

– Nie. – Wyprostowała się z grymasem bólu. – Nie wolno ci się do mnie zbliżać. Mogę... mogę być niebezpieczna. – Jej skrzydła zniknęły, duchowe połączenie z Niebiańskimi Zastępami zniknęło, ale nie miała pewności, czy zniknęły wszystkie jej anielskie moce. Gdyby ten człowiek jej dotknął, mógł by umrzeć.

Spojrzał na jej nagą pierś i gwałtownie odwrócił wzrok.

– Musimy coś zrobić z twoimi pier... znaczy, z twoimi ranami. Na plecach. Pewnie będziesz potrzebowała szwów.

Zaszyć jej stawy skrzydłowe?

– Nie! – Przycisnęła dłoń do piersi. Serce pod dłonią biło jak szalone.

Spojrzał na jej dłoń i znów odwrócił oczy.

– Nie możemy zostawić tych ran otwartych. Ja... – Skrzywił się i zacisnął powieki. – Dziewczyno, nie mogę z tobą tak rozmawiać.

Wyglądał, jakby coś go bolało. Chciałaby móc go pocieszyć, ale nie śmiała go dotknąć.



– Coś ci dolega?

Otworzył oczy i posłał jej żarliwe spojrzenie.

– Ty nie wiesz, o czym mówię?

Szorstka nuta w jego głosie sprawiła, że zaczęła ją mrowić skóra. Jego oczy pociemniały, nabierając czerwonego zabarwienia. Jej serce zgubiło rytm. Nigdy nie widziała czegoś takiego u istoty ludzkiej. U demona, owszem, ale przysięgłaby, że ten mężczyzna był śmiertelnikiem.

– Na litość boską, dziewczyno, okryj się.

Była tak zdumiona tą nagłą zmianą koloru jego oczu, że nie zauważyła, że chwycił skraj prześcieradła. Zorientowała się dopiero, kiedy uniósł je na wysokość jej piersi.

Krzyknęła cicho, przerażona.

– Nie dotykaj mnie! – Odsunęła się na kanapie, wierzgając na niego spod bezpiecznej bariery prześcieradła. Jej paniczna akcja wyrwała prześcieradło z jego dłoni i sprawiła, że oboje stracili równowagę.

Padła do tyłu i krzyknęła, kiedy jej plecy uderzyły o miękki podłokietnik kanapy; w tej samej chwili on padł na nią, a jego wyciągnięte ręce oparły się mocno o jej piersi. Zamarła, przerażona, że właśnie go zabiła.

Ich twarze były kilkanaście centymetrów od siebie, oczy się spotkały. Czerwone iskry w jego tęczówkach zgasły i został tylko dymny błękit. Sekundy rozciągnęły się w wieczność, kiedy dostrzegła pierwszy przebłysk jego duszy. Ludzkiej duszy. Na powierzchni: honor,

odwaga, siła. W głębi: samotność, żal. I było coś jeszcze. Ukrywał coś mrocznego, co zadawało mu wielki ból.

Zamrugał i Marielle zdała sobie sprawę, że wciąż patrzy w jej oczy tak samo żarliwie, jak przed chwilą. Wypuścił powietrze, muskając jej policzek oddechem. Wciąż żył.

– Dotykasz mnie – szepnęła.

Cofnął się gwałtownie i odskoczył w drugi koniec kanapy.

– Wybacz mi. Nie...

– I ciągle żyjesz.

– Tak, powinien mnie razić grom. – Zamknął oczy i rozmasował czoło. – Boże przebacz, obmacywałem anioła.

– Wiesz, kim jestem?

– Tak. – Klapnął plecami na oparcie kanapy. – Nie chciałem cię... napastować.

– Nie zrobiłeś nic złego. – Usiadła prosto, znów krzywiąc się z bólu. – Po prostu upadłeś i się podparłeś.

Parsknął.

– Tak, i miałem bardzo dobrego celu.

Spojrzała na swoje piersi. Kiedy zniknęły jego ciepłe dłonie, sutki zareagowały na chłód, kurcząc się i twardniejąc.

– Hm... interesujące.

Mężczyzna z jękiem przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Zabij mnie od razu.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy.

– Więc okryj się, zanim mi oczy eksplodują.

Przypomniała sobie, jak Adam i Ewa okrywali się ze wstydu.

– Och, przepraszam. – Podciągnęła prześcieradło pod brodę. – Nie zdawałam sobie sprawy, że cię... gorszę.

Wydał dziwny odgłos, coś pomiędzy parsknięciem a jękiem.

– Nie przywykłam do takiego wyglądu. Czasami przybieramy ludzką postać, kiedy potrzebujemy zejść między śmiertelników, ale to tylko iluzja. To ciało jest inne. Takie... prawdziwe w dotyku.

– Tu się zgodzę – mruknął.

– A z całą pewnością prawdziwy jest ból. – Westchnęła. – Obawiam się, że dostałam to ciało, by móc w pełni doświadczyć bólu.

Zwrócił głowę w jej stronę.

– Nigdy wcześniej nie miałaś ciała?

– Nie. – Zajrzała pod prześcieradło, na piersi, których widok tak go urzął. Według niej wyglądały całkiem normalnie.

Otworzyła szerzej oczy, gdy dostrzegła kępkę włosów u zbiegu ud.

– Wielkie nieba! – Znów przycisnęła prześcieradło do piersi. Nigdy wcześniej tak nie wyglądała.

Jej rozmówca się wyprostował.

– Co się stało?

– Ch... chyba jestem bardziej ludzka niż sądziłam.

Jego spojrzenie zjechało na jej kolana, po czym

powoli powędrowało do góry.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że on doskonale wie, co miała na myśli. Jej policzki zalał żar; było to niespodziewane i przedziwne uczucie, więc przycisnęła dłoń do twarzy.

– Zdaje się, że mam gorączkę.

W jego oczach błysnęło rozbawienie.

– To się nazywa rumieniec, dziewczyno.

– Ach tak. – W jej wnętrzu kłębiło się mnóstwo najróżniejszych emocji. Zażenowanie, dezorientacja, ciekawość, ból, skrucha, przerażający lęk, że już nigdy nie wróci do nieba, i inny lęk, że oto zapuszcza się w niebezpieczny, nieznaną świat ludzkich uczuć. A do tego wszystkiego czuła nieodpartą chętkę, by dotknąć tego mężczyzny. Tyle czasu minęło, od kiedy mogła dotykać ludzi, nie zadając im śmierci.

– Nie... nie przedstawiłeś się w końcu – szepnęła.

– Jestem Connor. Connor Buchanan.

– To ty znalazłeś mnie w lesie. Ty mnie uratowałeś.

Wzruszył ramionami.

– Każdy by to... – Znieruchomiał, kiedy dotknęła jego policzka.

– Pamiętam, że słyszałam twój głos. Był łagodny i śpiewny. Dawał mi pociechę. – Delikatnie przeciągnęła palcami po jego zuchwie, dziwiąc się kłującym zarostowi. Aniołowie nie musieli się golić. Kiedy przyjmowali ludzką postać, ich skóra zawsze była gładka i doskonała.

– Connor Buchanan – szepnęła i zauważyła, że gardło mu się poruszyło, kiedy przełknął ślinę. – To takie cudowne, że mogę cię dotykać. Śmiertelnicy zawsze mnie fascynowali. Tacy dzicy i pełni niedoskonałości. – Pogładziła palcem małą bliznę z boku podbródka, na której nie rosły włosy. – A przy tym tacy piękni.

Poruszył zuchwą pod jej dłonią; odsunęła się, czując, że jej policzki znów robią się gorące.

– Oczywiście uważam, że wszystkie boże stworzenia są piękne.

– Naprawdę? – Wygiął wargi w uśmiechu. – Nawet karaluch?

Rumieniec zapłonął mocniej.

– No cóż, muszę przyznać, że wyglądasz znacznie lepiej niż karaluch.

– Cóż za powalający komplement. Zamilknij, moje serce.

Uśmiechnęła się. Żartował sobie z niej, tak jak lubił to robić jej przyjaciel Buniel. Jej uśmiech zwiadł, kiedy pomyślała, że może już nigdy go nie zobaczyć. Ani jego, ani nikogo z Niebiańskich Zastępów. Świadomość własnej rozpaczliwej sytuacji przygniotła ją nagłą lawiną żalu za światem, który utraciła. Przygarbiła się z rezygnacją.

– Moje miejsce nie jest tutaj.

– Marielle... – Connor kiwnął głową, kiedy spojrzała na niego zdziwiona. – Słyszałem, jak ten cały Zack nazywał cię po imieniu. I słyszałem twoje krzyki, kiedy

cię zaatakował.

– Ma na imię Zackriel. Jest moim... był moim przełożonym.

– Lepiej ci bez niego. Zrobił ci potworną krzywdę.  
Pokręciła głową.

– Zostałam ukarana.

– Za co? Zrobiłaś coś złego?

Spojrzała na niego, bojąc się, że może ją osądza, ale w jego oczach dostrzegła tylko czułą troskę.

– Aniołowie starają się być doskonali pod każdym względem. A ja... zawiodłam.

– Jak dla mnie jesteś wcieleniem doskonałości.

Jej serce wezbrało radością na ten komplement, choć wiedziała, że jej się nie należy.

– Nie najlepiej mi idzie wypełnianie rozkazów, szczególnie kiedy wydają mi się pozbawione sensu.

Connor powoli skinął głową.

– Rozumiem.

Czuła, że on naprawdę ją rozumie. Potwornie ją kusilo, by dotknąć go jeszcze raz, ale skrzywiła się, czując, że coś mokrego cieknie jej po plecach.

Poruszył nozdrzami.

– Znowu krwawisz. Znam jednego doktora w Houston, który może ci zaszyć te rany.

Zaszyć jej stawy skrzydłowe? Oczy zapiekły ją od łez. Jak mogłaby się na to zgodzić? Jak mogłaby zrezygnować z tego, kim była?

Ale czy w ogóle była jeszcze aniołem? Straciła

łączność z Niebiańskimi Zastępami. Nie była już Wybawicielką, bo jej dotyk nie zabił Connora. Jej ciało było śmiertelne, kruche i wrażliwe, podatne na rany i choroby. Mogła nawet umrzeć.

Łza popłynęła jej po policzku. Straciła coś więcej niż niebo i przyjaciół. Straciła nieśmiertelność.

– Och, dziewczyno. – Connor dotknął jej policzka i kciukiem starł łzę.

Skóra zapiekła Marielle; zdumiał ją dreszczyk emocji, który przeszył jej ciało. Tak silna reakcja na tak lekki dotyk. To pewnie przez brak przyzwyczajenia do tego ciała. A może cierpiała przez samotność, odcięta od Niebiańskich Zastępów. Ale kiedy spojrzała w oczy Connora, pojęła, że to coś więcej. Ciągnęło ją do tego człowieka. Chciała, żeby jej dotykał. I chciała głębiej zajrzeć w jego duszę.

Nakryła dłonią jego dłoń i przyłożyła ją do swojej twarzy. Może nie wszystko jeszcze przepadło, bo zachowała odrobinę anielskiej mocy. Ilekroć dotykała zmarłego albo umierającego, jego dusza otwierała się przed nią jak księga i w jednej chwili mogła obejrzeć całe jego życie. W przypadku Connora, który nie był umierający, ten dar był mocno uszczuplony, ale i tak dotykając go, mogła przez mgnienie widzieć jego duszę.

I znów to dostrzegła. Głęboko pod zewnętrzną tarczą honoru i wielkoduszności. Bezdenna, czarna otchłań rozpacz i wyrzutów sumienia. Było to bolesne miejsce, zbyt bolesne, by mogła je odwiedzić z tym bólem, który i

tak już odczuwała.

Puściła go.

– Przepraszam. Nie jestem Uzdrowicielką.

– Tak – przyznał ponuro. – Byłoby dobrze, gdybyś potrafiła się uzdrowić.

– Mówiłam o tobie. – Dotknęła jego piersi. – Nosisz w sobie mrok i ból.

– A skąd! – Zerwał się z kanapy i oddalił od niej z bladą, skamieniałą twarzą. – To twoje rany wymagają leczenia. Zaraz... – Umilkł, kiedy z torebki, którą nosił na froncie kiltu, dobiegło dzwonięcie.

– Muszę to odebrać. – Wyjął z torebki urządzenie komunikacyjne i uniósł je do twarzy. – Angus, jak tam Shanna?

Słuchał przez chwilę, aż na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi. Ruszył w stronę dalszej części pomieszczenia.

– Jestem w domku myśliwskim.

Obejrzał się na Marielle.

– Będę tuż za drzwiami. Nigdzie nie idź. Zaraz wracam. – Otworzył tylne drzwi i wyszedł na dwór.

Nim zamknął drzwi, dostrzegła rozgwieżdżone niebo. Jej spojrzenie pobiegło ku frontowemu wejściu, z którego Connor skorzystał wcześniej. Gdyby wyszła na zewnątrz, mogłaby wezwać Uzdrowicieli na pomoc. Jej przyjaciel Buniel był Uzdrowicielem i pewnie już się zorientował, że brakuje jej wśród Anielskich Zastępów. Na pewno się o nią martwił.



Ale Connor kazał jej się stąd nie ruszać. Kolejny rozkaz, który nie miał sensu. Jeśli Buniel mógł jej pomóc, to warto było spróbować.

Wstała powoli, sztywna i obolała od ran. Owinęła się prześcieradłem i skrzywiła się, kiedy dotknęło jej pleców. Wymknęła się przez frontowe drzwi i omal nie krzyknęła, kiedy owiało ją zimne, nocne powietrze. Wcześniej nigdy nie odczuwała temperatury. Objęła własne ramiona i zadrżała. Zdumiała się, widząc w powietrzu mgłę swojego oddechu.

Przecięła drewnianą werandę i zeszła po schodkach na polanę przed chatą. Zbrązowiała trawa była lodowata pod jej bosymi stopami. Przestało ją dziwić, że ludzie tak lubią ubrania i buty.

Obróciła się dookoła, by przyjrzeć się otoczeniu. W świetle księżyca i migotliwych gwiazd widziała zaśnieżone sylwetki łagodnych gór. Połacie białego śniegu połyskiwały w cieniu niedalekiego lasu. Nowiutkie pączki liści przesycały powietrze zapachem wiosny. Jakże cudowne było dzieło boże. Chwała na wysokości Bogu!

Żadnej odpowiedzi.

Zebrała w sobie siłę. To, że nie słyszała aniołów, nie oznaczało, że oni nie słyszeli jej. Upuściła prześcieradło do stóp i, drżąc z zimna, wyciągnęła ramiona do nieba.

## Rozdział 5

Connor zamknął tylne drzwi, by Marielle nie słyszała jego rozmowy przez komórkę. Wyglądało na to, że zupełnie nie pamiętała tragedii w Romatechu, a jemu się nie spieszyło, by jej o tym przypominać. Już i tak wystarczająco cierpiała.

Spojrzał ponuro w nocne niebo, jasne od gwiazd i księżycy przed pełnią. Tu, w górach Adirondack, było zimno, ale o wiele spokojniej niż byłoby w Dakocie Południowej. Mimo to w jego wnętrzu zbierało się na wściekłą burzę.

Chciał przeklinać niebo, a w szczególności jednego anioła – Zackriela. Ten drań okrutnie pokaleczył Marielle, a Connor za nic nie potrafił sobie wyobrazić, czym mogła sobie zasłużyć na taką torturę. Zakwestionowała rozkaz Zackriela, bo nie chciała zabijać dzieci. Co w tym złego?

Była łagodna i dobra – właśnie takich cech spodziewał się po aniele. Bardziej się przejmowała, że zrobi mu krzywdę niż tym, że sama cierpi. Chciała nawet leczyć jego zamiast siebie.

Jednak mimo jej dobrych intencji ta chwila piekielnie go przeraziła. W jaki sposób zdołała zajrzeć w czarną otchłań jego duszy? To musiał być jakiś anielski dar, ale sprawiał, że była dla niego niebezpieczna. Sprawiał, że Connor chciał uciekać. A jednak wiedział, że musi zostać. Ta dziewczyna potrzebowała ochrony.

Była tak cholernie niewinna – nie wiedziała nawet, że nie należy odsłaniać piersi.

I to jakich piersi. Pełnych i miękkich. Błyszcząca, biała skóra, od której ostro odcinała się piękna czerwień sutków. Sutków, które wcisnęły mu się w dłonie. Jeszcze teraz ręce go świerzbiły, żeby znów jej dotknąć. Tej miękkiej, cudownej skóry.

Do licha. Dał sobie w duchu w gębę. Ona była aniołem, niewinnym, słodkim aniołem, a on jej pożądał. Znowu. Choć był żalosnym draniem, tak nisko jeszcze nigdy nie upadł.

Ale ona była tak cholernie piękna. Każdy mężczyzna w jej obecności zmieniłby się w bełkoczącego idiotę. I nie chodziło tylko o urodę jej ciała. Czy twarzy. Czy głosu. W jej oczach było coś takiego... Patrzył w nie i czuł dziwny spokój... dopóki nie zorientował się, że trzyma w garściach jej cudne piersi.

– Connor? – Głos Angusa brzmiał niecierpliwie. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak. – Oparł łokieć na drewnianej balustradzie, otaczającej ganek z tyłu domu.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – warknął Angus.

Jakie pytanie? Connor się skrzywił. Jego myśli znów zabłądziły w stronę piersi Marielle.

– A mógłbyś je powtórzyć?

Angus burknął sfrustrowany.

– Pytałem o tę kobietę, którą znalazłeś. Naprawdę

jest aniołem?

– Owszem, jest. – Przyznając to na głos, poczuł się trochę dziwnie, więc zmienił temat. – Sprawdziliście jaskinie przy kempingu?

– Tak, ale były puste. Casimir i jego słudzy widocznie ruszyli dalej zaraz po zamordowaniu tych nieszczęsnych rodzin.

Connor jęknął w duchu. To zawsze wyglądało tak samo. Śledzili Casimira szlakiem trupów, które zostawiał za sobą, ale zawsze był o krok przed nimi. A oni nie byli w stanie ochronić kolejnej grupy ofiar.

– A był po nim jakiś ślad w innych miejscach?

– Nie. Nie mamy pojęcia, gdzie jest.

Connor zaczerpnął powietrza.

– Jak tam Roman?

– Wściekły. A czego się spodziewałeś?

– Powiedziałeś, zdaje się, że z Shanną będzie dobrze.

– Tak sądzimy. W końcu przyjęła odrobinę krwi Romana. Ale zajęło to jakieś piętnaście minut i przez ten czas Roman odchodził od zmysłów. Myślał, że ją stracił.

– Angus westchnął. – Laszlo uważa, że trwało to tak długo, bo podświadomość Shanny nie rozumiała, co się dzieje.

– No tak – zgodził się Connor. – To się stało zupełnie nagle.

– Wypiła odrobinę krwi Romana i zapadła w wampiryczną śpiączkę – opowiadał dalej Angus. – Dopiero jutro w nocy dowiemy się, czy przemiana się

udała.

Connor z trudem przełknął ślinę. Roman, jak wszystkie wampiry, obudzi się tuż po zachodzie słońca, i można było tylko mieć nadzieję, że jego żona obudzi się razem z nim.

– A jak tam dzieci?

– Zabrała je do siebie ich ciocia, Caitlyn. Zajmie się nimi z Carlosem. One... nie wiedzą, co się stało.

Connora przygniotło poczucie winy. Jeśli Shanna umrze, to będzie jego wina. Maluchy zostaną bez matki. Rodzina, której przysiągł bronić, zostanie zniszczona.

– Poprosiłem Robby’ego i Olivie, żeby przejęły ochronę Romana i jego bliskich – oznajmił cicho Angus.

Connor zeszywniał, jakby dostał cios w pierś. Został odsunięty od obowiązków.

– Tak będzie lepiej – ciągnął w pośpiechu Angus. – Olivia jest psychologiem, więc pomoże dzieciom przystosować się do sytuacji.

Connor zgrzytnął zębami.

– Zapewniałem Romanowi bezpieczeństwo przez ponad sześćdziesiąt lat.

Angus milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Roman poprosił o kogoś nowego.

Connor drgnął.

– Nie.

– Nie rozumiesz, jaki jest wściekły. Zdemolował przychodnię gołymi rękami. Nigdy go nie widziałem w takim stanie. Emma musiała teleportować do Romatechu

ojca Andrew, żeby go uspokoił.

Connor z westchnieniem oparł się o barierkę. Wiedział, jak niebezpieczna może być niekontrolowana furia.

– Nie chciałem skrzywdzić jego żony.

– Rozumiem to, ale nie mogę ci ufać. Nie słuchasz rozkazów... – Angus urwał bezradnie.

Connora ogarnęło straszne przeczucie, że zaraz zostanie wylany. Nie chodziło o to, że potrzebował pieniędzy. Uskładał ich mnóstwo przez wieki. Chodziło o fakt, że uznano go za niewiarygodnego, za zdrajcę.

– Angusie, w żaden sposób nie mogłem przewidzieć, że Shannę spotka coś takiego. Do licha, kto by uwierzył, że znajdę prawdziwego anioła...

– Wiem. Wyjaśniono mi to bardzo obszernie. Niewiele brakowało, żebym cię zwolnił, ale masz tu skutecznego adwokata, który przekonał mnie, że nie jesteś niczemu winien. Ojciec Andrew bardzo cię ceni.

Connor drgnął, zaskoczony. Ksiądz obronił go przed utratą posady?

– Otóż, ojciec Andrew sądzi, że to wszystko stało się dla jakiegoś wyższego, boskiego celu. – Angus parsknął.

– Romana jeszcze o tym nie przekonał. Ani mnie. Ja wciąż jestem zły, że nie potrafisz wykonać prostego polecenia. Gdybyś potrafił, Shanna może by jeszcze żyła.

Connor tak nie uważał. Nawet gdyby wrócił na kemping, żeby spotkać się z Angusem, i tak zobaczyłby kulę ognia w oddali i poszedłby to zbadać. Czy ojciec

Andrew mógł mieć rację? Czy było mu pisane znaleźć tej nocy Marielle? Tylko wampir mógł zabrać ją stamtąd i pomóc jej. Każdy śmiertelnik padłby martwy, gdyby jej dotknął, tak jak Shanna.

Westchnął. Ojciec Andrew musiał być w błędzie. Bóg nigdy nie obsadziłby takiego nieumarłego barbarzyńcy w szlacheckiej roli. Książę próbował interpretować rzeczy, które się nie wydarzyły. Albo dostrzec dobro w duszy wampira, która dawno uszła i szczyła.

Lekki wiatr poruszył drzewami w oddali, podmuch owionął Connora. Kiedy tylko powietrze uderzyło go w twarz, poczuł się bardziej pobudzony, bardziej czujny. Jego zmysły wyostrzyły się, czekając... na coś. Rozejrzał się dookoła i zaczął nasłuchiwać. Nic.

– Ojciec Andrew bardzo chce poznać tę anielicę – odezwał się Angus. – Roman nie chce jej widzieć w Romatechu, więc pomyślałem, że wyślę kogoś, żeby teleportował się z księżulką do chaty.

– Nie teraz. Ona jest ranna i krwawi. Muszę ją zabrać do doktora Lee w Houston. – Connor mówił o wampirycznym lekarzu, który odbierał oba porody Shanny i często latał po bitwach wampiry i zmiennokształtnych. – I potrzebuję dla niej jakichś ubrań.

– Poproszę Emmę, żeby się tym zajęła. Daj znać, kiedy wrócisz.

Silniejszy podmuch zwiął Connorowi włosy na twarz; odgarnął kosmyki do tyłu. Zelektryzowało go

przeczucie, że coś jest nie tak. Wytężył zmysły, spodziewając się czegoś. Lada chwila.

I nagle to usłyszał. Głos Marielle. Czysty i piękny. Śpiewała melodię tak cudowną, że rozboleło go serce.

– Chryste – szepnął.

– Co? – spytał nagłaco Angus. – Wszystko dobrze u ciebie?

– Oddzwonię. – Connor rozłączył się i wrzucił komórkę do sporranu.

Jej głos nie milkł, rozbrzmiewał czysto w nocnym powietrzu. Musiała być na dworze. Tak to właśnie słuchała jego poleceń.

Kiedy zszedł po schodkach ganku, silny wiatr pchnął go w stronę narożnika chaty. Teraz już rozumiał, co jest nie tak. Ten wiatr powinien być zimny, ale nie był. Obszedł chatę, a wiatr wciąż dał mu w plecy. Dziwne. Wydawało się, że okrąża dom. Kolejny ciepły podmuch pchnął go w stronę polany od frontu chaty.

Connor zatrzymał się gwałtownie, kiedy ukazała się jego oczom. Była naga, stała plecami do niego. Jej skóra lśniła w świetle księżyca, a jej kręcone, jasne włosy spływały aż do krzyża. Biodra rozszerzały się w tyłeczek, który mógłby inspirować do pisania wierszy. Niestety, Connor nigdy nie był poetą, więc ten widok zainspirował tylko kolejny przyływ żądz.

Otrząśnij się z tego, warknął na siebie w duchu. Ona była aniołem. I robiła coś przedziwnego. Ręce miała wyciągnięte nad głowę, jakby sięgała nimi do gwiazd.



Głowę odchyliła do tyłu i śpiewała wprost do nieba, a jej dłonie – śliczne, ekspresyjne dłonie tancerki – poruszały się z gracją w rytm melodii.

Słyszał kiedyś, że ciało jest świątynią, ale do tej pory w to nie wierzył. Była taka piękna. A jej głos – tylko anioł mógł śpiewać tak perfekcyjnie i czysto.

Wiatr nabrał siły – hulał wokół chaty i zabawiał się jego kiltem. Patrząc, jak drzewa kiwają się i kłaniają, Connor zrozumiał, że Marielle jest w centrum tego kręgu.

Wiatr porywał jej złote włosy, długie loki unosiły się wokół jej barków niczym w wodzie. Niektóre z nich były ciemne, pozlepiane krwią. Skrzywił się na widok jej poranionych pleców. Ciemne strużki krwi spływały kręto po białej, świetlistej skórze.

Musiła strasznie cierpieć, a mimo to jej pieśń była tak radosna. Aż zawstydził się tych wszystkich lat, które spędził na narzekaniu i użalaniu się nad sobą. Ale jak miał się czuć, skoro stracił jedyną kobietę, którą kochał, a miłość doprowadziła go do unicestwienia własnej duszy?

Drgnął, kiedy coś ciepłego dotknęło jego policzka, coś miękkiego jak piórko. Rozejrzył się, ale nie zobaczył niczego. Zaraz, tam, jakiś szybki ruch, coś przejrzystego, białego na wietrze. Przemknęło koło niego i rozpląnęło się w nicość.

W powietrzu popłynął delikatny dźwięk, niczym wietrzne dzwonki, to cichnący całkiem, to znów głośniejszy. Connor wyteżył słuch. Tak, teraz był pewien. Nie potrafił rozróżnić czy to dzwonki, czy harfy, czy

jedno i drugie, ale nigdy nie słyszał czegoś tak pięknego. Tchnącego takim spokojem, jakby jego zbłąkana dusza wreszcie trafiła do domu.

Potem rozległy się głosy. Męskie i kobiece. Zgrane w doskonałej harmonii, śpiewające tę samą melodię co Marielle. A pod tym wszystkim słyszał i wyczuwał niską, miarową wibrację, która poruszała powietrzem. Nieustającą jak bicie serca. Uderzenia anielskich skrzydeł.

Zamknął oczy. Czuł się jak podły grzesznik, który przypadkiem natknął się na coś świętego, coś, czego nie powinien oglądać żaden śmiertelnik. Ale uszu nie mógł zamknąć. Głosy nie milkły, tak boleśnie słodkie, że chciał, by trwało to w nieskończoność.

Poczuł kolejne szybkie muśnięcia na twarzy i za każdym razem mały fajerwerk radości rozświetlał mu serce. Otworzył oczy i zrobił krok w stronę Marielle. Ciało mrowiło go, owiewane tym ciepłym wiatrem. Jego serce dopasowało się do rytmu skrzydeł uderzających o powietrze. Taka radość, taki spokój – to było jak narkotyk. W kręgu zataczanym przez wiatr zaczęła rosnać jasnozielona trawa, Connor czuł przemożną chęć uniesienia ramion do nieba, jak zrobiła to Marielle.

Ale zanim zdążył się ruszyć, oślepił go nagły błysk. Zamrugał, starając się nie stracić jej z oczu. Przestała śpiewać i stała jak skamieniała, otoczona jaskrawym światłem. W końcu rozbłysło tak mocno, że musiał zamknąć oczy.

– Dziękuję – szepnęła Marielle. – Wielka jest dobroć Pana.

Connor otworzył oczy, kiedy światło zgasło. Plecy Marielle były wyleczone. Żadnych blizn, żadnych plam krwi, tylko biała, promienna skóra. Nawet jej włosy były czyste i błyszczące jak złoto.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, Connor czuł, jak wirujący cyklon unosi się do góry.

– Nie! – krzyknęła Marielle. – Nie opuszczajcie mnie!

Jej dłonie jakby chwyciły coś, czego nie widział, i ku jego zdumieniu jej ciało uniosło się w powietrze. Ale nie lewitowała. Była unoszona przez to coś, czego się trzymała.

– Proszę. – Jej głos drżał z emocji. – Zabierzcie mnie z sobą.

Czyżby wracała do nieba? Uzyskała przebaczenie? Serce Connora łomotało coraz szybciej, kiedy patrzył, jak jej ciało wznosi się coraz wyżej. Metr nad ziemią. Dwa metry. Czy istniała nadzieja dla kogoś, kto zawiódł?

Czy istniała nadzieja dla niego?

– Nie! – krzyknęła Marielle, kiedy jej dłonie straciły punkt zaczepienia. Padła na ziemię, a wietrzny wir, unoszący się z szumem, zniknął.

Zapanowała cisza, którą zakłócał tylko płacz Marielle. Znów zrobiło się zimno.

Connor oklapł, jakby uszło z niego powietrze. Powinien był wiedzieć, że nie ma nadziei. Nie ma

przebaczenia dla takich jak on.

Ale Marielle? Do licha, ona była inna. Jej serce było czyste. Ona wciąż wierzyła, że Bóg jest dobry. Serce go bolało, kiedy słuchał jej płaczu.

Podszedł do niej, skulonej na ziemi, opartej na łokciach, wstrząsanej szlochem.

– Wszystko dobrze? – Skrzywił się, słysząc własne idiotyczne pytanie.

– Zostawili mnie tu – wyszlochała. – Jestem całkiem sama.

– Nie, dziewczyno. – Connor padł na kolana, podniósł prześcieradło z trawy i okrył jej plecy. – Nie jesteś sama.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Jej policzek błyszczał od łez.

– Słyszałeś ich? Słyszałeś muzykę?

– Tak.

Usiadła prosto i prześcieradło zsunęło się z jej barków.

– Więc wiesz, jaka jest piękna.

– Tak. – Pospiesznie okrył ją z powrotem.

Ale ona mówiła dalej, nie dostrzegając jego oczu, wykonujących rozpaczliwe uniki.

– Teraz wiesz, dlaczego muszę wrócić. Tam jest moje miejsce.

Connor związał rogi prześcieradła na jej prawym barku.

– Nie widziałem ich, ale słyszałem. I czułem ich w

wietrze.

Marielle kiwnęła głową.

– Niebiańskie Zastępy. Zawsze byłam z nimi, od chwili mojego stworzenia. Ich muzyka zawsze brzmi w mojej głowie. Wszyscy jesteśmy połączeni, cały czas dzielimy się myślami i razem chwalimy Pana.

– Cały czas? – Skrzywił się. – Nie męczy cię ciągły hałas?

– Hałas? – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Nazywasz naszą muzykę hałasem?

– Była piękna – przyznał. Głęboko zaczerpnął powietrza. – To były najpiękniejsze dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nigdy nie czułem się tak przepełniony radością i spokojem.

Uśmiechnęła się.

– Więc rozumiesz.

Pokręcił głową.

– To nie było rzeczywiste.

– Oczywiście, że było rzeczywiste. Przecież to czułeś.

– To było... kuszące, ale niemożliwe. Ja żyję w tym świecie, w którym nie można uciec od śmierci i cierpienia. Poza tym ja nie chciałbym cały czas słyszeć głosów w głowie. I nie chciałbym, żeby ktoś podsłuchiwał moje myśli. Nie zrezygnowałbym z prywatności.

Patrzyła na niego osłupiała.

– Wolisz być całkiem sam? Wolisz cierpieć niż czuć

spokój?

– Wolę być sobą.

Dotknęła jego piersi.

– Nawet z tym bólem, który nosisz w duszy?

Cofnął się gwałtownie poza jej zasięg.

– Przynajmniej jest to mój ból.

Marielle zmarszczyła brwi i wstała z ziemi.

– Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że być człowiekiem jest tak ciężko. Jak znosicie ten lęk i samotność?

Wzruszył ramionami i też się podniósł.

– Niektórzy szukają pociechy w wierze.

– A ty w czym szukasz pociechy, Connorze Buchanan?

Skrzywił się.

– Mnie o to nie pytaj. Po prostu trwam... z czystego uporu.

Jej usta wygięły się w uśmiechu.

– Więc ja też będę uparta. – Zadrżała i spojrzała w gwiazdy. – Znajdę drogę z powrotem. I będę wdzięczna za każde drobne błogosławieństwo, bo Bóg jest dobry.

Connor stłumił prychnięcie, ale ona i tak spojrzała na niego, jakby wyczuła jego wątpliwość.

– Bóg jest dobry – powtórzyła z naciskiem – bo przysłał mi dzielnego obrońcę.

O mało nie obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, kogo miała na myśli. On? Dzielnym obrońcą? Śmiechu warte. Zawiódł własną żonę i dziecko. Zawiódł Shannę.

– Bóg pozwolił też mnie uzdrowić. Dzięki ci, Bunny  
– ciągnęła, z uśmiechem zerkając w niebo.

Connor zamrugał.

– Bunny? To jakaś koleżanka Buffy, postrachu wampirów?

Marielle roześmiała się. Zabrzmiało to jak wietrzne dzwonki.

– Bunny to zdrobnienie od Buniel. Przyjaźnimy się od wieków. To wspaniały uzdrowiciel.

– Uzdrowiciel? – Jej najlepszy przyjaciel był rodzaju męskiego? I na dodatek, doskonałym aniołem? Do licha.

Jej uśmiech zniknął.

– Bunny chciał mnie zabrać z sobą, ale... nie mógł.

Connor zacisnął szczęki.

– Ja bym cię nie puścił.

Jej oczy otworzyły się szeroko. Gapiła się na niego bez słowa, a on walczył z własnym pożądaniem, by niczego nie dostrzegła. Chwila rozciągała się w nieskończoność, atmosfera gęstniała między nimi. Connor zacisnął pięści, żeby jej nie dotknąć, żeby nie porwać jej w ramiona.

Jej spojrzenie przewędrowało w dół po jego ciele i z powrotem. A jemu przyspieszył puls. Patrzył na jej usta, zastanawiając się, czy to możliwe, że zareagowała jak zwykła kobieta. Czy mogła zdawać sobie sprawę, że on przygląda się jej różowym, pełnym wargom?

Oblizła je.

O tak. Uśmiechnął się powoli.

Na jej policzki wypłynął śliczny, różowy rumieniec. Odwróciła się.

– Właśnie umarła mysz – szepnęła.

– Słucham?

– Umarła mysz. Porwała ją sowa.

Connor wyteżył wzrok, ale nie widział sowy nigdzie na nocnym niebie.

– Gdzie?

– Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd. – Spojrzała zamyślona w las. – Nie wszystkie moje moce zniknęły. Wciąż potrafię wyczuć śmierć.

– Wiesz, kiedy ktoś umiera? Z jakiej odległości potrafisz to wyczuć?

Wzruszyła ramionami.

– Wszędzie na świecie. Dzięki temu Wybawiciele wiedzą, dokąd się udać po umierającego.

Ona potrafiła wyczuć śmierć. Connor przeszedł parę kroków w stronę chaty i z powrotem. To był bardzo cenny dar. Gdyby potrafiła wyczuć umierających zaatakowanych przez Casimira i jego podwładnych, to mogłaby pomóc dobrem wampirom znaleźć tego drania.

Spojrzał na gwiazdy. Czyżby Bóg zesłał mu tajną broń, która pomoże im pokonać Casimira raz na zawsze? Jeśli tak, to ojciec Andrew mógł mieć rację. Było mu pisane znaleźć Marielle.

Spojrzał na nią.

Wpatrywała się w odległe góry.

– Zawsze wiedziałam, że ziemia jest pełna pięknych



miejsc. Teraz mogę ich doświadczać jako człowiek. To powinno być interesujące, nie sądzisz? – Spojrzała na niego z nadzieją. – Nawet jeśli noc jest pełna łez, ranek przynosi radość.

Connor się skrzywił. Jemu ranek zawsze przynosił śmierć. Będzie musiał jej wyjaśnić, kim jest. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie będzie rozczarowana. Albo zniesmaczona.

Marielle zadrżała i objęła się ramionami.

– Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia ludzie odczuwają zimno.

– Powinnaś wejść do środka. – Wskazał jej chatę i nagle zamarł, słysząc w lesie jakiś dźwięk.

Ona też go usłyszała i obróciła się przodem do linii drzew. Liście zadrżały; coś przedzierało się przez krzaki.

Connor wyrwał sztylet z pochwy w skarpecie. Z zarośli wysunął się czarny nos. Wilk? Nie, to zwierzę przypominało wilka, ale było większe. Z lasu wyłoniła się czarna, kudłata bestia.

Marielle krzyknęła cicho i zeszywniała ze strachu.

Connor stanął mocniej na nogach, ze sztyletem w pogotowiu.

Dotknęła jego ramienia.

– Nie możesz z nim walczyć. On przyszedł tu po mnie.

Bestia przesunęła się na bok, nie spuszczając z niej czarnych oczu. Nagle te ślepie zrobiły się czerwone i zaczęły się jarzyć.

Connor gwałtownie wciągnął powietrze.

– Co to jest?

Jej głos był ledwie słyszalny.

– Demon.

## Rozdział 6

Marielle wyprostowała plecy i spojrzała gniewnie na czarną bestię, udając odwagę, której nie miała w sobie. Miała już kontakt z upadłymi aniołami, ale zawsze czuła za sobą niezmierną moc Niebiańskich Zastępów. Teraz była sama.

A jednak nie całkiem. Connor zasłonił ją własnym ciałem, ale jego obronny gest tylko spotęgował jej strach. Czy on nie zdawał sobie sprawy, że nie może się mierzyć z demonem?

– Wejdź do domu – szepnęła.

Lekko pokręcił głową, nie odrywając oczu od bestii.

– Nie.

Ledwie ją znał, a jednak chciał dla niej ryzykować życie? Wezbrał w niej wir emocji – silnych ludzkich emocji, do jakich nie przywykła. Nie wiedziała, czy ma uściskać Connora, czy krzyczeć na niego. Jedno było pewne: nie miała teraz czasu rozplątywać tego kłębowiska uczuć. Musiała zadbać o to, żeby przeżyć.

Odsunęła się od niego powoli, wciąż gromiąc demona spojrzeniem.

– Przepadnij!

Wilkowaty stwór przekrzywił głowę i patrzył na Connora, który znów zbliżył się do niej. Jęknęła w duchu. Czy on koniecznie chciał zginąć? Powinna była jednak na niego nawrzeszczeć.

Bestia ściągnęła jej uwagę głuchym warkotem. Jej

czerwone, płonące ślepia skupiły się na niej. Zwierz zmarszczył wargi, odsłaniając rząd długich, spiczastych, pożółkłych zębów.

– Przyszedłem, żeby odprowadzić cię do nowego domu – wychrypiał męskim głosem. – Sugeruję, żebyś poszła spokojnie.

Marielle wysunęła podbródek.

– Nigdy.

– Mogę cię rozerwać na strzępy – wysyczał demon.

– Spróbuj, to odeślę cię do piekła w kawałkach! – krzyknął Connor, unosząc sztylet.

Bestia prychnęła.

– obrońca? Uwielbiam zabijać takich jak ty. – Znów skierowała krwiste oczy na Marielle. – Chcesz pozwolić, żeby ten głupiec zginął w twojej obronie? Jeśli tak, to piekło będzie dla ciebie odpowiednim miejscem. Choć oczywiście możesz się zachować jak grzeczny aniołek i ocalić go ze szponów śmierci. Chodź ze mną, to dam mu spokój.

Connor chwycił ją za rękę.

– Nigdzie z tobą nie pójdzie – rzucił pospiesznie, jakby się bał, że ona poświęci się dla jego bezpieczeństwa.

Huragan emocji w jej wnętrzu ucichł. Teraz wiedziała już, że wolałaby jednak uściskać Connora niż krzyżeć na niego. Miał dobre, szlachetne serce. Położyła dłoń na jego dłoni.

– Nie pozwolę, żeby on zrobił ci krzywdę.

Bestia fuknęła przez nos.

– Więc nie chcesz się dać zastraszyć ani namówić po dobroci. To nic wielkiego. Mam inne strategie. – Zawarczał, odsłaniając długie żółte zębiska. – W taki czy inny sposób osiągnę swój cel.

Jego ciało zamigotało i zmieniło kształt, przybierając postać mężczyzny. Bardzo przystojnego mężczyzny z długimi rudymi włosami, jasnoniebieskimi oczami, nagą, muskularną piersią i w kraciastym kilcie. Doskonałe ciało o nieskazitelnej skórze.

Poczuła, że Connor zeszywniał obok niej. Bez wątplenia też był w szoku, widząc ulepszoną wersję samego siebie.

Demon błysnął jej olśniewająco białym uśmiechem.

– Teraz ci się podobam?

Widocznie myślał, że ona czuje pociąg do tego Szkota, skoro próbował takiej taktyki. Doznała lekkiego szoku, kiedy zdała sobie sprawę, że się nie mylił. Ale ta sztuczka nie mogła zadziałać. Connor był prawdziwy i jego szorstka, niedoskonała powierzchowność sprawiała, że był w jej oczach tym piękniejszy.

– Przepadnij.

– Zanim zdążyłem się choćby przedstawić? – Demon zrobił urażoną minę. – Oj, Marielle, nie nauczyli cię w niebie lepszych manier?

Z trudem przełknęła ślinę. Demon znał już jej imię.

– O tak. – Ze zrozumieniem pokiwał głową. – Obserwowaliśmy cię od jakiegoś czasu. Biedna, mała

anielica, która ciągle pakuje się w kłopoty. Wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu, zanim te rozmodlone snoby uznają, że nie jesteś dla nich dość dobra.

Jej ciało obsypała gęsia skórka. Connor mocniej ścisnął jej ramię.

– No więc, na imię mi Darafer. Przyjaciele nazywają mnie Dare.

– Wracaj do piekła – poradziła mu Marielle.

– Oczywiście. I będę miał zaszczyt zabrać cię z sobą.

– Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. – Jeśli się odważysz.

– Nigdy z tobą nie pójdę.

– Pójdiesz – warknął. Jego uśmiech zniknął. – Chyba nie jesteś tak głupia, by chcieć wracać do nieba. Zobacz, co ci zrobiły te świętoszki. Torturowali cię. Odcięli ci skrzydła. Zostawili cię w błocie na śmierć.

Skrzywiła się w duchu. Rozsądek podpowiadał jej, że nie jest taka głupia, że nie da się omamić słowom demona, ale w tym, co mówił, było dość prawdy, by serce ścisnęło jej się boleśnie. Wgnana. Connor chyba wyczuł jej cierpienie, bo przysunął się bliżej.

Darafer z obrzydzeniem podwinął górną wargę.

– Nawet twój najlepszy przyjaciel się ciebie wyparł.

A to zraniło ją o wiele boleśniej niż odarcie ze skrzydeł.

– Musiał wypełnić rozkaz.

– Naprawdę? Dlaczego się nie zbuntował? – Niebieskie oczy Darafera rozblęły. – Ty masz odwagę

okazywać nieposłuszeństwo. Jesteś bardziej podobna do nas niż sądzisz.

To nią tak wstrząsnęło, że przestała czuć ból.

– Nigdy nie będę taka jak wy! Wy szerzycie zło na świecie.

Darafer machnął lekceważąco ręką.

– Tak, tak, to brudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać.

Gniew zapłonął w jej duszy.

– Żartujesz sobie z tego, że miliony cierpią przez wasze zło?

Jego oczy stały się jednolicie czarne. Connor obok Marielle spał się w gotowości.

– Ja nie żartowałem – wycharczał Darafer. – Ktoś naprawdę musi to robić. Twój kochany Ojciec Niebieski nie mógłby się bawić w dobrego szeryfa, gdybyśmy my nie robili swego. Potrzebuje nas tak samo, jak potrzebuje was. Gdzie byłby Jezus bez Judasza? Przyłączając się do nas, możesz odegrać ważną rolę w tym wielkim przedstawieniu.

Marielle zadrżała.

– Wykręcasz prawdę tak, żeby pasowała do twoich celów.

– Tak sądzisz? – prychnął Darafer. – Może teraz, kiedy jesteś oddzielona od tej przeświętej spółdzielni, zaczniesz myśleć samodzielnie. – Zrobił krok w jej stronę. – Kto nas stworzył, Marielle? Wszystkich nas, upadłych aniołów. Kto uczynił nas takimi?

Marielle zeszywniała.

– Bóg jest dobry. To była wasza decyzja, by się przeciw Niemu zbuntować.

Darafer uśmiechnął się złośliwie.

– A czy ty nie zbuntowałaś się z własnej woli, aniołku?

Poczuła lodowaty dreszcz na skórze. Connor pociągnął ją za rękę, jakby chciał, żeby się cofnęła. Nie poruszyła się, choć tak naprawdę kulila się ze strachu. Czy w ogóle miała jakiś powrót? A jeśli już przesądziła swój los na wieki?

Oczy Darafera z czarnych znów zrobiły się niebieskie; patrzył na nią, jakby rozumiał, co się dzieje w jej głowie.

– No właśnie. Wolna wola. Niby fajna sprawa, ale na dłuższą metę przechlapane.

Jej serce łomotało jak szalone.

– To, że parę razy byłam nieposłuszna, nie znaczy jeszcze, że jestem taka jak wy. Ja chciałam tylko bronić niewinnych. Wy czerpicie chorą przyjemność z dręczenia ich.

Darafer wzruszył ramionami.

– To wszystko elementy większego obrazu, aniołku. Czasami odrobina udręki pędzi owieczkę prosto w ramiona Ojca. Można powiedzieć, że wyświadczamy Mu przysługę. – Darafer skrzywił się w uśmiechu. – Oczywiście czasami prowadzi owieczki prosto do piekła. A skoro o tym mowa... – Wyciągnął do niej rękę. – Jesteś



gotowa?

Marielle cofnęła się o krok, drżąc z zimna.

Darafer się roześmiał.

– Tam jest trochę cieplej. Spodoba ci się.

Pokręciła głową.

– Nigdy z tobą nie pójdę.

Connor nie odstępował jej na krok.

– Dostałeś odpowiedź, teraz idź sobie.

Darafer spojrzał obojętnie na Szkota, po czym znów zwrócił się do Marielle.

– Słyszałaś kiedykolwiek, żeby wygnany anioł wrócił do nieba?

Nie, nie słyszała. Panika wezbrała w sercu Marielle, ale wiedziała, że musi walczyć z tą falą lęku i rozpacz. Nie mogła stracić nadziei.

– Im dłużej będziesz pozostawać na ziemi, tym bardziej ludzka będziesz się stawać – ciągnął Darafer. – Naprawdę chcesz stracić całą swoją moc? A co z nieśmiertelnością? Chcesz się zestarzeć i obrócić w proch?

Wypchnęła słowa ze ściśniętego gardła.

– Lepiej stracić nieśmiertelność niż honor.

Gwałtowny wdech Connora zwrócił jej uwagę. Szkot wpatrywał się w nią, a w jego oczach pałały silne emocje. Skłonił głowę.

– Dobrze powiedziane, dziewczyno.

Serce urosło jej w piersi. Rozumiał ją. Pochwalał jej postawę, choć niebo ją odrzuciło. Wezbrała w niej

gwałtowna fala wdzięczności i uczucia, panika zniknęła.

– Dziękuję.

Darafer parsknął.

– Przepraszam, rzygnę sobie.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Nie idę z tobą. Przepadnij.

– Jesteś taka naiwna – wysyczał Darafer. – Nawet nie wiesz, jakiego pasożyta się uczepiłaś, co?

Connor zeszywniał.

– Kazała ci odejść. Precz!

– Zdaje się, że trafiłem w czuły punkt. – Darafer uśmiechnął się drwiąco, oglądając Connora od stóp do głów. – Cóż, Marielle mogła sobie pewnie wybrać gorszego ochroniarza. Diabeł świadkiem, że masz niemały talent do przemocy.

Connor uniósł sztylet.

– Nie kuś mnie.

– Och, ależ właśnie, że będę. To moja praca Connorze Buchanan. – Darafer roześmiał się, kiedy Szkot drgnął. – Tak, wiem, kim jesteś. Już od dawna mamy cię na liście.

Marielle dotknęła ramienia Connora i wzdrygnęła się, czując, jaki jest spięty.

– Nie słuchaj go. To oszust, zwodzi cię.

Darafer prychnął.

– Kto tu kogo zwodzi? Może dla twojego dobra, aniołku, powinienem zabrać tego śmiecia. Nie chcemy, żeby pasożyt zbrukał twoją różaną niewinność. –

Uśmiechnął się leniwie, oglądając jej ciało. – Zamierzam zrobić to osobiście.

– Nie tkniesz jej! – krzyknął Connor.

Darafer posłał mu złe spojrzenie.

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz mnie powstrzymać? Spróbuj, to nie będę musiał dzisiaj wracać z pustymi rękami. To źle wygląda w papierach.

Serce Marielle załomotało, kiedy oczy demona zrobiły się czerwone. Zamierzał zaatakować.

Connor też to zrozumiał, bo odskoczył od niej i przybrał postawę obronną.

Jej serce biło panicznie. Connor nie mógł pokonać demona. A mimo to, nawet w obliczu śmierci, próbował jej bronić. Odsuwał się coraz dalej w bok, by odciągnąć demona od niej. Gdy uniósł rękę, jego sztylet zaśnił w świetle księżyca.

Darafer cofnął się o krok, jego ciało zamigotało, znów przemieniając się w złowrogiego, czarnego wilka. Przysiadł, gotując się do skoku. W jego gardle zahuczał basowy warkot.

Boże, nie. Nie mogła pozwolić, żeby Connor zginął. Wysłała rozpaczliwe błaganie o pomoc, ale niebo milczało. Wszystko zależało od niej. Zwinęła dłonie w pięści. Miała nadzieję, że zachowała jeszcze dość mocy, by uchronić Connora przed rozerwaniem na strzępy.

Bestia skoczyła.

– Nie! – Marielle wyrzuciła przed siebie ręce z rozłożonymi dłońmi. Potężna fala powietrzna

ekspłodowała wokół niej, uderzając we wszystkich kierunkach. Zdmuchnęła bestię i odrzuciła ją dziesięć metrów w las. Wilk wpadł z trzaskiem w zarośla.

Niestety podmuch zdmuchnął o dziesięć metrów również Connora, który wylądował na plecach i mocno uderzył głową o ziemię.

Bestia z warkotem się poderwała.

Marielle uniosła ręce w nadziei, że zdoła wykrzesać z siebie wystarczającą moc do kolejnego ataku. Strach pełzał po jej skórze, budząc dreszcze. Darafer miał te same umiejętności co ona, a nawet większe, skoro potrafił na życzenie zmieniać postać. Mógł też wezwać na pomoc więcej sług Lucyfera.

A ona była uwięziona w ludzkim ciele i odcięta od Niebiańskich Zastępów.

Przybrał ludzkie kształty. Długie czarne włosy, szmaragdowe oczy, świetlista, blada skóra. Prawdopodobnie była to jego ulubiona postać i Marielle musiała z niechęcią przyznać, że był uderzająco przystojny. I teatralnie elegancki w czarnych skórzanych spodniach i długim czarnym płaszczu.

– Nie chcesz wdawać się ze mną w bójkę, aniołku – ostrzegł cicho. – Wiesz, że przegrasz.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Ale na szczęście dla ciebie nie wolno mi cię do niczego zmusić – ciągnął. – Wolna wola, rozumiesz. Czasami strategia czarnej bestii działa i jeden czy drugi nieszczęśnik godzi się na wszystko ze strachu. Ale ty nie

dałaś się na to złapać, więc będę musiał poczekać, aż sama zechcesz ze mną pójść.

– To nigdy nie nastąpi.

Na jego twarz wypłynął leniwy uśmiech.

– Liczyłem na to, że będziesz wyzwaniem. Dzięki temu zwycięstwo jest o wiele słodsze. – Uniósł dłoń wnętrzem do góry; pojawiło się na niej czerwone światełko i skupiło w twardy, czerwony przedmiot. Darafer rzucił go w jej stronę.

Przedmiot potoczył się do stóp Marielle. Lśniące, czerwone jabłko.

– Daj znać, kiedy będziesz gotowa ugryźć kęs. – Z jego pleców z głośnym szumem wyrosły czarne skrzydła i demon zniknął.

Marielle wciągnęła głęboki oddech. Bogu niech będą dzięki. Na razie była bezpieczna. A Connor? Pobiegnęła w jego stronę.

Wciąż leżał na plecach jak długi. Biedak musiał mocno uderzyć o ziemię.

Zatrzymała się jak wryta, z tłumionym okrzykiem. Wielkie nieba! Fala powietrzna zdmuchnęła mu kilt aż na pierś.

– Och – szepnęła. Nigdy nie widziała czegoś takiego u anioła. Jak się tak zastanowić, nigdy nie widziała czegoś takiego u żadnego człowieka. Jako Wybawicielka widziała niemało nagich ludzkich ciał, ale te ciała najczęściej były stare, chore albo ranne. Szare, skurczone, martwe.

Podeszła bliżej. Ten z całą pewnością nie był szary. Raczej różowy i zdrowy. I z całą pewnością nie był skurczony. Nawet jego włosy łonowe były interesujące. Rude i kręcone, wyglądały na bardzo miękkie i... przyjemne w dotyku.

Marielle przekrzywiła głowę, podziwiając wielkość i kształt. To wszystko było takie... ostentacyjne. Bezczelne. Męskie.

Ofensywne przeznaczenie tego organu było tak oczywiste, że instynktowna reakcja kazała jej zacisnąć uda. To było... ciekawe. Dziwnie przyjemne. Po jej rękach przebiegł dreszcz, ale chyba nie był wywołany zimnem. Czowała się dziwnie... rozgrzana.

Connor jęknął, a Marielle drgnęła i oprzytomniała. Boże święty. On leżał tutaj, być może ranny, a ona nawet nie sprawdziła, czy nic mu nie jest.

Otworzył oczy i zamrugnął, patrząc na nią.

Kucnęła obok niego.

– Jesteś cały?

– Demon sobie poszedł? – Connor usiadł z trudem.

– Tak, jesteśmy już bezpieczni.

– Och, to świetnie. – Padł do tyłu i z jękiem roztarł głowę.

– Jesteś ranny?

– Głowa boli – wymamrotał. – Ciągle się w nią walę... – Otworzył szerzej oczy. – To ty zdmuchnęłaś mnie wcześniej na to cholerne drzewo? Kiedy Zack cię zaatakował?

– Próbowałam się bronić. Porwał cię wiatr?

– Tak. – Oparł się na łokciu. – Jak długo byłem nieprzytomny?

– P... parę minut.

Spojrzał po sobie; nagle poderwał się do siadu i szarpnięciem obciągnął spódniczkę na kolana.

– Do licha! – Posłał jej gniewne spojrzenie.

Marielle się zerwała.

– B... bardzo cię przepraszam. – Policzki jej zapłonęły. – Błagam, nie przejmuj się tym. To naprawdę... nic wielkiego.

– Nic wielkiego?

– Tak. Zupełny drobiazg.

– Drobiazg? – Uniósł brew. – Potrzebujesz spojrzeć jeszcze raz?

– Na litość boską, nie mówiłam o twoich rozmiarach. Bóg mi świadkiem, że jesteś bardzo... – Policzki zapłonęły jej jeszcze mocniej i nie pomagało jej, że Connora chyba bawiło jej zażenowanie. Odwróciła się sztywno. – Prawdę mówiąc, ledwie zauważyłam.

Kiedy te słowa wyszły z jej ust, zdrętwiała z szoku. Co ona wyprawiała? Nigdy, przez całe swoje istnienie, z jej ust nie wyszło kłamstwo.

Spojrzała na jabłko, które Darafer rzucił na trawę, by nie zapomniała, że im dłużej będzie pozostawać na ziemi, tym bardziej stanie się ludzka, tym bardziej podatna na grzech. Taki grzech jak ukrywanie prawdy. Kłamstwo.

Czy odczuwanie pożądania.

Boże święty! Nigdy nie wróci do nieba, jeśli zacznie grzeszyć.

– Marielle? – spytał cicho Connor i jego głos sprawił, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

Pobiegła do domku i weszła do środka. Zaczęła chodzić po dużej izbie, okrążając kanapę, przez malutką kuchnię i część jadalnianą. Chodziła w kółko i w kółko, a jej serce wciąż łomotało, krew huczała w uszach. To nie pomagało. Czowała się jak w klatce. Wcześniej zawsze miała skrzydła. Zawsze mogła polecieć, dokąd chciała.

Musiała wrócić tam, gdzie jej miejsce. Musiał być jakiś sposób.

Zatrzymała się i przyłożyła zaciśnięte pięści do twarzy. Nie panikuj. Myśl. Na nieszczęście jej myśli odbijały się w kółko po pustym umyśle, który wcześniej zawsze był wypełniony tysiącami głosów. Głosów śpiewających na chwałę Pana, zapewniających nieustającą otuchę i pociechę. Teraz zniknęły wszystkie. Była tak strasznie samotna.

Nie panikuj, powtarzała sobie. Darafer liczył właśnie na to, że spanikuje i da się zwabić do piekła. Z pewnością miał nadzieję, że będzie jej tak bardzo brakować towarzystwa aniołów, że zechce dołączyć do tych upadłych, by odzyskać poczucie przynależności. Ale taka obietnica była fałszywa. W piekle nie znajdzie pociechy.

To, co znosiła, musiało mieć jakiś cel. Ojciec Niebieski zawsze stawiał na naukę przez doświadczenie. I zawsze wybaczał. Musiała tylko znaleźć właściwą



ścieżkę, właściwą pokutę, która przekona Go, że zrozumiała swoje błędy.

Może miała coś do zrobienia tu, na ziemi. Jakąś szlachetną misję do wypełnienia. A kiedy już udowodni swoją wartość, będzie mogła wrócić do nieba.

Znów zaczęła chodzić. To musiało być to. Po prostu została poddana próbie. Ojciec nigdy nie porzuciłby jej na dobre. Nie była upadłym aniołem, cokolwiek mówił Darafer.

Jak wszyscy słudzy Lucyfera Dare był oszustem, kłamcą. Spróbowałby wszystkiego, powiedziała by cokolwiek, byle namącić jej w głowie. A bez łączności z Niebiańskimi Zastępami zbyt łatwo poddawała się strachowi. Nie mogła więcej do tego dopuścić. Od teraz będzie silna. Nieulekła. Czystość i prawość będą jej zbroją.

Podskoczyła ze strachu, słysząc cichy trzask zamykanych drzwi. O, rzeczywiście, to było bardzo odważne z jej strony. Spojrzała nieufnie na Connora.

Stał przy drzwiach i wpatrywał się w nią z takim żarem, że dreszcz przebiegł jej po plecach. W garści znów trzymał sztylet. Widocznie znalazł go gdzieś w trawie. Schylił się, by wsunąć go do pochwy w podkolanówce.

Kiedy wszedł, chata zrobiła się o wiele mniejsza.

Marielle wzięła głęboki wdech, żeby uspokoić swoje rozpędzone serce.

– Przykro mi, że musiałeś się zetknąć z demonem.

On wróci, więc przebywanie ze mną nie jest dla ciebie bezpieczne. Doceniam twoje szlachetne intencje, ale byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś odszedł.

– Myślisz, że podwinę ogon i ucieknę? – Jego błękitne oczy zabłyśły. – Uważasz mnie za tchórza?

– Nie! Moim zdaniem jesteś bardzo odważny. Niesamowicie odważny, bo to bardzo mało prawdopodobne, by śmiertelnik pokonał demona w bitwie. W każdym razie nie bez pomocy Niebiańskich Zastępów, a obawiam się, że one nie odpowiedzą na moje wezwanie. Więc nie będę ci miała za złe, jeśli zechcesz odejść.

Przyglądał jej się uważnie.

– Nigdzie nie idę.

Głośno wypuściła powietrze. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. A już z pewnością nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała, żeby został.

– Dziękuję.

Connor skinął głową i ruszył w stronę kuchni.

– Ale zanim cokolwiek zrobimy, muszę ci opowiedzieć o sobie. Demon nazwał mnie pasożytem i...

– Proszę, nie pozwól, żeby jego obelgi cię dotknęły.

– Ruszyła w jego stronę. – Demony to zawodowi kłamcy. Darafer zapewne próbuje nas poróżnić, sprawić, żebym w ciebie zwątpiła, żebym odrzuciła ciebie i twoją ochronę. Wie, że będzie mnie łatwiej pokonać, jeśli nas rozdzieli.

– Przed chwilą sama próbowałaś nas rozdzielić.

– Tak. – Stała przed nim. – Bo martwię się o twoje

bezpieczeństwo. Naprawdę powinnam nalegać, żebyś odszedł. – Zwiesiła głowę. – Trzymanie cię przy sobie to egoizm.

– Nie, dziewczyno. Jestem tutaj, bo tego chcę.

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Chciałeś walczyć z demonem, żeby mnie bronić. Stałeś przy moim boku i wierzyłeś we mnie. Jesteś dobrym, odważnym, szlachetnym człowiekiem, Connorze Buchanan. Uratowałeś mnie dzisiaj i zawsze będę ci wdzięczna za twoją odwagę i siłę charakteru.

Stał nieruchomo i patrzył na nią osłupiały.

Uśmiechnęła się. Był nie tylko honorowy, ale i skromny. Uniosła rękę, położyła dłonie na jego skroniach i ściągnęła jego głowę na dół.

– Niech cię Bóg błogosławi. – Pocałowała go w czoło i puściła.

Odwróciła się, chcąc znów ruszyć w swój marsz po chacie, ale Connor chwycił ją za nadgarstek i zatrzymał. Krzyknęła cicho, kiedy pchnął ją na ścianę, a nadgarstek, który wciąż trzymał, przyspilił tuż koło jej ucha.

Serce załomotało jej gwałtownie.

– Co... co ty robisz?

Oparł drugą rękę na ścianie i przysunął się do Marielle. Jego oczy pały świątlistym błękitem.

– Kiedy całujesz, powinnaś to robić jak należy.

Jej puls przyspieszył.

– Pocałowałam cię jak należy.

– Tak się całuje dzieci. – Pochylał się ku niej, aż jego

usta znalazły się tuż przy jej uchu. Jego oddech muskał jej skórę, wywołując dreszcze. – Ja jestem mężczyzną. Zdaje się, że to zauważyłaś.

– Ledwie. – Zadrzała, kiedy jego nos musnął jej ucho. – I przeprosiłam. Nie chciałam cię urazić.

– Czy ja wyglądam na urażonego?

– Ale... ale... – Wielkie nieba, czy to był jego język? – Byłeś zgorszony wcześniej, kiedy nie byłam okryta. Więc chyba... mogę logicznie zakładać... – Z tym językiem łaskoczącym ją w ucho nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie chciała mu przekazać.

– Ani przez chwilę nie byłem zgorszony – szepnęła. – Umierałem z pragnienia, żeby znów cię dotknąć.

Jej myśli zawirowały, czuła się dziwnie oszołomiona. Zadrzała, kiedy jego wargi przesunęły się w dół jej szyi.

– Serce ci łomocze – mruknął.

– Wiem. – Z trudem oddychała. – Wydaje mi się, że jest jakieś wadliwe. Nie działa jak należy.

Roześmiał się.

– Wszystko działa doskonale. Jesteś taka piękna. Taka słodka. – Jego usta zawróciły, wytyczając szlak pocałunków ku żuchwie.

Jej serce waliło jak wściekłe. Czyżby zmierzał do ust? Powinna go powstrzymać. Anioły się tak nie zachowują. One po prostu nie odczuwają pożądania.

Ale ona odczuwała. To musiała być wina tego ludzkiego ciała. Było tak genialnie dostrojone, by

rozkoszować się każdym niuansiem jego dotyku. Naciskiem jego warg, wilgocia języka. Skubaniem. Łaskotaniem. Od szorstkiego drapania jego zarostu miękły jej kolana, a jego słodkie słowa sprawiały, że w sercu wzbierała tęsknota.

– Connor – szepnęła; powieki jej zatrzepotały i opadły.

Poczuła jego oddech na wargach. Tak blisko. Jej serce galopowało niecierpliwie.

Wielkie nieba, to musiała być żądza. Nic dziwnego, że była grzechem. Tak potężne uczucie. Otworzyła usta, by powiedzieć nie, ale jego wargi dotknęły jej warg. Delikatnie. Odsunął się.

Marielle znieruchomiała. To już koniec? W tym raczej nie było nic grzesznego. To było po prostu... słodkie.

Jego usta znów dotknęły jej ust i tym razem zabawiły dłużej, napierając łagodnie. Tak, bardzo słodkie. Jakby jej smakował, jakby z niej pił. Wciągnął jej dolną wargę do ust i zaczął delikatnie ssać.

Jęknęła.

Nagle wziął ją w ramiona i zasypał pocałunkami policzki, nos, szyję. A ona, wciąż nie otwierając oczu, otoczyła mu kark ramionami. Tak cudownie było być pożądaną. I to przez Connora. Dobrego, dzielnego, szlachetnego Connora.

Wrócił do jej ust po kolejny pocałunek. Spróbowała go odwzajemnić, naśladowując delikatne ssanie i skubanie.

Jęk zahuczał głęboko w jego gardle i ten dźwięk zawibrował w niej, aż zagnieździł się między nogami, zmieniając w przedziwne odczucie.

To było... naprawdę dziwne. W pewnym sensie był to dyskomfort, jakby czegoś boleśnie, rozpaczliwie pragnęła.

Wbiła palce w jego barki i jęknęła w jego usta.

Connor z basowym pomrukiem pogłębił pocałunek, z większym zapalem przyłgnał wargami do jej warg. W jej głowie rozdzwonił się alarm. Słodycz zniknęła, zastąpiło ją coś dzikiego i... wygłodniałego.

Żądza. Wielkie nieba, dała się uwieść słodyczy, by głową naprzód polecieć w namiętność. A najbardziej szokujące było to, że sama nie wiedziała, czy chce to przerwać.

Connor położył dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją mocno do siebie. Zachłysnęła się powietrzem. Wielkie nieba, był większy niż przedtem.

– Connor... – Drgnęła, kiedy zobaczyła jego oczy. Jaskrawoczerwone i świecące.

Odskoczyła do tyłu i uderzyła o ścianę.

– Ostrożnie. – Chwycił ją za ramiona, ale znów mu uciekła.

Przypomniała sobie, że jego oczy już wcześniej zrobiły się czerwone. Wtedy nie zwróciła na to uwagi, bo przecież wiedziała, że nie jest demonem. Wyczułaby to natychmiast. Wcześniej, na kanapie, zajrzała w jego duszę i była to ludzka dusza.

To nie miało sensu. Była pewna, że Connor jest istotą ludzką.

– Nie rozumiem.

Uniósł rękę, jakby chciał ją uspokoić.

– Wszystko jest w porządku. Przecież wiesz, że nie zrobiłbym ci krzywdy.

Jej umysł pracował jak szalony, przeglądając wszystkie możliwości. Czyżby był z innej planety? Nie, był Szkotem. Zmiennokształtny? Raczej nie. Jak to go nazwał Darafer? Pasożyt?

Krzyknęła cicho, bo nagle wszystko stało się jasne. I przerażające. Był takim samym stworzeniem jak te, które zabiły ludzi na kempingu.

– Jesteś Oszukańcem!

Zamrugął.

– Kim?

– Oszukańcem. – Serce jej się ścisnęło. – Zack was tak nazywa, bo oszukaliście śmierć. Nienawidzi... was. – Nie była w stanie tego wypowiedzieć. W jej oczach wezbrały łzy. – Jesteś wampirem.

## Rozdział 7

Była rozczarowana. Zdjęta zgrozą. Connor zacisnął zęby, patrząc, jak łza płynie po jej cudnym policzku. Kusilo go, żeby ją zetrzeć, ale podejrzewał, że Marielle odskoczyłaby, żeby uniknąć jego dotyku.

Przez niemal pięćset lat egzystencji nauczył się jednego: wszystko potrafiło się zmienić w mgnieniu oka. W 1543 roku wystarczyło parę chwil, by skazał swoją duszę na wieczne potępienie. Wystarczyła sekunda, by Shanna wpadła w objęcia śmierci, kiedy dotknęła Marielle. Sekunda wystarczyła, by on zapomniał o zdrowym rozsądku i poddał się pragnieniu, które narastało w nim od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszał głos Marielle. A jeszcze niecałą minutę temu ona drżała w jego ramionach i jęczała z rozkoszy. Myślał, że stał się cud. Piękna anielica troszczyła się o niego, podziwiała go, a nawet go pożądała.

Ale w następnej sekundzie cofała się z przerażeniem.

Kiedy on się wreszcie nauczy? Radość i pokój nie były dla niego. Miłość zawsze będzie poza jego zasięgiem. Ilekroć nierozsądnie pozwalał sobie na przebłysk nadziei, rzeczywistość rozrywała ją na strzępy. I słusznie.

Ależ był głupcem, że zapragnął Marielle. Jego czarna, zbrukana dusza nie była warta nawet najbardziej podłej z istot ludzkich, a on ośmielił się dotykać anioła?

W pełni zasłużył sobie na taką reakcję.



– Więc wiesz o wampirach – odezwał się cicho.

– Tak. – Otarła policzki. – Jestem... Byłam Wybawicielką, więc odprowadzałam dusze wielu ludzi zamordowanych przez wasz rodzaj.

Connor zacisnął zęby. To Malkontenci mordowali śmiertelników, ale przecież on nie mógł udawać, że jest od nich lepszy.

Marielle wzięła głęboki oddech, wysunęła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. Choć rozpacz skręcała mu wnętrzności, nie mógł nie odczuwać nabożnego podziwu. Biedna dziewczyna odniosła rany i została wygnana z nieba, groził jej demon, obmacywał ją wampir, i wszystko w ciągu jednej nocy. A ona wciąż stała przed nim silna i zdeterminowana.

– To ty zabiłeś tych ludzi na kempingu? – spytała.

– Nie.

Milczała z wyczekującym wyrazem twarzy, jakby czekała, żeby się wytłumaczył. Ale co miał powiedzieć? Że był kiedyś dobrym człowiekiem? Że poczuł się urażony już samym jej pytaniem? Nie było sensu udawać. Demon potwierdził to, co Connor podejrzewał już od dawna. Był na liście kandydatów do piekła.

– Ale byłeś na kempingu? – wypytywała dalej. – Po co?

– Szukałem kogoś. Chciałem go zabić.

Otworzyła szeroko oczy.

– A mogę poznać jego imię?

– Casimir.

– Och. – Spojrzała w przestrzeń, jakby się nad czymś zastanawiała. – Interesujące.

Connor lekko pokręcił głową. Mógł sobie być wampirem, ale przynajmniej nie był nudny.

Marielle ruszyła w stronę kominka, potem obeszła dalszy koniec kanapy, ale wciąż trzymała się od niego z daleka.

– Wiemy, kto to jest Casimir. Zack od wieków wybawia jego ofiary i nienawidzi go z pasją, jaka nie przystoi aniołowi. Już nieraz dostał za to naganę.

Przestała chodzić i spojrzała na Connora.

– Nie powinniśmy się mieszać w ludzkie sprawy. To mogłoby kłócić się z ludzkim prawem do wolnej woli.

Connor się zachnął.

– Tak jakby ktoś sam chciał być zamordowany przez wampira.

– Sama to kwestionowałam. – Marielle westchnęła. – Ale to tylko gniewało Zackriela. Już i tak miał kłopoty przez własne nagany i nie chciał, żeby ktoś z jego personelu stawiał go w jeszcze gorszym świetle.

– Boże uchronaj – rzucił kwaśno Connor. Jakoś nie współczuł aniołowi, który tak okrutnie potraktował Marielle.

– Ale myślałam, że udało mi się dowieść swojej racji – ciągnęła. – Skoro wampiry to właściwie nie są ludzie, moim zdaniem aniołowie powinni móc interweniować. Casimir i tacy jak on nie powinni żyć. Samo ich istnienie jest wbrew na... – Urwała, krzywiąc się.

– Wbrew naturze? – Connor dokończył jej zdanie. –  
Przeklęta plaga gnębiąca ludzkość?

Marielle zbladła.

– Potępiasz sam siebie bez zastanowienia.

Przecież to ona stwierdziła, że jego istnienie jest  
wbrew naturze. Nazwała go Oszukańcem. Connor był  
sztywny i zlodowaciały do szpiku kości.

– Słyszałaś demona. Jestem na piekielnej liście.

– A czy ty słyszałeś mnie? Powiedziałam ci, że  
demony to kłamcy. Nie powinieneś wierzyć w ani jedno  
jego słowo.

– Wiedziałem to na długo, zanim mi powiedział.

– Dlaczego? – Zbliżyła się o krok. – Co takiego  
zrobiłeś, żeby zasłużyć na piekło?

Zmrużył oczy.

Najpierw chciał to wiedzieć ksiądz, a teraz  
wypytywał go anioł. Ale on nie miał najmniejszego  
zamiaru się spowiadać.

– Jestem wampirem. To nie wystarczy?

– A wystarczy?

Jasna cholera, nie wiedział tego. Ojciec Andrew  
zawsze nauczał, że wciąż są dziećmi bożymi. Connor  
uznawał, że jest nadzieja dla wampirów takich jak  
Roman, ale nie dla niego. On był skazany na wieczne  
męki i mógł za to winić wyłącznie siebie.

I nigdy nie powinien był zbrukać swoim dotykiem  
kogoś tak dobrego i czystego jak Marielle.

– Przepraszam za to, że cię... dotykałem. Nie miałem

prawa.

Znów zaczęła krążyć; obeszła stół z krzesłami i wróciła do kanapy. Zatrzymała się i oparła dłonie na oparciu przykrytym indiańskim kocem.

Powiodła palcem po wzorkach.

– Nie sądzę, żeby należały mi się przeprosiny. Nie zmuszałeś mnie.

– Jesteś niewinna, niedoświadczona w cielesnych sprawach. Wykorzystałem to.

Spojrzała na niego i uniosła brew.

– W takim razie, poprawiam się. To była niecna napaść.

Drgnął, jakby przeszła mu serce włócznią. Zamknął na moment oczy, zaklinając ten lodowaty chłód w swoim wnętrzu, by rozszedł się po całym ciele i znieczulił go.

– Tak. – Tylko tyle zdołał wydusić.

Ogarnęło go znużenie, poczuł, że uchodzi z niego siła. Podeszedł do lodówki, wyjął butelkę syntetycznej krwi i wsadził ją do kuchenki mikrofalowej.

– Co to jest? – Marielle podeszła bliżej.

– Pożywienie. – Zerknął na nią z irytacją. – Krew. Gdybym nie napił się z butelki, mógłbym ukraść ją tobie.

– Zrobiłbyś to?

Wolałby umrzeć.

– Odbierałem już krew innym. Tysiącom ludzi. Chodzę po świecie od wieków.

Marielle oparła łokcie na niewielkim barze i przyglądała mu się uważnie.

– To jest... oburzające.

To zabolęło.

– Z pewnością. – Wyjął butelkę z mikrofalówki i napił się krwi.

– Kiedy ostatni raz kogoś ugryzłeś?

Otarł usta grzbietem dłoni.

– A jakie to ma znaczenie?

– Zeszłej nocy?

– Nie.

– Rok temu?

Milczał chwilę, zastanawiając się, co ona kombinuje.

– Nie. – Opróżnił butelkę i odstawił ją do zlewu.

Marielle przysiadła na barowym stołku.

– Byłam Wybawicielką. Ilekroć dotykałam zmarłego lub umierającego, jego całe życie ukazywało się moim oczom. Widziałam wszystko. – Postukała palcami w blat.  
– Większość ludzi przez całe życie stara się postępować jak należy, ale nie wszyscy. Widziałam niejedną straszną rzecz.

– I zabierałaś tych ludzi do piekła? – spytał cicho Connor.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie do mnie należał taki osąd. Ale widziałam wystarczająco dużo żywotów, by wiedzieć, jak ogromna jest różnica między kimś, kto wybiera zło, bo się w nim lubuje, i kimś, kto walczy przeciwko złu, jakie spadło na jego głowę.

Pochyliła się do przodu, wciąż oparta na łokciach, i

przyglądała mu się uważnie.

– Pod pewnymi względami mogę się wydawać niewinna... i cóż, pewnie jestem. – Jej policzki poróżwiały. – Ale jeśli chodzi o odróżnianie dobra od zła, mam doświadczenie. Potrafię rozpoznać zło, kiedy je widzę. Więc chcesz wiedzieć, co budzi moje oburzenie?

Odsunął się o krok. Wcale nie chciał słyszeć odpowiedzi.

– Hm, zapewne zło.

– Tutaj nie ma zła.

Zamrugął. Co ona mówiła?

Patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Oburzające jest to, że nie potrafisz się bronić.

Że co?

– Byłem gotów się bronić w walce z Daraferem.

– Nie mówię o fizycznej bitwie. Oskarżyłam cię o niecną napaść, a ty to przełknąłeś! Jak mogłeś?

– Jestem wampirem, Marielle. Oszukańcem. Pasożytem. Nie miałem prawa cię dotykać. I nie mów mi, że jest inaczej. Widziałem twoją reakcję, kiedy pojęłaś prawdę. Widziałem przerażenie na twojej twarzy i łzę, która spłynęła po twoim policzku.

– To był szok, przyznaję. Ale wystarczyła mi chwila, by się zorientować, że jesteś jednym z dobrych wampirów.

– Wy wiecie...

– Oczywiście, że wiemy. – Machnęła lekceważąco ręką. – Jak mielibyśmy przeoczyć fakt, że podczas

wielkiej wampirycznej wojny w roku 1710 Casimir i jego armia zamordowali tysiące śmiertelników, wysysając ich krew, gdy ich przeciwnicy zdołali się pożywiać, nie zabijając nikogo?

Connor patrzył na nią z kamienną twarzą.

Marielle zsunęła się ze stołka i obeszała bar.

– Zachowujesz się, jakbyś nie był lepszy od Casimira. – Wskazała pustą butelkę w zlewie. – On nigdy nie napiłby się krwi w taki sposób. On zaatakowałby mnie i zabił, tak jak zrobił to z ofiarami na kempingu.

Serce załomotało w piersi Connora.

– Cokolwiek byś mówiła, to nie zmieni faktów. Nie jestem dobry.

– Nie? – Podeszła bliżej. – Uratowałeś mi dzisiaj życie. Chciałeś walczyć z demonem, żeby mnie bronić. Oczekujesz, że zapomnę o wszystkich twoich odważnych i szlachetnych uczynkach tylko dlatego, że jesteś wampirem?

Czy anioł naprawdę mógł go uważać za dobrego?

– Nie wiesz, jaki mrok noszę w sobie.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o dotykaniu umierających i oglądaniu ich życia? – Położyła dłoń na jego policzku. – Z tobą to nie działa tak dobrze, ale widzę...

Cofnął się poza jej zasięg.

– Widzisz wnętrze mojej duszy?

– Odrobinę. Ale im więcej cię dotykam, tym więcej widzę.

Jasna cholera. To dlatego przedtem chciała go leczyć. Dostrzegła tę czarną otchłań udręki. Do licha. Przez cały czas, kiedy ją całował, otwierał przed nią duszę.

– Ja wiem, że jesteś dobry, Connor. Widziałam twoje silne poczucie honoru, twoją prawość. Widziałam ludzką duszę z całą jej niedoskonałością i wspaniałością. Dlatego nie przyszło mi do głowy, że nie jesteś śmiertelnikiem. Zły wampir nie kryłby w sercu takiej czarnej dziury rozpaczki i wyrzutów sumienia. W ogóle nie wiedziałby, co to sumienie.

Ból wezbrał w jego piersi, błagając o uwolnienie. Oto piękna kobieta, anielica, uważała, że on wciąż jest dobry. Czy ośmieli się mieć nadzieję, że może go czekać coś innego niż piekło?

– Marielle – szepnął.

– Tak. – Położyła dłonie na jego twarzy.

Tak strasznie jej pragnął. Chciał ją chwycić w objęcia i nigdy nie puszczać. Była wcieleniem dobra i piękna, była wszystkim, o czym śnił. Była promieniem światła w ciemności, w której przebywał. I jakimś niewyobrażalnym cudem wierzyła w niego. Już samo to sprawiało, że miał ochotę paść na kolana i złożyć serce u jej stóp.

Uważnie patrzyła w jego oczy.

– Pokaż mi, co cię tak boli.

Pokazać jej, co zrobił? Gdyby się dowiedziała, znienawidziłaby go. Straciłby cały jej szacunek, całą



wiare. Jak mógłby to znieść?

– Nie. – Odsunął się, zrywając kontakt. Niech to diabli porwą. Nie, niech jego diabli porwą. Nie mógł się wypowiedzieć, nie mógł jej tego wyznać.

Patrzyła na niego w milczeniu, a rozczarowanie ścigało w dół kącki jej pięknych warg. Chciał znów ją pocałować, wyłudzić z tych ust westchnienie rozkoszy. Ale choćby nie wiadomo jak pragnął wziąć ją w ramiona, nie mógł jej dotknąć, bo obnażyłby swoje mroczne grzechy.

– Stałeś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam – oznajmiła z powagą. – Mam nadzieję wkrótce wrócić do nieba, ale tymczasem, jeśli mogę cokolwiek dla ciebie zrobić, zrobię to z radością.

Nie ośmielił się powiedzieć jej pierwszej rzeczy, która przyszła mu do głowy. Kiedy już odepchnął od siebie te pożądliwe myśli, przypomniał sobie o jej umiejętności wyczuwania śmierci.

– Być może jest coś, w czym mogłabyś nam pomóc, ale najpierw muszę przedyskutować to z przyjaciółmi.

– Masz na myśli inne dobre wampiry?

– Tak. I paru zmiennokształtnych, którzy sprzymierzyli się z nami w misji chronienia rodzaju ludzkiego i pokonania złych wampirów, których nazywamy Malkontentami.

Marielle skinęła głową.

– Zawsze cieszyłam się, że istnieją dobre wampiry, które walczą ze złymi, szczególnie, że aniołom nie wolno

się w to mieszać. Ilekroć Zack narzekał na istnienie Malkontentów, jak ich nazywasz, kazano nam ufać Panu. Zasiał On już ziarno, dzięki któremu ta sprawa zostanie rozwiązana. Wierzę, że chodziło właśnie o ciebie i twoich przyjaciół.

Connor z trudem przełknął ślinę. Ojciec Andrew przez ostatnie lata powtarzał mniej więcej to samo – że dobre wampiry, chroniąc ludzi i starając się zniszczyć Malkontentów, wypełniają boski zamysł. Roman, były mnich, wierzył w to, ale Connor uważał to za psychobelkot, który miał im poprawić samopoczucie jako nieumarłym. Jakby zimne sztywniaki w ogóle mogły się czuć milutko i ciepłutko w swojej skórze.

– Przepraszam za to, jak zareagowałam na twoją... tożsamość – mówiła dalej Marielle. – Byłam zła z powodu ludzi, którzy zginęli na kempingu, szczególnie dzieci, więc kiedy zrozumiałam, że jesteś wampirem, to... przez chwilę obawiałam się najgorszego.

– Nie ma sprawy.

Wzięła głęboki oddech i wyciągnęła rękę.

– W takim razie będę zaszczycona, mogąc nazywać cię swoim przyjacielem, Connorze Buchanan.

– Zgoda. – Serce urosło mu w piersi na myśl, że anioł chce się z nim przyjaźnić, ale zawahał się, nim podał jej dłoń.

Marielle westchnęła.

– Postaram się powstrzymać i nie zaglądać za ten czarny mur otaczający twoje serce.

Wyciągnął rękę i powoli otoczył jej delikatną dłoń swoją, większą i bardziej szorstką ręką. Kiedy tylko ich dłonie się zetknęły, poczuł elektryzujący dreszcz samoświadomości. Zareagował, owijając sękaty palec wokół jej dłoni i chwytając mocno.

Spojrzał jej w oczy i w tej chwili zrozumiał, że nie zdoła się oprzeć; będzie musiał znów jej dotknąć. Pogodził się z tym, zrezygnowany. Jego serce, jego dusza, jego umysł – każda jego cząstka rozpaczliwie nagliła go, by wziął ją w ramiona. Chciał ją całować, czcić, kochać się z nią i już nigdy nie wypuścić jej z objęć.

Marielle otworzyła szerzej oczy, jej usta się uchyliły. Spojrzała w dół, na ich dłonie, po czym znów na jego twarz.

– Interesujące – mruknęła. – Nie zdawałam sobie sprawy, że uściski dłoni są tak...

Nagle głośno zaburczało jej w żołądku.

– To byłam ja? – Przycisnęła dłoń do brzucha. – Czy to normalne, że ciało wydaje takie odgłosy?

Connor się uśmiechnął.

– Pewnie jesteś głodna, i tyle.

– Ach tak. – Potarła brzuch. – Rzeczywiście, czułam coś dziwnego, jakbym była strasznie pusta i potrzebowała czegoś głęboko w sobie. Widocznie to głód.

Albo pożądanie, dodał w duchu Connor. Jego uśmiech zniknął. Czyżby zwykły uścisk dłoni wywołał u niej to samo uczucie co u niego? Czy to możliwe, że go

pragnęła? Wcześniej, w jego ramionach, jęczała z rozkoszy. Czy mógł mieć nadzieję...

– Raczej nie masz tu manny, co? – przerwała jego myśli.

– Manny?

– To zawsze było moje główne źródło pożywienia. – Zmarszczyła nos. – Chyba nie dałabym rady napić się tej twojej krwi.

– Nie, pewnie byś się pochorowała. – Zaczął otwierać szafki, szukając jedzenia śmiertelników. – Howard i Phil często przyjeżdżają tu polować. Powinno coś być... Proszę. To ci powinno smakować. – Wręczył jej batonik, po czym wyjął z lodówki butelkę wody.

– Pożywienie jest w środku? – Obracała zapakowany batonik w dłoniach.

– Tak. – Wziął baton, rozdarł opakowanie i podał jej. Odkręcił kapsel butelki z wodą i nagle zamarł, kiedy Marielle wydała z siebie odgłos przestrawienia.

Miała w ustach kęs batonika. Przeżuwała powoli, coraz szerzej otwierając oczy.

– O rety – wybełkotała.

Przełknęła i ze zdumieniem spojrzała na batonik.

– To jest niesamowite. Nigdy nie próbowałam czegoś takiego. – Ugryzła jeszcze jeden kęs i jęknęła, odchylając głowę do tyłu i zamykając oczy.

Do licha. Wyglądała, jakby zaraz miała dostać orgazmu. Connor natychmiast stwardniał.

– Jakie pyszne! – Ugryzła kolejny kęs i oczy zaszły

jej mgłą rozkoszy.

Connor przesunął sporran, żeby ukryć rosnący pod kiltem problem.

– Więc to lepsze niż manna?

Kiwnęła głową, przełykając.

– O tak. Manna jest dość nijaka, choć oczywiście to nie ma znaczenia, bo kiedy jesteśmy w zwykłej, duchowej postaci, nie odczuwamy smaku. – Wepchnęła resztkę batonika do ust, przycisnęła dłoń do piersi i jęknęła.

Connor przestąpił z nogi na nogę. Dziewczyna z pewnością była wyczulona na wrażenia zmysłowe odbierane przez jej nowe, ludzkie ciało. Serce zabiło mu szybciej na myśl, jak przyjemnie byłoby zapoznawać ją z najróżniejszymi rodzajami zmysłowych przyjemności. Skoro tak silnie reagowała na pożywienie, to co by zrobiła, gdyby zaczął pieścić jej piersi albo całować słodkie gniazdko między jej udami? Te miękkie ramiona i uda ścisnęłyby go mocno, jęki brzmiałyby jak muzyka i odleciałyby w jego objęciach. Już niemal słyszał, jak krzyczy z rozkoszy.

Oblizwała usta.

– Jak to się nazywa?

Seks. W ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Czekolada.

– Jest przepyszna! Dziękuję. – Uśmiechnęła się. –  
Masz jeszcze coś, co mogłabym zjeść?

Nie mów tego, skarcił się w duchu.

– Zaraz poszukam. – Pod kiltem. Wręczył jej butelkę wody i odwrócił się, żeby pogrzebać w szafkach. Jezu Chryste Wszechmogący. Ona go doprowadzi do zguby. Ale przecież i tak był już skazany na piekło, więc uwiedzenie anioła nie mogło bardziej zaszkodzić jego nieśmiertelnej duszy.

Ale mógł zrobić krzywdę jej. Ona chciała wracać do domu, do nieba. I wierzyła, że jest dobry i honorowy. Ktoś taki nie zrobiłby nic, by zmniejszyć jej szanse. Postarałby się, żeby została cnotliwa i czysta, by mogła zająć należne sobie miejsce pośród aniołów.

A poza tym gdyby jej dotknął, mogłaby zobaczyć, dlaczego jego dusza jest potępiona. Do tego nie mógł dopuścić.

Więc wszystko ustalone, stwierdził ze ściśniętym sercem. Nie pocałuje jej już nigdy. Nie będzie jej trzymał w ramionach. Miłość jak zawsze była poza jego zasięgiem.

Zadzwoiła jego komórka, więc wyjął ją ze sporranu. Skórzana torebka wisiała pod dziwnym kątem z powodu problemu pod kiltem.

– Connor – odezwał się Angus. – Nie oddzwoniłeś. Byliście już u lekarza?

– Nie musieliśmy teleportować się do Houston – odparł Connor, spoglądając na Marielle. – Ciągle jesteśmy w domku myśliwskim, a Marielle jest już zdrowa.

Napiła się wody z butelki, przyglądając mu się z

ciekawością.

– Jak to zro... Nieważne – mówił dalej Angus. – Wysyłam do was Robby’ego, żeby zdał mi pełny raport i ocenił, czy ona stanowi zagrożenie.

– Nie stanowi żadnego...

– Roman uważa, że stanowi – przerwał mu Angus. – Potrzebuję więcej informacji, zanim zdecyduję co dalej.

Connor zagryzł zęby, żeby nie pokłócić się z szefem. Marielle nie była podwładną Angusa, więc nie on decydował o jej przyszłości.

– Robby przyniesie trochę ubrań skompletowanych przez Emmę – ciągnął Angus. – Ojciec Andrew uparł się, że też chce lecieć i Gregori zgodził się go teleportować. Powinni tam być za chwilę.

– Dobrze.

– Mam ci przypominać, żebyś nie dopuszczał jej w pobliże ojczulka?

– Nie. – Connor rozłączył się i wrzucił telefon z powrotem do sporranu.

– Twoi przyjaciele się tu wybierają – oznajmiła cicho Marielle.

– Tak. Dwa wampiry i śmiertelny ksiądz, który bardzo chce cię poznać.

Kiwnęła głową.

– Miło będzie mieć się z kim pomodlić. Czuję się taka samotna z własnymi myślami.

– Nie jesteś sama, Marielle.

Jej spojrzenie zmiękło, uśmiechnęła się. Connor

zacisnął pięści, żeby nie porwać jej w objęcia.

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Prześladowuje mnie takie dziwne, naglące odczucie, jakbym miała... zacząć przeciekać.

Zamrugał. Chryste, czy naprawdę była tak naiwna?

– Potrzebujesz skorzystać z wygodki?

Pokręciła głową.

– Jest mi wystarczająco wygodnie.

– Miałem na myśli toaletę. WC? – Wciąż patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc, więc wreszcie wskazał jej łazienkę. – Chodź, pokażę ci.

Weszła za nim do małego pomieszczenia i rozejrzała się z ciekawością.

Connor nie wierzył, że musi to robić.

– Obserwowałam ludzi od wieków. Nigdy nie widziałam, jak ktoś... sika? – Albo jak się kocha, dodał w duchu.

Pokręciła głową.

– Nigdy nie zwracamy uwagi na czynności fizjologiczne. Jako istoty duchowe nie rozumiemy ich.

– No dobrze. – Poczul na policzkach rumieniec. – Siadasz tam. – Wskazał sedes. – No i... puszczasz.

Kiwnęła głową.

– Interesujące.

– Potem osuszasz się i spuszczasz wodę, żeby to wszystko spłynęło. – Wskazał papier toaletowy i dźwigienkę spłuczki.

– Mówisz o tym? – Lekko dotknęła dźwigni i



spłuczka się uruchomiła. Marielle odskoczyła i się roześmiała. – No coś takiego! Ludzie są tacy przemyślni.

Connor zamrugał. Byłby przysiągł, że nie nacisnęła dźwigni. Wskazał jej umywalkę.

– A potem myjesz ręce.

Dotknęła kranu i popłynęła z niego woda.

– Genialne! – Z promiennym uśmiechem poruszyła palcami w strumieniu wody.

Nie przekręciła kurka. Osłupiały Connor wycofał się z łazienki.

– No to zostawiam cię samą.

Zamknął drzwi i usłyszał, jak Marielle mruczy coś pod nosem, ucieszona nowymi zabawkami. Znow rozległ się odgłos spuszczonej wody.

Chryste Panie! A co by się stało, gdyby niechcący dotknęła pistoletu albo kuszy? Angus rzeczywiście mógłby uznać ją za zagrożenie.

Wziął z lodówki jeszcze jedną butelkę krwi i podgrzał sobie w mikrofalówce. Musiał zachować siłę, póki przebywał z Marielle. Nie wiedział, czego spodziewać się za chwilę. Jakim sposobem anioł śmierci sprawiał, że urządzenia działały? Czy w jej dotyku było coś magicznego? Cóż, kiedy dotykała jego, z pewnością.

Znow usłyszał szum spłuczki, a potem odgłos wody płynącej z kranu. Wyjął butelkę z mikrofalówki. Cokolwiek by się działo, musiał się trzymać swojej decyzji. Żadnego całowania. Żadnego przytulania. Nawet nie będzie myślał o seksie ani o tym, jak cudownie jej

pełne piersi wypełniały jego dłonie.

Spojrzał z żalem na butelkę z syntetyczną krwią. Tak naprawdę potrzebował blissky. Krew z dodatkiem whisky mogłaby przytępić jego pożądanie.

Drzwi łazienki skrzypnęły; Connor stał przy zlewie, z rozmysłem nie patrząc na Marielle.

– Wydaje mi się, że zrobiłam to prawidłowo – oznajmiła z dumą.

– Świetnie. – Napił się krwi. Nie myśl o kochaniu się.

– Odkryłam coś zdumiewającego. Mam cały zestaw kobiecych części intymnych.

Parsknął krwią do zlewu.

– Connorze! – Podbiegła do niego i położyła mu dłoń na plecach. – Dobrze się czujesz?

Boże dopomóż, doprowadzała go do rozpacz. Otarł usta grzbietem dłoni.

– Dziewczyno, nie możesz mówić wszystkiego, co ci wpadnie do głowy. Są sprawy, o których nie rozmawiamy.

– Jakie sprawy?

– Osobiste. – Takie jak cały zestaw kobiecych części intymnych. Jak on teraz miał o tym nie myśleć?

– Przywykłam, że dzielę wszystkie moje myśli z Niebiańskimi Zastępami, i *vice versa*.

– Otóż, ludzie nie dzielą się wszystkim. Pewne sprawy są dla nas zbyt... intymne. – Kobięce części intymne. Nie myśl o tym!

Zmarszczyła brwi.

– Na przykład te mroczne tajemnice, które chowasz w sercu?

Zacisnął usta.

– To i inne rzeczy.

Marielle pokręciła głową.

– Nie wiem, czy skrywanie tajemnic to zdrowy sposób życia.

– Tacy już jesteśmy. Moi przyjaciele zaraz tu będą. – Zmienił temat i zaczął grzebać w kuchennych szufladach, aż znalazł coś, co mogło mu się przydać. – Musimy cię trochę lepiej okryć. Podnieś prawą rękę.

Zrobiła to, a on kuchennym klipsem do chipsów spiął jej na biodrze luźne fałdy prześcieradła. No, dzięki temu tamci nie zobaczą więcej ciała Marielle niżby sobie życzył. Na przykład całego zestawu jej kobiecych części intymnych.

Moje. Ja znalazłem. Ale czy naprawdę mógł zatrzymać Marielle dla siebie? Ona go nie chciała. Chciała wracać do nieba, gdzie brzmiała piękna muzyka i gdzie doskonałe anioły dzieliły się uroczymi myślami. Gdzie nie było tajemnic i grzesznych istot, takich jak on.

Powietrze zamigotało i obok kanapy zmaterializowały się trzy postacie.

Connor wziął głęboki wdech.

– Mamy gości.

## Rozdział 8

To jest Robby MacKay. – Connor przedstawił prawnuka Angus, który ruszył w ich stronę z dużą torbą w dłoni. – Robby, to jest Marielle.

– Bardzo mi miło. – Robby postawił torbę na blacie w kuchni. – Przynieśliśmy ci trochę ubrań.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. – Więc ty też jesteś wampirem?

– Tak. – Robby zerknął nieufnie na jej dłoń. – A ty podobno jesteś aniołem śmierci.

– Nie zrobi ci krzywdy – mruknął Connor.

Robby szybko uścisnął jej dłoń i klepnął Connora po plecach.

– A gdzie podziałeś claymora?

– Jest na szczycie Góry Rushmore. Później po niego skoczę. – Zauważył, że Marielle przygląda się swojej dłoni ze zdezorientowaną miną.

– O rety! – Gregori podszedł do niej z uśmiechem. – Ależ ty wyglądasz, mała!

Obejrzała się przez ramię.

Mimo ogromnej ochoty, by cisnąć w tego podrywacza pierwszym przedmiotem, jaki mu wpadnie w rękę, Connor poczuł ciepło w sercu. Marielle nie miała pojęcia, jaka jest piękna. Pochylił się do niej i szepnął:

– Ten idiota mówi o tobie.

– Słyszałem to – mruknął Gregori.

– Ale ja nigdy nie byłam mała – zaprotestowała

Marielle. – Zostałam stworzona tej wielkości, choć oczywiście w duchowej formie. To ciało jest mi obce.

Gregori obejrzał ją od stóp do głów błyszczącymi oczami.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, żeby się z nim zapoznać, to daj znać.

– Okaż trochę szacunku, cholerna świnió. – Connor spojrział na kuchenne szafki, by poszukać jakiegoś pocisku. Może toster?

– Jeśli jesteś jakąś próbką tego, co nas czeka w niebie – Gregori zbliżył się o krok – to zabij mnie od razu.

Marielle pokręciła głową.

– Och, nie! Nie chcę ci zrobić krzywdy.

Connor znów pochylił się ku niej.

– Nie daj się wytrącić z równowagi. On się tak zachowuje, bo nie wie, czemu wmówił sobie, że jest czarujący.

Robby roześmiał się głośno.

Gregori prychnął.

– Przynajmniej nie jestem starym zrzędą. – Zwrócił się do Marielle i puścił oczko. – Świetna kreacja. Bardzo ci do twarzy w todze.

Spojrzała w dół na prześcieradło.

– Dziękuję. Connor ją dla mnie zrobił.

– Och, doprawdy? – Usta Gregoriego drgnęły. – Nie wiedziałem, że jest taki... zręczny.

– Odczep się – burknął Connor. Toster się nie nada.

Może drewniany blok do rąbania mięsa.

– Jestem zachwycony, że mogłem cię poznać, piękny aniele. – Gregori chwycił jej dłoń i ucałował ją; jego usta zbyt długo zabawiły na jej skórze.

Connor zgrzytnął zębami. Blok do mięsa się nie nada. Już raczej tasak.

– Mnie też jest bardzo miło. – Wysunęła dłoń z uścisku Gregoriego. I znów zmarszczyła brwi, jakby czegoś nie rozumiała.

Connor podniósł czarną, gumową podstawkę pod szklanę.

– Po co tu jesteś, Gregori?

– Moja mama się uparła. Koniecznie chciała dostać szczegółową relację. – Spojrzał na Marielle przeprasząco. – Chciała też tu przylecieć. Bardzo chce cię poznać, ale Roman obawia się, że mogłoby jej to zaszkodzić, po tym, co się stało z... Ej! – Ledwie zdążył uchylić się przed podstawką, którą śmignęła koło jego ucha i odbiła się od ściany. – Co to miało być, do licha?

Connor uniósł brew, sięgając po drugą podstawkę.

– Dlaczego rzucasz rzeczami? – zainteresowała się Marielle.

Wzruszył ramionami.

– Trenuję rzucanie do celu.

Robby zmrużył oczy.

– Ona nie wie?

– Nie ma czego wiedzieć. – Connor rzucił podstawkę na blat i poprowadził Marielle do kominka, gdzie czekał

trzeci gość. Ksiądz nie odezwał się słowem od chwili przybycia i patrzył na anioła z nabożnym szacunkiem.

– Chciałbym ci przedstawić ojca Andrew – powiedział Connor.

Marielle się uśmiechnęła.

– Niech cię Bóg błogosławi, kochana duszo.

Ksiądz przycisnął dłoń do piersi, a w jego oczach zaświeciły łzy.

– Nie potrafię wysłować, jaka to radość i jak wielki zaszczyt. Tyle lat polegania na wierze, walki ze zwątpieniem, i oto jesteś. Żywy dowód, że moja wiara nie była na próżno, że wszystkie słowa, które wypowiadałem przez lata, są prawdą.

Oczy Marielle załśniły od wilgoci.

– Synu człowieczy, Ojciec kocha cię całym sercem.

– Wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

Connor chwycił ją za nadgarstek i poprowadził do fotela na biegunach.

– Zechcesz usiąść?

Ksiądz nie zauważył interwencji Connora. Był zajęty wyciąganiem chusteczki z kieszeni marynarki, a potem wycieraniem łez z twarzy.

Ale Marielle zauważyła i szepnęła:

– Co się dzieje, Connor?

Otworzył usta, by powiedzieć „nic”, ale trudno mu było skłamać aniołowi prosto w oczy.

– Ona musi wiedzieć. – Robby podszedł bliżej księdza.

– Nie. Dość już przeszła tej nocy. – Connor obronnym gestem otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. – Nie pozwolę, żebyście ją dręczyli.

Robby uniósł brwi. Ojciec Andrew znieruchomiał z chusteczką w drodze do kieszeni. A Gregori, niech go szlag, wyszczerzył się w uśmiechu.

Connor poczuł, że gorący rumieniec zalewa mu twarz, ale nie puścił Marielle.

– Przeszła dzisiaj piekło. Została wygnana z nieba, zaatakowana, poparzone jej plecy i wyrwano skrzydła.

Zostawiono ją w błocie, ranną i krwawiącą. A potem groził jej demon...

– Demon! – Ojciec Andrew zbladł. – Boże kochany. Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku – odparła cicho. – Ale obawiam się, że czegoś mi nie mówicie.

Kiedy ksiądz skinął głową, Connor jęknął i opuścił rękę. Czy nie dość już dziś przeżyła?

– Uznałbym dotknięcie anioła za wielki honor – wyjaśnił ojciec Andrew – ale moi przyjaciele obawiają się, że twój dotyk mógłby mi wyrządzić krzywdę.

– A. Tylko o to chodzi? – Westchnęła ze znużeniem. – Nie musisz się obawiać. Straciłam większość swoich anielskich darów. Nie potrafię już latać ani komunikować się z Niebiańskimi Zastępami. A mój dotyk już nie zabija. Dotykałam Connora przez cały wieczór bez żadnego efektu.

Gregori parsknął.



– Jasne. Żadnego efektu.

Connor spojrział na niego ponuro.

– Marielle nigdy nie skrzywdziłaby nikogo z rozmysłem.

– Powiedz to Shannie – mruknął Gregori.

– Komu? – spytała Marielle.

– Przestań trzaskać jadaczką – warknął Connor na Gregoriego. – Możemy ją ostrzec, żeby nie dotykała śmiertelników, i na tym poprzestać.

– Chcecie powiedzieć, że ciągle jestem niebezpieczna? – Zaniepokojona Marielle szeroko otworzyła oczy.

– Tylko dla śmiertelników – burknął Connor. – Nas, wampiry, możesz dotykać bez problemu. My już jesteśmy poniekąd martwi.

– Ale skąd to wiecie? Co się stało? – Kiedy Connor milczał, posłała mu zirytowane spojrzenie. – Lepiej mi powiedz. Możesz mieć setki lat, ale ja mam tysiące, więc nie traktuj mnie jak dziecko.

Spojrzał na nią z uniesioną brwią i szepnął:

– Czy ja cię traktowałem jak dziecko?

Jej policzki poróżwiały.

– Moja droga – zaczął ojciec Andrew. – Może zdołamy ci pomóc wypełnić luki, jeśli zrelacjonujesz nam, co pamiętasz z dzisiejszej nocy. – Wskazał jej bujany fotel, a sam usiadł na kanapie. – Ja osobiście jestem bardzo ciekaw twojej historii.

– No dobrze. – Usiadła na fotelu; Connor nadal stał u

jej boku.

Robby i Gregori usiedli na kanapie, sprasowując księdza między sobą.

Marielle złożyła dłonie na kolanach.

– Wczesnym wieczorem zostaliśmy wysłani na kemping w okolicy zwanej przez was Dakotą Południową.

– My, czyli kto? – spytał Robby.

– Mój przełożony, Zackriel, i ja – wyjaśniła. – Dostaliśmy polecenie wybawienia siedmiu dusz. Kiedy przybyliśmy na miejsce, zabrałam parę małżonków. Byli już martwi, ale ich dusze czepiały się siebie nawzajem, zrozpaczone i przerażone losem dzieci.

Pokręciła głową i na moment zamknęła oczy.

– Zabrałam ich szybko, żeby znaleźli spokój, ale błagali mnie o ocalenie dzieci, a ja... – Mocno zacisnęła pięści. – Nie mogłam tego znieść. Dwójka dzieci jeszcze żyła, ledwie, ale pomyślałam, że da się je odratować, więc odmówiłam ich zabrania.

Connor dotknął jej ramienia. Jego piękna, słodka Marielle, straciła wszystko, bo próbowała ocalić dwójkę dzieci. Spojrzała na niego ze łzami w oczach. Boże, jak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Ale nie mógł zrobić tego przy innych. Jego uczucia były o wiele zbyt intensywne, by zdradzać je przed kimkolwiek.

– I co było dalej? – zainteresował się ojciec Andrew.

Oderwała spojrzenie od Connora – niechętnie, jak mu się zdawało – i podjęła opowieść:

– Pokłóciliśmy się z Zackrielem, ale w końcu przybyli inni Wybawiciele, by pomóc mu z dziećmi. Ja odleciałam do lasu, żeby rozpaczać i się modlić. Chwilę później Zack odnalazł mnie i oświadczył, że zostałam wygnana.

– Do licha – mruknął Gregori. – To surowa kara. Przecież chciałaś tylko ratować dwójkę dzieci.

Marielle otarła łzę z policzka.

– Nie usłuchałam rozkazu. I był to już trzeci raz. A powinnam być mądrzejsza. Za każdym razem, kiedy okazywałam nieposłuszeństwo, konsekwencje były straszne. W ludzkim świecie dochodziło do tragicznych wydarzeń, których można było uniknąć, gdybym tylko zrobiła to, co mi kazano.

Robby spojrział na Connora i znów na nią.

– Masz problem z wykonywaniem rozkazów? Gdzie ja to już słyszałem?

Connor posłał mu złe spojrzenie.

– Więc zostałam ukarana – ciągnęła, garbiąc się z rezygnacją. – Zackriel odebrał mi skrzydła. Potem niewiele pamiętam.

– Usłyszałem, jak się bijecie. – Connor ścisnął jej ramię. – Zobaczyłem kulę ognia i usłyszałem twoje krzyki. Zostawił cię w dziurze w ziemi, zakrwawioną i poranioną.

Uniosła na niego oczy i jej spojrzenie zmiękło.

– Pamiętam, że ktoś mnie trzymał, i pamiętam miękki, śpiewny głos, który niósł mi pociechę.

– O tak. – Gregori uśmiechnął się drwiąco. – Nasz Connor to prawdziwy słodziak.

Connor złapał z półki kieszonkową powieść i rzucił nią w Gregoriego, który uchylił się z wampiryczną prędkością.

– Nie pamiętasz, gdzie się znalazłaś potem? – spytał Robby.

Marielle pokręciła głową.

– Pamiętam ból, mnóstwo bólu. I ciemność. To było bardzo dziwne, bo nigdy wcześniej nie traciłam przytomności. To pewnie wina ludzkiego ciała, które teraz mam. Kiedy się obudziłam, byłam tutaj, z Connorem.

Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

– Proszę cię, powiedz mi, co się stało.

Connor jęknął w duchu.

– Chciałem ci oszczędzić szczegółów. To nie była twoja wina, dziewczyno. Ciągłe mi powtarzałaś, że mam cię nie dotykać, ale ja cię dotykałem i nie działo się nic złego. Emma, Roman i Laszlo też cię dotykali...

– Kiedy? – spytała Marielle. – Gdzie?

– W Romatech Industries – wyjaśnił Connor. – To miejsce, gdzie wytwarzamy syntetyczną krew, którą piłem wcześniej. Roman i Laszlo to genialni naukowcy, więc zabrałem cię do nich, żeby cię opatrzyli.

– Chciałeś mi ratować życie – wymruczała cicho.

– Tak. – Nie chciał przyznać, że z początku wziął ją za Malkontentkę i że chciał ją utrzymać przy życiu, żeby

móc ją przesłuchać. – Ostrzegałaś nas kilka razy, żeby cię nie dotykać, ale myśmy się tym nie przejęli...

Zesztywniała.

– Chyba nikogo nie zabiłam, co? – Zerwała się na równe nogi. – Mów! Jeśli temu komuś nie była jeszcze pisana śmierć, to może nie jest za późno, żeby to odwrócić.

– Ona nie jest martwa – oznajmił Robby z oczami błyszczącymi z gniewu. – Jest w śpiączce.

– O Boże. – Marielle uniosła drżącą dłoń do ust. – Ja... pomodłę się o jej uleczenie. Bunny mógłby to zrobić.

– Kto taki? – spytali chórem i Robby, i Gregori.

Marielle nie odpowiedziała; zwiesiła głowę, splotła dłonie tuż przy ustach i zaczęła mamrotać po cichu.

– Buniel to Anioł Uzdrowiciel – wyjaśnił Connor. Dotknął ramienia Marielle. – Shanna jest w wampirycznej śpiączce. Jej mąż próbował ją przemienić.

Odwróciła się i otworzyła oczy.

– Jej mąż jest wampirem?

– Tak, to Roman Draganesti. Shanna już dawno zaplanowała, że zostanie wampirzycą. Tyle tylko, że stało się to wcześniej niż się oboje spodziewali.

– Nie jesteśmy pewni, czy ona to przeżyje – burknął Robby.

– Więc pomodłę się, żeby Bunny pomógł jej przez to przejść. – W oczach Marielle wezbrały łzy. – Tak mi przykro. Próbowaliście mnie ratować, a ja za dobroć odpłaciłam się wam... śmiercią.

– To nie jest twoja wina – upierał się Connor. – Ostrzegaliśmy nas...

– Oczywiście, że to jest moja wina! – Łza spłynęła jej po twarzy. – Znowu okazałam nieposłuszeństwo. A to zawsze doprowadza do strasznych wydarzeń. – Chwyciła w pięści koszulę Connora. – Zawsze wszystko psuję! I mam tego dość!

– Dziewczyno! – Chwycił i uściśnął jej dłonie. Do licha, rozkleiła się na dobre. Wiedział, że za dużo przeszła jak na jedną noc. – Chodź, zobaczymy... co Emma dla ciebie spakowała.

– Co?

– Chodź. – Pociągnął ją z powrotem do kuchni i chwycił torbę stojącą na blacie. Obejrzał się na trzech mężczyzn, którzy stali i patrzyli. – Potrzebuje przerwy.

Robby zmarszczył brwi.

– Mam jeszcze mnóstwo pytań.

Ojciec Andrew uniósł rękę.

– Daj jej na razie spokój. Connor ma rację.

Connor z wdzięcznością skinął głową księdzu i poprowadził Marielle do przyległej do salonu sypialni. Potykała się u jego boku jak półprzytomna.

Otworzył drzwi sypialni i podał jej torbę.

– Nie spiesz się.

Spojrzała na niego; jej policzki błyszczały od łez.

– Nie chciałam skrzywdzić waszej przyjaciółki.

– Wiem, dziewczyno. – Bardzo pragnął otrzeć te łzy, a nawet scałować je, ale nie chciał tego robić przy

tamtym. – Jesteś wcieleniem dobra i czystości.

Wybuchnęła płaczem.

Do licha. Myślał, że mówi to, co trzeba.

– Nie jestem dobra – zawyła. – Ciągłe jestem nieposłuszna.

– Nieposłuszeństwo nie jest takie złe – burknął. – Sam to bez przerwy robię.

– Ale czy ty nie rozumiesz? Ja, okazując nieposłuszeństwo, kwestionuję mądrość Ojca. To jest bunt. – Pokręciła głową. – Może Darafer ma rację...

– Nie! – Connor chwycił ją za ramiona. – Nie będziesz wierzyć temu draniowi. – Wciągnął ją do sypialni i zamknął drzwi, żeby jego towarzysze nie widzieli, jak cacka się z anielicą. Niestety, Robby i Gregori wciąż mogli go słyszeć dzięki swoim wyostrzonym wampirycznym zmysłom.

Rzucił torbę na łóżko i poprowadził Marielle do drzwi stanowiących drugie wejście do łazienki.

– Nie pozwolę, żebyś źle o sobie myślała.

– Zabiłam żonę twojego przyjaciela – wymamrotała.

– Nie zabiłaś jej. – Zmoczył myjkę nad umywalką. – Jest w śpiączce, zmienia się w wampirzycę, co i tak planowała kiedyś zrobić.

– Gdyby jej mąż przypadkiem nie był wampirem, umarłaby.

– Nic jej nie będzie. – Otarł jej myjką twarz. – To była moja wina, bo cię tam zabrałem.

– Nie powinieneś obwiniać siebie. Nie wiedziałeś,

kim jestem. – Westchnęła. – Cóż, chyba powinniśmy być wdzięczni, że jej mąż miał czas ją przemienić. Zwykle kiedy dotykam śmiertelnika, zgon następuje natychmiast.

– Nie dotknęłaś jej. To ona dotknęła ciebie. – Odłożył mokrą myjkę na blat. – I miała na dłoniach lateksowe rękawiczki.

– Ach tak. – Marielle powoli skinęła głową. – Więc moja moc była osłabiona. Dzięki Bogu.

– Więc dość gadania, że wierzysz temu przekłętemu demonowi. – Posłał jej żarliwe spojrzenie. – Niczego nie zepsułaś. Ja to sknociłem. Często mi się to zdarza, więc jestem w tym niezły.

Uśmiechnęła się.

– Nie wierzę w to, ale dziękuję. Już mi lepiej. Będę się modlić, żeby wasza przyjaciółka z tego wyszła.

– No dobrze. Zobaczmy, co przysłała ci Emma. – Przeszedł z powrotem do sypialni.

Marielle powoli poszła za nim.

– Nie powinnam była w siebie wątpić. Właśnie na to liczy Darafer. Wie, że jestem odcięta od Niebiańskich Zastępów i że brakuje mi nieustannego strumienia pochwał i potwierdzania mojej wartości. Nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno jest śmiertelnikom wytrwać w wierze. Jesteście naprawdę... niesamowici.

Patrzyła na niego z takim podziwem i szacunkiem, że nie mógł tego znieść. Odwrócił się, czując, jak stulecia rozpacz i wyrzutów sumienia sączą się w nim jak trucizna. On stracił wiarę już dawno temu. A z wiarą



nadzieję.

Choć pojawiła się maleńka iskierka nadziei, kiedy myślał, że Marielle wraca do nieba. Ale Buniel ją upuścił i nadzieje Connora upadły razem z nią. Może gdyby pomógł jej wrócić do nieba, zmyłoby to choć część jego grzechów. Czy śmiał na to liczyć?

– Co to jest? – Marielle zdążyła rozłożyć na łóżku dzinsy i koszulkę, ale teraz wyciągała z torby bieliznę.

– To jest stanik. Nosisz go na... piersiach. – Zmarszczył brwi. Ten stanik wyglądał na za mały. – Nie, pod ubraniem – dodał, kiedy przyłożyła go do prowizorycznej togi. – Musisz zdjąć to prześcieradło.

– Ach tak. – Odpięła kuchenny klips i rzuciła go na łóżko.

– Nie teraz!

Odskoczyła, przestraszona jego okrzykiem.

Connor ściszył głos.

– Kobiety nie rozbierają się i nie ubierają w obecności mężczyzn.

Posłała mu sfrustrowane spojrzenie.

– Widziałeś mnie już wcześniej. Myślałam, że mi pomożesz.

Odsunął się.

– Nie. Nie mogę.

– Dlaczego nie?

Przezcesał włosy dłonią.

– Stanik zapina się z tyłu, dzinsy z przodu.

– No dobrze. – Przyjrzała mu się z ciekawością. –

Czy to dlatego, że czujesz... pożądanie?

Connor jęknął.

– Jesteś najpiękniejszą... kobietą, jaka postawiła nogę na tej planecie. Każdy mężczyzna by cię pożądał.

Zrobiła powątpiewającą minę.

– Nie wydaje mi się. Ojciec Andrew patrzy na mnie jak na świętą relikwię. Robby przygląda mi się podejrzliwie, a Gregori...

– Gregori to świnia.

Uśmiechnęła się.

– Nie ma nic złego na myśli. Jest po prostu... wesoly.

– Wesola świnia.

Jej uśmiech się poszerzył.

– Weźmiesz moją rękę?

Znaczy, jako mąż? Serce Connora zabiło żywiej, ale natychmiast skarcił się w duchu. Ty głupcze. Anioły nie wychodzą za mąż. Ona po prostu chciała go potrzymać za rękę.

Chwycił jej dłoń swoją ręką. Kiedy się zetknęły, gwałtownie wciągnęła powietrze. Puls mu przyspieszył, dłoń zacisnęła się mocniej.

– Czułeś to? – Położyła drugą dłoń na grzbiecie jego dłoni. – Z początku myślałam, że w uściskach dłoni jest coś dziwnego, ale nie poczułam niczego, kiedy tamci pozostali podawali mi rękę. To bardzo... ciekawe, nie sądzisz?

– Marielle. – Skrzywił się, kiedy położyła dłoń na piersi. Chryste Wszechmogący, wyraźnie poczuł

miętkość jej pełnego biustu. Pociemniało mu przed oczami, wszystko nabrało czerwonego odcienia.

Marielle przekrzywiła głowę, przyglądając mu się z ciekawością.

– Próbowałam to zrozumieć. Myślałam, że to może żądza, ale zawsze sądziłam, że grzech jest ohydny i na dłuższą metę destruktywny. A to nie sprawia takiego wrażenia. Jak byś to nazwał?

Z trudem przełknął ślinę.

– Pragnienie. Tęsknota.

Szeroko otworzyła zamyślane oczy.

– Tak. To jest to, dokładnie.

Chwycił tył jej głowy, by przyciągnąć ją do siebie, ale zatrzymał się, kiedy jej usta znalazły się centymetr od jego ust. Jasna cholera, przysięgł, że tego nie zrobi. Jeśli ją pocałuje, ona znów zajrzy mu w duszę.

Puściła jego dłoń i oplotła mu szyję ramionami.

– Tak – powtórzyła i wszelkie hamulce zniknęły.

Zaczął ją całować, rozładowując całą napiętność, jaka skumulowała się w nim przez noc. Nie wiedział, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie odnalazł w sobie tyle uczuć, ale Marielle spadła z nieba prosto w jego życie, obudziła jego zmysły, martwe od tak dawna, i dała mu cel w życiu.

Jeśli będzie trzeba, odda za nią życie. Dopilnuje, żeby bezpiecznie wróciła do nieba. A maleńkie nasionko nadziei w jego sercu będzie rosło, bo piękna anielica cenila go. A nawet pożądała.

Przyłgnęła do niego, odwzajemniając pocałunek, wplatając palce w jego włosy. Jak mógł być potępiony, skoro ona go pragnęła?

Wdarł się w jej usta i poczuł czekoladę na jej języku. Jęknęła, tonąc głębiej w pocałunku. Przeciągnął dłońmi po jej plecach, zachwycając się zagłębieniem na ich dole, zwięzieniem talii, krągłością bioder.

Wsunął dłoń z boku między brzegi prześcieradła; Marielle zadrżała, kiedy jego palce przemknęły po jej żebrach. Gdy chwycił jej pierś, westchnęła tuż przy jego ustach.

Obsypał pocałunkami jej policzek, musnął twarzą ucho. Kciukiem zaczął okręzać sutek, aż skóra się naprężyła. Kiedy musnął delikatnie czubek, sutek stwardniał w napięty pączek.

– Tak bardzo pragnąłem znów cię dotknąć. – Przewędrował ustami w dół jej szyi.

Kurczowo ścisnęła jego barki.

– Myślałam... myślałam, że nie podobają ci się moje piersi.

Uniósł głowę i spojrzał jej z żarem w oczy.

– Widziałaś we mnie poczucie winy, bo lubieżnie dotykałem anioła. W życiu nie widziałem piękniejszych piersi... Ani nie dotykałem. – Ścisnął je delikatnie.

Marielle z jękiem zamknęła oczy.

– To cudownie, że ci się podobają.

– Naprawdę? A chcesz wiedzieć, jak bardzo?

Powoli otworzyła oczy.

– Jak...

Rozległo się pukanie do drzwi. Connor odskoczył do tyłu.

– Wszystko u was w porządku? – spytał ojciec Andrew.

Do licha, drzwi nie były nawet zamknięte na klucz.

– Chwileczkę. – Chwycił kuchenny klips i spiął prześcieradło na nowo. – Wszystko dobrze? – spytał szeptem.

Marielle kiwnęła głową.

– Zostawię cię, żebyś mogła się ubrać.

Znow skinęła głową, lekko oszołomiona.

Dotknął jej policzka.

– Poradzisz sobie.

Uśmiechnęła się.

– Tak. Idź już.

Connor wymknął się przez uchylone drzwi i zamknął je za sobą. Ojciec Andrew wciąż stał w pobliżu i przyglądał mu się uważnie.

Robby stał przy kanapie z rękami założonymi na piersi i z marsmem na twarzy. Oczy Gregoriego błyszczały rozbawieniem.

– Z Marielle wszystko dobrze? – spytał ojciec Andrew.

Connor poczuł, że płoną mu policzki.

– Już jej lepiej.

Gregori parsknął; Robby dał mu kuksańca.

– Mogę z tobą zamienić słowo na osobności? –

Ojciec Andrew wskazał tylne drzwi domku.

– Jak ojciec sobie życzy. – W myślach Connora rozbłysło wspomnienie. Pierwszy w życiu pocałunek skradł w wieży kościelnej. Dziewczyna wybuchnęła płaczem, a on dostał w ucho od księdza.

Miał nadzieję, że ulepszył swoją technikę całowania. Spojrzał na kamienną twarz księdza. Niektóre sprawy nigdy się nie zmieniają.

## Rozdział 9

Connor w milczeniu wyszedł za księdzem na polanę za domkiem. Ojciec Andrew patrzył na gwiazdy, mamrocząc modlitwę; jego oddech parował w chłodnym, nocnym powietrzu.

Ksiądz przeżegnał się i wreszcie zwrócił się do Connora.

– Muszę ci podziękować. To było dla mnie... ogromnie budujące przeżycie.

Connor ukrył zaskoczenie. Spodziewał się połajanki.

– Myśli ojciec, że z Shanną będzie wszystko dobrze?

– Tak. – Ksiądz znów spojrzał w gwiazdy. – Głęboko wierzę, że z tego wyjdzie.

Connor skinął głową. Z nawyku przepatrzył las, szukając niebezpieczeństwa.

– Więc może Roman będzie w stanie mi wybaczyć.

– Wierzę, że tak. – Ojciec Andrew spojrzał na Connora. – Ale czy ty zdołasz wybaczyć sam sobie?

Connor się skrzywił.

– To Roman mnie przemienił. Zdrada swojego stwórcy to poważne przestępstwo w naszym świecie.

Ksiądz uniósł brwi.

– A stwórcielem Romana był Casimir?

– Tak. Casimir nienawidzi nas, dobrych wampirów, ale szczególną nienawiść żywi do Romana. Ta zdrada była osobista.

– Rozumiem. – Ojciec Andrew pokiwał głową,

zamyślony. – Mimo to nie uważam, żeby to, co się dzisiaj stało, można było uznać za zdradę. To był wypadek. Nie mogłeś tego przewidzieć.

– Powinienem był wiedzieć. Były znaki ostrzegawcze. – Tak jak wtedy, kiedy stracił żonę i dziecko. Zawsze był tak cholernie ślepy i zawsze to jego najbliżsi płacili za jego błędy. – Nie pierwszy raz wszystko sknocilem.

– Mógłbyś się poczuć lepiej, gdybyś o tym opowiedział.

Connor spojrział kwaśno na księdza.

– Już o tym rozmawialiśmy. Nie będę się spowiadał.

– Uparty jak zawsze. – Ojciec Andrew uśmiechnął się blado. – To może być cnota w niebezpiecznych czasach. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że Marielle potrzebuje protektora.

Connor skinął głową.

– Jest mądra w sprawach duchowych, ale naiwna, jeśli chodzi o przetrwanie na tym świecie.

– Tak, to też, ale głównie chodzi mi o demona, o którym wspomniałeś.

– Darafera.

Ojciec Andrew się przeżegnał.

– Myślisz, że on wróci?

– Jestem tego pewien. Uważa ją za upadłego anioła.

– Marielle potrzebuje ochrony. Podejmiesz się tego?

– Ksiądz popatrzył na niego surowo. – Nie proszę cię o to z lekkim sercem. Spodziewam się, że będziesz gotów



oddać za nią życie.

Connor z trudem przełknął ślinę.

– I oddam.

– Wydrukuję ci kilka specjalnych modlitw. Chcę, żebyś miał je pod ręką. Dostarczę ci też parę buteleczek święconej wody.

Connor prychnął.

– Czułbym się lepiej, gdybym dostał parę mieczy.

Ksiądz chwycił go za ramię.

– Demon uderzy tam, gdzie jesteś najslabszy. Twoja wiara musi być równie niezłomna jak siła fizyczna.

Więc był skazany na porażkę.

– Wiara nigdy nie przychodziła mi z łatwością.

– Oczywiście że nie. Bo taka jest natura wiary. – Ksiądz uścisnął jego ramię. – Wierzę w ciebie. A co ważniejsze, wierzy w ciebie Marielle. Widzę, że łączy was silna więź. Ona ci ufa.

– Nie jestem godzien...

– Nikt z nas nie jest godzien – przerwał mu niecierpliwie ojciec Andrew, a w jego oczach błysnęła irytacja. – Wiesz, dlaczego zostałem księdzem?

– Żeby pomagać...

– To jest moją motywacją teraz. Ale śluby złożyłem z poczucia winy. Jako młody człowiek byłem głupi i samolubny. Prowadziłem po pijanemu i wjechałem w drzewo. Zabiłem najlepszego przyjaciela.

Connor gwałtownie wciągnął powietrze.

– Przerażające, wiem. – Grymas wykrzywił usta ojca

Andrew. – Myślisz, że wampiry mają monopol na tragiczne błędy?

– Przykro mi.

Ojciec Andrew poklepał go po plecach i znów zaczął się gapić w gwiazdy.

– Wyobrażasz sobie, że tysiące aniołów krążą wokół nas, a my ich nie widzimy? Tylu rzeczy jeszcze nie wiem, ale mam silne przeczucie, że dzisiejsza noc jest ważna. Nie bez powodu znalazłeś Marielle.

– Być może. – Connor nie był pewien, czy jego wiara może sięgać aż tak daleko. Ale rzeczywiście, było to szczęśliwe zrządzenie losu, że znalazł ją akurat wampir. Śmiertelnik zginąłby, próbując jej pomóc.

– Uważaj na siebie.

– Będę uważał. – I będzie musiał trzymać łapy z dala od niej. Ona musi pozostać niewinna i anielska. – Ona chce wrócić do nieba.

– Jak my wszyscy. – Ojciec Andrew ruszył z powrotem w stronę ganku. – Zobaczmy, jak się miewa nasz aniołek.

– Powiedz „seer”! – Gregori pochylił się w jej stronę, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– Dlaczego? – Marielle zamrugła, kiedy błysnęło jaskrawe światło.

– Chyba wyszło całkiem nieźle. – Robby odwrócił aparat, żeby pokazać im zdjęcie.

Przez moment widziała swoją wystraszoną twarz obok twarzy Gregoriego, zanim ten porwał aparat, żeby

się lepiej przyjrzeć.

– Dzięki, Marielle. Mama będzie zachwycona.

– Przykro mi, że nie mogłam jej poznać. – Marielle westchnęła. – I bardzo mi przykro z powodu waszej przyjaciółki Shanny. Wiecie, mam nadzieję, że nie skrzywdziłabym nikogo z rozmysłem.

Robby spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Jesteś aniołem śmierci. Bez urazy, ale odbieranie życia to chyba jest krzywda.

– Tak naprawdę nazywamy się Wybawicielami. Nie zabieramy nikogo, jeśli nie przyszedł jego czas.

– Jak to właściwie działa? – Gregori uniósł aparat, celując tym razem w Marielle. – Idziecie sobie wzdłuż rządka śmiertelników i mówicie: entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc?

– Słucham? – Zmrużyła oczy, kiedy flesz znów błysnął. Przed oczami zatańczyły jej gwiazdki.

– Co ty robisz, u diabła? – Głos Connora huknął z tylnej części domku.

Na ten dźwięk zrobiło jej się ciepło w sercu.

– O, to jest śliczny uśmiech. – Gregori pstryknął jej kolejną fotkę.

Marielle pokręciła głową i spojrzała na Connora. Jaskrawe gwiazdki tańczyły wokół niego, kiedy szedł przez kuchnię. Za nim podążał ksiądz.

– Hej, powinniśmy nakręcić filmik – zasugerował Gregori. – Ubierzemy ją w białą, jedwabną szatę kościelnej chórzystki i nazwiemy to *Nawiedzenie przez*

*anioła*. Odwrócił się do niej. Oczy błyszcząły mu z podniecenia. – Znasz jakieś nadnaturalne sztuczki?

– Jasna cholera, to nie jest cyrkówka. – Connor chwycił coś z kuchennego blatu.

– To by zrobiło dziką furorę w Internecie – oznajmił Gregori.

– Nie będziesz sprzedawał anioła! – Connor wycelował i rzucił.

– Hej! – Gregori odskoczył na bok. – Przestaniesz rzucać we mnie podstawkami? Ja nie mówię o robieniu na niej pieniędzy.

– To wielka ulga – odparł szorstko ojciec Andrew. – Bo już miałem cię ekskomunikować.

Gregori się obruszył.

– Chodziło mi o dobry uczynek dla rodzaju ludzkiego. Wyobraźcie sobie, jak wspaniale poczuliby się wszyscy, wiedząc, że te wszystkie święte gadki to prawda.

– Gadki? – mruknął ojciec Andrew. – Cztery lata wygłaszania kazań, i tyle ci z tego zostało? Święte gadki?

Robby się roześmiał.

Gregori przewrócił oczami.

– No, Bóg i niebo, i tak dalej. Nie sądzicie, że widok Marielle dałby ludziom pociechę i otuchę, której tak bardzo potrzebują?

– Nie! – Marielle pokręciła głową. – Proszę cię! Nie możesz nikomu o mnie mówić.

– Co? – Gregori nie wierzył własnym uszom. – Nie

chcesz, żeby ludzie wierzyli?

– Gdybyś rozgłosił moje istnienie, to by nie była wiara – upierała się Marielle. – To by wszystko zepsuło.

– Ona ma rację. – Ojciec Andrew podszedł do nich i przystanął przy drugim końcu kanapy. – Ludzie muszą wierzyć, nie wiedzieć. Jeśli udowodnisz istnienie aniołów, wszyscy uznają je za fakt.

Marielle skinęła głową.

– Stracą wolną wolę. Ojciec chce, żebyśmy mogli... wybierać. – Gardło ścisnęło jej nagłe, wściekłe drapanie. Była ostatnim stworzeniem na ziemi, które powinno pouczać na temat dokonywania wyborów. Ona wybierała źle i teraz za to płaciła.

– Dobrze się czujesz? – Connor zmrużył oczy.

Marielle otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zakrztusiła się. Zakaszłała, z trudem chwyciła powietrze i znów się rozkaszała. Coraz mocniej i mocniej.

Poczuła przyływ paniki, bo straciła kontrolę nad swoim nowym ciałem. Łzy ciekły jej z oczu. To było dziwne. Dlaczego kaszel prowokował łzy?

Connor wcisnął jej do ręki butelkę z wodą.

– Pij.

Napiła się wody, pokaszłała jeszcze chwilę, ale już nie tak gwałtownie.

– Nie wiem, co się stało. – Otarła łzy z twarzy.

– Nie przejmuj się. – Ojciec Andrew uśmiechnął się i usiadł na kanapie. – To się zdarza wszystkim.

Napiła się jeszcze. Wielkie nieba, teraz ciekło jej z

nosa.

Connor podał jej białą chusteczkę.

Otarła nos, ale wyciek nie ustał.

Connor zasłonił ją własnym ciałem i szepnął:

– Musisz dmuchnąć.

Dmuchać? Wzięła głęboki wdech i dmuchnęła sobie w nos.

Jego usta drgnęły. Wyjął jej chusteczkę z ręki i przycisnął do jej nosa.

– Wydmuchaj nos, dziewczyno.

Przytrzymała chusteczkę samodzielnie i dmuchnęła. Zdumiona wytarła nos.

– To było strasznie dziwne. Kaszel i ciekący nos, i dmuchanie, te ciała robią dziwaczne rzeczy.

– To prawda.

Spojrzała w jego dymne, niebieskie oczy i natychmiast zatoneła w jego żarliwym spojrzeniu. Znów chciał jej dotknąć. Czuła to.

Rumieniec rozlał się po jej policzkach. O co chodziło, że tak silnie reagowała na tego mężczyznę? Wystarczyło, że na niego spojrzała, a serce ścisnęło jej się w piersi. Kiedy jej dotykał, zaczynało łomotać i miękły jej kolana. Pocałowała go już dwa razy. W jedną noc!

Pożądanie, które czuła, było dla niej tak nowe, tak obce aniłom. Kuszące było zwalić całą winę na to nowe ciało i jego zdolność do odczuwania sensacji, jakich nigdy do tej pory nie doświadczała, ale w głębi serca

wiedziała, że to nie do końca prawda.

W domku byli inni mężczyźni, ale ich nie pożądała. To wszystko było takie dziwne. Od tysiącleci kochała ogólnie pojęty rodzaj ludzki, wszystkich jednakowo i z daleka. Ale teraz jej serce pragnęło być blisko tylko jego.  
– Connora.

A on czuł to samo. Przyznał to. Pragnienie. Tęsknota. Marielle dostała gęziej skórki. Chciała, żeby znów jej dotykał.

Kiedy pocałował ją w sypialni, znów przez mgnienie zajrzała w tę ciemność, która otaczała jego serce. W myślach błysnął jej obraz młodej, jasnowłosej kobiety o imieniu Darcy. Dlaczego wzbudzała w Connorze takie poczucie winy?

Marielle bardzo chciała go o to zapytać, ale wiedziała, że należy to zrobić, kiedy będą sam na sam. Nawet wtedy on mógł się uprzeć, że to jedna z tych osobistych spraw, o których ludzie nie rozmawiają.

Ale ona chciała czegoś więcej niż rozmowy. Chciała znów go całować. Chciała znaleźć się w jego objęciach, czuć jego oddech na policzku. To było takie ludzkie pragnienie. Demon ostrzegł ją, że im dłużej będzie pozostawała na ziemi, tym bardziej będzie się stawała ludzka.

Musiała się temu oprzeć, nie angażować się za bardzo. Archaniołowie nigdy nie przyjmą jej z powrotem w niebie, jeśli nie udowodni, że jest tego godna.

– Dziękuję. – Oddała mu chusteczkę.

Connor zrobił dziwną minę, po czym sztywnym krokiem przeszedł obok chichoczącego Gregoriego i wyrzucił chusteczkę do kosza.

– Moja droga, z przyjemnością posłuchałbym o twoim anielskim życiu – odezwał się ojciec Andrew. Spojrzał znacząco na pozostałych. – Wszystko, co usłyszymy, musi pozostać tajemnicą.

Gregori wyciągnął się na kanapie.

– Matka mnie zabije, jeśli nie powiem jej wszystkiego.

– Moja żona też będzie chciała to wiedzieć – zaprotestował Robby. – I Angus, i Emma.

Ksiądz westchnął.

– No dobrze. Pewnie będę musiał powiedzieć Romanowi. Nie pozwolimy tylko, by to wyszło poza naszą małą społeczność. Czy godzisz się na coś takiego, Marielle?

– Tak. Jestem wdzięczna, że wy i wasi przyjaciele pomagacie mi. – Wiedziała wystarczająco dużo o współczesnym świecie, by zdawać sobie sprawę, że sama raczej by nie przetrwała. Nie miała dowodu tożsamości, aktu urodzenia (ponieważ się nie urodziła) ani pieniędzy, by zapłacić za jedzenie, schronienie i ubranie. Co więcej, gdyby żyła pośród ludzi, byłoby praktycznie niemożliwe nie dotknąć kogoś niechcący i nie spowodować jego śmierci.

Ta mała społeczność dobrych wampirów była dla niej najlepszym miejscem i Marielle wiedziała, że fakt, iż



została znaleziona przez jednego z nich, nie był zwykłym zbiegiem okoliczności. Wszystko wskazywało na to, że jej przypuszczenia są słuszne. Jeśli uda jej się wypełnić jakąś szlachetną misję na ziemi, może zostanie uznana za godną i na nowo dołączy do Niebiańskich Zastępów.

Usiadła na bujanym fotelu i skrzywiła się, gdy dżinsy ścisnęły jej uda i zmarszczyły się pod kolanami. Było to dziwaczne uczucie. Jej koszulka była czarna, z napisem *Ugryź mnie* na piersi. Dziwne hasło do noszenia wśród wampirów, ale najwidoczniej śmierć nie pozbawiła ich poczucia humoru. Szczerze mówiąc, jak na grupę nieumarłych byli wyjątkowo pełni życia.

Odchrząknęła, czując na sobie wyczekujące spojrzenia czterech mężczyzn. Robby i Gregori znów siedzieli na kanapie z ojcem Andrew, a Connor stał za nimi z rękami założonymi na zakrwawionej koszuli. To była jej krew. Znów ogarnęła ją fala smutku z powodu utraty skrzydeł. A jeśli już nigdy nie będzie latać?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Zapewniam was, że nie chcę zrobić nikomu krzywdy. Wierzę, że moje moce znikną z czasem, ale na razie będę bardzo uważać, by nie dotknąć żadnego śmiertelnika.

– Dziękuję. – Ojciec Andrew się uśmiechnął. – Ale trudno będzie stwierdzić, czy twoja moc całkowicie zniknęła. Żaden śmiertelnik raczej nie zgłosi się na ochotnika, żeby to sprawdzić.

Skinęła głową.

– To ile masz lat? – spytał Gregori.

Robby burknął.

– Nic dziwnego, że nie masz dziewczyny.

Marielle się uśmiechnęła.

– Trudno powiedzieć. My nie postrzegamy czasu tak samo jak wy. Moje pełne imię to Marielle Quadriduum. Zostałam stworzona, wraz z tysiącami innych aniołów, Czwartego Dnia.

– Do licha – mruknął Gregori. – Jesteś... prastara. – Skrzywił się, kiedy Connor strzelił go w tył głowy. – No przecież jest. A myślałem, że ty jesteś stary.

Connor spojrział na niego z uniesioną brwią.

– Czwartego Dnia – mruknął ojciec Andrew. – Tego samego dnia Bóg stworzył słońce i księżyc.

– Tak. I miliony innych słońc i księżyców. – Westchnęła. – Mnie oddelegowano do nadzorowania pewnego systemu słonecznego.

– O rety! – Gregori wyszczerzył się w uśmiechu. – Byłaś jak Cesarzowa Galaktyki. Super.

Spojrziała na niego z powątpiewaniem.

– Tam były tylko trzy planety.

Gregori pochylił się do przodu.

– A na jednej z nich istniało inteligentne życie?

– Tak – mruknął Connor. – Ale ty byś go nie rozpoznał.

Gregori posłał mu zirytowane spojrzenie; Robby się roześmiał.

Ojciec Andrew pokręcił głową.

– Proszę, mów dalej, moja droga.

Marielle rozsiadła się wygodniej w fotelu.

– Każda z moich planet była wielką, zmrożoną skałą, otoczoną gęstą atmosferą z metanu.

– Kurczę! – Gregori poczuł się urażony w jej imieniu. – We wszechświecie jest tyle planet, a tobie się dostały jakieś śmieci.

Roześmiała się.

– Przykro mi to mówić, ale większość z nich to śmieci. A przynajmniej na takie wyglądają. Wiele z nich mimo to spełnia ważną funkcję.

– Jak na przykład Jowisz, który przyciąga meteoryty i tak chroni Ziemię? – spytał cicho Connor.

Z uśmiechem skinęła głową.

– Tak. – Któż mógł się znać na planetach obrońcach, jeśli nie Connor.

Gregori spojrzał na niego przez ramię.

– Znasz się na astronomii?

Connor odpowiedział mu marsową miną.

– Oglądam nocne niebo od prawie pięciuset lat. Kto by nie chciał się czegoś o nim dowiedzieć?

– Szóstego Dnia tak się już nudziłam, że poprosiłam o przeniesienie – kontynuowała Marielle. – Ojciec stworzył na Ziemi rodzaj ludzki i wszystkie zwierzęta, i był bardzo zadowolony. Prawdę mówiąc, wszyscy byliśmy zafascynowani, a Ojciec chciał chronić swoje nowe stworzenia, więc wielu aniołów dostało przeniesienie na Ziemię. Niektórzy zostali Stróżami i

Bożymi Wojownikami. Inni Uzdrawicielami i Wybawicielami.

– Tak jak ty? – spytał Robby.

Marielle spochmurniała.

– Najpierw byłam Uzdrawicielką. Moim przełożonym był Buniel i bardzo się z sobą zaprzyjaźniliśmy. Uwielbiałam uzdrawiać.

– I co się stało? – chciał wiedzieć Gregori.

– Okazałam... okazałam nieposłuszeństwo. Pierwszy raz zdarzyło mi się to w Europie Wschodniej, pod koniec okresu, który ludzie nazywają średniowieczem. Dostałam naganę i byłam grzeczna przez kilka waszych stuleci. Ale kiedy sprzeciwiłam się po raz drugi... – Zadrzała. – To była fatalna sprawa.

– Nie musisz nam mówić, jeśli nie chcesz – wtrącił cicho ojciec Andrew.

Marielle nie lubiła o tym mówić, ale kiedy spojrzała na Connora, poczuła nagłą potrzebę wyznania wszystkiego. Chciała, żeby wiedział.

– Kazano mi uzdrowić kobietę w szpitalu w Missouri. Zrobiłam to, ale kiedy już wracałam do nieba, usłyszałam rozpaczliwą modlitwę innej kobiety, która płakała nad umierającym dzieckiem. Chłopiec miał ledwie rok i nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie mam go na liście. Kobieta i dziecko tak strasznie cierpieli, że nie mogłam tego znieść, więc zawróciłam, żeby ją pocieszyć, a potem dotknęłam chłopca. Kiedy Zackriel przyszedł po jego duszę, był wściekły, że go uzdrowiłam. Chciał mimo

to go zabrać, ale dostał rozkaz, że ma się w to nie mieszać. Miałam patrzeć na skutki mojego nieposłuszeństwa.

– Co może być złego w uratowaniu małego dziecka?  
– spytał Connor.

Marielle się skrzywiła.

– Matka zaczęła wierzyć, że jej syn jest wyjątkowy, że nie może mu się stać krzywda i że przez to jest lepszy od innych ludzi. Wychowała go w takim przekonaniu i jego osobowość... została wypaczona.

– Co takiego zrobił? – zadał pytanie ojciec Andrew.

Marielle ścisnęło się gardło, ale wydusiła z niego słowa.

– Zamordował. Nieraz. I czerpał z tego przyjemność.

– Zamknęła oczy. – To była moja wina. Powinam była pozwolić mu umrzeć.

– Nie mogłaś tego przewidzieć – zauważył Connor.

Otworzyła oczy i ujrzała w jego twarzy współczucie.

Nie osądzał jej, i to ją wzruszyło.

– Mimo to postąpiłam źle. Powinam była ufać mądrości Ojca.

– Wygląda na to, że wszystkim nam trudno jest wierzyć – stwierdził ojciec Andrew ze łzami w oczach.

Marielle skinęła głową.

– Odebrano mi moc uzdrawiania i zrobiono ze mnie Wybawicielkę. Moją karą było odprowadzanie dusz wszystkich kobiet zgwałconych i zamordowanych przez potwora, któremu pozwoliłam żyć.

– Zabijał kobiety? – zapytał Robby, nagle dziwnie blady. – Jak się nazywał?

– Otis Crump.

Wszyscy czterej mężczyźni drgnęli.

– Jasna cholera! – Robby zerwał się z kanapy.

Marielle zdrętwiała pod wściekłym spojrzeniem, które posłał jej Robby, zanim zaczął chodzić po pokoju. Jej umysł pracował gorączkowo, szukając wyjaśnienia ich reakcji. Przez wszystkie lata, kiedy wybawiała jego ofiary, Otis był śmiertelnikiem. Kiedy wreszcie trafił do więzienia, tak jej ulżyło, że natychmiast złożyła prośbę o przywrócenie do funkcji Uzdrowicielki. Na czas, kiedy jej prośba była rozpatrywana, oddelegowano ją do wybawiania staruszków. To zajęcie zupełnie jej nie przeszkadzało aż do dziś, kiedy Zackriel kazał jej pójść po dzieci zaatakowane przez Oszukańców.

Ten rozkaz wywołał u niej gniew. To Oszukańcy powinni tracić życie, a nie niewinne dzieci.

– Usłyszałem już dość – warknął Robby, krążący wokół stołu i krzesel. – Angus dostanie mój raport. Nie chcemy mieć z nią nic wspólnego.

Connor ruszył w jego stronę.

– Czekaj...

– Nie! – Robby gniewnie patrzył na Marielle. – Być może zabiła Shannę i niewiele jej brakowało do zabicia mojej żony!

Marielle się zachłysnęła.

Ojciec Andrew i Gregori wstali, więc i ona podniosła

się z fotela. Serce łomotało jej niespokojnie, nie rozumiała, co się dzieje.

– To najlepszy dowód, jak bardzo jest dla nas niebezpieczna – oznajmił Robby.

– Nie – zaprotestował Connor. – To dowód, jaka jest ważna. Jej los od dawna jest spleciony z naszym.

– Muszę się zgodzić z Connorem – dodał ojciec Andrew i zwrócił się do Marielle. – Żona Robby’ego, Olivia, pracowała w FBI. To ona wsadziła Otisa Crumpa do więzienia.

Marielle dostała gęsiej skórki.

– Tak, ale ten drań i tak prześladował ją latami! – krzyknął Robby. – A potem Casimir teleportował go z więzienia i przemienił w wampira. Crump o mało nie zabił Olivii!

Marielle zatoczyła się do tyłu i uderzyła o bujany fotel.

– N... nie wiedziałam o tym.

– Jesteś cholernym aniołem. Powinnaś wiedzieć wszystko! – krzyczał Robby.

Pokręciła głową.

– Ale nie wiem. Ludzie, nawet wampiry, mają wolną wolę. Nie mogę przewidzieć, co zrobią.

– Możesz przewidzieć, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego – warknął Robby. – Powiem Angusowi, żeby zrobił to samo.

– Więc jesteś głupcem – zawyrokował cicho Connor.

Robby obrócił się przodem do niego, twarz mu

pociemniała. Zacisnął dłonie w pięści.

– Zechcesz to powtórzyć, Connor?

– Dość! – Ojciec Andrew ruszył w ich stronę. – Robby, twoja żona jest cała i zdrowa, a Otis Crump nie żyje. Marielle nie miała nic wspólnego z jego przemianą.

Robby posłał jej gniewne spojrzenie.

– Miała pozwolić mu umrzeć.

– Owszem, nie wykonała rozkazu – przypomniał Connor. – I została za to ukarana.

Oczy Marielle napełniły się łzami, wzrok jej się zamazał.

– Zdaję sobie sprawę, że przez moje błędy cierpieli ludzie. Żałuję tego całym sercem. – Spojrzała w oczy Connora i niezłomna determinacja, którą w nich ujrzała, dała jej pociechę.

– Robby – zaczął Gregori. Przygładził dłonią swoje gęste włosy. – Stary, nie możemy jej tak po prostu... wyrzucić. Co się z nią stanie?

Robby z chmurną miną założył ręce na piersi.

– Ona potrafi wyczuć śmierć – oznajmił Connor.

Robby spojrzał na niego ponuro.

– Kiedy Casimir i jego słudzy zaczną się znów pożywiać i ich ofiary zaczną umierać, Marielle będzie o tym wiedziała – wyjaśnił Connor i wreszcie spojrzał na nią. – Wiesz dokładnie, gdzie ktoś umiera, prawda?

Skinęła głową.

– O rety – szepnął Gregori.

– Zawsze podążaliśmy za Casimirem szlakiem



trupów – ciągnął Connor. – Zawsze zjawialiśmy się po fakcie, kiedy Casimira i jego sługusów już nie było. Wyobrażacie sobie, jak by to było, gdybyśmy mogli się zjawić, kiedy oni jeszcze się pożywiają? Gdybyśmy mogli ich zaskoczyć?

Robby'emu zaświeciły się oczy.

– Wreszcie mógłbym zabić Casimira.

Serce urosło w piersi Marielle. To było to – ta szlachetna misja, którą miała do wykonania, by móc wrócić do nieba. To było doskonałe! Wszystkie te kłótnie z Zackriem, kiedy upierała się, że złe wampiry należy powstrzymać – teraz mogła użyć swoich mocy, by do tego doprowadzić.

Connor patrzył na nią błyszczącymi oczami.

– Potrzebujemy jej. Ona jest naszą tajną bronią.

– Zgadza się, że Marielle została nam zesłana w jakimś celu – oświadczył ojciec Andrew. Zwrócił się do niej z zatroskaną miną. – Ale musimy być z tobą szczerzy, moja droga. Walka z Casimirem jest niebezpieczna. Jesteś gotowa nam pomóc?

Marielle skinęła głową.

– Tak. Jestem gotowa. – Spojrzała na Connora i jej serce przepełniła radość. Ojciec Niebieski jej nie opuścił. Przysłał Connora, by ją uratował i jej bronił. Ale na tym nie koniec: Connor i jego przyjaciele dawali jej cudowną okazję, by mogła uczynić świat lepszym miejscem i udowodnić tym samym, że jest godna powrócić do nieba.

A tymczasem nie mogła się już doczekać, by znów

być sam na sam z Connorem. I wciąż była ciekawa tej mrocznej tajemnicy, którą skrywał w sercu. Może nawet zbierze się na odwagę i spyta go o Darcy.

## Rozdział 10

Plany Marielle spaliły na panewce.

Connor teleportował się do Romatechu z Robbym, żeby przedyskutować strategię z Angusem i Emmą MacKay. Zanim zniknął, wyjaśnił jej, że Angus był kiedyś generałem wampirycznej armii, a teraz on i jego żona szefują firmie MacKay Usługi Ochroniarskie i Detektywistyczne, która w dzisiejszych czasach lepiej się nadaje do walki z Casimirem i Malkontentami.

– Nie będę mógł cię strzec, kiedy słońce wzejdzie – uświadomił jej.

– Nie będzie cię tutaj? – spytała, zdumiona własnym rozczarowaniem. Jakże szybko nauczyła się na nim polegać. Ale przecież nie będzie mogła na nim polegać, kiedy za dwie godziny padnie martwy.

– A co z demonem? – spytał ojciec Andrew, nim Connor zdążył odpowiedzieć na jej pytanie. – Nie zjawi się tu w ciągu dnia?

– To możliwe – mruknęła. Jakoś myśl o Connorze, który będzie martwy przez cały dzień, była dla niej bardziej niepokojąca niż ewentualność ponownego spotkania z Daraferem. Nic dziwnego, że Connora spowijał taki smutek. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było nigdy nie oglądać wschodu słońca, nie widzieć tęczy.

– Znajdę ci kogoś do ochrony – obiecał Connor i zniknął.

Natychmiast zaczęła za nim tęsknić.

Ojciec Andrew zakrzętnął się w kuchni i zaparzył im po filiżance herbaty. Była znośna w smaku, ale nie umywała się do czekolady, którą dał jej Connor. Ksiądz miał wiele pytań, ale Gregori po chwili oznajmił, że Marielle potrzebuje przerwy i że wie, co jej poprawi humor.

To się nazywało taniec disco. I rzeczywiście, śmiała się do rozpuku. Ojciec Andrew patrzył na nich z uśmiechem, ale w końcu osunął się na kanapie i usnął.

– Biedaczek. – Gregori ściszył dźwięk w odtwarzaczu CD. – Już dawno powinien być w łóżku.

Niedługo potem w pokoju zamigotały i zmaterializowały się trzy postacie.

– Witam panie. – Gregori przywitał je czarującym uśmiechem. – Pozwólcie sobie przedstawić naszego anioła, Marielle.

Wszystkie trzy gapiły się na nią, jakby w nie piorun strzelił.

Uśmiechnęła się na powitanie, choć poczuła ukłucie rozczarowania, że Connor nie wrócił. Niemniej trzy kobiety wyglądały interesująco. Jedna miała liliowe, najeżone włosy i nosiła czarny, obcisły strój i czarne botki na obcasach. Była przewiązana czarnym pejczem w pasie. Trzymała pod rękę drugą kobietę, ubraną w dżinsy, flanelową koszulę i kowbojki. Ta druga miała gęste, długie włosy, a ich kolor był piękną mieszanką brązu, złota i miedzi. Kiedy tylko się zmaterializowała, odsunęła

się od tej z fioletowym jeżem na głowie.

Trzecia kobieta wyglądała bardzo młodo, ale jej zdolność teleportacji wskazywała, że była wampirzycą i mogła być w dowolnym wieku. Miała kasztanowe włosy mocno ściągnięte w kucyk, a była ubrana w dzinsy i prosty, kremowy sweter. Trzymała całe naręczce toreb.

– Vanda, miło cię widzieć. – Gregori z szerokim uśmiechem uściskał kobietę z liliowymi włosami. – Widzę, że małżeństwo nie zepsuło twojego stylu. Hej, Marta, a co u ciebie?

Młoda wampirzyca uśmiechnęła się do niego wstydliwie i ruszyła do kuchni.

– W porządku. – Postawiła torby na blacie. – Przyniosłyśmy parę rzeczy dla... – Nerwowo obejrzała się na Marielle.

– Niech cię Bóg błogosławi. – Marielle uśmiechnęła się, a Marta poczerwieniała i szybko odwróciła głowę.

– Więc jesteś aniołem? – spytała kobieta w kowbojkach, zaczepiając kciuki o szlufki spodni.

– Czy my się nie spotkaliśmy? – spytał ją Gregori. – Wyglądasz znajomo.

Kobieta posłała mu niecierpliwe spojrzenie.

– Możliwe. Walczyłam w bitwie w Dakocie Południowej, ale przez większość czasu byłam w wilczej postaci.

Marielle zeszywniała. Ta kobieta była wilkołakiem? Nie miała nic przeciwko zmiennokształtnym, ale wilcza postać budziła w niej niepokój, bo było to ulubione

przebranie wielu demonów.

– To jest Brynley – przedstawiła ją Vanda. – Siostra bliźniaczka Phila. – Spojrzała na Marielle i sprecyzowała: – Phil to mój mąż. A Marta jest moją siostrą.

– Rozumiem. – Marielle starała się nie okazywać, że jest dezorientowana. Siostry wampirzyce? I jedna z nich była żoną wilkołaka? I miała liliowe włosy?

– Cudownie, że mogę cię poznać. – Gregori z uśmiechem zbliżył się do Brynley. – Phil i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Tak? – Brynley posłała Vandzie cierpkie spojrzenie. – No cóż, mój brat ma dziwny gust.

Vanda parsknęła.

– Zdaje się, że ta obelga dotyczyła również ciebie, Gregori.

– Na pewno nie. – Gregori przycisnął dłoń do piersi i zrobił urażoną minę. – Ja jestem jednym z najmiłszych gości, jakich poznasz w życiu.

Brynley nie była jednak pod wrażeniem.

– I jednym z najlepiej ubranych. – Gregori poprawił spinki mankietów.

Brynley uniosła brew.

– A potrafisz powalić łosia w sześćdziesiąt sekund? – Kiedy Gregori zawahał się, wzruszyła ramionami. – Tak też myślałam. – Odwróciła się do Marielle i przyjrzała się jej z ciekawością. – Naprawdę jesteś aniołem śmierci? Nie wyglądasz zbyt strasznie.

– Mogłaby powalić ciebie w sześćdziesiąt sekund –

mruknął Gregori.

Brynley lekko zbladła, ale wojowniczo wysunęła podbródek.

– Nie boję się.

Marielle widziała, że ta wilkołaczka nie jest taką twardzielką, jaką udaje.

– Zgłosiłaś się, żeby mnie chronić w ciągu dnia?

Brynley wzruszyła ramionami.

– Ktoś musiał. Wampiry za dnia są całkiem bezużyteczne, a śmiertelniczki za bardzo się bały. Więc pomyślałam sobie, dlaczego nie. Nie co dzień poznaje się prawdziwego, żywego anioła.

– Doceniam twoją odwagę – odparła Marielle. – I mogę cię zapewnić, że nikomu nie chcę zrobić krzywdy.

Brynley skinęła głową.

– Dobrze wiedzieć.

Vanda spojrzała z czułością na swoją szwagierkę.

– Brynley zamieszkała z nami jakiś tydzień temu. Jesteśmy z Philem zachwyceni.

Brynley zrobiła zażenowaną minę.

– Miałam powyżej uszu tego, że ojciec mówił mi, co mam robić. Miał czelność wydać dla mnie wielkie przyjęcie urodzinowe i ogłosić moje zaręczyny w obecności setki członków watahy.

– Wychodzisz za męża? – spytała Marta, która wypakowywała torby w kuchni.

– Nie – warknęła Brynley. – Przed zaręczynami nie widziałam gościa na oczy. Jakiś alfa z Alaski. No więc

spakowałam manatki i wyjechałam. Wiedziałam, że Phil przyjmie mnie w swojej szkole.

– Wszyscy przyjęliśmy cię z radością – zauważyła cicho Vanda.

– Jesteście ze szkoły? – spytała Marielle.

– Z Akademii Dragon Nest – wyjaśniła Vanda. – Uczę tam plastyki. Brynley chce uczyć angielskiego, a Marta pracuje w sekretariacie. – Przeciągnęła dłonią po fioletowych, sterczących włosach. – Prawdę mówiąc, cieszę się, że wyrwałam się stamtąd na chwilę.

– Ja też – mruknęła Marta z kuchni.

– Dlaczego? – spytał Gregori. – Co się dzieje?

Vanda prychnęła.

– Dziesięciu nastoletnich wilkołaków, uczących się jak zostać alfą? Będziemy mieć szczęście, jeśli się nie pozabijają.

Brynley się skrzywiła.

– Nie bez powodu w stadzie jest tylko jeden alfa.

– No. Dorzuc do tego piątkę osieroconych panterołaków i nowego tygrysołaka z Tajlandii... – Vanda pokręciła głową. – Koty i psy rzadko żyją w zgodzie.

– Potrzebujemy więcej dziewczynek. – Marta wstawiła talerz z jedzeniem do mikrofalówki. – Młode wilkołaki ciągle próbują mnie podrywać.

Brynley się roześmiała.

– No cóż, wyglądasz na czternaście lat.

Marta jęknęła i wcisnęła parę guzików na urządzeniu.



– Miałam piętnaście lat, kiedy mnie przemieniono, ale to było w trzydziestym dziewiątym roku.

– Więc to jest szkoła dla zmiennokształtnych dzieci?  
– zapytała Marielle.

Vanda kiwnęła głową.

– Mamy też trochę śmiertelnych dzieci, które wiedzą za dużo, żeby móc chodzić do zwykłej szkoły. No i są jeszcze hybrydy, pół śmiertelnicy, pół wampiry.

– Roman wymyślił sposób, dzięki któremu wampiryczni mężczyźni mogą mieć dzieci – wyjaśnił Gregori. – On i Shanna mają dwójkę.

Ta kobieta, która o mało nie zginęła, ma dzieci? Marielle posłała w niebo modlitwę, żeby Shanna przetrwała przemianę. Cisza. Zgarbiła się z rezygnacją.

– Rozumiem, że Connor we wszystko cię wtajemniczył? – indagował Gregori Vandę.

– Tak. I był bardzo... przejęty. – Z ciekawością przyjrzała się Marielle. – To zaszczyt móc cię poznać.

– Connor pomyślał, że możesz być głodna – stwierdziła Marta, wyjmując talerz z kuchenki mikrofalowej. – Przyniosłyśmy ci jedzenie ze stołówki.

– I parę innych rzeczy – dodała Vanda. – Szampon i odżywkę, i różne inne kobiece drobiazgi. Connor wyjaśnił, że nigdy wcześniej nie miałaś ciała, więc możesz potrzebować paru babskich... porad.

– Zdaje się, że na mnie już czas – mruknął Gregori. Podszedł do kanapy i wziął księdza na rękę.

– Dzięki, że wpadłeś, Gregori. – Marielle skinęła mu

głową.

Gregori wyszczerzył się radośnie.

– To na razie, aniołku. – Zniknął, zabierając z sobą ojca Andrew.

– Chodź i jedz, póki gorące. – Marta postawiła miskę i talerz na stole.

– Przydałyby się sztucce. – Vanda szybkim krokiem weszła do kuchni.

Marielle powoli podeszła do stołu i usiadła na krześle, które wskazała jej Marta. Prawdziwy ludzki posiłek. Zapach dotarł do jej nosa, korzenny i kuszący. Głód odezwał się w żołądku, ale towarzyszył mu lekki strach. A jeśli bycie człowiekiem spodoba jej się za bardzo? Bo z pewnością spodobały jej się objęcia Connora, jego pocałunki.

– To jest surówka. – Marta wskazała miskę, a potem talerz. – A tu masz lasagne i bagietkę.

To wszystko wyglądało tak obco. I kolorowo. Marielle nie wiedziała, od czego zacząć.

– A to jest nóż i widelec. – Vanda położyła jej przy talerzu jakieś utensylia i postawiła mniejszy talerzyk. – To jest deser. Ciasto czekoladowe.

Marielle wyprostowała się ożywiona. Czekolada? Wzięła widelec i dźgnęła nim ciasto.

– Nie, nie – szepnęła Marta. – Ciasto powinno się jeść na końcu.

– Dlaczego? – Marielle wsadziła kawałek ciasta do ust.

Brynley roześmiała się i siadła przy drugim końcu stołu.

– Sama zawsze się nad tym zastanawiałam.

Vanda postawiła na stole szklankę z wodą i położyła parę serwetek.

– Po tym wszystkim, co dzisiaj przeszłaś, do diabła z zasadami.

Marielle skinęła głową. Czekolada rozpływała jej się w ustach. Co za pyszności.

– Niezbyt dobrze mi idzie wypełnianie rozkazów.

Brynley westchnęła.

– Sama przeżywam akurat okres buntu.

– Nie chcesz wyjść za mąż? – Marta przyniosła na stół dwie butelki syntetycznej krwi i podała jedną z nich siostrze. Obie z Wandą usiadły po bokach stołu.

– Mogę żyć setki lat. – Brynley rozsiadła się leniwie na swoim krześle. – Dlaczego miałabym chcieć się przykuwać do jednej osoby?

– Twój brat to zrobił. – Marta napiła się z butelki.

Brynley wzruszyła ramionami.

– Phil się zakochał. – Spojrzała na Wandę z irytacją.

– Ale wygląda na szczęśliwego.

Vanda się uśmiechnęła.

– Bo jest. – Ona też wypila łyk krwi.

Marielle jadła swoje ciasto i z ciekawością przyglądała się kobietom.

– Może zmienisz zdanie na temat małżeństwa, kiedy poznasz właściwego mężczyznę – zasugerowała Marta.

Brynley się zachnęła.

– Nie ma czegoś takiego jak właściwy mężczyzna. Oni wszyscy są tacy sami. Śmiertelnicy czy zmiennokształtni. Ich wszystkich interesuje tylko jedno. – Zabębniła palcami po stole. – Nie żebym miała coś przeciwko seksowi. Lubię seks. Bardzo.

Marta skrzywiła się i spojrzała na Marielle.

– Nie wiem, czy to odpowiedni temat do rozmowy.

– Proszę, nie czujcie się skrępowane z mojego powodu. – Marielle zjadła kolejny kęs ciasta.

– No właśnie. Jeśli mamy jej udzielać rad, jak być kobietą, to musi wiedzieć, jacy są mężczyźni. – Brynley zerwała się i przeszła do kuchennej części. – Jest więcej tego ciasta?

Vanda zerknęła z ciekawością na Marielle.

– A co ty o tym myślisz? Wszyscy mężczyźni są tacy sami?

– Nie. Wierzę, że każda istota ludzka jest wyjątkowa.

– W myślach zamajaczył jej obraz Connora.

– Przyznaję, że mogą wyglądać i zachowywać się różnie – zawołała Brynley z kuchni – ale wszystkim tylko jedno w głowie.

Marta pokręciła głową.

– Nie przez cały czas.

Brynley wróciła do stołu z ciastem na talerzyku w jednej ręce i z widelcem w drugiej.

– Nie słyszałyście o zasadzie trzech kroków?

– O czym? – zdziwiła się Marta.

Brynley postawiła talerzyk na stole i usiadła.

– No więc, to działa tak. W każdej, dowolnej chwili mężczyzna jest ledwie o trzy kroki od myśli o seksie.

Vanda się uśmiechnęła.

– Przez cały czas? A powiedzmy, że proszę Phila, żeby wyniósł śmieci.

Brynley zaczęła odliczać kroki na palcach.

– Jeden: oczywiście, wyniosę dla niej śmieci. Dwa: co ona mogłaby zrobić dla mnie? Trzy: loda.

Vanda wybuchnęła śmiechem, a Marta oblała się rumieńcem i spojrzała przepaszajaco na Marielle.

– To nie jest zabawne – syknęła do siostry.

Vanda zakryła usta, żeby ukryć uśmiech.

– No, tylko widzisz, dwie noce temu poprosiłam Phila, żeby wyniósł śmieci, a potem...

– Nie chcę o tym słyszeć. – Brynley uniosła rękę, żeby ją uciszyć.

– Na pewno nie. – Marta napiła się z butelki.

– Co to znaczy zrobić loda?

Marta się zakrztusiła.

Vanda i Brynley wybuchnęły śmiechem i spojrzały na siebie.

– Powiesz jej? – spytała Brynley.

– Sama jej powiedz – mruknęła Brynley. – Ty zaczęłaś.

Brynley dziabnęła ciasto widelcem.

– To jest seks oralny, czyjeś usta na czyichś okolicach intymnych. – Wepchnęła do ust wielki kęs.

– Więc to coś podobnego do całowania? – dopytywała się Marielle.

– Mhm. – Brynley kiwnęła głową z pełnymi ustami. Wskazała widelcem w dół. – Tylko trochę niżej.

Marielle przypomniała sobie widok Connora rozciągniętego na plecach, z kiltem zadartym na pierś. Zarumieniła się, kiedy dotarły do niej wszystkie implikacje.

– Bez obrazy, Brynley, ale nie jestem przekonana co do twojej zasady trzech kroków – oświadczyła Marta. – Bywają chwile, niebezpieczne chwile, kiedy mężczyźni muszą myśleć o ważniejszych sprawach niż seks.

Marielle skinęła głową. To jej się wydało logiczne. Spędzała dziś czas w towarzystwie mężczyzn i nie rozmawiali o seksie.

– Muszę się zgodzić – oświadczyła Vanda. – Od lat zadaję się z wampirami i gdyby faceci bez przerwy myśleli o seksie, przez cały czas świeciłyby im oczy.

– Wampirom świecą oczy? – spytała Brynley.

Marielle zeszywniała, serce zaczęło jej łomotać.

– Tak – odparła Vanda. – Zawsze można poznać, kiedy wampir ma ochotę na seks. Nasze oczy świecą wtedy na czerwono.

Widelec wypadł z palców Marielle.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Marta.

– Tak. – Marielle szybko podniosła widelec. – Tylko po prostu to wszystko jest dla mnie takie nowe. – Connor chciał z nią uprawiać seks? Trzy razy? Policzki jej

zapłonęły.

– Nie czuj się zażenowana – zapewniła ją Marta. – Przyzwyczaisz się do bycia człowiekiem.

– Ch... chyba jestem pełna. – Marielle odłożyła widelec.

Marta zapakowała jedzenie i schowała je do lodówki, a tymczasem Vanda zagoniła Marielle do łazienki i pokazała jej wszystkie kosmetyki, które przyniosły. Kiedy Marielle skończyła brać prysznic, Vanda pomogła jej się ubrać w niebieską jedwabną koszulę nocną.

– Jakies pytania? – spytała, siadając obok Marielle na łóżku.

– Chyba nie. – Marielle czesała wilgotne włosy, rozkoszując się kwiatowym zapachem szamponu, którego użyła. Jedwabny materiał przyjemnie dotykał skóry. – Pewnie wydaję ci się bezradnym dzieckiem.

Vanda się uśmiechnęła.

– Nie wyglądasz jak dziecko. Jesteś bardzo piękna. I z pewnością mężczyźni to zauważyli.

Marielle poczuła rumieniec na policzkach, bo znów pomyślała o Connorze. Kiedy go znów zobaczy?

Vanda poklepała ją po ramieniu i wstała.

– Już prawie świta. Ja i moja siostra musimy lecieć. Ale wrócimy jutro w nocy, jeśli chcesz.

– Byłoby mi bardzo przyjemnie. Dziękuję. – Marielle wyszła z Vandą do salonu, żeby pożegnać się z Martą.

Dwie wampirzyce zniknęły.

Brynley zdjęła strzelbę z wieszaka na broń na ścianie.

– Lepiej ją przygotuję, na wypadek gdybyśmy tego potrzebowały.

Marielle skinęła głową, choć nie miała pojęcia, jak skutecznie podziała ziemską broń na demona.

W kuchni zmaterializowała się jakaś postać i serce Marielle zabiło żywiej, gdy zorientowała się, że to Connor.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Wróciłeś!

Szeroko otworzył oczy, oglądając ją od stóp do głów. Zauważyła, że przebrał się w czysty kilt i koszulę. Włosy miał wilgotne i schludnie związane. W ramionach niósł trzy miecze w pochwach.

– Halo! – zawołała Brynley od kuchennego stołu, przy którym ładowała strzelbę. – Ty pewnie jesteś Connor.

– Tak. A ty Brynley, siostra Phila. – Kiwnął jej głową. – Dzięki, że się zjawiłaś.

– Nie ma za co – odrzekła Brynley. – Widzę, że jesteś dobrze uzbrojony.

– Tak. – Położył dwa miecze na kuchennym blacie, jeden zatrzymał dla siebie. – Użyjcie ich, jeśli będzie potrzeba. – Spojrzał z troską na Marielle. – Słońce zaraz wzejdzie. Dziś już nie mam czasu uczyć cię szermierki.

– Nic mi nie będzie – zapewniła go. – Znam parę



własnych sztuczek.

– Prawda. Ogłuszyłaś mnie dwa razy tym swoim podmuchem.

Marielle starała się wygonić z głowy obraz Connora leżącego na plecach z zadartym kiltem. Nie myśl o tym.

Connor otworzył drzwi do garderoby, wszedł do środka i położył trzeci miecz na podłodze. Zdjął koc z półki i rozłożył obok miecza.

Zajrzała do środka.

– Co ty robisz?

– Niedługo zapadnę w śmiertelny sen.

– Hm... nie podoba mi się myśl, że będziesz martwy.

Wykrzywił usta.

– Zwykle z radością czekam na tę chwilę.

– Jak możesz tak mówić?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy jestem martwy, nic nie czuję. – Spojrzał na nią z niepokojem. – Ale dziś nie mogę znieść tej myśli. Nie mogę znieść, że nie będę tu przy tobie, że nie będę wiedział, czy nic ci nie jest.

– Wszystko będzie dobrze. – Spojrzała na podłogę. – Nie byłoby ci wygodniej na łóżku?

– W sypialni są okna. Słońce by mnie usmażyło. – Przechylił głowę i przyjrzał się Marielle. – Sama powinnaś skorzystać z łóżka. To była ciężka noc. Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

Kiwnęła głową. Rzeczywiście, była znużona. I smutna.

– Musisz już iść, dziewczyno – szepnął. – Zaraz padnę trupem.

Cofnęła się o krok i znieruchomiała, kiedy dotknął jej policzka.

– Uważaj na siebie.

Uśmiechnęła się blado.

– Ty też. – Zamknęła drzwi. Dlaczego chciało jej się płakać?

Zamiast pójść do sypialni, wyszła przez frontowe drzwi i stanęła na werandzie. Słońce przebiło się nad horyzont na wschodzie, rozsyłając cudowne promienie między drzewami i malując niebo na złoto i różowo.

– Ścieżka prawych to światło poranne – szepnęła. Wzrok zamazał jej się od łez; odpędziła je mruganiem. Dawniej zawsze kochała wschody słońca. Ale teraz mogła myśleć tylko o Connorze umierającym w szafie.

Kilka godzin później sama ledwie mogła utrzymać otwarte oczy. Brynley zachęciła ją, by się położyła i przespała.

Przykrywając się kołdrą pod szyję, pomyślała o Connorze w garderobie. Wciąż był martwy. Powieki jej się zamknęły.

Na moment ogarnęła ją panika, kiedy poczuła, że uchodzi z niej świadomość. Otworzyła oczy i zapatrzyła się w sufit. Nigdy wcześniej nie spała. Zawsze odpoczywała Siódmego Dnia, ale nigdy nie zasnęła tak naprawdę. Było to dziwne uczucie ukojenia i spoczynku, ale było też trochę przerażające, gdy stopniowo traciła

kontrolę nad sobą.

Oczy ją piekły, tak usilnie próbowała je mieć otwarte, ale w końcu zmęczenie wygrało i zasnęła.

Obudziła się nagle i uśmiechnęła się, czując, jak wspaniale odświeżyła siły. Skorzystała z toalety, umyła twarz i wyszorowała zęby, wdzięczna Vandzie, że nauczyła ją, jak to robić. W końcu ubrała się i poszła do głównego pomieszczenia.

Kuchnię wypełniały cudowne zapachy. Zaburczało jej w żołądku.

– A, jesteś. – Brynley cofnęła się na bezpieczną odległość. Wskazała kuchenny blat. – Usmażyłam jajka na bekonie. Są też tosty i galaretka.

– Dziękuję. – Marielle przygotowała sobie talerz. – Coś się działo, kiedy spałam?

– Nie. – Brynley usadowiła się na kanapie z książką. – Święty spokój. Słońce już zachodzi.

Marielle uśmiechnęła się na myśl, że niedługo zobaczy Connora i rozpocznie swoją nową misję. Będzie pomagać dobrym wampirom. Kiedy zjadła, wyszła na werandę popatrzeć na zachód słońca.

Czekała ją nowa przygoda. Pomoże dobrym wampirom zniszczyć Malkontentów. Świat będzie bezpieczniejszy.

Archaniołowie tak się ucieszą, że zagłosują za przyjęciem jej z powrotem do Niebiańskich Zastępów.

Wróciła do domku i ruszyła w stronę garderoby.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – spytała ją

Brynley z kanapy.

– Nic mi nie będzie. – Weszła do garderoby, zapaliła światło i zamknęła drzwi.

Connor leżał rozciągnięty na plecach, z dłońmi na płaskim brzuchu. Uklękła koło niego, by móc podziwiać jego przystojną twarz. Choć jego włosy miały jasny, rudozłoty odcień, brwi były brązowo-rudawe. Gęste, ciemne rzęsy odcinały się od bladej skóry. Musiał się ogolić, bo szczecina na jego podbródku zniknęła.

Miał ciemnozieloną koszulę, która opinała się na jego szerokich barkach i ładnie komponowała z zieloną kratą kiltu. Nawet podkolanówki miał zielone. Uśmiechnęła się, widząc sztylet ukryty pod prawą skarpetą. Chciał z taką bronią rzucić się na demona.

Jego pierś rozszerzyła się nagle, jakby przyptyw energii ożywił jego serce. Jego ręce drgnęły, oczy się otworzyły.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się szeroko. – Czy raczej dobry wieczór. Trudno się w tym połapać... Aaa! – Krzyknęła, kiedy chwycił ją za ramiona i cisnął na podłogę. – Connorze, co ty! – znów krzyknęła, kiedy pochylił się nad nią, a oczy zapłonęły mu czerwono. Wielkie nieba! Obudził się raptem dwie sekundy temu. Czyżby już myślał o seksie?

Jego dłoń prześliznęła się w górę po jej szyi.

– Dziewczyno, nie wolno budzić śpiącego wampira.

– Sam się obudziłeś. – Pchnęła go w pierś. – I mam gdzieś zasadę trzech kroków. Nie zrobię ci loda.

## Rozdział 11

Connor cofnął się jak oparzony.

– Co to ma... – Czy naprawdę te słowa wyszły z ust jego niewinnego anioła?

Gapił się na Marielle tak osłupiały, że zapomniał na chwilę o tym, jak bardzo jest głodny. I o tym, że jej widok natychmiast obudził w nim głód jej ciała, równie silny jak głód jej słodko pachnącej krwi.

– Ty nie... Co ty...?

– Nie bądź taki zaskoczony. Vanda powiedziała mi, co znaczą czerwono świecące oczy. – Marielle pozbierała się z podłogi i spojrzała na niego z oburzeniem. – Myślisz o seksie. Znowu!

Jasna cholera. Zerwał się z podłogi.

– A coś ty sobie myślała? Nie wolno się zbliżać do wampira, który właśnie się budzi! Mogłem cię ugryźć!

Założyła ręce na piersi.

– Nie wydaje mi się, żebyś myślał o jedzeniu. Znam już zasadę trzech kroków.

– Zasadę czego? – Żołądek boleśnie skręcił mu się z głodu, domagając się krwi. – Nieważne. Muszę coś zjeść.

– Otworzył drzwi garderoby i popędził prosto do lodówki.

Kiedy Marielle wyszła z garderoby, posłał jej zirytowane spojrzenie.

– Nigdy więcej tego nie rób. – Złapał butelkę z krwią, jednym gwałtownym ruchem odkręcił kapsel i

wsadził butelkę do mikrofalówki. Działa go bolały, z wysiłkiem starał się powstrzymać kły przed wysunięciem się.

– Dlaczego złościsz się na mnie? – spytała. – Przecież to ty powaliłeś mnie na podłogę ze świecącymi oczami.

Usłyszał stłumiony pisk z kanapy. Do licha. Teraz siostra Phila wiedziała, co się dzieje. Wyjął butelkę z mikrofalówki i wypił duszkiem kilka łyków krwi.

Poczuł natychmiastową ulgę. Ból dziąseł zelżał, widzenie wróciło do normy.

Marielle podeszła bliżej, przyglądając mu się.

– Oczy przestały ci świecić.

Jęknął w duchu.

– Dziewczyno, głód wampira tuż po przebudzeniu jest bardzo potężny. Potrafi przeradzać się w pożądanie. – Dzięki niedyskrecji Vandy Marielle wiedziała już, że pożądał jej zeszłej nocy. Nie było sensu zaprzeczać. – A ty jesteś bardzo kusząca i... piękna.

Kiedy się uśmiechnęła, zgrzytnął zębami.

– To nie miał być komplement, dziewczyno. To było poważne ostrzeżenie. Musisz trzymać się ode mnie z daleka, dopóki nie wypiję pierwszej butelki krwi. Mogę być niebezpieczny.

Jej uśmiech nie zniknął.

– Nigdy nie uważałam cię za niebezpiecznego.

– Jestem wampirem. – Spojrzał na nią cierpko i napił się krwi.

Wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, żebyś mógł mnie skrzywdzić. Nawet w tej garderobie, mimo głodu i żądy, nie ugryzłeś mnie i nie zażądałeś seksu.

Connor udławił się ostatnim łykiem krwi. Zerknął w stronę kanapy, z której słyszał tłumiony chichot. Do licha. Czyżby popełnił wielki błąd, prosząc Vandę, żeby ściągnęła tu kilka kobiet, które udzieliłyby Marielle paru rad?

Odstawił butelkę do zlewu.

– O czym rozmawiałaś z dziewczynami?

– O mnóstwie spraw – odparła. – O zasadzie trzech kroków, seksie oralnym...

– Chryste Panie. – Przycisnął dłoń do czoła. – Miały cię nauczyć, jak się myje włosy szamponem, a nie udzielać ci instrukcji na temat seksu oralnego! – Serce zabiło mu szybciej na tę myśl. – Zrobiły to?

– Czy co zrobiły? – spytała Marielle.

Z kanapy rozległ się wybuch śmiechu; Connor posłał Brynley zirytowane spojrzenie. Kiedy znów spojrzął na Marielle, jej uroda, jak zwykle, zaparła mu dech w piersi. Ściszył głos w nadziei, że zmiennokształtna go nie usłyszy.

– Udzieliły ci... instrukcji?

Marielle skinęła głową.

– Tak.

Natychmiast stwardniał.

– Naprawdę? – Zamrugnął, starając się powstrzymać

czerwony blask oczu.

– Tak. Jak brać prysznic i myć zęby. Nauczyłam się całego mnóstwa pożytecznych rzeczy. – Uśmiechnęła się do Brynley. – Przez cały dzień byłam pod dobrą strażą. Dziękuję.

Brynley odpowiedziała szerokim uśmiechem; oczy błyszczały jej wesoło.

– Nie ma za co.

– Przepraszam. – Connor wymknął się do łazienki, żeby opróżnić pęcherz i wziąć się w garść. Musiał przestać myśleć o seksie i skupić się na ważnych sprawach. Kiedy już umył ręce i twarz i wyszorował zęby, wrócił do kuchni.

Marielle wciąż tam była; piła wodę ze szklanki.

– Demon nie wrócił? – zapytał. Pokręciła głową. W tej samej chwili zadzwoniła komórka w jego sporraniu. Odebrał szybko. – Tak?

– Dobre wieści – oznajmiła Emma. – Shanna się obudziła i właśnie pije pierwszą butelkę krwi.

Connor odetchnął z ulgą.

– Bogu dzięki.

– Zacziesz dzisiaj trening, jak zaplanowaliśmy? – spytała Emma.

– Tak. – Connor spojrzał na Marielle. Będzie musiał jej wyjaśnić, co ustalono na naradzie strategicznej zeszłej nocy.

– To na razie, bierz się do roboty – odparła Emma. – Chciałam ci tylko dać znać, że Shanna ma się dobrze i nie



może się doczekać, kiedy zobaczy dzieci.

– Z pewnością.

– Stwierdziła też, że chce poznać anioła, ale Roman się nie zgodził. W każdym razie nie przy dzieciach. Zadzwoń, kiedy uda jej się go przekonać do zmiany zdania. – Emma się roześmiała. – Bo zwykle jej się to udaje.

– Dobrze. – Connor rozłączył się i wrzucił komórkę do sporranu.

Marielle patrzyła na niego z nadzieją w oczach.

– Z Shanną wszystko w porządku?

– Tak, o ile bycie wampirem jest w porządku.

– Jej mąż i dzieci na pewno się cieszą, że ciągle jest z nimi. – Marielle westchnęła. – Czułabym się okropnie, gdybym ją zabiła.

– To nie była twoja wina – upierał się Connor. – To ja cię tam zaniósłem.

Posłała mu smutny uśmiech.

– Tęskniłam za tobą przez cały dzień.

Chciałby móc powiedzieć to samo, ale podczas śmiertelnego snu nie czuł niczego. Wcześniej to zawsze było błogosławieństwem, ale podejrzewał, że teraz, kiedy poznał Marielle, już nic nie będzie takie samo.

– Dobrze wyglądasz. Wypoczęłaś?

Skinęła głową.

– Spałam po raz pierwszy w życiu.

– Świetnie. Dziś w nocy będziesz potrzebować dużo siły. – Właśnie miał jej wytłumaczyć, o co chodzi, kiedy

obok nich zmaterializowała się postać.

Ian McPhie postawił dwie torby na kuchennym blacie.

– Vanda stwierdziła, że przyda się wam lepsze zaopatrzenie – wyjaśnił Connorowi, patrząc na Marielle.

– Witaj. – Skinęła mu głową.

Ian wybałuszył oczy. Spojrzał na Connora i znów na Marielle. Otworzył usta, żeby się odezwać, ale zmienił zdanie i uklonił się nisko.

– To jest Ian – przedstawił go Connor. – Zwykle nie jest niemową. I nie stroi się tak na co dzień. – Ukrył uśmiech. Ian miał na sobie galowy kilt, czarną marynarkę z mosiężnymi guzikami i białą koszulę z falbaniastymi mankietami i żabotem.

Ian spojrzał na niego z irytacją.

– To źle, że założyłem najlepsze ubranie na spotkanie z aniołem z nieba?

– Wyglądasz bardzo ładnie – oceniła Marielle. – Piękna koszula.

Ian się zaczerwienił.

– Dziękuję.

Connor założył ręce na piersi i mruknął:

– Ja też mam taką koszulę.

Marielle zignorowała go; dalej rozmawiała z Ianem.

– Kolory twojego kiltu też są bardzo piękne.

Ian posłał Connorowi triumfalne spojrzenie.

– Tak, zawsze uważałem, że tartan rodu McPhie jest jednym z najładniejszych.

Connor prychnął, ale i tak był ciekaw, czy podoba jej się krata Buchananów.

– Słyszeliście już dobre wieści? – spytał Ian. – Shanna się obudziła i czuje się całkiem dobrze.

Marielle skinęła głową.

– To dla mnie ogromna ulga.

– Dla mnie też – odparł Ian, przestępując z nogi na nogę. – Jeśli to nie jest zbyt śmiałość, poproszę cię o łaskawą przysługę. Moja żona spodziewa się pierwszego dziecka i byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś pamiętała o nich w swoich modlitwach.

Kiedy Marielle uśmiechnęła się, Connorowi zaparło dech. Od setek lat nie widział promieni słonecznych. Temu uśmiechowi było do nich blisko.

– To cudownie! Gratulacje. – Marielle dotknęła ramienia Iana. – Niech Bóg błogosławi cię i twoją rodzinę.

Ian kiwnął głową.

– Dziękuję. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, będzie to dla mnie zaszczyt. – Odsunął się o krok. – Ale nie będę ci zabierał więcej czasu. Masz dzisiaj mnóstwo roboty.

– Tak? – spytała.

Ian zrobił zaskoczoną minę.

– Connor ci nie powiedział?

– Właśnie miałem to zrobić – warknął Connor. – Ale ktoś nam przeszkodził.

Usta Iana drgnęły.

– Postaraj się nie być takim zrzędą. Ona jest aniołem,

wiesz.

Connor uniósł brew.

W oczach Iana błyszczało rozbawienie, kiedy zwrócił się do Brynley.

– Podrzucić cię do szkoły?

– Tak. – Brynley zeskoczyła z kanapy i pomachała Marielle. – Do zobaczenia jutro.

– Tak, dziękuję. – Marielle odmachwała jej na pożegnanie.

Ian podszedł do Brynley i otoczył jej barki ramieniem.

– To był zaszczyt, móc cię poznać, aniele. – Zniknął, zabierając z sobą zmiennokształtną.

Nareszcie sami. Connor patrzył, jak Marielle odrzuca na plecy długie, jasne włosy. Wydawała się pogrążona w myślach, jakby na chwilę zapomniała o jego obecności. Wykorzystał to; pozwolił spojrzeniu błędzić po jej ciele.

Ubranie, pożyczone od Emmy, byłoby lepiej dopasowane do szczuplejszej, bardziej atletycznej sylwetki.

Koszulka miała barwę błękitu nieba, jak oczy Marielle, i mocno naciągała się na biuście. Te miękkie, pełne piersi wylewały się z jego dłoni, kiedy padł na nią wczoraj na kanapie. Nie myśl o tym, skarcił się w duchu. Przesunął spojrzenie niżej. Dżinsy opinały ładnie zaokrąglone biodra i, jak to nazwała, cały zestaw kobiecych części intymnych.

Nie myśl o tym! Uniósł spojrzenie na jej twarz, tak

śliczną i anielską – był pewien, że jego myśli natychmiast staną się cnotliwsze. Przygryzła dolną wargę, ściągnając jego uwagę na usta. W głowie zabrzmiały mu jej słowa z garderoby: „Nie zrobię ci loda”.

Jasna cholera, był żaloszny. Wyjął z lodówki kolejną butelkę krwi i wsadził ją do mikrofalówki. Jak mógł tak bardzo pożądać takiej niewinności? Był niegodny dotykać jej butów, a mimo to pragnął trzymać ją w ramionach i czcić ją ustami. Chyba mu rozum odjęło wczoraj w nocy, kiedy oświadczył Angusowi na naradzie, że zajmie się zapewnieniem jej bezpieczeństwa i szkoleniem. Biedna anielica nie była przy nim bezpieczna.

– Żona Iana jest w ciąży. – Zmarszczyła brwi, wciąż zatopiona w rozmyślaniach. – Więc jest śmiertelniczką?

– Tak.

Marielle odwróciła się do niego.

– I ich dziecko będzie hybrydą, jak dzieci Shanny?

– Tak. A w drodze jest ich więcej. Jean-Luc i jego żona mają bliźnięta.

– Te dzieci mają cechy ludzi i wampirów?

Connor skinął głową.

– Wyglądają na zwykłe dzieci. Nie śpią w ciągu dnia i jedzą zwyczajne pożywienie. Ale mają inne... talenty, takie jak lewitacja, teleportacja, zdolność leczenia.

Marielle szeroko otworzyła oczy.

– Fascynujące. Chętnie poznałabym te dzieci. – Westchnęła. – Ale obawiam się, że to by było zbyt

niebezpieczne.

Connor wzruszył ramionami i wyjął butelkę z mikrofalówki.

– Nasza społeczność zawsze styka się z takim czy innym niebezpieczeństwem. Casimir i jego Malkontenci chcieliby unicestwić nas wszystkich. A gdyby śmiertelnicy dowiedzieli się o naszym istnieniu, też chcieliby nas pozabijać.

Marielle zmarszczyła brwi.

– Może ludzie by was zaakceptowali, gdyby się dowiedzieli, że chronicie ich przed Malkontentami.

Uniósł butelkę.

– Zanim Roman wynalazł ten napitek, pozywialiśmy się ludźmi. Nie zabijaliśmy ich, ale nie wyobrażam sobie, żeby byli zachwyceni. Widzą w nas to, czym jesteśmy: pijące krew pasożyty. Bezbożne, nocne potwory.

Skrzywiła się.

– Nie pozwolę, żebyś tak o sobie mówił. Jesteś dobrym, szlachetnym człowiekiem. I wszyscy twoi przyjaciele są przemili.

Connor parsknął.

– Tobie ciągle się wydaje, że jesteś w niebie. To jest ziemia i wszyscy śmiertelnicy uznaliby pozabijanie nas za swój święty obowiązek. Dlatego utrzymanie naszej egzystencji w tajemnicy jest najważniejsze.

– Więc jedziemy na tym samym wózku. Ja też muszę trzymać w tajemnicy swoje istnienie. – Westchnęła. – Dopóki nie wrócę do nieba. Jeśli wrócę.

– Wrócisz. Postaramy się o to.

Jej oczy zmiękły, kąciki ust wygięły się w uśmiechu.

– Dziękuję.

Serce ścisnęło mu się w piersi. Do licha, jak on przetrwa przebywanie z nią sam na sam? Wypił parę łyków krwi i ruszył w stronę kanapy.

– Musimy porozmawiać.

Usiadł i postawił butelkę na stoliku. Zauważył strzelbę i miecz, które Brynley zostawiła w pobliżu. Co by się stało, gdyby Marielle dotknęła broni palnej? Nie chciał tego sprawdzać, więc szybko wyjął naboje.

Marielle usiadła na drugim końcu kanapy.

Connor schował rozładowaną broń pod stół.

– Lepiej trzymaj się z daleka od broni, której nie potrafisz użyć.

– To nie będzie dla mnie problem. – Odwróciła się bokiem na kanapie, podwijając nogi pod siebie. – Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Podejrzewał, że takie będą jej odczucia. Nawet powiedział to Angusowi, ale doprowadziło to tylko do kolejnej kłótni. Choć obaj zgadzali się, że należy jej zapewnić bezpieczeństwo, nie mogli się porozumieć co do sposobu osiągnięcia tego celu.

Connor położył naboje na stoliku i wziął butelkę.

– Jak tylko znajdziemy Casimira, spróbujemy pokonać go w bitwie. Będziesz nam pomagała go namierzyć, więc możesz się znaleźć w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

– Rozumiem.

Napił się łyk krwi.

– Angus chciał, żebym cię szkolił w samoobronie. Ale... się nie zgodziłem.

Usłyszał, że gwałtownie wciągnęła powietrze, więc odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Nie zrozum mnie źle. Chcę, żebyś była chroniona i bezpieczna. Ale nie chcę, żebyś zjawiała się na polu bitwy z mieczem w dłoni. Malkontenci szkolili się latami, niektórzy mieli na to stulecia. Kilka nocy treningu ci nie wystarczy. Angażowanie się w bitwę byłoby w twoim przypadku samobójstwem.

Marielle się skrzywiła.

– Nie wiem, czy dałabym radę, nawet gdybyś tego chciał.

Przełknął więcej krwi.

– Narazasz się na wielkie niebezpieczeństwo, żeby nam pomóc. Mogę spytać dlaczego?

– Uważam, że świat byłby o wiele bezpieczniejszym miejscem bez Casimira i jego podłej kompanii. – Westchnęła. – Ale nie mogę udawać, że robię to tylko po to, by chronić śmiertelników. Mam nadzieję udowodnić, że jestem godna łaski, by Archaniołowie przyjęli mnie z powrotem do nieba.

– Rozumiem. – To wyglądało na niezły plan, ale on musiał utrzymać ją przy życiu, dopóki nie uda jej się osiągnąć celu. – Co zwykle robisz, kiedy jesteś w niebezpieczeństwie?



– Zwykle nie jestem w niebezpieczeństwie. – Odwróciła głowę, by wyrzeć przez okno. – Przedtem zawsze mogłam odlecieć.

– A co z twoim podmuchem powietrza, którym mnie przewróciłaś?

Nie oderwała spojrzenia od okna. Jej oczy zalśniły od niewylanych łez.

– Wolno mi to robić tylko z wyjątkowo ważnych powodów.

– Ratowanie własnego życia to jest wyjątkowo ważny powód.

Spojrzała na niego i mruganiem odpędziła łzy.

– Masz rację. Posłużyłam się tym, próbując powstrzymać Zackriela. A potem znów, kiedy myślałam, że Darafer cię zabije.

– Więc potrafisz kontrolować powietrze?

– Wszyscy aniołowie potrafią kontrolować żywioły do pewnego stopnia. Niektórzy są w tym zręczniejsi od innych. Na przykład woda. Mogę sprawić, żeby zawrzała albo zamarzała. Umiem nawet sprowadzić deszcz. Niektórzy aniołowie potrafią zawrócić bieg rzeki albo...

– Rozdzielić Morze Czerwone?

Kiwnęła głową z cieniem uśmiechu.

– Tak. Chociaż coś tak dużego wymaga wcześniejszej zgody i skoordynowanego wysiłku wielu aniołów. Nie robimy takich rzeczy zbyt często, bo zwykle nie przechodzą niezauważone.

Connor prychnął.

– A ogień? Umiesz go kontrolować?

Wzruszyła ramionami.

– Trochę. Żałuj, że nie widziałeś Bożych Wojowników. Są wspaniali. Walczą ogromnymi, ognistymi mieczami i powożą rydwanami ognia.

Rzeczywiście, chyba potrafili zrobić wrażenie.

– A jest jakaś szansa, że ci pomogą, jeśli będziesz w niebezpieczeństwie?

– Ja... nie wiem. – Przygarbiła się z rezygnacją. – Wcześniej by tak było.

– Te błyskawice, które widziałem w lesie. To były fajerwerki Zackriela?

Marielle skrzywiła się kwaśno.

– Ma prawdziwy talent do ciskania kulami ognia.

– Ciskał nimi w ciebie! Widziałem oparzenia na twoich plecach.

Rozmasowała czoło.

– Próbował mi odciąć skrzydła. Nie chciałam stać nieruchomo i dlatego się poparzyłam...

– Nie usprawiedliwiał go – warknął Connor. – Jeśli go kiedykolwiek dorwę, to pożałuje dnia, kiedy się urodził... czy zaistniał... czy się wyklął z cholernego jajka, nie wiem. Wiem tylko, że jest draniem.

Jej usta drgnęły.

– To nie jest zabawne.

Nie wytrzymała i się uśmiechnęła.

– Nic na to nie poradzę. Jest w tobie coś bardzo ujmującego, kiedy robisz się taki groźny i szorstki.

Connor zbył to wzruszeniem ramion, choć trochę się zaczerwienił.

– Więc jesteś w stanie bronić się ogniem?

Skrzywiła się z przekąsem.

– Nigdy nie byłam w tym dobra.

– Pokaż.

Zawahała się.

– Musimy wyjść na dwór? Zakładam, że jeśli podpalisz las, to zdołasz go ugasić deszczem?

Jęknęła.

– To nie będzie konieczne. – Wyciągnęła rękę w stronę kominka.

Connor poczuł lekki dreszcz energii przemykający przez pokój. Mały płomyk zapłonął na kłodzie w kominku i zgasł.

Zamrugął z niedowierzaniem.

– To... to była tylko rozgrzewka, prawda?

Marielle zarumieniła się mocno i opuściła rękę.

– To by było na tyle.

Spojrzał na palenisko, gdzie nad kłodą widać było ledwie smużkę dymu.

– Więcej ognia widywałem na torcie urodzinowym.

Marielle westchnęła.

– Nigdy nie rozwijałam tej umiejętności. Nie chciałam. Wydawała mi się destrukcyjna, a ja chciałam tylko pomagać ludziom. Uwielbiałam być Uzdrowicielką.

Była tak przybita, że spróbował wymyślić cokolwiek, byle ją pocieszyć.

– Mnie... mnie się podobasz taka, jaka jesteś.

Na jej usta wypłynął uśmiech, a w oczach znów pojawiło się to miękkie, czułe spojrzenie, od którego Connor czuł ściskanie w sercu. Wypił duszkiem resztę krwi i odstawił butelkę na stolik.

– Jakie żywioły nam zostały? Ziemia?

– Potrafię sprawić, żeby zadrżała. To by mogło powstrzymać czyjś atak.

Connor się skrzywił.

– To by zadziało na wszystkich. Tak jak ta twoja sztuczka z powietrzem. Powaliłoby wszystkich dookoła. Trudno w ten sposób wygrać bitwę... chyba że... Myślisz, że mogłabyś się nauczyć zawężać pole rażenia?

– Pewnie bym mogła. Widziałam, jak to robią Boży Wojownicy.

– Więc tak się będziesz bronić. – Connor wstał i wyciągnął rękę. Kiedy ją chwyciła, podciągnął ją na nogi. Już chciał ją puścić, ale jej palce owinęły się wokół jego dłoni.

– Dziękuję, że mi pomagasz, Connorze Buchanan.

Z trudem przełknął ślinę. Chryste Panie, ależ pragnął ją wziąć w ramiona i pocałować. Czy by się opierała? A może stopniałaby w jego objęciach? Czy skorzystałaby z tych wskazówek, których udzieliły jej dziewczyny?

Zamrugnął i odwrócił oczy. Nie mógł dopuścić, żeby zaczęły świecić na czerwono. Zorientowałyby się, co to znaczy. A gdyby ją pocałował, mogłaby zajrzeć w jego czarną duszę. W tej chwili miała o nim fałszywe

wyobrażenie – uważała go za dobrego i szlachetnego – i, na Boga, podobało mu się to. Nie zniósłby utraty jej szacunku i zaufania.

Poza tym nie było sensu zanadto się do niej zbliżyć. Ona chciała wrócić do nieba, a on nie potrzebował w życiu jeszcze więcej bólu.

Puścił ją i odsunął się o krok.

– Masz jakieś buty?

– Tak.

– To załóż je i spotkamy się na zewnątrz. – Ruszył do frontowych drzwi. – Mamy dużo roboty.

## Rozdział 12

Kiedy Marielle wyszła na dwór, chłodne górskie powietrze natychmiast podniosło ją na duchu. W lesie zaśpiewał ptak, a wiatr niósł ku niej zapach sosen. Chwała na wysokości Bogu!

Nie było odpowiedzi, ale nie pozwoliła, by ją to przygnębiło. Miała teraz plan, jak wrócić do nieba, i choć na krótką chwilę utknęła na ziemi, musiała przyznać, że jej się tu podoba. A szczególnie podobał jej się czas spędzony z Connorem.

Światło na werandzie było zapalone i oświetlało polanę przed domkiem. Connor chodził szybko w tę i z powrotem między polaną a sągiem drewna na opał. Księżyc, już prawie pełny, lśnił w jego rudych włosach. Kilt szastał mu się wokół kolan, kiedy chodził po szerokim okręgu, ustawiając klocki drewna.

W rzeczach od Emmy Marielle znalazła skarpetki, buty i kurtkę z kapturem. Cieszyła się teraz, że założyła to wszystko na siebie. Nocne powietrze było zimne, a zanosilo się na to, że sporo czasu spędzą na dworze.

– Chodź. – Connor kiwnął na nią, żeby do niego dołączyła.

Zeszła po schodkach, uważając na dziwne sznurki zwisające z butów. Spojrzała na buty Connora.

– Ach. Muszę się związać, jak ty.

– Słucham?

Wskazała swoje buty.

– A, masz rozwiązane sznurówki. Siadź, to ci pokażę.

Usiadła na schodku werandy. Kiedy Connor ukląkł przed nią, serce zabiło jej szybciej. Jego głowa znalazła się tak blisko, że Marielle widziała, jak cienkie i lśniące są jego włosy. Jego spojrzenie było skierowane w dół, na buty, a gęsta firanka rzęs rzucała cień na policzki. W kształcie jego twarzy, kości policzkowych i żuchwy było coś, co wywoływało w jej wnętrzu dziwne uczucie – jakby drżały w niej wnętrzności. Było jej też trudno oddychać i zastanawiała się, czy on czuje jej drżące oddechy na twarzy.

– Patrz uważnie, żebyś się nauczyła. – Zerknął w górę i źrenice jego dymnych, niebieskich oczu się rozszerzyły.

Serce załomotało jej w piersi. Została przyłapana na podziwianiu jego twarzy. Rumieniec wpełzł jej na policzki.

Connor przełknął ślinę.

– Zacznę jeszcze raz. Patrz.

Skupiła się na bucie, kiedy wiązał sznurówkę, opisując kolejne czynności, ale serce wciąż jej łomotało. Co się z nią działo? Zbyt silne uczucia do Connora tylko skomplikowałyby jej sytuację. Nie mogła do tego dopuścić. Miała nadzieję wrócić do nieba jak najszybciej. Nie mogła paść ofiarą ludzkiego pożądania i tęsknoty.

– No. – Skończył. – Chcesz spróbować?

– Tak. – Pochyliła się, by powtórzyć jego ruchy, ale

włosy opadły jej do przodu, zasłaniając widok. Odgarnęła je do tyłu i była w połowie wiązania drugiej sznurówki, kiedy znów opadły jej na oczy. Warknęła cicho, zirytowana. Nic nie widziała, a gdyby puściła sznurówkę, żeby odgarnąć włosy, musiałaby zaczynać od początku.

Connor delikatnie zebrał jej włosy i przytrzymał z tyłu. Serce podeszło jej do gardła. Drżącymi palcami dokończyła kokardkę.

Puścił włosy.

– Udało ci się. Szybko się uczysz.

– Udzieliłeś mi dobrych instrukcji.

Wyprostował się gwałtownie.

– No cóż, właśnie takie instrukcje powinnaś była otrzymać. – Odszedł sztywno.

Ciekawe, co go gryzie, myślała, dołączając do niego na środku polany. Może Brynley miała rację z tą zasadą trzech kroków.

– Ustawiłem wokół nas dwanaście klocków, jak godziny na tarczy zegarowej – zaczął.

– To przypomina Stonehenge. – Obróciła się wokół własnej osi. – Zawsze uwielbiałam megality.

– To nie wygląda jak megalityczny krąg.

– A jednak tak.

Spojrzał na nią niecierpliwie.

– Nie. Wiem, jak wyglądają kamienne kręgi. Mam taki w domu.

– Naprawdę? Mogę zobaczyć?

Wyraz bólu przemknął po jego twarzy, ale



natychmiast skamieniała.

– Nigdy tam nie wracam. Zapomnij, że to powiedziałem.

Otworzyła usta. Dlaczego człowiek miałby nie chcieć wracać do domu? To musiało mieć coś wspólnego z czarną otchłanią bólu w jego duszy. Teraz, kiedy byli sami, może powinna go spytać o tę jasnowłosą kobietę, Darcy. Albo mogłaby odkryć więcej jego tajemnic, obejmując go. Na myśl o tej drugiej strategii załomotało jej serce.

– Stań tutaj, w środku. – Chwycił ją od tyłu za ramiona i przesunął na właściwą pozycję. Wskazał nad jej ramieniem duży kloc wprost przed nią. – Ten na godzinie dwunastej to twój wróg. Naszym celem jest nauczyć cię, żebyś powalała tylko tego wroga i nikogo poza nim. Zgoda?

– Tak. – Kiwnęła głową ze zmarszczonymi brwiami. Wiedziała, że będzie musiała oszczędzać energię, jeśli miała to powtarzać wiele razy.

– No dobrze – zaczął Connor, stając za nią. – Za pierwszym razem spróbuj zawęzić pole rażenia do połowy, od dziewiątej do trzeciej. Dasz radę?

– Spróbuję. – Obejrzała się na boki, koncentrując uwagę na klocach. Czy naprawdę mogła kontrolować zasięg fali uderzeniowej? I jej siłę? – Może nie powinieneś stać tak blisko mnie.

– Dlaczego? Zamierzasz nawalić?

Posłała mu przez ramię gniewne spojrzenie.

– Nigdy wcześniej tego nie próbowałam. – Wiedziała też, że jeśli nie uda jej się przykręcić mocy, to energia skończy się jej po paru próbach.

– No dobra. – Connor zaczął się cofać, aż stanął między dwoma klockami. – To jazda.

Z jękiem wyciągnęła ręce przed siebie. Nie wiedziała, jak to zrobić; jedyne, co przyszło jej do głowy, to użyć myśli do kontroli. Mniejsza moc, pół kręgu, przykazała sobie. Zacisnęła powieki i wypuściła z siebie małą – jak miała nadzieję – falę energii.

Usłyszała głucho łomoty i stłumione przekleństwo za plecami. Otworzyła oczy. Kłody przed nią przeleciały jakieś sześć metrów i wpadły w las, ale zwykle jej średni zasięg wynosił od dziesięciu do piętnastu metrów, więc chyba udało jej się zmniejszyć moc. Nieźle, pomyślała, uśmiechając się szeroko. Odwróciła się i skrzywiła usta.

Klocki za nią też przeleciały sześć metrów. Podobnie jak Connor.

Podbiegła do miejsca, gdzie wylądował na łacie śniegu pod drzewem. Leżał płasko na plecach z oszołomionym wyrazem twarzy i z zadartym kiltiem.

Marielle odwróciła wzrok, ale ten widok i tak utrwalił się w jej mózgu. Jakimś cudem dziś wydawał się jeszcze większy niż zeszłej nocy. Przypomniało jej się, jak Brynley opisywała seks oralny i zapłonęły jej policzki.

– Co to było, do diabła. – Usiadł i z gniewnym spojrzeniem obciągnął kilt. – Miałaś przewrócić tylko pół

kręgu.

– Nie... nie trafiłam.

Connor zmrużył oczy i zacisnął usta.

– Jeśli chcesz sobie pooglądać moje klejnoty, dziewczyno, wystarczy powiedzieć. Nie musisz obalać mnie na ziemię.

– Nie zrobiłam tego tylko po to, żeby popatrzeć na twojego... – Chwyliła jedną z przewróconych kłód i wróciła z nią na polanę. – Klocki przeleciały jakieś sześć metrów, a to połowa dystansu, na jaki zwykle przesuвам przedmioty. Więc coś mi się jednak udało.

Dźwignął się z ziemi.

– No dobrze. Wierzę ci. – Ruszył wzdłuż skraju lasu, by odszukać klocki i postawić je z powrotem w zegarowym szyku; przyspieszał coraz bardziej, aż Marielle widziała tylko rozmazaną smugę.

Wróciła na środek kręgu.

– Tak szybko się poruszasz. To jeden z twoich wampirycznych darów?

– Tak, jesteśmy obdarzeni supersiłą i superszybkością. I mamy wyostrzone zmysły. – Podeszedł do niej. – Słyszę, kiedy twoje serce przyspiesza.

Znieruchomiała.

Spojrzał na nią znacząco.

– Na przykład w tej chwili.

Jej serce załomotało jak szalone.

– Jestem podekscytowana, że pomagam wam wytropić i pokonać Malkontentów. Dzięki temu świat

będzie bezpieczniejszy.

Jego usta drgnęły.

– To lepiej żebyśmy nie osiągnęli powszechnego pokoju na świecie. Mogłabyś dostać zawału. – Zatrzymał się przy niej. – Więc jak, zamierzasz znowu mnie znokautować?

– Postaram się osiągnąć lepszy skutek, ale nie gwarantuję sukcesu. Może byłbyś bezpieczniejszy na ganku.

Kącik jego ust powędrował do góry.

– Spokojnie. Stanie przy tobie to mój wybór. Wiem, że to się wiąże z ryzykiem.

Znów ustawił się w pobliżu klocków za jej plecami. Marielle skoncentrowała się na półkolu przed sobą i wypuściła małą falę energii.

Tym razem kłody przeleciały zaledwie półtora metra, nim się przewróciły. Obejrzała się przez ramię; cztery kłody za nią wciąż stały, a z nimi stał Connor.

– To działa! – Ruszył w jej stronę. – Doskonale, dziewczyno.

Serce urosło jej od tej pochwały. Odwróciła się przodem do niego i ujrzała jego szeroki uśmiech. Aż jej dech zaparło. Kiedy się tak uśmiechał, wyglądał tak młodo i pięknie, jakby z barków spadło mu kilka stuleci rozpaczy. Nagle przestał się uśmiechać, zmrużył oczy.

Wielkie nieba! Odwróciła się z powrotem. Na pewno usłyszała przyspieszone bicie jej serca. Przycisnęła dłoń do piersi. Jak mogła je powstrzymać? Nie miała nad nim

żadnej kontroli.

Connor zaczął śmigać wokół kręgu i stawiać przewrócone kłody. Marielle wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

Ćwiczyła wytrwale, raz po raz. Po jakichś dwunastu próbach przewracała już tylko trzy klocki – wroga i jego dwóch najbliższych towarzyszy.

W końcu zachwiała się na nogach.

– P... przepraszam. Skończyła mi się energia.

– Chodź, odpocznij. – Poprowadził ją na ganek i usadził na bujanym fotelu.

Położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. Kilka minut później usłyszała jego zbliżające się kroki.

– Proszę. – Wsunął jej w dłoń butelkę wody.

– Dziękuję. – Wypiła łyczek. – Skończyliśmy na dzisiaj?

– Nie. – Oparł się o drewniany filar i założył ręce na piersi. – Teraz pomówmy o twoim wyczuwaniu śmierci.

Będiesz umiała wskazać, które zgony są dziełem Casimira i jego poddanych?

Napiła się jeszcze wody.

– Nie bezpośrednio. Potrafię określić, ile osób umiera, i wyczuwam, czy towarzyszy temu strach i ból.

Connor powoli skinął głową.

– Oni będą się pożywiać tuż po przebudzeniu, po zachodzie słońca, więc pora też będzie dla nas wskazówką. Z jaką dokładnością potrafisz określić miejsce? Podasz nam współrzędne jak GPS?

Marielle zmarszczyła brwi.

– To nie działa w ten sposób. Zwykle po prostu czuję, dokąd mam lecieć, i niosą mnie tam skrzydła. – Westchnęła. – Bez skrzydeł mogę się okazać bezużyteczna dla waszych celów.

– Czujesz to w umyśle? – Kiedy skinęła głową, Connor odepchnął się od słupka i podszedł do niej. – Więc ja będę twoimi skrzydłami.

– Jak? Umiesz latać?

– Teleportuję się z tobą. W ramieniu mam wszyte urządzenie namierzające, więc reszta wampirów będzie mogła podążać za mną.

– Skąd będziesz wiedział, dokąd się udać? Nie umiem ci tego określić.

– Wampiry mają pewne zdolności parapsychiczne. Powinno mi się udać wśliznąć do twojego umysłu.

Patrzyła na niego osłupiała, z szeroko otwartymi oczami. Czuła się tak pusta i samotna bez głosów Niebiańskich Zastępów, wypełniających jej umysł pieśnią i pochwałą Ojca. Boleśnie za nimi tęskniła, a jednak pomysł, że Connor miałby znaleźć się w jej głowie, był... niepokojący. Jego myśli nie będą anielskie. A obecność w głowie tylko jednej osoby wydawała jej się zbyt intymna.

Marielle z trudem przełknęła ślinę.

– To działa w dwie strony. Jeśli nawiążemy takie połączenie, też będę miała wgląd w twój umysł.

Poruszył zuchwą.

– To ryzyko, które muszę podjąć. – Spojrzał na nią gniewnie. – Oczekuję twojej współpracy. Kiedy wejdziesz w twój umysł, skup całą uwagę na miejscu, w które chcesz się udać. Kiedy tylko się teleportujemy, zerwę połączenie. Wszystko razem powinno potrwać raptem kilka sekund.

– Rozumiem. – Miał nadzieję, że stanie się to tak szybko, że ona nie zdąży zajrzeć w ten mroczny obszar bólu i wyrzutów sumienia.

– Musimy poćwiczyć – ciągnął Connor. – Każda noc, kiedy Casimir i jego słudzy grasują po świecie, to kolejne ofiary.

Marielle odstawiła butelkę i wstała.

– No dobrze. Zróbmy to.

Connor skinął głową.

– Powinniśmy zacząć od czegoś łatwego.

Spojrzała na niego cierpko.

– Łatwa śmierć? Powiedz to umierającemu.

– Miałem na myśli śmierć naturalną. I w miarę blisko, by nie było ryzyka, że teleportuję się w światło słoneczne i usmażę.

– Rozumiem. – Zamknęła oczy, by powoli dostroić się do swojego zmysłu śmierci. Już lata temu nauczyła się nie otwierać tych drzwi zbyt gwałtownie, bo wtedy przytłaczała ją liczba zgonów, do których dochodziło na świecie w każdej chwili. Delikatnie sięgnęła do najbliższego miasta, w którym ktoś umarł.

– Znalazłam jedną. – Otworzyła oczy i ujrzała, że

Connor przygląda się jej uważnie; kiedy go przyłapała, natychmiast odwrócił wzrok. – Niedaleko jest miasto. W domu opieki umiera starszy człowiek.

– Możesz się skupić na jakimś miejscu w pobliżu? Gdybyśmy teleportowali się prosto do domu opieki, moglibyśmy wzbudzić panikę albo mogłabyś niechcący otrzeć się o kogoś i spowodować kolejną śmierć. Najlepsze byłoby jakieś odosobnione miejsce na dworze.

Marielle skinęła głową, marszcząc brwi. Nigdy wcześniej nie próbowała z rozmysłem chybić celu.

– Spróbuję.

Sprawdził sztylet w podkolanówce.

– Nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów, ale lubię być przygotowany. – Obejrzał Marielle z góry na dół i chwycił brzeg jej kurtki z kapturem. – Trochę tu zimno. – Połączył końce suwaka i zapiął jej kurtkę pod samą brodę.

– Ach. Zastanawiałam się, jak to działa. – Uśmiechnęła się wstydliwie. – Zorientowałam się, że to wygląda jak zapięcie moich spodni, ale nie wiedziałam, jak zacząć. – Przesunęła suwak w dół i w górę. – Wspaniale. Ludzie są tacy zmyślni.

– Dziewczyno. – Connor przykrył dłonią jej dłoń, przerywając jej zabawę. – Jesteś gotowa?

Wpuścić go do swojego umysłu? Przełknęła ślinę. Przedtem zawsze była otwartą księgą, dzieliła się wszystkim z Niebiańskimi Zastępami. Ale nigdy wcześniej nie drżała z pożądania. Nie chciała, by Connor



wiedział, że wywołuje w niej takie uczucia; że nawet w tej chwili chciała, by wziął ją w ramiona i pocałował.

Wzięła głęboki oddech. Postanowiła, że skupi całą uwagę na miejscu w pobliżu domu opieki. Wtedy on nie wyczuje nic więcej.

– Jestem gotowa.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Zaskoczona zrobiła gwałtowny wdech. Wielkie nieba!

– Musisz się mnie trzymać – pouczył ją miękko. – Żebym mógł się z tobą teleportować.

– Ach, no tak. – Objęła go za szyję. Serce tłukło jej się w piersi. Skoncentruj się. Myśl o miejscu przeznaczenia. Nie o tym, że jesteś w jego objęciach.

Objął ją mocno, przycisnął policzek do jej skroni.

– Otwórz umysł – szepnął. – Wpuść mnie.

Zadrżała, czując zimne ukłucie na czole.

*Marielle*. Jego głos rozległ się w jej myślach.

Był z nią – jego obecność była silna, stanowcza. Taka męska. I zuchwała, jakby żądał od niej duszy. *Marielle*, powtórzył, a ona miała ochotę stopnieć od dźwięku jego głosu.

Zebrała myśli i skupiła się na miejscu przeznaczenia.

*Już mam*, powiedział jego głos i nagle wszystko wokół poczerniało.

Connor szybko rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie był świadkiem ich przybycia. *Marielle* zatoczyła się lekko, kiedy się zmaterializowali, więc nie wypuścił jej z

objąć. Wyglądało na to, że są w jakimś ciemnym zaułku.

– Dobrze. Nikt nas nie widział. – Connor spojrzał w dół, na jej bladą twarz, i serce mu się ścisnęło, jak za każdym razem, kiedy na nią patrzył. Ale teraz to uczucie było jeszcze silniejsze. Był w jej umyśle i było to piękne miejsce, przepełnione miłością i współczuciem do tego stopnia, że przemknęło mu przez myśl, czy nie zdołałaby mu jednak wybaczyć potwornych zbrodni, które popełnił w przeszłości.

Nawet o tym nie myśl. Był potępieńcem, był już na piekielnej liście. Anioł tak piękny jak Marielle nie mógłby go pokochać. Wiedział przynajmniej, że jego tajemnica jest bezpieczna. Marielle była tak zajęta ukrywaniem przed nim własnych myśli, że nawet nie spróbowała naruszyć muru, który budował przez pięćset lat.

Poprowadził ją w stronę ulicy.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Spojrzała w prawo. – Dom opieki jest gdzieś tam.

Wyglądało na to, że zjawili się na jednej z głównych ulic miasta, bo panował tu spory ruch. Mijał ich nieprzerwany strumień samochodów. Krawężniki były gęsto zastawione zaparkowanymi autami. Chodnik był szeroki, latarnie oświetlały długi rząd sklepów z kolorowymi szyldami i markizami.

Chodnik był pełen roześmianych grupki pieszych. W oddali trąbiły klaksony. Z pobliskiej restauracji

rozchodził się zapach grillowanego mięsa.

Po drugiej stronie ulicy ogrodzenie z kutego żelaza oddzielało chodnik od ogrodu. Na szerokim łuku, spinającym przerwę w ogrodzeniu, widniał wymalowany napis: Hudson Park. Mężczyzna w mundurze ochrony zamykał właśnie bramę na klucz.

– Znajdźmy dom opieki – ponaglił Connor. – Chcę zobaczyć, jak blisko nas doprowadziłaś.

– Tu jest za dużo śmiertelników – szepnęła Marielle.  
– Boję się, że zrobię komuś krzywdę.

– Trzymaj się blisko witryn sklepowych. Ja dopilnuję, żeby nikt cię nie dotknął. – Oprócz mnie, dodał w duchu. Przełożył sobie jej rękę przez zgięcie łokcia i poprowadził ją ulicą.

Szła uczepiona jego ramienia, przygarbiona i spięta, nieufnie zerkając na mijających ich ludzi.

Connor przypomniał sobie, jak jej dotyk uruchomił spłuczkę i kurek w łazience. Wydawało mu się to trochę dziwnym darem u anioła śmierci.

– Czy twój dotyk zawsze zabija?

Zmarszczyła brwi.

– Kiedyś uzdrawiał, ale teraz... – Pokręciła głową. – Trudno mi się było przyzwyczaić do bycia Wybawicielką. Ta praca z założenia nie jest destrukcyjna, choć ludzie tak ją postrzegają. Wybawiamy dusze, zapewniamy im pociechę i towarzystwo podczas drogi na drugą stronę.

– Ale kiedy kogoś dotykasz, ten ktoś umiera.

Westchnęła.

– Sam dotyk nie unicestwia. Uwalnia tylko energię na tyle, by wyzwolić duszę. A kiedy cała energia znika, ciało przestaje żyć.

– Rozumiem. – Więc jeśli chodziło o urządzenia mechaniczne, jej dotyk wyzwalał energię, która sprawiała, że działały aż do jej wyczerpania.

Po kilku przecznicach Marielle rozluźniła się trochę i zaczęła z ciekawością rozglądać dookoła.

– To niesamowite. Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

– Nie szłaś ulicą?

Uśmiechnęła się.

– Podoba mi się, w jaki sposób wypowiadasz słowa.

– Jej uśmiech poszerzył się, kiedy Connor przewrócił oczami. – Nie, nigdy nie szłam ulicą – ciągnęła, imitując jego akcent. – Zwykle zstępujemy, by wykonać misję, i zaraz wracamy. Och, popatrz. – Zatrzymała się, by zajrzeć przez witrynę sklepu z pamiątkami.

Connor zerknął zaciekawiony, co ją tak zachwyciło. Była to szklana figurka anioła z kryształowymi skrzydłami i złotą aureolą.

Uśmiechnął się.

– Och, no kto by pomyślał. Jesteś sławna.

Roześmiała się i ten dźwięk rozgrzał mu serce.

Marielle odwróciła głowę, kiedy minęła ich młoda kobieta z lodami.

– Co to jest?

– Lodowy rozek. – Miał ochotę dać sam sobie w

ucho. Pewnie była głodna. Zmuszał ją do pracy przez parę godzin i nawet nie pomyślał, żeby ją nakarmić. – Powinnaś spróbować.

Dwa sklepy dalej zauważył lodziarnię i zaprowadził tam Marielle. Przy ladzie stało dwoje klientów. Marielle pociągnęła go za rękę.

– Spokojnie – szepnął do niej. Ustawił się między nią i dwójką śmiertelników. Kiedy dostali swoje zamówienie, przeszli do stolika w kącie.

Connor podszedł do lady.

– Jeden rożek poproszę.

Chłopak za ladą spojrzał na jego kilt i uśmiechnął się drwiąco.

– Nie ma sprawy, gościu. Jaki smak?

Connor zignorował pryszczatego wyrostka i zwrócił się do Marielle.

– Jaki smak byś chciała?

– Jest ich tyle do wyboru. – Ruszyła wzdłuż zamrażarki, zaglądając przez szybkę, i nagle wyprostowała się z uśmiechem. – Czekoladowy.

Connor odpowiedział jej uśmiechem.

– Jedna gałka czekoladowych dla pani.

– Czyli tej, co nosi spodnie w rodzinie? – mruknął chłopak, nakładając do rożka porcję czekoladowych lodów.

Connor zmrużył oczy. Strasznie go korciło, żeby dać temu szczeniakowi w ucho, ale chciał dostać lody dla Marielle.

Marielle przysunęła się do niego i szepnęła głośno:

– Mówiłam ci już, jak mi się podoba twój kilt?

– Nie. – Był ciekaw, czy mówi prawdę, czy chce tylko dać nauczkę niegrzecznemu sprzedawcy. – Naprawdę?

– O tak. – Z powagą skinęła głową. – Przez niego mogę myśleć tylko o jednym. Jak tylko wrócimy do domu... też możesz liczyć na loda.

Chłopak pisnął i upuścił gałkę lodów na podłogę.

– Przepraszam! Zaraz nałożę drugą. – Schylił się i zaczął wściekle kopać w pojemniku z lodową masą, jaskrawoczerwony na twarzy.

Connor spojrział spod uniesionej brwi na Marielle, która odwróciła oczy, rumieniąc się. Przygryzł wargi, żeby nie roześmiać się na głos.

Chłopak wreszcie wykonał zadanie i wyciągnął rozek w stronę Marielle.

– Ja to wezmę. – Connor chwycił rozek i podał swojej towarzyszce. – Ile płacę?

Chłopak podał cenę, po czym ściszył głos.

– Masz superkilt, stary. Skąd go wzięłeś?

– Z Edynburga. – Connor wyjął pieniądze ze sporranu i podał chłopakowi, który patrzył na niego ze skonsternowaną miną. – To jest w Szkocji.

– A, no tak. To jest chyba... daleko, co?

– Pewnie da się zamówić przez net – mruknął Connor, wrzucając resztę do sporranu.

– No tak! – Chłopak ucieszył się radośnie. – Dzięki,

stary. – Spojrzał na Marielle i pokazał Connorowi dwa kciuki w górę.

Connor uśmiechał się wesoło, prowadząc Marielle chodnikiem.

– Doceniam to, co zrobiłaś, dziewczyno, ale są pewne sprawy, o których nie mówi się publicznie. Na przykład o lo... – Spojrzał na nią i zatrzymał się jak wryty.

Chryste Panie, wodziła czubkiem języka po gałce lodów. Po rożku ściekała kropla czekolady. Marielle złapała ją językiem i przeciągnęła nim po wafelku.

Connor stwardniał.

– Dobry Boże – szepnął.

Marielle oblizała wargi.

– Chcesz spróbować?

Boże, tak.

– Nie. – Spojrzał chmurnie na rożek, który wyciągała w jego stronę. – Pewnie bym się pochorował.

– Oj, to szkoda, bo to jest naprawdę pyszne. Chociaż nie bardzo wiem, jak to jeść. – Otworzyła usta, otoczyła wargami całą gałkę i zaczęła ssać.

Connor jęknął.

Spojrzała na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku?

Odwrócił wzrok.

– Zaraz będzie. Gdzie ten dom opieki? – I czy mają tam zimne okłady?

– Po drugiej stronie ulicy. Zaraz za parkiem.

– No dobrze. – Powoli ruszył chodnikiem, robiąc co w jego mocy, by ignorować ssące i siorbiące dźwięki, które wydawała Marielle. Dziewczyny nie musiały jej udzielać żadnych instrukcji. Miała to we krwi.

Mimo narastającego dyskomfortu pod kiltem znów się uśmiechnął. Z całym rozmysłem narobiła sobie wstydu w lodziarni, żeby go wesprzeć.

Jakiś hałas ściągnął jego uwagę. Ktoś miał problemy z zapaleniem samochodu zaparkowanego pół kwartału przed nimi. Silnik wydał z siebie rżenie i umilkł. Connor usłyszał słowa zrozpaczonej kobiety w kabinie.

– Proszę, proszę, zapal! Nie zdychaj mi teraz. Błagam, tylko dowieź mnie do domu – zawodziła. – Boże, pomocy!

Connor wziął Marielle za łokieć i skierował ją w stronę samochodu.

– Przejdźmy tutaj przez ulicę.

– Okej. – Marielle odgryzła kawałek lodu i zeszła z krawężnika.

Connor udał, że na nią wpada; zrobił to tak, że potknęła się o tylny zderzak auta.

– Przepraszam.

Samochód zapalił, a kobieta w kabinie pisnęła z radości.

Connor przygryzł wargę, żeby się nie roześmiać, i pociągnął Marielle z powrotem na chodnik.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową i znów ugryzła rozek.



– To jest naprawdę dobre. Przykro mi, że nie możesz się poczęstować.

Connor promiennie się uśmiechnął.

– Przeżyję.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Zawsze jesteś taki radosny?

– Nie. – Popatrzył, jak samochód odjeżdża. – Nie byłem taki radosny od wieków.

– Jesteś bardzo przystojny, kiedy się uśmiechasz.

Czułość w jej oczachomal nie roztopiła mu serca.

– Chodź. – Wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę ulicy.

Nim dojadła loda, stali już przed domem opieki.

– Wylądowaliśmy za daleko – ocenił Connor. – Jutro w nocy spróbujemy jeszcze raz.

Marielle odchyliła głowę i spojrzała na gwiazdy.

– To była dobra śmierć. Miał przy sobie rodzinę i przyjaciół.

– Potrafisz to wyczuć?

Skinęła głową, wciąż patrząc w nocne niebo.

– Jest bardzo szczęśliwy, że dołączył do żony. Umarła na raka parę lat temu i bardzo za nią tęsknił. Taka miłość jest niesamowita, nie sądzisz?

Poczuł ściskanie w piersi.

Marielle zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Czujesz to?

– Co?

– Tyle miłości. Jest nią otoczony. – Łza spłynęła jej

po policzku. – Chwała na wysokości Bogu.

Coś zakłuło go w piersi, na jego murze obronnym pojawiła się rysa. Uniósł dłoń, by otrzeć łzę z jej twarzy, ale się powstrzymał. Jak mógł choćby ją tknąć? Była tak nieskazitelna, a on tak niedoskonały. A jednak tak strasznie jej pragnął. Opuścił rękę.

Marielle otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Chryste Wszchemogący, zakochał się w niej.

– Powinniśmy teleportować się z powrotem. – Rozejrzał się. Parking, na którym stali, był zbyt widoczny z ruchliwej ulicy. A więc park. Był pusty i ciemny. – Chodź. – Kiwnął na nią.

Boczna furтка była zamknięta łańcuchem, ale Connor zerwał go jednym szarpnięciem. Wprowadził ją do środka.

Ruszyli ceglaną alejką obsadzoną po brzegach jaskrawymi, żółtymi i czerwonymi kwiatami. W oddali Connor widział drzewa owocowe, buchające wiosennym kwieciem. Głęboko zaciągnął się pachnącym powietrzem. Wiedział, że wspomnienie tej nocy będzie przechowywał przez wieki jak skarb.

Marielle westchnęła.

– Jak tu ślicznie.

– Rzeczywiście. – Connor zatrzymał się przy poidelku. – Chce ci się pić? – Wcisnął guzik i woda trysnęła łukiem do misy.

Marielle napiła się, opłukała ręce i ruszyli dalej leniwym spacerkiem.

Kiedy dotarli do skrzyżowania alejek, zatrzymała się z cichym okrzykiem.

– To jest karuzela?

Podbiegła do otaczającego karuzelę niskiego płotku.

– Popatrz na te wszystkie zwierzęta. Jest cudna.

– Chcesz się na niej przejechać?

Marielle machnęła ręką.

– Jest zamknięta.

Connor przeskoczył nad ogrodzeniem.

– No chodź. – Chwycił ją w pasie, przeniósł nad płotkiem i postawił po drugiej stronie.

– Connorze, ona nie działa.

Wskoczył na platformę karuzeli i wyciągnął rękę do Marielle.

– Zaufaj mi.

Podąła mu rękę. Wciągnął ją na platformę, która natychmiast ruszyła.

Marielle krzyknęła, zaskoczona, i poleciała na bok, ale Connor ją przytrzymał. Muzyka ryknęła wokół nich – walc grany na katarynce. Zapłonęły wszystkie migające, białe lampki.

– Wielkie nieba. – Marielle szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. – To jest takie piękne.

– Chodź. – Poprowadził ją do białego jednorożca ze złotym rogiem i siodłem.

Jednorożec poruszał się w górę i w dół, co utrudniało wsiadanie, więc Connor uniósł się z nią ponad platformę i posadził ją w siodle. Odrzuciła głowę do tyłu i się

roześmiała.

Kiedy usiadł na koniu obok niej, spojrzała na niego i roześmiała się jeszcze głośniej.

– Connorze, jedziesz na różowym koniku z girlandą kwiatów.

Spojrzał w dół i zmarszczył brwi.

– Niech to lichy.

Znów się roześmiała, a mars na jego twarzy zmienił się w uśmiech. Kiedy ostatnio uśmiechał się tyle w ciągu jednej nocy? Nigdy, nawet jako człowiek. W tamtych czasach życie było zbyt surowe i samo przetrwanie było nieustannym wyzwaniem.

Patrzył na Marielle i zachwycił się wyrazem najczystszej radości na jej twarzy. Ale najbardziej zachwycające było to, że miał udział w sprawieniu jej tej radości. Po stuleciach żalu i wyrzutów sumienia nie sądził, że w ogóle jest jeszcze zdolny do radości.

Ani do miłości. Serce ścisnęło mu się w piersi. Chryste, zakochał się na całego.

– Hej! – rozległ się głos przekrzykujący muzykę. – Co wy tu robicie, do diabła? Park jest zamknięty.

Kiedy karuzela wykonała obrót, dostrzegł strażnika sięgającego po komórkę.

– Dzwonię na policję!

Przestraszona Marielle krzyknęła cicho.

– Mamy kłopoty?

Connor zeskoczył z konia i chwycił ją.

– Zaufaj mi. – Teleportował się, zabierając ją z sobą.

Zmaterializowali się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Karuzela natychmiast zgasła. Muzyka i ruch zwalniały, aż wszystko ustało.

Strażnik wybałuszył oczy.

– Co jest, do diabła?

Connor posłał w jego stronę falę wampirycznej kontroli umysłu. *Nic się nie wydarzyło. Wrócisz do domu i nie będziesz o niczym pamiętał.*

Strażnik ruszył wolnym krokiem w stronę głównej bramy. Connor uśmiechnął się do Marielle i poprowadził ją głębiej do parku. Jego wyostrzony węch wychwycił zapach róż. I rzeczywiście, po chwili znaleźli się w środku ogrodu różanego.

Marielle obróciła się dookoła.

– To kawałek nieba. – Stała przodem do Connora i uśmiechnęła się szeroko. – Dziękuję. Na zawsze zapamiętam tę noc.

– Ja też. – Zerwał pączek róży i wręczył jej.

Marielle przyjęła go ze śmiechem. Pączek rozwinął się w wielki, piękny kwiat. Ale natychmiast zwiędł i zbrązowiał. Upuściła go z okrzykiem zgrozy.

Do licha. Powinien był przewidzieć, że to się stanie.

Marielle cofnęła się o krok.

– Zabiłam go. Tak mi przykro.

– Nie, to ja go zabiłem w chwili, kiedy go zerwałem.

Pokręciła głową.

– Nienawidzę być Wybawicielką. Nienawidzę. – Łzy

zaświeciły jej w oczach. – Zawsze chciałam być tylko Uzdrowicielką.

– I jesteś Uzdrowicielką. – Podeszedł do niej. – Uzdrowiasz mnie.

Otworzyła szeroko oczy.

Connor podeszedł bliżej. I jeszcze bliżej. A ona patrzyła na niego; jej spojrzenie ani na moment nie opuściło jego twarzy.

Chryste Panie, nie powinien tego robić. Wiedział, że to da jej okazję zajrzenia w czarną dziurę w jego duszy. Mogła się dowiedzieć, jakim jest naprawdę podłym, zimnokrwistym draniem.

Dotknął jej policzka. Nie odsunęła się.

Nie rób tego! Wsunął dłoń na jej kark.

– Powstrzymasz mnie?

– Nie – szepnęła i dotknęła jego piersi.

W tej chwili przepadł.

## Rozdział 13

Serce Marielle łomotało i topniało jednocześnie. Jej umysł uznawał to za nieprawdopodobne, ale nie mogła zaprzeczyć, że coś się z nią dzieje. Coś innego niż zeszłej nocy.

Tamte pocałunki były pożądliwe, a namiętność Connora sprawiała, że miękły jej kolana i ledwie była w stanie myśleć. Została natychmiast zmieciona przez burzę cudownych odczuć, które obudziły w niej świadomość tego nowego, ludzkiego ciała.

Teraz jakaś część jej oszołomionego umysłu rozumiała, że ten pocałunek jest inny. Connor był czuły. Pełen wahania. Niemal... lękliwy. I każde delikatne poruszenie jego warg mówiło jej dlaczego. On cię kocha, rozumiała.

Z jękiem oplotła ramionami jego szyję. Chciała, by wiedział, że ona żywi do niego równie silne uczucie. Kiedy pogłębił pocałunek, rozplynęła się w nim. Kiedy przeciągnął koniuszkiem języka po jej wargach, uchyliła je i wpuściła go do środka.

Jej zamiarem było dawanie, ale poczuła, zdumiona, że i on coś daje z siebie. Z każdym natarciem jego języka przez jej ciało przepływały iskry energii. Wywoływały dreszcze. Sprawiały, że chciała więcej.

Wbiła palce w jego barki i przylgnęła do niego.

– Marielle – szepnął i przewędrował ustami na jej szyję.

Coraz więcej iskier przebiegało po jej skórze. Lekko zszokowana poczuła, że wszystkie te iskry zbierają się między jej nogami, a w jej wnętrzu zaczęło narastać desperackie pragnienie. Ból pustki, która błagała o napełnienie.

Connor chwycił ją dłońmi za pośladki i przycisnął ją do siebie.

Zachłysnęła się powietrzem. Jego przyrodzenie było twarde. I wielkie. To bolesne poczucie pustki mogło oznaczać tylko jedno: że jej ludzkie ciało pragnęło się połączyć z jego ciałem. I dwoje stanie się jednością.

Wielkie nieba! Odsunęła się.

– Co ja wyprawiam?

Connor zamrugał. Jego oczy płonęły czerwono.

– Ja... ja to nazywam kochaniem się.

Cofnęła się o krok.

– Czy te sprawy naprawdę dzieją się tak szybko? Poznaliśmy się zaledwie wczoraj.

Zmarszczył brwi.

– Od pierwszego spojrzenia byłaś dla mnie najpiękniejszą istotą na świecie. I bardzo dużo razem przeszliśmy. Zaprzeczysz, że jest coś między nami?

– Nie. Ja... – Jej emocje były jak splątany kłęb, ale kilku rzeczy była pewna. Wyprostowała się. – Zależy mi na tobie, Connorze Buchanan.

Czerwony blask jego oczu pojaśniał jeszcze bardziej.

– Ale zamierzam wrócić do nieba. Nie mogę się.

Jego usta wygiął wyraz gorczy.



– Zbrukać?

Marielle się zachnęła.

– Chciałam powiedzieć, że nie mogę się dekoncentrować.

Jego oczy przybrały zwykłą, dymno niebieską barwę.

– Przeszkadzam ci.

– Nie! Uratowałeś mi życie. Zawsze będę ci za to wdzięczna.

– Przed chwilą to właśnie robiłaś? Okazywałaś wdzięczność? Następnym razem przyślij mi pocztówkę.

– Nie chodzi o to! Byłam niebezpiecznie bliska tego, by pragnąć seksu! – Skrzywiła się i zakryła usta, ale słowa już z nich wyszły.

Connora jakby zamurowało na chwilę, ale nagle uśmiechnął się drwiąco.

– Los gorszy od śmierci.

Marielle zacisnęła pięść przy ustach, gotowa wepchnąć ją sobie do gardła, gdyby znów wypowiedziała coś tak żenująco szczerego. Była przyzwyczajona do dzielenia się każdą myślą z Niebiańskimi Zastępami, ale zasady ludzkiego świata były zupełnie inne. Emocje, które się z tym wszystkim wiązały, były o wiele potężniejsze niż sobie wyobrażała.

– Ty chyba nie rozumiesz.

– Rozumiem doskonale. – Jego twarz stała się zimna i pusta. – Musisz zachować czystość i niewinność. Nie widzę w tym nic złego. Jesteś tym, kim jesteś. Nie chcę

niweczyć twoich szans na powrót do nieba.

Marielle opuściła rękę.

– To prawda, chcę zachować swoją anielską naturę.

– Oczywiście. – Skłonił głowę. – Przepraszam, że cię molestowałem.

– Nie molestowałeś mnie! – Spojrzała na niego gniewnie. – Jesteś dobrym, szlachetnym człowiekiem i nie pozwolę, żebyś źle mówił o sobie.

Connor parsknął.

– Czego ode mnie oczekujesz, Marielle? Do diabła, doskonale wiem, że nie jestem dla ciebie dość dobry.

Wydała odgłos najczystszej frustracji.

– Ciągłe nie rozumiesz. Pragnę cię, Connorze. Jestem... zszokowana tym, jak bardzo cię pragnę.

Otworzył szeroko oczy.

– Pragniesz mnie?

– Tak! Ale jeśli dwoje stanie się jednością, będziesz częścią mnie. Jak mogłabym cię wtedy zostawić?

– Ty... ty miałabyś problem z zostawieniem mnie?

– Oczywiście, głupku! Przecież mówię, że mi na tobie zależy. Słowa mają znaczenie, wyobraź sobie. – Jęknęła w duchu. Znów to zrobiła. Znów powiedziała więcej niż powinna.

Connor przez chwilę stał osłupiały i nagle w jego oczach zamigotały wesołe iskry.

– Czy nazwałaś mnie głupkiem?

Skrzywiła się.

– To nie było zbyt anielskie z twojej strony. – Zrobił

urazoną minę. – Słowa mają znaczenie, wyobraź sobie.

Zmrużyła oczy.

– Uważaj. Jeszcze mogę cię powalić podmuchem powietrza.

Kącik jego ust wygiął się do góry.

– Ciągłe chcesz mi zaglądać pod kilt, dziewczyno?

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Jesteś niepoprawny.

– Owszem. I dlatego mnie kochasz. – Skrzywił się. – Nie powinienem był mówić... to tylko takie wyrażenie, nie chciałem sugerować... – Przeciągnął dłonią po włosach.

To była niemal ulga. Nie ona jedna mówiła więcej niż powinna. Ale słowo „miłość” zdawało się wisieć w powietrzu między nimi. To było dziwne. Przez całą swoją egzystencję była otoczona miłością. Ojciec był miłością i zawsze pławiła się w jej świetle. Ale teraz stała się trochę strasznym, niezręcznym uczuciem, do którego ani ona, ani Connor nie potrafili się przyznać.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci wrócić do nieba – powiedział cicho. – Masz na to moje słowo.

– Dziękuję.

– Powinienem cię odstawić do domku. – Podszedł do niej. – Potem muszę wpaść do Romatechu i zdać Angusowi raport z naszych postępów.

Uniosła rękę, żeby go powstrzymać.

– Zanim polecimy, czy mogę cię o coś zapytać? To...

osobista sprawa.

Przestąpił z nogi na nogę z nieufną miną.

– O co chodzi?

– Jestem ciekawa... – Wzięła głęboki oddech. – Kto to jest Darcy Newhart?

Drgnął.

– Co? Jak? – Zmrużył oczy. – Kiedy przed chwilą w pocałunku wylewałem przed tobą serce, bawiłaś się w detektywa i węszyłaś w mojej duszy?

Spojrzała na niego chmurnie.

– Przed chwilą niczego nie widziałam. Byłam zbyt... przytłoczona uczuciami.

– Najwidoczniej nie dość. Byłaś w stanie się powstrzymać.

– A gdybym cię nie powstrzymała, kontynuowałbyś to?

– Oczywiście. – Założył ręce na piersi. – Mężczyzna nie zaczyna czegoś, czego nie potrafi skończyć.

Przypomniała sobie, jak twarde było jego przyrodzenie. Naprawdę był przygotowany, żeby odbyć z nią stosunek cielesny. Policzki jej zapłonęły.

– W takim razie podglądałaś mnie, kiedy wszedłem w twój umysł, by sprawdzić, gdzie mam się teleportować? – spytał.

Pokręciła głową.

– To było zeszłej nocy. I nie było celowe. Jej nazwisko i twarz błysnęły mi w głowie, kiedy się całowaliśmy. Za drugim razem.

– W sypialni?

– Tak.

– Kiedy dotknąłem twoich piersi?

Spojrzała na niego z irytacją.

– Nie, nie w tym konkretnym momencie.

Powoli pokiwał głową. W oczach miał wesołe błyski.

– Więc mogę bezpiecznie pieścić twoje piersi bez ujawniania swoich tajemnic?

– Słucham? – Kiedy się roześmiał, zrozumiała, że z niej żartował, i pacnęła go w ramię.

– Brynley chyba miała rację z tą zasadą trzech kroków.

– A co to za zasada?

Marielle zmrużyła oczy.

– Wiem, co kombinujesz. Próbujesz odciągnąć mnie od głównego tematu rozmowy.

– Nie, po prostu mam inny główny temat. Chcę rozmawiać o twoich piersiach. A właściwie chcę zobaczyć twoje piersi, a potem je całować.

Fuknęła ze złością.

– Trzy kroki. Brynley miała rację.

W sporrannie Connora zadzwoniła komórka; wyciągnął ją.

– Tak? – Słuchał przez chwilę. – Dobrze. Zapytam ją, czy się zgodzi. – Wrzucił telefon do sporranu.

– O co chodzi? – spytała Marielle.

– Shanna chce cię poznać. Polecisz ze mną do

Romatechu?

Skinęła głową.

– Tak, oczywiście. – Była winna przeprosiny tej biednej kobiecie. A Connor bardzo się mylił, jeśli sądził, że zapomni zapytać go znów o Darcy Newhart.

Kiedy Connor teleportował się z Marielle pod boczne drzwi Romatechu, przywitał ich Phineas.

Connor przedstawił młodego ciemnoskórego wampira.

– To jest Phineas McKinney. Też pracuje u Angusa i jest tutaj szefem ochrony.

– Niech cię Bóg błogosławi, dobra duszo. – Marielle posłała mu swój olśniewający uśmiech.

– Rany. – Phineas wybałuszył oczy. – Robby przekazał nam, że jest niebezpieczna. Nie powiedział, że można się o nią poparzyć!

Connor spojrzał na niego ze złością.

– Słuch też ma całkiem sprawny.

– O jej uszy się nie martwię – mruknął Phineas. Zwrócił się do Marielle. – Mamy tu dzisiaj paru śmiertelnych i zmiennokształtnych pracowników. Zostali ostrzeżeni, że mają zostać w swoich gabinetach, dopóki nie opuścisz budynku.

Marielle skinęła głową ze smutną miną.

– Rozumiem.

– Ona by nikogo nie skrzywdziła – burknął Connor.

– Wiem. – Phineas posłał Marielle przepaszające spojrzenie. – Nie chciałem cię urazić, ale jako szef

ochrony czułbym się osobiście odpowiedzialny za wszelkie... wypadki.

Marielle schowała ręce do kieszeni kurtki.

– Będę uważać.

Phineas otworzył boczne drzwi i zaprosił ich gestem.

– Shanna czeka na was w stołówce. Roman jest z dziećmi na dworze. Radinka i ojciec Andrew są z nimi.

– Radinka to matka Gregoriego – wyjaśnił Connor, kiedy ruszyli korytarzem. Phineas szedł za nimi. – Jest śmiertelniczką i pomaga Shannie przy dzieciach. – Skrzywił się. Teraz Radinka będzie musiała opiekować się dziećmi przez całe dni.

– Gregori ma śmiertelną matkę, która jeszcze żyje? – zdziwiła się Marielle.

– Tak, jest młodym wampirem. Został przemieniony na tutejszym parkingu, gdy zaatakował go Casimir. Radinka znalazła go ledwie żywego i ubłagała Romana, żeby go ratował.

Marielle skinęła głową.

– Tak też myślałam, że jest młodszy. Nie... nie dźwiga tak ciężkiego bagażu jak pozostali. – Spojrzała z troską na Connora.

Najwyraźniej mówiła o nim i czarnej dziurze winy, w której bez przerwy usiłowała grzebać. Ale on nie chciał o tym rozmawiać ani nawet o tym myśleć. Dzisiejsza noc była magiczna – kupił jej pierwsze w życiu lody i zafundował pierwszą w życiu jazdę na karuzeli. I usłyszał, że jej na nim zależy.

Dzisiejsza noc przepęłniła jego serce radością. Wiedział, że będzie hołubił to wspomnienie długo po jej powrocie do nieba. Poczł bolesne ukłucie w sercu. O tym też nie chciał myśleć. Jej odejście będzie bolesne jak diabli.

Ale przecież on był na piekielnej liście, więc w pełni zasługiwał na ten ból.

Dotarli do głównego foyer i Connor skręcił w lewo, kiwając na Marielle, by szła za nim.

– Taki anioł jak ty musi pewnie być bardzo stary – zauważył Phineas, idący za nimi.

Connor obejrzał się na niego z irytacją.

Phineas uśmiechnął się złośliwie.

– Pewnie jesteś starsza nawet od naszego starego zrzędy, Connora.

Marielle się uśmiechnęła.

– Jestem. – Spojrzała na Connora. – Ile masz lat?

Zacisnął zęby.

– Nie dyskutuję o życiu prywatnym.

– Mogę to dla ciebie przetłumaczyć – zaofiarował się Phineas. – To znaczy, że on się wstydzi, że był jaskiniowcem i jadał na lunch kotlety z brontozaurów.

Connor spojrzł na niego spod uniesionej brwi.

– Prawidłowe tłumaczenie brzmi „odczep się”.

– Ziom, tak się nie mówi w obecności anioła. To, że przechodzisz kryzys wieku średniego, nie znaczy, że możesz być niegrzeczny.

Connor prychnął drwiąco.



– Nie mam żadnego cholernego kryzysu. I nie jestem niegrzeczny, więc się odczep.

Phineas pochylił się bliżej niego.

– Mogę ci udzielić paru wskazówek, jak ją obłąskawić.

– Ona cię słyszy – mruknął Connor.

– No tak. Ciebie też, bracie. Rozpaczliwie potrzebujesz profesjonalnej pomocy Doktora Kła, specjalisty od miłości.

– Jesteś lekarzem? – spytała Marielle.

– Od spraw miłosnych – sprecyzował Phineas i dumnie wypiął pierś. – Nigdzie nie znajdziesz tylu szczęśliwych par małżeńskich co tutaj. Czy to przypadek, że miłość się dzieje, kiedy Doktor Kiel jest w pobliżu? Chyba nie!

Connor pokręcił głową i poprowadził ich przeszklonym korytarzem do stołówki. Przez szyby widział Romana grającego z dziećmi na boisku do kosza. Radinka i ojciec Andrew siedzieli na ławce obok.

– A teraz pozwól, że ci powiem, jak urządzić idealną randkę z uroczą dziewczyną – nie przestawał gadać Phineas. – Musisz ją zabrać w jakieś romantyczne miejsce.

– Na przykład do parku? – spytała Marielle.

– Tak, park będzie okej – zgodził się Phineas.

Connor zerknął z ukosa na Marielle; obserwowała go, a jej oczy błyszczały wesołością.

– A potem, bracie, musisz kupić jej coś słodkiego do

jedzenia – kontynuował Phineas.

– Na przykład lody? – spytała Marielle.

– O właśnie. – Phineas klepnął Connora po plecach.

– Rób wszystko, czego chce twój aniołek. Ona ci najlepiej powie, co jest romantyczne.

Uśmiechnęła się do Connora, a jego serce jak zwykle ścisnęło się boleśnie.

– Moim celem nie jest randkowanie z nią, tylko odesłanie jej z powrotem do nieba.

– Ach tak. – Phineas z rozczarowaną miną zwrócił się do Marielle. – Nie chcesz zostać tutaj z nami?

Jej uśmiech zniknął.

– To nie jest moje miejsce. Żyję w ciągłym strachu, że otrę się o jakiegoś śmiertelnika i zabiję go.

Phineas kiwnął głową.

– Rzeczywiście, to jest nefajna sprawa. Roman ciągle jest wściekły o to, co się stało.

Marielle westchnęła.

– Przyszłam tutaj, żeby przeprosić, ale wiem, że to żałośnie niewystarczające.

Connor zacisnął zęby.

– To była moja wina. – Zatrzymał się pod drzwiami stołówki. – Shanna jest w środku. Zostawię was same na parę minut, a tymczasem zdam raport Angusowi.

– Angusa tu nie ma, ziom – odezwał się Phineas. – On i Emma polecili do Nebraski. Robby i Olivia są z nimi.

Connor zeszywniał.

– Znaleźli ciała?

– Tak. Sean Whelan zadzwonił z informacją, że miejscowy szeryf znalazł dziesięć ciał w małym miasteczku. Polecieli sprawdzić, czy to robota Casimira.

Marielle zwiesiła głowę.

– Tak mi przykro. Powinnam była to wyczuć.

– To nie jest twoja wina – nie zgodził się z nią Connor. – Poprosiłem cię, żebyś znalazła spokojną śmierć gdzieś niedaleko. Jutro wieczorem spróbujemy jeszcze raz.

– Udało się wam teleportować na miejsce zgonu? – spytał Phineas.

– Tak. – Connor kiwnął głową. – Jak zobaczysz Angusa, przekaz mu, że trening idzie dobrze. Za parę nocy powinniśmy być gotowi.

Phineas potaknął ruchem głowy.

– Nie ma sprawy. – Znow zwrócił się do Marielle. – Muszę wracać do biura, żeby mieć oko na wszystko. Dzięki, że nam pomagasz.

– Nie ma za co. – Dotknęła barku Phineasa. – Niech cię Bóg błogosławi.

Kiedy Phineas ruszył z powrotem do biura ochrony, Connor otworzył drzwi stołówki i wprowadził Marielle do środka.

Shanna stała przy oknie w drugim końcu wielkiej sali i patrzyła na dzieci. Kiedy drzwi zamknęły się z hukiem za Connorem i Marielle, odwróciła się.

Connor starał się zachować obojętną minę, ale szpila

bólu przeszła jego serce. Shanna zawsze była taka radosna i pełna życia, a teraz wstąpiła w szeregi nieumarłych. Jej skóra była inna – jakby krucha i blada – i oczy były inne. Błękit tęczy był bardziej intensywny.

– Dzięki, że przyszliście – przywitała ich cicho i się uśmiechnęła.

Connor się wzdrygnął. Kły Shanny były schowane, ale i tak widać było ostre końcówki. Do diabła. Nie rozumiał tego. Jak jego przyjaciele mogli się żenić ze śmiertelniczkami, doskonale wiedząc, że czeka je taka przyszłość?

Shanna wpatrywała się w Marielle szeroko otwartymi oczami.

– Ty naprawdę jesteś aniołem.

Marielle uklękła i pochyliła głowę.

– Dobra duszo. Wyrządziłam ci wielkie zło. Modlę się, żebyś mi wybaczyła.

Shanna podeszła do niej.

– Ojciec Andrew powiedział mi, jak bardzo się przejęłaś, kiedy dowiedziałaś się o tym wypadku. – Pochyliła się nad Marielle. – Bo to był wypadek. Nie mam ci czego wybaczać.

Marielle spojrzała na nią ze łzami w oczach.

– Tak mi ulżyło, że nic ci nie jest. Niech Bóg błogosławi cię i twoją rodzinę.

W oczach Shanny też zabłysły łzy; wyciągnęła rękę.

– Dziękuję.

Marielle chwyciła jej dłoń i wstała. Connor odwrócił wzrok. Obie wybaczały z taką łatwością; pewnie dlatego, że żadna z nich nie była winna. To on przyniósł tutaj Marielle, ignorując jej protesty, że nie wolno jej dotykać.

Usiadł przy jednym ze stolików, w pewnej odległości od dziewczyn, żeby mogły swobodnie porozmawiać. Ale jego wyostrzony słuch i tak wychwytywał wszystko, co mówiły. I jak to zwykle bywało z Shanną, rozmowa szybko zeszła na jej dzieci.

Poprowadziła Marielle do okna, by pokazać jej Constantine'a i Sofię, którzy wciąż grali w koszykówkę z ojcem.

– Są piękni – mruknęła Marielle. – Ty i twój mąż macie wielkie szczęście.

Shanna skinęła głową, a w jej oczach znów zalśniły łzy.

– Jak one się z tym czują? – spytała Marielle.

Shanna westchnęła.

– To nie jest dla nich łatwe. Od kiedy się urodzili, wiedzieli, że ojciec jest nieosiągalny w ciągu dnia, więc po prostu to akceptowali. I zawsze mieli mnie. – Łza spłynęła jej po policzku. – Teraz nie mają.

Connor zauważył różowe zabarwienie łzy Shanny i się odwrócił. W jego oczach też wezbrały łzy. Przygniotło go poczucie winy.

– Przyzwyczajmy się – ciągnęła Shanna. – Dzieci nauczą się więcej spać w ciągu dnia, żeby móc nie spać przez większą część nocy. I mogą spędzać więcej czasu

w szkole. Bogu dzięki, że mam Radinkę. Jest dla nich jak babcia. I moja siostra Caitlyn, bardzo mi pomaga.

– Cieszę się, że masz przy sobie rodzinę – oznajmiła Marielle.

Shanna westchnęła.

– Niecałą rodzinę. Ojciec jest szefem komórki CIA o nazwie Trumna. Nienawidzi wampirów. I zmiennokształtnych. Ja... ja nie wiem, jak mu to powiem.

Marielle dotknęła jej ramienia.

– Jak się nazywa? Pomodłę się za niego.

– Sean Whelan. – Shanna uśmiechnęła się smutno. – Potrzeba by wielu modlitw, żeby go wzruszyć. Wciąż jest wściekły, że Caitlyn przemieniła się w panterołaczkę.

Marielle szeroko otworzyła oczy.

– Jak to się stało? Została zaatakowana?

– Wyszła za panterołaka – odparła Shanna. – Zaryzykowała życie, by być z mężczyzną, którego pokochała.

– Wielkie nieba – szepnęła Marielle. – Jest bardzo odważna. – Odwróciła się do Connora i ich oczy się spotkały.

Connor poczuł ściskanie w piersi. Boże dopomóż, zakochiwał się coraz bardziej. Odwrócił wzrok. Ależ był głupcem. Wiecznie gromił swoich towarzyszy, że się pozakochiwali, a sam zakochał się szybciej niż którykolwiek z nich. To było żałosne.

– Caitlyn spodziewa się bliźniaków za parę miesięcy – mówiła dalej Shanna. – Wszyscy bardzo się cieszymy.

Marielle się uśmiechnęła.

– To wspaniale.

Pukanie w najbliższe okno wyrwało Connora z zamyślenia. Uniósł głowę i zobaczył ojca Andrew, który kiwał na niego, zapraszając go na dwór.

Ruszył do przeszklonych drzwi i skinął głową dziewczynom.

– Przepraszam. – Wyszedł na patio.

Radinka wciąż siedziała na ławce, ale wpatrywała się w okna z wyrazem nabożnego zachwytu na twarzy.

– Nie wierzę, że patrzę na prawdziwego anioła. Jest taka piękna.

– To prawda. – Connor zerknął na Romana.

Roman posłał mu gniewne spojrzenie i odwrócił się z powrotem do dzieci.

– Przejdzie mu z czasem – zapewnił cicho ojciec Andrew i wskazał Connorowi cementową ławkę kawałek dalej.

– Ma wszelkie prawo się gniewać – odmruknął Connor, idąc za księdzem.

Ojciec Andrew wyjął z kieszeni marynarki trzy fiołki.

– To święcona woda. Pomoże ci walczyć z demonem. Czy on wrócił?

– Nie, jeszcze nie. – Connor wrzucił fiołki do sporranu.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ochraniać Marielle. – Ojciec Andrew usiadł na ławce. – Zastanawiałem się, jak

możemy pomóc jej wrócić do nieba.

Connor usiadł obok niego.

– Ona ma nadzieję, że jeśli pomoże nam pokonać Casimira i Malkontentów, udowodni swoją wartość i Archaniołowie wezmą ją z powrotem.

– Wierzy, że może zasłużyć na wybaczenie? – Ojciec Andrew zmarszczył brwi. – O ile wiem, to nie działa w ten sposób. Pan ceni sobie szczerą skruchę.

Connor uśmiechnął się gorzko.

– Ona była szczerze skruszona i co jej z tego przyszło? Zostawili ją ranną w błocie.

Ksiądz westchnął.

– Nie mogę twierdzić, że rozumiem wszystko, co się dzieje, ale czuję, że jesteśmy świadkami działania boskiej opatrności. Może Pan pożyczył ją nam właśnie po to, by pomogła nam pokonać Casimira.

– A potem zamierza zabrać ją z powrotem? – Connor spojrział w okna, za którymi siedziała Marielle z Shanną.

– Tak sędzę – odparł ojciec Andrew. – Mogę liczyć na twoją pomoc w odesłaniu jej do domu?

Connor nie odrywał od niej oczu.

– Dałem jej słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc jej wrócić.

Ksiądz milczał przez chwilę.

– Może dzięki temu i ty udowodnisz, że jesteś prawym człowiekiem.

Connor prychnął drwiąco.

– Dla mnie już za późno na zbawienie, ojcze. Nawet



demon zna moje imię i mówi, że jestem na jego liście.

– Jest nazwa dla kogoś, kto wierzy w to, co mówi demon. – Ojciec Andrew posłał mu kpiące spojrzenie. – Ktoś taki nazywa się głupiec.

Connor się zachnął.

– Po prostu myślę realnie.

– Bóg jest realny.

– Demon też. Widziałem go.

Ojciec Andrew westchnął.

– Czy ona rozumie, jak niebezpieczna może być ta misja?

– Tak. Pracowaliśmy dzisiaj nad jej samoobroną. I udało nam się teleportować blisko miejsca, w którym wyczuła śmierć.

– Skąd wiesz, dokąd się teleportować?

Connor poruszył się niespokojnie na ławce.

– Musiałem... wśliznąć się do jej umysłu na kilka sekund.

Książd wyprostował się gwałtownie.

– Byłeś w umyśle anioła?

– Przez kilka sekund.

– To musiało być niesamowite. Co... co widziałeś, jeśli mogę spytać?

Connor pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

– To było... piękne, spokojne miejsce, przepełnione miłością i współczuciem.

– Na pewno. – Ojciec Andrew siedział przez chwilę

w milczeniu. – Nigdy nie spotkałem człowieka, któremu Ojciec nie mógłby wybaczyć. Jeśli się wyświadcisz...

– Nie. Z niczego nie będę się spowiadał. – Connor wstał. – Jestem beznadziejnym przypadkiem, ojcze. Dlatego jestem idealnym kandydatem na obrońcę Marielle. Nie mam nic do stracenia.

– I wszystko do zyskania – mruknął ksiądz i wstał z ławki. – Chodź. Zobaczymy, czy nie uda się przekonać Romana, żeby porozmawiał z Marielle.

– Żeby móc jej przebaczyć? – spytał z przekąsem Connor. A może przebaczyć mnie, dodał w duchu.

Ojciec Andrew ruszył do szklanych drzwi stołówki.

– Ojcze, nie! – Roman ruszył za nim szybkim krokiem. – To niebezpieczne.

Ksiądz spojrzał na niego ze spokojem.

– Rozmawiałem z nią wczoraj bez żadnych problemów.

– Chroniło cię kilka wampirów – upierał się Roman.

– To wejdź tam ze mną. – Ojciec Andrew otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Na miłość boską – mruknął Roman i ze złością spojrzał na Connora. – Ty nie wchodzisz?

– Ty pierwszy.

Roman zmrużył oczy i obejrzał się na dzieci.

– Zostańcie tu z Radinką. Zaraz wracam.

– Chcę poznać anioła – zadeklarował Constantine.

– Ja też! – Sofia ruszyła do niego w podskokach.

– Nie! – Roman skrzywił się i złagodził ton. – Proszę

was, żebyście zostali tutaj. Możecie popatrzeć na nią przez szybę.

– Chodźcie, moje skarby. – Radinka wzięła oboje na ręce. – Stąd będziemy mieć świetny widok.

Roman posłał Connorowi złe spojrzenie i wszedł do stołówki.

Connor ruszył za nim i zobaczył, że ksiądz rozmawia z anielicą, ale trzyma się na bezpieczną odległość.

Shanna chwyciła Romana za rękę i poprowadziła do Marielle.

– Myślałam, że były mnich będzie chciał poznać anioła.

Roman zrobił skruszoną minę. Stał przed Marielle.

– Spotkanie z tobą to dla mnie zaszczyt.

Marielle pochyliła głowę.

– Bardzo przepraszam za ból i rozpacz, które spowodowałam. Codziennie będę się modlić za twoje dzieci.

– Dziękuję. – Roman wyciągnął rękę.

Marielle chwyciła ją i drgnęła; przyjrzała mu się uważniej.

– Spotkałam już kiedyś twoją duszę.

– Tak. – Roman skinął głową. – Spotkaliśmy się wczoraj w nocy, ale przez większość czasu byłaś nieprzytomna.

– Nie, to było... – Przekrzywiła głowę, studiując jego twarz. Nagle z cichym okrzykiem puściła jego dłoń i cofnęła się gwałtownie. – Wielkie nieba! To niemożliwe.

Connor stanął u jej boku.

– Co się stało?

Pokręciła głową.

– To było tak dawno temu. Jak to możliwe... –  
Patrzyła na Romana z mieszaniną zdumienia i zgrozy na  
twarzy. – Byłeś moim pierwszym błędem.

## Rozdział 14

Roman zeszywniał.

– Nazywasz mnie błędem? Po tym, jak o mało nie zabiłaś mojej żony? To raczej bym nazwał błędem!

Marielle skrzywiła się boleśnie. Koniecznie musiała się nauczyć nie mówić wszystkiego, co jej przychodziło do głowy.

Roman ruszył do drzwi.

– Koniec spotkania.

– Daj jej szansę wyjaśnić – poprosił Connor.

Roman obrócił się na pięcie i spojrzał na niego z wściekłością.

– Co w ciebie wstąpiło? Zapomniałeś, komu przysięgałeś wierność?

Marielle ujrzała, że Connor zaciska pięści i chwyciła go za ramię, żeby go powstrzymać.

– Proszę, nie obwiniaj Connora za moje błędy – odezwała się do Romana.

Roman prychnął drwiąco.

– A do tych błędów zaliczam się i ja?

Connor zerknął na nią ze złością.

– Puść mnie. Potrafię sam walczyć za siebie.

Puściła, zaskoczona, że jego atak zabolął ją bardziej niż wściekłość Romana. Dlaczego miałyby go nie bronić? On zawsze bronił jej.

– Dość! – Ojciec Andrew powiódł po nich gniewnym wzrokiem. – Usiądźmy wszyscy i niech

Marielle wyjaśni.

Marielle zajęła miejsce i nieufnie popatrzyła na Romana.

On też usiadł z niecierpliwym fuknięciem. Shanna zajęła miejsce obok niego, wzięła go za rękę i pochyliła się do jego ucha, by coś mu szepnąć. Jego spięta twarz się rozluźniła.

To jest dobre małżeństwo, pomyślała Marielle, pełne zrozumienia i czułości. Nieprzyjemne zachowanie Romana brało się z lęku, którego doświadczył – z lęku, że straci ukochaną żonę.

Spojrzała na Connora, który siedział nieopodal, z założonymi rękami i chmurną miną. Westchnęła. Wcześniej był taki szczęśliwy, a teraz rzeczywiście wyglądał jak zrzęda. Wie, że mnie straci, powiedziała sobie w duchu. Ona wróci do nieba, jak tylko będzie to możliwe. A on zostanie tutaj, wciąż samotny, wciąż dręczony bólem i wyrzutami sumienia.

Przypomniała sobie jego słowa. „Uzdrowiasz mnie”. Dobry Boże, miała taką nadzieję. Nie mogła znieść myśli, że egzystował przez wieki ze smutkiem i rozpaczą w sercu.

– Proszę, zacznij, kiedy będziesz gotowa – odezwał się ojciec Andrew, przerywając jej rozmyślenia.

Zaczerpnęła powietrza.

– Ojciec Andrew i Connor słyszeli wczoraj część mojej historii. Zostałam wygnana z nieba za niewykonanie rozkazu. Wczorajszej nocy zrobiłam to po

raz trzeci.

– Za drugim razem uleczyła dziecko, które miało umrzeć – wyjaśnił ojciec Andrew. – Chłopiec wyrósł na seryjnego mordercę.

Roman skinął głową.

– Otisa Crumpa. Robby nam o tym opowiedział.

Marielle poprawiła się na twardym krześle.

– To wtedy Archaniołowie postanowili pozbawić mnie zdolności uzdrawiania. Za karę zostałam Wybawicielką i musiałam odprowadzać dusze wszystkich kobiet zamordowanych przez Otisa.

– To musiało być dla ciebie bardzo bolesne – zauważyła Shanna.

Roman prychnął.

– Jestem pewien, że dla tych kobiet było o wiele bardziej bolesne.

– Tak – przyznała Marielle. – Nie mylisz się.

– A co to ma wspólnego ze mną? – spytał Roman.

– Chyba wiem. – Ojciec Andrew pochylił się do przodu. – Wspominałaś, że pierwszy raz nie wykonałaś rozkazu w Europie Wschodniej w średniowieczu, tak?

– Tak, w 1461 roku. – Zauważyła osłupienie Romana. – Wtedy jeszcze byłam Uzdrowicielką. Posłano mnie do małej wioski w Rumunii, gdzie żona rolnika urodziła trzeciego syna.

Roman zerwał się na równe nogi.

– Byłaś świadkiem moich narodzin?

Marielle popatrzyła na niego ze smutkiem.

– Ty i twoja matka byliście umierający. Dostałam polecenie uzdrowienia jej, ale nie ciebie.

Roman drgnął.

– Miałem umrzeć?

– Dotknęłam twojej matki i uzdrowiłam ją, a twój ojciec wybuchnął płaczem i zaczął chwalić Pana. Potem ślubował, że jeśli Bóg uleczy i ciebie, odda cię Kościołowi.

Roman zbladł.

– Mój ojciec złożył ślubowanie?

– Tak. Przyrzekł, że odda cię do miejscowego klasztoru.

Roman powoli podszedł do szklanej ściany, za którą widać było ogród.

– Nie wiedziałam, co złego mogło wyniknąć z uzdrowienia ciebie – ciągnęła Marielle. – Świat był wtedy pełen biedy i chorób. Pomyślałam, że zrobisz coś dobrego dla świata jako mnich.

Roman oparł przedramię o szybę i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie wiedziałem. Ojciec zabrał mnie do klasztoru, kiedy skończyłem pięć lat, i zostawił mnie tam. Myślałem, że mnie nie chciał.

– Bardzo cię kochał od chwili twoich narodzin – oznajmiła cicho Marielle. – Płakał i prosił za tobą, aż moje serce nie mogło tego znieść. Więc cię uzdrowiłam.

– Uratowałaś mu życie – szepnęła Shanna ze łzami w oczach.



Roman oparł czoło na przedramieniu.

– Kiedy ojciec mnie zostawił, mnisi dali mu worek mąki. Myślałem, że sprzedał mnie za jedzenie.

Shanna podbiegła do niego i uściskała go od tyłu.

– Pewnie dali mu mąkę, bo wiedzieli, jak biedna jest twoja rodzina.

– Na pewno tak było – zgodził się ojciec Andrew. – Ale Roman, jako zrozczone, porzucone dziecko, źle to zinterpretował.

– Zostałaś ukarana za uzdrowienie go? – spytał Connor.

– Dostałam naganę. – Westchnęła. – Ale to była zbyt mała nauczka. Wciąż miałam problemy z wykonywaniem rozkazów.

– Bogu dzięki, że wtedy nie usłuchałaś. – Shanna odwróciła się do niej. – Nie miałabym teraz Romana, gdybyś pozwoliła mu umrzeć. Ani dzieci.

– Mnie też by tu nie było – powiedział Connor. – Ani Angusa czy Jeana-Luca, czy Gregoriego, ani innych, którzy zostali przemienieni przez Romana.

Roman odwrócił się i otoczył żonę ramieniem. W jego oczach błyszczały niewylane łzy.

– Nie mogę się nie zastanawiać, dlaczego miałem umrzeć. Od kiedy zostałem przemieniony przez Casimira, wierzyłem, że moim przeznaczeniem jest doprowadzić do jego zguby.

– Zrobiłaś bardzo wiele, by chronić śmiertelników i zachęcać wampiry do dobrego życia – odpowiedziała mu

Shanna. – Zawsze byłam z ciebie dumna.

Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. W końcu spojrzał na Marielle.

– Naprawdę uważasz mnie za błąd?

Pokręciła głową.

– Błędem było nieposłuszeństwo, ale nie mogę go żałować. Wiodłeś dobre i godne życie. Zawsze byłam wdzięczna, że istnieją dobre wampiry, które walczą ze złymi. I jestem wdzięczna, że mogę wam pomóc.

– Niezbadane są wyroki boskie. – Ojciec Andrew uśmiechnął się do niej. – Wierzę, że twoje przeznaczenie zostało złączone z tymi wampirami.

Marielle westchnęła głęboko. Czy to mogła być prawda? Czy to możliwe, że jakimś cudem znalazła się tu, gdzie powinna być?

Spojrzała na Connora i zauważyła, że przygląda jej się z uwagą. Jej serce zabiło żywiej w przyływie emocji. Nie, to na pewno nie było intencją Ojca. Anioł nie poddaje się ludzkim uczuciom, takim jak pożądanie i pragnienie.

Anioł nie powinien się zakochać.

Minęła ponad godzina, zanim Connor mógł wreszcie teleportować Marielle z powrotem do domku myśliwskiego. Shanna uparła się, że przygotuje jej posiłek w stołówce i wyszła z tego lekcja gotowania. Tymczasem Angus i Emma wrócili z Nebraski z Robbym i Olivią.

Connor spędził jakiś czas w biurze ochrony, opisując

postępy, jakie poczynili z Marielle. Angus nie mógł się już doczekać ostatecznej rozprawy z Malkontentami. Ciała w Nebrasce to rzeczywiście były ofiary Casimira. Ojciec Shanny, Sean Whelan, dał im cynk na temat tych ofiar, a teraz, w ramach rewanzu, domagał się możliwości udziału w bitwie.

– Jest szaleńcem, jeśli sądzi, że zdoła pokonać wampira – mruknął Robby.

Angus wzruszył ramionami.

– Powiedziałem mu to samo, ale nalega. Twierdzi, że zdoła osłabić Malkontentów srebrnymi kulami, zanim w ogóle się do niego zbliżą.

Connor parsknął.

– Wystarczy, że jeden Malkontent teleportuje się za jego plecy i skręci mu kark. Whelan nawet się nie zorientuje. – Spojrzał na żonę Robby’ego. Jako była psycholog FBI przeszła szkolenie z samoobrony, ale jego zdaniem niewystarczające. Żaden śmiertelnik podatny na kontrolę umysłu nie powinien nawet próbować walki z wampirem. – Mam nadzieję, że nie pozwolisz śmiertelniczkom brać udziału w tej bitwie.

– Próbuję im to wybić z głowy – odparł Angus. – Żona Iana broni się całkiem nieźle, ale teraz, kiedy jest przy nadziei, zgodziła się trzymać z daleka.

Emma się uśmiechnęła.

– Mamy mnóstwo dzieci w drodze. Bliźniaki Caitlyn urodzą się w czerwcu. Dziecko Toni we wrześniu. A Darcy urodzi drugie dziecko w październiku.

Connor wyprostował się na krześle. Nie wiedział, że Darcy znowu jest w ciąży. Teraz, kiedy była żoną Austina Ericksona, trzymał się z daleka od jej życia. Nigdy nie lubił, kiedy się w nie mieszał, ale wiedział przynajmniej, że już go nie nienawidzi. Ona i Austin nazwali syna Matthew Connor. Po narodzinach dziecka, prawie dwa lata temu, Darcy przysłała mu list, w którym pisała, że jej dziecko nie przyszłoby na świat, gdyby nie ocalił jej życia.

Olivia sięgnęła przez stół i chwyciła męża za rękę.

– Powiemy im?

Robby wyszczerzył się radośnie.

– Jasne. Mów.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– My też się spodziewamy dziecka.

– Co? – Angus zerwał się z krzesła.

Emma poderwała się z radosnym piskiem.

– Jesteś w ciąży? – Kiedy Olivia skinęła głową, Emma pisnęła jeszcze raz i rzuciła się do niej, żeby ją uściskać.

– O kurczę! – Phineas przybił Robby’emu piątkę i trzasnął go w plecy. – Rządzisz, stary!

Emma w podskokach podbiegła do Angusa i zaczęła go ściskać.

– Będziemy mieli wnuka!

Angus poklepał ją po plecach z lekko oszołomioną miną.

– Będę prapradziadkiem?

Connor podejrzewał, że Angus zgubił parę „pra”.

– Gratulacje. – Uścisnął rękę szefowi i Robby’emu i usiadł, by poczekać, aż skończy się to świętowanie.

Śmiechy i uściski trwały dobre pięć minut, a potem zaczęły się pytania. Jak czuje się Olivia? Kiedy urodzi się dziecko?

Connor poprawił się niecierpliwie na krześle. Najpierw wszyscy jego wampiryczni koledzy się pożenili. Teraz rodziły im się dzieci. To było cholernie przygnębiające.

– Możemy wrócić do tematu? – burknął. – Rozmawialiśmy o zbliżającej się bitwie i głupim życzeniu Seana Whelana, żeby wziąć w niej udział. Myślicie, że śmiertelników ze swojego zespołu też będzie próbował zmusić do walki?

Emma spojrzała na niego z kwaśną miną.

– Zabawne, że pytasz. Sean ostatnio jest wyjątkowo wściekły na ciebie, gdyż Alyssa się w tobie zadurzyła.

Connor zamrugął.

– Kto?

– Kobieta z komórki Trumna – wyjaśniła Emma. – Podobno jej powiedziałaś, że jest ładna.

Connor spróbował sobie przypomnieć, o co mogło chodzić, i nagle zorientował się, że wszyscy w pokoju obserwują go z rozbawionymi minami.

– Uuu, Connor. – Phineas poruszył brwiami w górę i w dół. – Nie wiedziałem, że z ciebie taki podrywacz.

– Nie pamiętam jej – mruknął Connor.

– To było parę lat temu – zauważyła Emma. – Austin mi opowiadał. On i Alyssa trzymali Shannę uwięzioną w pokoju hotelowym, a ty się teleportowałeś do środka, żeby ją ratować. Wtedy oświadczyłeś Alyssie, że jest ładna.

Connor wzruszył ramionami.

– W takim razie to był tylko manewr strategiczny, mający na celu odwrócenie uwagi, żebym mógł uciec z Shanną. – Poczł ciepło na policzkach. Czy taka rzucona od niechcienia uwaga naprawdę mogła doprowadzić kobietę do zakochania?

– No nieźle, stary. – Phineas uniósł kciuk. – Masz fanklub.

Connor wstał.

– To nie było moją intencją. – Ruszył do drzwi. – Muszę zabrać Marielle do domu... znaczy, do domku myśliwskiego. – Poczzerwieniał jeszcze mocniej i umknął.

Do licha! Musiał bardziej uważać. Jeśli jedna głupia uwaga mogła sprawić, że kobieta się zakochała, to co będzie z Marielle, jeśli wciąż będzie jej dotykał? I całował? Biedna dziewczyna chciała wrócić do nieba. To był jej dom. Nie domek myśliwski. Jeśli niechcący doprowadzi do tego, że ona zanadto się przywiąże, tylko utrudni jej odejście.

Problem polegał na tym, że on pragnął jej przywiązania. Do licha, pragnął jej – koniec, kropka. Ale jakim trzeba być głupcem, by sądzić, że można konkurować z niebem? Sam siebie skazywał na potworny

ból. A co gorsza, mógł go zafundować również Marielle.

Musiał się wycofać, trzymać od niej na dystans. Ale przecież musiał ją dalej szkolić i wślizgiwać się w jej umysł, by wiedzieć, dokąd się teleportować.

Do diabła! Co za poplątana sytuacja.

Zastał Marielle w stołówce, pogrążoną w dyskusji teologicznej z Romanem i ojcem Andrew. Shanna wyszła na dwór, żeby pobawić się z dziećmi.

Kiedy się zbliżył, Marielle spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Serce mu się ścisnęło, jak zawsze.

– Mogę zabrać cię z powrotem do domku, kiedy tylko będziesz gotowa.

– Jestem gotowa. – Wstała i zabrała swoje nakrycie.

– Miło mi było znów z ojcem porozmawiać. I poznać ciebie, Romanie.

Roman wstał.

– Dziękuję... za uratowanie mi życia.

Ojciec Andrew zszedł jej z drogi.

– Już się cieszę na następne spotkanie z tobą, moja droga.

Connor wziął jej szklanekę i miskę po surówce.

– Pomogę ci.

– Connorze. – Roman zatrzymał się z zażenowaną miną. – Osądziłem cię zbyt surowo.

– Moim zadaniem było chronić ciebie i twoją rodzinę. Miałeś wszelkie prawo być wściekły.

– Teraz jestem przekonany, że potrzebujemy Marielle – oznajmił Roman. – Proszę cię, dobrze się nią

opiekuj.

– Oczywiście. – Poszedł za nią do kuchni, gdzie odstawili naczynia do zlewu. – Gotowa? – Chwył ją delikatnie za ramiona.

– Nie muszę się trzymać mocniej? – Objęła go za szyję. – Nie chcę, żebyś mnie zgubił po drodze.

Wcześniej czy później, będzie musiał ją zgubić. Otoczył ją ramionami.

– Mam cię. – Na razie.

Wessała ich czarna pustka i po chwili zmaterializowali się w domku koło kanapy. Kiedy tylko Marielle stanęła mocno na nogach, puścił ją.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– To była kolejna długa noc.

– To prawda.

Usiadła na kanapie.

– Skoro wreszcie jesteśmy sami, chciałabym porozmawiać. – Wskazała miejsce koło siebie.

Nie usiadł. Wiedział, do czego ona zmierza.

– Mam parę rzeczy do załatwienia, zanim wzejdzie słońce.

– Zostawisz mnie tu bez ochrony? Może się zjawić Darafer.

Connor się skrzywił. No to go miała.

Poklepała poduchę kanapy.

– Chcę porozmawiać.

– Nie ma po co.

– Owszem, jest po co. Cierpisz, bo nosisz w sobie



zbyt wiele bólu i wyrzutów sumienia...

– To nie jest twoja sprawa.

– Wyznałeś, że cię uzdrawiam. Jak mam to robić, skoro mi nie pozwalasz?

Przestąpił z nogi na nogę.

– Radziłem sobie świetnie przez pięć wieków. Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Ale ja chcę ci pomóc. Nie mogę znieść myśli, że cierpisz w samotności...

– Nie chcę twojej litości!

Wstała.

– W takim razie zlituj się nade mną. Bo będę nieszczęśliwa w niebie, wiedząc, że ty tutaj cierpisz i czujesz się samotny.

Connor wziął głęboki wdech, by nieco złagodzić frustrację.

– Kiedy już wrócisz do nieba, zapomnisz o...

– Nie opowiadaj takich rzeczy! – W jej oczach błysnął gniew. – Zawsze będę pamiętać dzisiejszą noc. Jej wspomnienie będzie dla mnie najcenniejszym skarbem.

Ale i tak mnie zostawisz, pomyślał. Odwrócił się i roztarł czoło.

– To chyba nie jest dobry pomysł, żebyśmy jeszcze bardziej zblizali się do siebie. Tym... tym trudniej będzie się pożegnać.

– Jeśli będę musiała stąd odejść ze świadomością, że ci nie pomogłam, to będzie dla mnie najboleśniejszy cios.

Powiedziałam ci, Connorze Buchanan, że bardzo mi na tobie zależy.

Spojrzał na nią i łzy w jej oczach rozdarły mu serce.

– Opowiedziałam ci o swoich błędach – mówiła dalej. – Z mojej winy po świecie grasował seryjny morderca. Te kobiety zginęły przeze mnie. Czy to nie wzbudza w tobie wściekłości? Czy nie nienawidzisz mnie, bo...

– Nie! Nie myślę o tobie źle. Zlitowałam się nad umierającym dzieckiem.

Wysunęła podbródek.

– Więc mnie nie osądzasz. Miej odrobinę wiary, że będę równie wyrozumiała jak ty. Opowiedz mi o sobie. Nie zmienię zdania na twój temat.

Wiedział, że zmieni, jeśli dowie się, co zrobił. Ona zbłądziła z litości, wierząc, że robi dobry uczynek. On działał w gniewie, doskonale wiedząc, że czyni źle.

Usiadła z powrotem na kanapie.

Connor czekał, czy jeszcze coś powie, ale ona milczała, wpatrując się w niego z nadzieją.

Usiadł sztywno obok niej.

Wciąż nic nie mówiła. Dlaczego nie mogła go męczyć? Wtedy łatwiej byłoby odmówić.

Westchnął. Co dobrego mogło z tego wyniknąć?

– Urodziłem się w 1512 roku.

– Jesteś taki młody – mruknęła, a w jej oczach błyskały iskierki rozbawienia. – Prawie dziecko.

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

– Powiedziałaś, że nie będziesz osądzać.

Uśmiechnęła się.

– Ile miałaś lat, kiedy cię przemieniono?

– Trzydzieści. – Nerwowo zerknął na nią z ukosa. –

Nie domyśliłaś się? Wyglądam dużo starzej?

Zrobiła oburzoną minę.

– Gdzieżbym śmiała cię osądzać.

Poruszył zuchwą. Strasznie go kusiło, żeby dźgnąć ją palcem albo połaskotać. A potem wyczałować do utraty zmysłów. Prawdę mówiąc, mógłby odpuścić łaskotanie i przejść od razu do całowania.

– Zawsze byłeś taki przystojny?

Uniósł brwi.

– Tak.

Roześmiała się.

Jego usta też zadrgały.

– Oczywiście mogłabyś sobie pomyśleć, że to brak skromności z mojej strony, ale na szczęście mnie nie osądzasz.

– Ani mi się śni. – Jej oczy zaśniły czułością. –  
Więc jak to było? To Roman cię przemienił?

– Tak. Ja i Ian McPhie walczyliśmy w bitwie pod Solway Moss, kawałek na południe od szkockiej granicy. Tamtejsze ziemie zawsze były sporne, angielscy i szkoccy królowie skakali sobie do oczu, a tacy nieszczęśnicy jak Ian i ja płacili za to najwyższą cenę. – Westchnął. – Była to upokarzająca porażka, a jeszcze bardziej upokorzony poczułem się, kiedy zrozumiałem,

że zaraz umrę.

Dotknęła jego ramienia.

– Tak mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– Tamtej nocy znaleźli nas Roman i Angus i spytali, czy chcemy żyć dalej i walczyć w słusznej sprawie. Obaj się zgodziliśmy, nie do końca rozumiejąc, co nas czeka. Ale przecież nie chcieliśmy umierać.

– Oczywiście.

– Roman przemienił mnie, a Angus Iana. Biedak miał ledwie piętnaście lat.

– Teraz wygląda na starszego.

Connor skinął głową.

– Roman wymyślił specyfik, który pozwala wampirovi nie spać w dzień, ale sprawia też, że delikwent każdego dnia starzeje się o rok. Ian zażył ten preparat, żeby wyglądać bardziej dorośle.

– Interesujące. A teraz ma żonę i spodziewają się pierwszego dziecka. – Marielle się uśmiechnęła. – Cieszę się, że tak im się ułożyło.

– Tak.

– Dlaczego Phineas mówi, że przechodzisz kryzys wieku średniego?

Connor się zachnął.

– To taka idiotyczna teoria, że wampir zaczyna mieć pewne... problemy emocjonalne, kiedy osiąga pół milenium.

Marielle zamyślona przekrzywiła głowę.

– Dla mnie pięćset lat to niedługo. Ale zgodzę się, że dźwigasz zbyt wielki ciężar wyrzutów sumienia.

Connor założył ręce na piersi.

– Żyłem z nim od wieków. Przywykłem.

– A kto to jest Darcy Newhart?

Skrzywił się.

– Pomyłka.

– Była na samym skraju twoich wyrzutów, niezbyt dobrze ukryta.

– Tak, to chyba prawda. Poukładało jej się w życiu, więc już nie gryzę się tym tak jak kiedyś.

– Co się stało?

– Gregori zaciągnął mnie do baru dla młodych śmiertelników, którzy lubią udawać wampiry. Darcy była reporterką telewizyjną i robiła materiał o tym miejscu. Kiedy zaproponowała, że przeprowadzi z nami wywiad, sądząc, że tylko udajemy wampiry, pomyśleliśmy, że to świetna zabawa. Ale potem została zaatakowana w ciemnej uliczce przez Malkontentów i kiedy ją znaleźliśmy, była bliska śmierci.

– To straszne.

– Nie mogłem patrzeć, jak umiera, więc ją przemieniłem. – Connor westchnął. – Myślałem, że daję jej życie, ale tak naprawdę je odbierałem. Straciła wszystko, co było dla niej ważne. Pracę, rodzinę i przyjaciół.

– Nie podobało jej się bycie wampirem?

– Nie. Nienawidziła mnie za to, że ją przemieniłem i

że nie dałem jej żadnego wyboru w tej kwestii.

Marielle skinęła głową.

– I dlatego masz poczucie winy. Ale powiedziałeś, że poukładało jej się w życiu?

– Tak. Roman odkrył sposób, jak zamienić ją z powrotem w śmiertelniczkę i teraz jest szczęśliwą żoną innego śmiertelnika. Mają małe dziecko, a drugie jest w drodze. Ona i Austin też pracują dla MacKay UOD.

Marielle się uśmiechnęła.

– To cudownie. Uwielbiam szczęśliwe zakończenia.

– Rozsiadła się wygodniej na kanapie. – Dzięki, że mi powiedziałeś. Nie bolało za bardzo, prawda?

– Mogę mieć traumę przez parę wieków.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– Tym razem wykręciłeś się sianem. Wiem, że kryjesz tam o wiele więcej. – Dotknęła jego piersi.

Uściskał jej dłoń, wdzięczny, że nie naciskała dalej. Ale to było zaskakujące, jak łatwo mu się z nią rozmawiało.

Przysunęła się bliżej i położyła mu głowę na ramieniu. Kiedy na nią spojrział, otarł się policzkiem o jej włosy, tak jedwabiste i miękkie. Zapach jej szamponu wypełnił mu nozdrza.

Odwrócił wzrok.

– Powinniśmy uważać, nie zbliżać się do siebie zanadto.

– Ale ja uważam cię za bliskiego przyjaciela, Connorze. A dwójka przyjaciół na pewno może się

przytulać, i to nie powinien być problem. – Otoczyła ramieniem jego tors i położyła mu głowę na piersi.

Z trudem przełknął ślinę.

– Cóż, okazjonalny uścisk chyba będzie w porządku.

– Wyciągnął rękę za jej plecami.

Wtuliła się mocniej.

– Podoba mi się, że mogę cię dotykać. Tak długo nie mogłam tego robić. Każdy, kogo dotknęłam, kurczył się i umierał.

On z pewnością się nie kurczył, kiedy go dotykała.

Przeciągnęła palcami po jego żuchwie.

– Podoba mi się dotyk twojego zarostu. Trochę łąskocze.

W głowie rozbłysła mu wizja jego samego, łąskoczącego zarostem jej piersi.

– Dziękuję za cudowny wieczór. – Pocałowała go w policzek.

– Dziewczyno. – Dotknął jej twarzy. – Nie powinniśmy się całować.

– To był tylko mały całus w policzek.

Connor przycisnął usta do jej czoła.

– Więc nie będziemy się całować... w usta. – Pocałował ją w skroń.

– To chyba mądra zasada. – Wsunęła mu dłoń na szyję.

Wycałował ścieżkę w dół jej żuchwy.

– Nie powinniśmy się za bardzo angażować.

– Otóż właśnie. – Przechyliła głowę, żeby mógł

łatwiej wtulić twarz w jej szyję. – A to, co mówiłeś wcześniej o moich piersiach, to była prawda?

– Że chcę ich dotykać i całować je?

– Tak.

– Tak, to prawda – szepnął jej do ucha. – Ale powinniśmy uważać. – Obsypał pocałunkami jej policzek.

Z jękiem przechyliła się bliżej.

– Powinniśmy ćwiczyć... wstrzemięźliwość. – Ucałował kącik jej ust.

– Tak.

Znieruchomiał z ustami ledwie milimetr od jej ust. Jej uchylone wargi były pełne i wilgotne. Jej oddech delikatnie łaskotał jego wargi.

Przestań, głupcze! Zanim było za późno, odwrócił głowę i pocałował kącik jej ust.

Odeskoczył do tyłu, kiedy ktoś chrząknął w drugim końcu pokoju. Do licha.

Vanda, Marta i Brynley wróciły i, sądząc po minach, bawiły się doskonale.



## Rozdział 15

Marielle krzyknęła cicho. Żar zalał jej policzki. Nie wiedziała, co było gorsze – wyraz rozbawienia na twarzach kobiet czy przerażenia i zażenowania na twarzy Connora.

Wstała z kanapy. Connor zrobił to samo i stanął sztywno kilka kroków od niej.

– Cześć, kochani – przywitała ich Vanda z wesołym błyskiem w oku. – Jak tam szkolenie?

– W porządku – wymamrotała Marielle. W tej samej chwili Connor mruknął:

– Dobrze.

– Nawet bardzo dobrze, z tego, co widzę – rzuciła Brynley z drwiącym uśmiechem.

Marta z uśmiechem pokręciła głową i postawiła dwie torby na kuchennym blacie.

– Nie wiedziałyśmy, że przerwiemy wam... trening.

– No cóż, mogło być gorzej. – Vanda ledwie powstrzymywała się od śmiechu. – Ćwiczyli wstrzemięźliwość.

Marielle się skrzywiła. Jak długo dziewczyny ich obserwowały?

Connor mruknął po gaelicku coś, co brzmiało jak przekleństwo.

– Byłbym wdzięczny, gdybyście same poćwiczyły wstrzemięźliwość i nie opowiadały, co widziały.

– Ja niczego nie widziałam. – Vanda spojrzała na

Brynley. – Ty coś widziałaś?

– Nie, ale mam dziwną chętkę na surowe ostrygi.

Kiedy kobiety się śmiały, Marielle zerknęła ukradkiem na Connora. Spojrzał jej w twarz, a w jego dymno niebieskich oczach dostrzegła gniew.

– Przepraszam że... narobiłem ci wstydu. – Zacisnął szczęki. – To się więcej nie powtórzy.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. Czy chciał powiedzieć, że już nigdy jej nie pocałuje?

– Mam parę spraw do załatwienia – rzucił cicho i dodał głośniejszym głosem: – Wrócę tuż przed świtem.

– Connorze, nie musisz... – Vanda urwała, kiedy się teleportował. – Nie miałyśmy zamiaru go wypłoszyć.

– Imprezowa psuja – mruknęła Brynley.

Marielle patrzyła ze zmarszczonymi brwiami na miejsce, gdzie przed chwilą stał Connor. Nie pożegnał się.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytała Marta, która rozpakowywała torby w kuchni.

Marielle skinęła głową.

– Tak.

Vanda przysiadła na oparciu kanapy.

– Nie chcę być wścibska, ale co tu się dzieje, do licha? Myślałam, że chcesz wracać do nieba.

– Bo chcę. – Marielle upchnęła ręce w kieszenie kurtki. – A Connor mi pomaga.

– On to tak nazywa? – Vanda zmrużyła oczy. – Mam nadzieję, że cię nie wykorzystuje.

– Ależ skąd – zaprotestowała Marielle. – Tylko chciałam... – Znow się zarumieniła.

– O kurczaczki – szepnęła Brynley. – Czy ty się w nim zakochałaś?

– Ja... – Marielle się zawahała. – Nie wiem. Być może.

– Nie wiesz? – Brynley wzięła się pod boki. – Facet jest legalnym trupem. I nosi spódnicę!

– Podoba mi się jego kilt – oznajmiła cicho Marielle. – I wcale nie jest martwy.

– Dziwnie gada. I ma rude włosy! – Brynley z niesmakiem zmarszczyła nos. – Niemożliwe, żeby ci się wydawał przystojny.

Marielle zeszywniała.

– Connor jest bardzo przystojny. I nie pozwolę, żebyś go dłużej obrażała.

– Wydało się! – Brynley wycelowała w nią palec. – Nie mów nam, że nie wiesz. Jesteś zakochana po uszy.

Marielle z trudem przełknęła ślinę.

– O, to było bardzo sprytne – zwróciła się Marta do Brynley. – Zmusiłaś ją do ujawnienia, co naprawdę czuje.

Brynley wzruszyła ramionami.

– Trochę się obracałam między ludźmi.

Marielle zaczęła się bawić suwakiem kurtki i przypomniała sobie, jak Connor zapiął go jej wieczorem.

– I zdaje się, że twoja zasada trzech kroków też jest prawdziwa.

Brynley się roześmiała.

– Wiem, że jest.

Vanda uniosła rękę.

– Moim zdaniem to nie jest temat do śmiechu. – Popatrzyła na Marielle z troską. – Byłaś kiedykolwiek zakochana?

Marielle otworzyła usta, by wyznać, że kochała cały rodzaj ludzki, ale wiedziała, że Vanda nie to miała na myśli. Wampirzycy chodziło o to, jak jej serce przyspieszało gwałtownie, ilekroć patrzyła na Connora. I o to pragnienie i tęsknotę, które przepełniały ją tak bardzo, iż bała się, że wybuchnie.

– Nigdy wcześniej się tak nie czułam.

– A Connor? – spytała Vanda. – Co on czuje?

Marielle z nagłym bólem serca zrozumiała, że pragnie, by ją kochał.

Skrzywiła się. Jak mogła być taka samolubna? Czy naprawdę chciała, by został tu ze złamanym sercem, kiedy ona wróci do nieba? Już i tak dźwigał tyle bólu. Jak mogła jeszcze mu go dokładać?

– Nie chcę go zranić. Co mam robić?

Vanda powoli wypuściła powietrze.

– No cóż, jeśli naprawdę zamierzasz odejść...

– Musisz go rzucić – dokończyła Brynley.

Marielle zrobiła zrozpaczoną minę.

– Ale... on jest moim obrońcą. Strzeże mnie w nocy.

– Możemy ci znaleźć kogoś innego do ochrony – zasugerowała Brynley.

Vanda skinęła głową.

– Ian na pewno by się zgodził. I Phil też by pomógł. I nie musiałabyś się martwić, że któryś z nich zacznie się do ciebie przystawiać.

Marielle ścisnęło się serce.

– Connor mnie szkoli, żebym umiała się bronić, i potrafi wejść do mojego umysłu, by sprawdzić, dokąd się teleportować...

– Każdy wampir to potrafi – przerwała jej Vanda. – Posłuchaj. Wiem, że chcesz zatrzymać Connora przy sobie. To normalne, skoro nie jest ci obojętny. Ale im bardziej się w to angażujesz, tym bardziej będzie bolało, kiedy odejdziesz.

– Więc postanowione – oznajmiła Brynley. – Musisz go rzucić.

Marielle kiwnęła głową ze łzami w oczach. Boże dopomóż. Nie dało się uniknąć zranienia Connora. Mogła to zrobić teraz... albo później.

– A im szybciej go rzucisz, tym lepiej – dodała Brynley.

– Czy to nie nazbyt radykalne? – spytała Marta, podchodząc do kanapy.

– Owszem, ale tak to już jest. – Brynley rozwaliała się na kuchennym krześle. – Życie jest do kitu, a potem umierasz. – Spojrzała na Marielle spod zmrużonych powiek. – I wtedy ty się pojawiaasz, tak?

Po policzku Marielle spłynęła łza.

– Tak.

– Nie musisz być taka obcesowa – wypaliła Vanda

pod adresem Brynley. – To wszystko jest dla niej nowe.

Marta dotknęła ramienia Marielle.

– Proszę cię, nie płacz.

Marielle wytarła policzek.

– Nie miałam pojęcia, jak trudno jest być człowiekiem.

Brynley westchnęła i oparła stopy w kowbojkach na sąsiednim krześle.

– Ja tylko mówię, że miłość nie jest dla mięczaków. Jeśli nie masz odwagi dociągnąć do mety, to w ogóle nie startuj. – Z ponurą miną założyła ręce na piersi. – Przekonałam się o tym na własnej skórze.

– No więc, nie wyżywaj się za swoje nieszczęście na reszcie świata – burknęła Vanda. Podeszła do Marielle i poklepała ją po ramieniu. – Będzie dobrze. Często jest tak, że wszystko samo się jakoś układa.

Marielle mruganiem odpędziła łzy.

– Masz rację. Muszę być silna. – Nie mogła tracić wiary, cokolwiek by się działo.

Vanda się uśmiechnęła.

– Mamy dzisiaj niespodziankę dla ciebie.

Marielle wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy.

– Jaką niespodziankę?

– Domowe ciasteczka czekoladowe i mleko – odpowiedziała Brynley. – Na bank poprawią ci samopoczucie.

– Spakowałam dla ciebie torbę produktów spa –

dodała Vanda. – Skoro nie możemy cię zabrać do spa, przyniosłyśmy spa do ciebie.

– Spa? – spytała Marielle.

Vanda skinęła głową.

– To świetna zabawa!

To była tortura. Przynajmniej na początku, kiedy Vanda pokazała jej, jak się woskuje nogi. Rzeczywiście, pomogło jej to oderwać myśli od Connora. Ale kiedy zostawiły ją zanurzoną w wannie, jej myśli natychmiast wróciły do niego.

– Pora na pedikiur. – Vanda wygoniła ją z wanny i opatuliła w gruby szlafrok. – A ty lepiej się stąd rusz – rzuciła ostrzegawczo pod adresem Brynley, prowadząc Marielle z powrotem do dużego pokoju.

Brynley zerwała się z kanapy.

– Przygotuję ciastka i mleko. – Ruszyła do kuchni, szerokim łukiem omijając Marielle.

Vanda posadziła Marielle na kanapie, a sama przysiadła na stoliku naprzeciw niej. Położyła sobie jej stopę na kolanach.

– Masz taką delikatną skórę. Jak małe dziecko.

– Proszę. – Marta przyniosła jej plastikowy kubełek, pełen najróżniejszych lakierów do paznokci. – Wybierz kolor.

Marielle wybrała świetlisty róż, który przypominał jej zachody słońca, i Vanda zajęła się jej paznokciami.

– Czy to ma mnie uczynić bardziej atrakcyjną? – spytała Marielle.

– Mhm – mruknęła Vanda, skupiona na pracy.

– To rozsądne? No wiesz... przecież uważasz, że Connor i ja nie powinniśmy...

– Sama nie wiem, co myśleć. – Vanda zabrała się do drugiej stopy. – Wiem tylko, że Connor bardzo długo cierpiał i... i chcę, żeby był szczęśliwy. Tobie też tego życzę.

Marielle westchnęła. Nie wiedziała, jak to osiągnąć, ale jedno było pewne: ona też chciała, żeby Connor był szczęśliwy.

Brynley postawiła na stoliku szklankę mleka i talerz ciastek i wróciła w bezpieczne miejsce przy kuchennym stole.

Marielle ze smakiem zjadła ciastka, a potem przyszła pora na malowanie paznokci u rąk. Kiedy lakier schnął, Vanda i Marta usiadły po jej obu stronach na kanapie, każda z kieliszkiem syntetycznej krwi. Brynley siedziała naprzeciw nich na bujanym fotelu i wcinała ciastka z mlekiem.

– Nie dziwię się, że spodobałaś się Connorowi. – Vanda napiła się krwi. – Jesteś nie tylko piękna, ale też pełna miłości, a on... chyba tego potrzebuje.

Marielle usiadła wygodniej na kanapie.

– Teraz staram się o tym nie myśleć. – Ale w głowie brzmiało jej: on cię potrzebuje. On potrzebuje miłości.

– To porozmawiamy o tym, czego nie cierpimy u facetów – zaproponowała Brynley. – Na przykład jacy potrafią być marudni, kiedy ich coś boli.



Vanda wybuchnęła śmiechem.

Marielle nie sądziła, by z Connorem było tak samo.

– Czasami budzę się ze śmiertelnego snu, a Phil leży koło mnie i chrapie tak, że coś okropnego. Więc walę go pięścią i mówię mu, że obudził umarlaka.

Brynley się roześmiała.

– Connor chyba nie chrapie – zauważyła Marielle.

– Oczywiście że nie chrapie! Jest martwy! – Brynley skrzywiła się z niesmakiem. – O wilku mowa.

Marielle wyprostowała się i spojrzała przez ramię. Serce jak zawsze zabiło jej gwałtownie. Connor wrócił. Miał świeże ubranie, wilgotne włosy i był tak przystojny, że oczu nie mogła oderwać.

– Słońce wschodzi za piętnaście minut – oznajmił.

– No dobrze. – Vanda wstała. – Marta i ja będziemy się zbierać.

Marta dopiła krew i odstawiła kieliszek.

– Miło było cię znów zobaczyć, Marielle. Uważaj na siebie.

Marielle uściskała ją i Vandę.

– Dziękuję. Za wszystko.

Vanda się uśmiechnęła.

– Było fajnie. – Postawiła pusty kieliszek na stoliku obok tacki z lakierem do paznokci. – Powodzenia z twoim... problemem. – Spojrzała na Connora i ściszyła głos. – Porozmawiam z Ianem.

Marielle skinęła głową.

– Nie przejmujcie się bałaganem – oświadczyła

Brynley. – Ja posprzątam. Nie mam wiele do roboty przez cały dzień.

Vanda i Marta się teleportowały.

Connor kiwnął głową.

– To ja idę się przygotować do śmiertelnego snu. – Odwrócił się i wszedł do sypialni Marielle.

– Zaraz – szepnęła Brynley. – On będzie spał w twoim łóżku?

– Ch... chyba nie może. – Czy nie mówił, że słońce wpadające przez okno by go usmażyło?

– Dziwne – mruknęła Brynley. Zebrała rzeczy ze stolika i zaniosiła je do kuchni.

Marielle żałowała, że nie może pomóc, ale musiała trzymać się z daleka od Brynley.

Drzwi sypialni otworzyły się i stanął w nich Connor. Odszukał wzrokiem Marielle, ale szybko odwrócił oczy.

– Dobranoc. – Wszedł do garderoby koło kuchni i szczelnie zamknął za sobą drzwi.

– Connor siedzi w szafie – zaśpiewała szeptem Brynley i się roześmiała.

Marielle ziewnęła. To była kolejna długa noc.

– Ja chyba też pójdę spać. – Ruszyła do sypialni. – Dziękuję, że będziesz nas pilnować za dnia.

– Żaden problem. – Brynley uśmiechnęła się znad zlewu, przy którym myła naczynia. – Jeśli pokaże się ten paskudny demon, nafaszeruję go kulami.

Marielle zatrzymała się przy drzwiach sypialni.

– Nie podoba mi się, że zostawiam cię samą na cały

dzień, ale całą noc byłam na nogach.

– Spokojnie. Prześpij się.

Marielle skinęła głową.

– Niech cię Bóg błogosławi.

Po twarzy Brynley przemknął cień bólu, nim odwzajemniła uśmiech.

– Dobranoc.

Marielle zamknęła za sobą drzwi i podeszła do okna. Nocne niebo robiło się jaśniejsze, nabierało blasku, jak zawsze tuż przed wschodem, nim słońce wybuchnie nad horyzontem olśniewającym światłem i różnymi barwami.

Świt zawsze był jej ulubioną porą – czasem pełnym nadziei i obietnic nowego dnia. Ale teraz mogła myśleć tylko o Connorze leżącym w garderobie tak blisko niej. Umierającym. Samotnym.

Z westchnieniem odwróciła się do łóżka. Promień porannego słońca przebił się przez okno i zatańczył na poduszce. Coś zamigotało.

Podeszła bliżej i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Na poduszce leżała szklana figurka anioła, którą widziała wcześniej na wystawie sklepowej. Widocznie Connor wrócił tam i kupił ją dla niej. Słodki, kochany Connor.

Podniosła figurkę i przeciągnęła palcami po gładkim, złożonym szkle tułowia aniołka, po szlifowanych fasetkach kryształowych skrzydeł.

Tak bardzo brakowało jej skrzydeł! Łzy napłynęły jej do oczu. Usiadła na brzegu łóżka, położyła aniołka na kolanach i delikatnie powiodła palcami po skrzydłach.

Kiedy na figurkę kapnęła łza, wytarła ją szlafrokiem. Straciła swoje skrzydła. A im dłużej pozostawała na ziemi, tym bardziej stawała się ludzka.

Straciła skrzydła. Ale znalazła Connora.

Ze szlochem przycisnęła aniołka do piersi. Nie było sensu zaprzeczać: prawda była taka, że Connor był w jej sercu.

Zakochała się w nim.

Obudziła się późnym popołudniem. Wzięła prysznic, ubrała się i ostrożnie wyjrzała za drzwi sypialni. Woląca wiedzieć dokładnie, gdzie jest Brynley, żeby nie wpaść na nią przypadkiem.

Poczuła smakowity zapach. Brynley widocznie coś ugotowała, ale nie było jej w kuchni.

– Halo? – Marielle weszła do dużego pokoju.

– Tu jestem – zawołała Brynley z garderoby.

Marielle gwałtownie wciągnęła powietrze. Na litość boską, co Brynley tam robiła? Pobiegnęła do garderoby, otworzyła drzwi i znów się zachłysnęła.

Brynley zdjęła Connorowi buty i podkolanówki i malowała mu paznokcie na żarówiasty róż.

– Wielkie nieba! – Marielle patrzyła na to z przerażeniem. – Co ty robisz?

– A na co to wygląda? – Brynley uśmiechnęła się złośliwie i wskazała jego kilt. – Jak myślisz, może byśmy tam zajrzały?

– Nie! – Twarz Marielle zapłonęła. Nie chciała się przyznać, że widziała już części intymne Connora. Dwa

razy.

– Właśnie udowodniłaś, że mam rację. – Brynley wróciła do malowania paznokci jego prawej stopy. – Muchy byś nie skrzywdziła.

– Co mają muchy do faktu, że malujesz mu paznokcie? On się strasznie rozgniewa.

– Liczę na to. – Brynley zabrała się do lewej stopy. – Zastanawiałam się nad tym cały dzień i nie wydaje mi się, żebyś zdołała go rzucić. Jesteś zbyt miła. Więc zostaje tylko jedna możliwość: rozeźlić go i pogonić.

Marielle się skrzywiła.

– Pogonić? – Spojrzała na jego przystojną twarz. Naprawdę byłaby do tego zdolna?

Brynley spojrzała na nią z podłogi.

– Jeśli będziesz próbowała rozmawiać z nim rozsądnie, zaczniesz się tylko z tobą kłócić, aż się poddasz. Więc najlepszą strategią będzie rozgniewać go na tyle, żeby sam chciał odejść.

Marielle z trudem przełknęła ślinę.

– Posłuchaj uważnie – ciągnęła Brynley. – Kiedy naskoczy na ciebie wściekły i zapyta, dlaczego mu to zrobiłaś, powiedz: „Bo miałam ochotę. A jak ci się nie podoba, możesz sobie iść i więcej nie wracać”.

– To brzmi strasznie.

– Tak, ale działa. – Usta Brynley wykrzywił nieprzyjemny grymas. – Wiem coś o tym. – Zaczęła malować mu paznokcie u rąk.

– Och, nie! – zaprotestowała Marielle. – Te nie.

Brynley spojrzała na nią surowo.

– To twoja jedyna nadzieja. A teraz powiedz to. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

Marielle skrzywiła się i powiedziała cicho:

– Bo miałam ochotę. A jak ci się nie podoba, to możesz sobie iść i więcej nie wracać.

– Jeszcze raz. Z większym przekonaniem. On musi uwierzyć, że naprawdę tak myślisz.

Marielle powtórzyła kwestię, ale każde słowo bolało, jakby wyrywała je siłą z duszy.

Wyszła na dwór i usiadła na bujanym fotelu na werandzie. Jak to się stało, że w ciągu zaledwie paru dni doszło do czegoś takiego?

Chwilę później Brynley wyszła za nią z talerzem pełnym jedzenia i szklanką wody. Postawiła nakrycie na małym, drewnianym stoliku koło Marielle.

– Pewnie jesteś głodna, a musisz zachować siły.

– Dziękuję. – Zjadła trochę, ale powoli traciła apetyt, patrząc, jak słońce zniża się na niebie. Czy mogła to zrobić? Czy naprawdę zdoła zrazić do siebie Connora?

Kiedy słońce wisiało tuż nad horyzontem, temperatura zaczęła spadać. Marielle zadrżała i zabrała naczynia do domku.

Brynley pozapalała światła.

– Już prawie pora. – Wzięła strzelbę. – Ja jestem gotowa.

Marielle z brzękiem upuściła talerz do zlewu.

– Myślisz, że będzie aż tak wściekły?

Z garderoby dobiegł głuchy łomot; Marielle podskoczyła. Obudził się. Natychmiast zauważy, że jest bez butów i skarpet.

– Co to jest, do jasnej cholery?!

– Nie zapomnij tekstu – szepnęła Brynley, wychodząc ze strzelbą na dwór. – Będę za drzwiami, gdybyś mnie potrzebowała.

Drzwi garderoby otworzyły się z hukiem. W progu stał bosy Connor z oczami świecącymi jaskrawym błękitem, z rudymi włosami fruującymi dziko wokół ramion.

Marielle przełknęła ślinę.

Skupił na niej wzrok.

– Kobieto – warknął.

Cofnęła się o krok.

– Oczy ci świecą na niebiesko.

– To wściekłość. – Kły wystrzeliły mu z dziąseł.

Krzyknęła cicho i cofnęła się jeszcze.

Szarpnięciem otworzył drzwi lodówki, chwycił butelkę krwi i wstawił ją do kuchenki mikrofalowej. Zaczął wciskać guziki, ale nagle znieruchomiał i z wściekłością zapatrzył się na swoje różowe paznokcie. Zacisnął pięść.

Powoli odwrócił głowę w jej stronę.

– Ty. – Oczami wypalał w niej dziury. Złapał zimną butelkę z kuchenki i wypił duszkiem trochę krwi.

Trzasnął butelką o blat i ruszył w stronę Marielle. Kły wciąż miał wysunięte, zaczerwienione od krwi.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Marielle zadarła głowę.

– Bo miałam ochotę. – Głos jej się trząsał. – A jak ci się nie podoba, to możesz...

Uniósł brew, nie przestając się do niej zbliżać.

– To co mogę?

Łzy zapiekły ją w oczach.

– To możesz sobie iść i więcej nie wracać.



## Rozdział 16

Iść sobie? Connor przestał się zbliżać do Marielle. Jego widzenie zabarwiło się na jeszcze intensywniejszy błękit, kiedy furia osiągnęła niebezpieczny poziom.

Co te szalone baby robiły z jego aniołem? Pierwszej nocy powiedziały jej, jak się robi loda, a teraz najwyraźniej wplątały ją w jakiś głupi teatrzyk, który miał go od niej przegonić.

Iść sobie? Po moim trupie.

Zacisnął pięści.

– A co z twoim szkoleniem? Zamierzasz uczestniczyć w bitwie nie umiejąc się bronić?

Wyprostowała plecy, by pokazać swoją siłę, ale łzy w jej oczach przeczyły wszystkiemu.

– Sama mogę się szkolić.

– Teleportować się też możesz sama?

– Ian mnie zabierze. A on i Phil mogą mnie chronić.

– Chcesz mnie wymienić? – Równie dobrze mogła go dziabnąć mieczem w pierś. – Czyżbym nagle przestał być godny zaufania? – huknął.

Kiedy drgnęła, postarał się zapanować nad furją.

Złapał butelkę z blatu i wypił resztę krwi. Na zimno smakowała ohydnie, ale pomogła mu trochę ostudzić wściekłość. Kły mu się cofnęły, ale widzenie wciąż miał podbarwione błękitem, co było oznaką, że ciągle jest na granicy utraty panowania nad sobą.

Odstawił pustą butelkę.

– Wiesz, co mnie najbardziej złości? Wcale nie ten cholerny lakier do paznokci ani to, że te kobiety namówiły cię na dziecinną intrygę.

Kiedy nie odpowiedziała, odwrócił głowę i spojrzał na nią z wściekłością.

– Dałem ci słowo, że ci pomogę wrócić do nieba, cokolwiek by się działo.

Zbladła.

Znów ruszył w jej stronę.

– A ty prosisz... nie, każesz mi odejść? Czy moje słowo nic dla ciebie nie znaczy? – Znów zaczął krzyczeć.  
– Spodziewasz się, że złamię dane słowo?

Jej oczy zalśniły od niewylanych łez.

– Spodziewam się, że odejdiesz.

Zgrzytnął zębami.

– Zapominasz o czymś. – Podeszedł jeszcze bliżej. – Anioły nie potrafią kłamać.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zanim zdążyła wypowiedzieć słowo, chwycił ją za kark i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Krzyknęła cicho.

– Serce ci wali jak oszalałe. – Dotknął jej policzka. – Ono nie kłamie.

Kiedy po jej policzku spłynęła łza, chwycił ją kciukiem.

– Twoje łzy nie kłamią. – Przeciągnął dłonią po szyi w dół, i niżej, aż chwycił pierś. – Drżysz od mojego dotyku. Twoje ciało nie kłamie.

Delikatnie ścisnął pierś; Marielle jęknęła.

– Wreszcie coś prawdziwego wyszło z twoich ust. – Pocałował ją lekko. – A teraz powiedz, czy...

Frontowe drzwi otworzyły się z hukiem.

– Poinformowała cię, że masz sobie iść, więc idź! – Brynley wpadła do środka, mierząc do niego ze strzelby.

Przeklęta idiotka. Gdyby nacisnęła spust, mogłaby zabić Marielle. Connor teleportował się za jej plecy, jedną ręką wyrwał jej strzelbę, a drugą pchnął dziewczynę i przygwoździł do ściany.

Krzyknęła, zaskoczona jego wampiryczną siłą i szybkością. Spróbowała się ruszyć, ale trzymał ją mocno.

– To byłaś ty, tak? To ty pomalowałaś mi paznokcie.

Brynley chwyciła go za rękę i spróbowała się uwolnić.

– Puszczaj, ty nieumarły zboczeńcu!

Przesunął dłoń wyżej, by chwycić ją za gardło, i pochylił się ku niej.

– Nigdy ze mną nie zadzieraj, kiedy leżę martwy.

– Dobra! – Jej oczy płonęły gniewem. – A ty przestań obmacywać anioła.

Puścił ją i się odsunął. Chryste Panie, to o to chodziło? Kobiety nie chciały, żeby dotykał Marielle? Spojrzał na nią. Miała nieszczęśliwą minę, zaczerwienione oczy. Zgodziła się na ich idiotyczny plan. A to mogło oznaczać tylko jedno: ona też chciała, żeby przestał jej dotykać.

Ogarnęła go lodowata fala, zmrażając do szpiku kości.

– W porządku. – Wyszedł na dwór.

Ból wybuchnął w jego piersi tak nagły i tak ostry, że zaparło mu dech. Do licha. Myślał, że jest zbyt zimnym draniem, by tak cierpieć. Marielle skutecznie udowodniła mu, że był w błędzie.

Wyjął naboje ze strzelby i położył broń na werandzie, pod ścianą domku. Błękitne zabarwienie wszystkiego dookoła zniknęło całkowicie. Nie było już wściekłości. Tylko ból. I smutek.

Wyjął ze sporranu komórkę i zadzwonił do Iana.

– Wybierasz się po Brynley?

– Tak, za parę minut – odparł Ian. – I... hm, Vanda prosiła mnie, żebym spędził tam noc jako ochroniarz Marielle.

– Nie. Ta robota jest moja. Po prostu zabierz Brynley. I... załatw mi zmywacz do paznokci.

Ian milczał przez moment.

– Że co, proszę?

– Zmywacz do paznokci! Zakładam, że twoja żona ma coś takiego.

– Dobrze. Zaraz będę.

Connor rozłączył się i wrzucił telefon do sporranu. Do licha. Ian nieźle się uśmieje.

– Connorze? – Pełen wahania głos Marielle rozległ się za jego plecami.

Serce ścisnęło mu się w piersi. Nie odwrócił się, bo nie chciał, żeby dostrzegła ból na jego twarzy.

– Wracaj do środka.

– Będziesz... będziesz mnie dalej szkolił?

– Tak. Będziemy kontynuowali trening i ćwiczili teleportację. Za parę dni powinniśmy być gotowi do konfrontacji z Malkontentami. – Zacisnął zęby. – Nie będziesz musiała długo mnie znosić.

Długą chwilę panowała cisza; Connor sądził, że Marielle weszła do domu.

– Dziękuję za szklanego aniołka – szepnęła. – Będzie moją najdroższą pamiątką... dopóki tu będę.

A niech to, znów rozboleło go serce.

– Pewnie nie możesz zabrać go z sobą do nieba?

– Nie. – Wydała smutny dźwięk, który brzmiał jak skrzyżowanie szlochów i pociągnięcia nosem. – Przykro mi.

Drzwi zamknęły się i został sam na ganku.

– Mnie też jest przykro.

Przez następne godziny Marielle twardo starała się nie płakać. Connor dotrzymał słowa i kontynuował jej szkolenie, ale był zimny i nieprzystępny, wywarkiwał polecenia i nie patrzył jej w oczy.

Ustawił przed chatą drewniany zegar. Kiedy zażartowała, że przypomina kamienny krąg, nie odpowiedział.

Pracowała ciężko przez kilka godzin i nauczyła się przewracać tylko jeden klocek. Jej wysiłki zostały nagrodzone burkliwym „nieźle”. Żadnych uśmiechów. Żadnych klepnięć po plecach. Żadnych wesołych błysków w oczach.

Trzymał ją sztywno, kiedy teleportowali się w pobliże szpitala w Cleveland, gdzie na oddziale chirurgicznym umierała kobieta. Kiedy Connor zachęcił ją, by poszerzyła teren i odszukała kilka zgonów, którym towarzyszyło przerażenie, doprowadziła ich do brutalnej strzelaniny między kartelami narkotykowymi pod południową granicą. Widząc, że kule świszczą dookoła i przypadkowi przechodnie padają na ulicy, Connor szybko teleportował ją z powrotem do domku.

Nie próbowała ukryć, jak bardzo jest wstrząśnięta, więc posadził ją na kanapie, przyniósł jej szklankę wody i kazał odpocząć. Spróbowała zamknąć oczy, ale za każdym razem na nowo widziała pod powiekami tę brutalną scenę. Krzyki niewinnych rozlegały się w jej głowie. Ludzki świat potrafił być taki okrutny.

Dobry Boże, tak bardzo pragnęła wrócić do nieba! Tęskniła za spokojem i miłością, które przenikały jej duszę, za nieustającą rzeką pochwał i wsparcia, które wypełniały jej umysł. Tęskniła za swoim przyjacielem Bunielem i za swoimi pięknymi, białymi skrzydłami. A jeśli już nigdy nie usłyszy śpiewu Niebiańskich Zastępów? Jeśli już nigdy nie polecą, nie poczuje wiatru smagającego twarz, nie wzbije się w niebiosa i nie zobaczy gwiazd migoczących dookoła?

Zamrugnęła, by rozpędzić łzy. Nie chciała, by Connor zobaczył, jak się rozkleja. Od chwili powrotu do domku krążył po pokoju jak zwierzę w klatce. Kilka razy, gdy spojrzała na niego, przyłapała go na tym, że i on na nią

patrzy. Zawsze się odwracał, ale nie dość szybko, by nie zdążyła dostrzec bólu w jego oczach. Chodził tak dość długo, aż w końcu wyjął claymora z garderoby i wyszedł na dwór.

Po chwili Marielle podeszła do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. Niemal pełny księżyc oświetlał polanę przed domkiem. Connor zbudował sobie udawanych wrogów z kłoców drewna i kostek słomy i ćwiczył szermierkę.

Nie, to było coś więcej niż trening. To była rzeź. Siła jego ciosów była przerażająca. Jego wściekłe krzyki przeszywały jej serce.

– Connorze – szepnęła, przyciskając dłoń do szyby.  
– To nie jest moje miejsce. Przykro mi.

Kiedy tylko zjawiły się kobiety, zniknął.

– Jest taki smutny – mruknęła Marta, podając Marielle talerz z jedzeniem.

– Oczywiście że jest smutny. – Brynley wzięła puszkę piwa z lodówki i otworzyła ją. – Został rzucony.

– Brynley opowiedziała nam o różowych paznokciach. – Vanda usiadła na kanapie koło Marielle i spojrzała na nią z niepokojem. – Podobno był strasznie zły.

– Tak. – Marielle odstawiła talerz na stolik. – Ale nie chodziło mu o lakier. Chodziło o to, że odrzuciłam jego i jego słowo. – Łzy, które wstrzymywała od wielu godzin, wymknęły się wreszcie spod kontroli i popłynęły jej po policzkach. – Nie chciałam zadać mu bólu.

– Sam zadał sobie ból, kiedy się w tobie zakochał. –

Brynley przeszła do stołu w kuchni.

– Cicho – fuknęła na nią Vanda. – Nie tylko on jeden tu cierpi.

– Nie rób ze mnie tej złej – burknęła Brynley, rozsiadając się na krześle. – Wszystkie wiemy, że musiała go rzucić. Przykro mi, że to boli, Marielle, ale bolałoby o wiele mocniej, gdybyś zaangażowała się bardziej.

Marielle westchnęła.

– Pewnie masz rację.

Marta podała jej pudełko chusteczek i usiadła naprzeciw niej w bujanym fotelu.

– Nic nie jesz. Musisz zachować siły.

– Nie jestem głodna.

– Jesteś w nim zakochana? – spytała cicho Vanda.

– Tak. – Marielle otarła twarz chusteczką. – Mówię sobie, że to nie mogło się stać tak szybko. Ale potem go widzę i serce mi wali, jakby miało wybuchnąć, i myślę sobie: jak mogłabym go nie kochać?

Vanda zmrużyła oczy.

– Jak bardzo go kochasz? Ile to jest dla ciebie warte?

Marielle odłożyła chusteczki na stół.

– Wszelka miłość, która pochodzi od Ojca, jest jednakowo cenna.

– Tu jest Ziemia – zauważyła Vanda. – I wszystko, co tu mamy, ma swoją cenę. Nawet miłość.

– Nigdy nie szukałabym miłości dla finansowych czy osobistych korzyści.



– Nie mówię o pieniądzach. – Vanda spojrzała na nią surowo. – Ile jesteś skłonna poświęcić dla miłości?

Marielle z trudem przełknęła ślinę, bo wreszcie zrozumiała pytanie Vandy. Jak bardzo kochała Connora?

Czwartej spędzonej razem nocy, ku rozpaczy Marielle, Connor wciąż pozostawał zimny i nieprzystępny. Ustawił drewniany zegar i wykrzykiwał godziny z werandy. Trzecia. Siódma. A Marielle miała na rozkaz przewracać tylko jeden klocek, odpowiadający godzinie. Czasami jej się udawało, czasami nie. W końcu z marsową miną oznajmił, że nie jest jeszcze gotowa.

Cichy głosik w jej wnętrzu krzyknął z radości i Marielle przyszło do głowy, że gdyby ociągała się z treningiem, miałyby więcej czasu z Connorem. Natychmiast jednak skarciła się za taki egoizm. Malkontenci pożywiali się i mordowali każdej nocy. Trzeba było ich powstrzymać.

Kiedy wyczuła grupę umierających w Kolorado, Connor na kilka sekund połączył się z jej umysłem, by się tam teleportować. Ostatnią znaną pozycją Malkontentów było miasteczko w Kansas; Kolorado było na tyle blisko, że chciał sprawdzić to miejsce.

Ale te zgony były wynikiem zawalenia się szybu kopalnianego i cały teren roił się od ekip telewizyjnych. Connor nie chciał, by zostali zauważeni, więc szybko teleportował ich z powrotem do domku myśliwskiego.

Czy tylko jej się wydawało, czy po powrocie obejmował ją dłużej niż to było konieczne? Stała całkiem

nieruchomo, w nadziei, że te sekundy rozciągną się w wieczność, ale w końcu ją puścił.

Piątej nocy szkolenia ciężko pracowała, by poprawić wyniki. Smutnym, pustym głosem Connor oznajmił wreszcie, że jest gotowa. Ona też nie widziała w tym powodu do radości.

Wyczuła liczne zgony, którym towarzyszyły przerażenie i groza, w górskiej okolicy w Arkansas, więc teleportowali się w pobliże tego miejsca.

Wylądowali na poboczu jednopasmowej szosy, wijącej się przez góry. Żwir obsunął im się pod stopami, więc Connor chwycił ją za ramię i pomógł utrzymać równowagę, kiedy wpadła na żelazną barierę.

– Ostrożnie. Tam jest przepaść. – Wskazał drugą stronę mizernej barierki.

Stali na wąskim poboczu. Marielle skrzywiła się, widząc, jak niewiele brakowało, by w ogóle nie trafili w drogę. Było ciemno, jedynie księżyc i gwiazdy dawały trochę światła. Widziała tylko asfaltową jezdnię, stromy, zadrzewiony stok po jednej stronie drogi i skalistą przepaść po drugiej.

– Tędy. – Connor ruszył drogą, trzymając się na wąskim poboczu. – Słyszę krzyki.

Marielle ruszyła za nim drogą, która zataczała szeroki łuk okrążający górę. W końcu ona też usłyszała krzyki. Wyszła na asfalt, by zobaczyć cokolwiek zza Connora. Kawalek dalej, w miejscu, gdzie jezdnia wchodziła w niebezpieczny, ciasny zakręt, samochód

przebił się przez barierę bezpieczeństwa i sturlał w przepaść.

– Dwoje nie żyje. Ale trójka jest jeszcze żywa. – Szarpnęła Connora za rękę, wciągając go na jezdnię. – Chodź! Musimy im pomóc.

– Nie możesz ich dotykać.

– Ale ty możesz. Jesteś supersilny i superszybki.

– No dobrze. – Sięgnął do sporranu. – Dam ci mój telefon, żebyś...

Nagle drogę zalało światło. Marielle obróciła się na pięcie i ujrzała wielką, osiemnastokątową ciężarówkę, która wypadła zza zakrętu i pędziła prosto na nich.

Ryknął klakson. Zawyły hamulce.

Connor pchnął ją z drogi; padła na sąsiedni pas.

– Nie! – krzyknęła. Connor wciąż był w niebezpieczeństwie. – Nie! – Pozbierała się z ziemi i nagle zrozumiała, dlaczego Connor wciąż stoi na drodze ciężarówki.

Był jak skamieniały.

I ciężarówka skamieniała.

Czas się zatrzymał.

Nie było słychać nic. Ani klaksonu, ani pisku hamulców, ani krzyków ludzi z wypadku drogowego.

Nic się nie poruszało. Na tle niemal pełnej tarczy księżycy ptak zamarł w locie. Na twarzy Connora zastygł grymas, oczy były puste, niewidzące. Jego ręce wciąż były wyciągnięte – znieruchomiał tuż po tym, jak zepchnął ją z drogi.

Po plecach Marielle przebiegł dreszcz; obróciła się wokół własnej osi, szukając tego, kto zmanipulował czas. O ile wiedziała, niewiele istot potrafiło dokonać czegoś takiego. Ojciec Niebieski i jego najbardziej zaufani Archaniołowie.

Albo bardzo potężny demon.

## Rozdział 17

Marielle zdrętwiała, kiedy usłyszała kroki na asfalcie. Obróciła się w stronę tylnego końca ciężarówki. W plamę światła księżycy wyszła wysoka, czarna postać. Długi czarny płaszcz. Czarne koszula i krawat. Czarne skórzane spodnie. Czarne skrzydła, które złożyły się z trzaskiem i zniknęły.

Darafer.

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Nie trać głowy, powiedziała sobie w duchu. On nie może cię zabrać do piekła, dopóki się nie zgodzisz. Ale wiedziała oczywiście, że on spróbuje wszelkich sztuczek, by skłonić ją do zgody.

Szedł w jej stronę wolnym krokiem; jego drogie, wysokie buty ze skóry stuknęły o asfalt. Księżyc lśnił w jego kruczonych włosach, oświetlał bladą skórę. Kącik jego szerokich ust podwinął się w uśmiechu, w którym nie było wesołości.

Marielle spojrzała na Connora. Nie mógł jej pomóc. Jemu samemu groziło skoszenie przez osiemnastokółowca, kiedy tylko Darafer zdecyduje się uwolnić czas.

Demon obszedł ją, przyglądając jej się uważnie szmaragdowymi oczami.

– Dlaczego ubrali cię tak marnie? Nie zauważyli, jaka jesteś piękna? – Zbliżył się i chwycił ją za podbródek.

Cofnęła się o krok.

Uśmiechnął się i tym razem był to prawdziwy uśmiech, który zmienił go niemal w przystojniaka.

– Ja bym cię traktował jak księżniczkę. Nosiłabyś najwspanialsze jedwabie i klejnoty.

Chciała mu powiedzieć „przepadnij”, ale ugryzła się w język. Jeśli on odejdzie, czas znów zacznie płynąć. Ciężarówka była bardzo blisko Connora. Będzie miał ledwie parę sekund na reakcję. Może się teleportować albo uskoczyć z drogi z wampiryczną prędkością, ale jeśli przez sekundę będzie zdezorientowany? Czy starczy mu czasu na reakcję, czy zostanie zmiażdżony przez potężny wóz?

Darafer zmarszczył brwi, kiedy nerwowo zerknęła na Connora.

– Widzę, że ciągle zadajesz się z tym pasożytem. – Podszedł do Connora i przyjrzał mu się z pogardą. – Marny z niego protektor, co? – Demon pstryknął mu palcami przed twarzą. – Nie wiem, co ty w nim widzisz. – Dał Connorowi prztyczka w nos.

– Przestań. – Marielle ruszyła w jego stronę, ale zatrzymała się, gdy oczy Darafera zabłyśły. Skrzywiła się w duchu. Ujawniła swój słaby punkt.

– Lubisz go. – Darafer uśmiechnął się przebiegle. – Już się z tobą przespał? Zagnieździł się już między twoimi białymi jak lilia udami i zerwał twój anielski kwiatek?

Marielle dumnie uniosła głowę. Nie zamierzała dać

się wciągnąć w kolejną pułapkę.

– To człowiek honoru.

Darafer się roześmiał.

– Jasne. Powiedz to wszystkim jego ofiarom ze śladami zębów na szyi. – Oparł się o chłodnicę ciężarówki, skrzyżował nogi w kostkach i założył ręce na piersi. – Wiesz, że jest na mojej łasce.

– Daj mu spokój.

– Powiedz, że ze mną pójdziesz, to go uratuję.

– Nie wierzę ci.

Darafer się uśmiechnął.

– Masz rację. Mam go na liście kandydatów do piekła, więc równie dobrze mogę go zabrać z sobą. – Spojrzał na nią spod uniesionej brwi. – A może pójdziesz z nim? Będziecie sobie żyli długo i szczęśliwie.

Zachnęła się drwiąco.

– Nikt nie jest szczęśliwy w piekle.

– Zdziwiłabyś się. – Po jego twarzy przemknął wyraz obrzydzenia, ale szybko zniknął.

Przyglądała mu się uważnie. Na najmniejszy sygnał, że zamierza uwolnić czas, musiała zareagować błyskawicznie.

Darafer spojrział w gwiazdy i westchnął.

– Oni się tobą posługują.

– Wampiry? Zgodziłam się im pomóc.

– Nie wampiry. – Darafer wskazał palcem niebo. – Wielki Kahuna. Nie sądzisz, że to dziwne, że uratowałaś w dzieciństwie Romana Draganestiego, a teraz on jest

przywódcą dobrych wampirów?

Wzruszyła ramionami.

– Byłam nieposłuszna. Przecież wiesz. Dlatego oboje tu jesteśmy.

Darafer parsknął.

– Nieposłuszna? Naprawdę w to wierzysz? – Odepchnął się od ciężarówki. – Jesteś posłusznym pionkiem, Marielle. Przez cały czas.

Cofnęła się o krok.

– To nieprawda.

– Nie irytuje cię to? Wrabiają cię od początku i nie mają nawet odwagi, żeby ci to powiedzieć.

Głośno przełknęła ślinę.

Podszedł do niej.

– Oberwali ci skrzydła, kazali cierpieć, żebyś odegrała głupią rolę w ich głupiej grze.

– To nie jest gra!

– Ale mogłabyś ich wszystkich wystrychnąć na dudków. – Darafer wyciągnął do niej rękę. – Przestań być pionkiem i chodź ze mną.

– Nigdy. – To nie mogła być prawda. To był tylko jeszcze jeden podstęp. – Chwała na wysokości Bogu – szepnęła.

– A na ziemi wojna, zaraza i rozpacz ludziom dobrej woli.

Marielle się wzdrygnęła.

– Przestań.

– Dlaczego miałbym przestać? To wszystko element



wielkiej rozgrywki. Dobro i zło, yin i yang, ty i ja. Potrzebujemy się nawzajem. – Podszedł jeszcze bliżej. – Wiesz co, Marielle? Ja też mam dość bycia pionkiem. – Pogłaskał ją palcem po policzku. – Moglibyśmy świsnąć paru ludzi z tej głupiej skały i założyć własną planetę. Bez wojen, bez chorób. Mogłaby być doskonała. – Dotknął jej warg. – Powiedz tylko słowo i możemy być bogami.

Odwróciła głowę. Nie słuchaj go, upominała się. To wszystko kłamstwa.

Pochylił się, by szepnąć jej do ucha:

– Ucieknij ze mną.

Lęk skręcił jej żołądek na myśl o konsekwencjach słowa, które musiała teraz wypowiedzieć.

– Przepadnij.

Zmarszczył brwi i cofnął się o krok.

– Jesteś pewna? Z twojego kochanego pasożyta zostanie placek. Nie będzie to, co prawda, tradycyjny kołek w serce, ale i tak wątpię, by przeżył, kiedy jego mózg i flaki rozbryzgają się...

– W imię Jezusa Chrystusa, przepadnij!

W zielonych oczach Darafera błysnął gniew. Zrobiły się czarne. Potężne, czarne skrzydła rozwinęły się za jego plecami.

Marielle błyskawicznie uderzyła w Connora wąskim podmuchem powietrza. Poleciał do tyłu dokładnie w chwili, kiedy Darafer zniknął i czas ruszył z kopyta.

Ciężarówka przemknęła obok niej z rykiem

klaksonu. Przez kilka niekończących się sekund widziała tylko srebrny bok skrzyni ładunkowej. Nie widziała Connora i nie miała pojęcia, czy ocalał.

Ciężarówka przejechała, ale jego nie było nigdzie widać. Krzyknęła, widząc wygiętą barierę drogową. Działając w pośpiechu i w stresie, użyła zbyt dużej siły.

Zdmuchnęła go z urwiska.

– Connorze! – Pobiegnęła na pobocze i wyjrzała w czarną przepaść.

Wielkie nieba, czyżby go zabiła? Jak mógł przetrwać taki upadek?

Przeszła przez barierkę.

– Connorze! – Powoli ruszyła w dół stromego stoku, czepiając się krzaków, żeby nie spaść.

Zauważyła kilka połamanych gałęzi. Musiał uderzyć o nie, lecąc w dół. Skorzystała z tego drogowskazu w nadziei, że ją do niego doprowadzi.

– Connorze, słyszysz mnie? – Zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę, ale nie było odpowiedzi.

Była w takiej panice, że serce jej łomotało i trzęsły się ręce. Trudno było cokolwiek dostrzec w ciemnościach. Gałęzie drapały ją po rękach, biły po twarzy. Kilka razy stopy wysliznęły się spod niej i upadła na siedzenie; zjeżdżała parę metrów, nim zdołała chwycić się kolejnej gałęzi.

– Connorze! – Znów się pośliznęła i krzyknęła głośno, uderzając plecami o ostry głaz.

Och, gdyby miała skrzydła! Poleciałaby prosto do

niego i zabrała gdzieś, gdzie uzyskałby pomoc.

Zagryzła zęby i szła dalej. Jej stopy wreszcie zsunęły się na równy grunt.

Dotarła na dno.

– Connorze? – Zmrużyła oczy, usiłując dostrzec cokolwiek. Była niemal pełnia księżyca, ale drzewa zasłaniały światło.

Czy to on? Popędziła w stronę ciemnego kształtu na ziemi, ale to była tylko powalona kłoda.

Obróciła się dookoła, dysząc ciężko.

– Gdzie ty jesteś?

Usłyszała jęk i pobiegła w jego stronę.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy go zobaczyła.

– Chwała Bogu, że cię znalazłam.

Leżał w czarnym cieniu pod drzewem. Musiał uderzyć o pień, zsuwając się z ostatniego fragmentu zbocza.

Uklękła przy nim.

– Connorze, jestem tutaj. – Wyciągnęła do niego ręce, ale przypomniała sobie, że są brudne, więc wytarła je o uda.

– Słyszysz mnie? – Przeturlała go na plecy.

Jęknął.

– Jesteś cała, dziewczyno? Ta ciężarówka cię nie...

– Nic mi nie jest. – Łza spłynęła jej po policzku.

Cały Connor: bardziej martwił się o nią niż o siebie.

– Dobrze. – Powieki mu zatrzepotały i opadły.

– Connorze? – Serce załomotało jej jak szalone. Czy

on umarł? Nie, przecież by to wyczuła. Panikowała, obawiała się najgorszego. Bo go kochała.

Popłynęło więcej łez. Musiała mu pomóc. On uratował jej życie, odrzucając ją sprzed ciężarówki. Teraz ona musiała ratować jego.

Gdyby tylko miała skrzydła! Connor był nieprzytomny, więc nie mógł ich teleportować. Ale mogły to zrobić inne wampiry.

Otworzyła jego sporrana i odszukała komórkę.

– Wszystko będzie dobrze, Connorze, zadzwonię po twoich przyjaciół, a oni zabiorą cię do Romatechu i opatrzą.

Telefon zaświecił jej w dłoni. Zaczęła gorączkowo przyglądać się dziwnym obrazkom, usiłując wykombinować, jak zadzwonić do Romana.

– Jak szybko stajesz się człowiekiem – rozległ się głos za jej plecami.

Obróciła się gwałtownie, upuszczając telefon. Padła na siedzenie. Nieopodal lśniło białe światło. Białe skrzydła złożyły się i znikły, a ze światła wyłoniła się sylwetka wysokiego mężczyzny. Miał na sobie długą, białą tunikę i białe spodnie. Okryty był długim, białym płaszczem z kapturem. Zdjął kaptur, odsłaniając przystojną twarz i jasne, falujące włosy.

– Bunny! – Marielle pozbierała się z ziemi i pobiegła ku niemu.

Buniel uśmiechnął się szeroko i wziął ją w objęcia. Natychmiast poczuła, że wszystkie jej zadrapania i

siniaki znikają.

Odsunął ją do tyłu, przytrzymując za ramiona, i badawczo popatrzył jej w oczy.

– Dlaczego szukasz ludzkich rozwiązań? Dlaczego mnie nie wezwałaś?

Pochyliła głowę, zawstydzona.

– Bo... bo o tym nie pomyślałam. Mam wrażenie, że już tak długo jestem od ciebie odcięta.

– Zawsze byłem w pobliżu. – Zmarszczył brwi i przeciągnął kciukiem po jej mokrym policzku. – I za każdym razem, kiedy sprawdzam, co u ciebie, ty płaczesz.

– Było mi ciężko. – Obejrzała się przez ramię na Connora. – Możesz mu pomóc?

– Niech popatrzę. – Buniel poszedł za nią i z ciekawością przyjrzał się Connorowi. – To człowiek, który uratował cię pierwszej nocy.

– Tak.

– To on strzegł cię i chronił.

– Tak.

– A jednak mimo wszelkiego dobra, jakie dla ciebie uczynił, płaczesz przez niego.

Otarła policzki.

– Bo się w nim zakochałam.

Buniel przechylił głowę i przyjrzał się jej uważnie.

– Czy miłość powinna być tak bolesna?

– Będę musiała go zostawić, kiedy wrócę do nieba. – Skrzywiła się. – Jeśli wrócę.

Buniel skinął głową.

– Złożyłem wiele próśb, żeby potraktowano cię łagodnie. – Kucnął obok Connora. – Kochamy całą ludzkość z daleka. Czy nie wystarczy ci, że tak samo będziesz kochać tego mężczyznę?

– Ja... – Nie chciała się przyznawać, że pragnęła czegoś więcej. Uklękła. – Możesz mu pomóc?

– Jest ciężko ranny. – Bunny położył dłoń na czole Connora. – Pęknięta czaszka, wstrząśnienie mózgu, krwotok wewnętrzny, połamane żebra, liczne stłuczenia. Ale nic, czego nie mógłbym naprawić. – Zamknął oczy i pomodlił się. Jego dłoń otoczył biały blask. – No, gotowe. – Poświata zniknęła i Buniel wstał. – Będzie spał przez chwilę.

Marielle odetchnęła głęboko.

– Chwała na wysokości Bogu.

Buniel uśmiechnął się do niej.

– A na ziemi pokój ludziom dobrej woli. – Zdjął swoją grubą, białą szatę i przykrył nią Connora. – Pod tym będzie mu ciepło, póki się nie obudzi.

Marielle wstała.

– Dziękuję ci.

– Co się tu dzieje? – spytał ostro męski głos.

Odwróciła się i ujrzała Zackriela, idącego w ich stronę.

– Marielle. Miło mi widzieć, że radzisz sobie w ludzkiej skórze. – Skinął głową Bunielowi. – Przydałbyś się przy tym wypadku samochodowym.

– Zaraz tam będę – odparł krótko Buniel.

Zack przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Dwóch moich Wybawicieli pracujących przy wypadku doniosło mi o anomalii czasowej. To twoja sprawka?

– Nie. – Buniel wskazał Connora. – Tylko uzdrowiłem tego człowieka.

Zack spojrział na Connora i prychnął drwiąco.

– To nie człowiek. To Oszukaniec. Dlaczego leczyłeś Oszukańca?

– Bo go poprosiłam – wyznała cicho Marielle.

Zack popatrzył na nią z ciekawością.

– Więc teraz zadajesz się z Oszukańcami?

– To jeden z dobrych wampirów – wyjaśniła. – Pomogę jemu i jego przyjaciołom pokonać złego Casimira i jego bandę Malkontentów.

– Brzmi niebezpiecznie – mruknął Buniel.

– Warto zaryzykować, jeśli możemy pozbyć się złych wampirów i uczynić świat bezpieczniejszym dla śmiertelników – ciągnęła. – A ja może uzyskam przebaczenie.

– Ach tak. – Zack pokiwał głową. – Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Chcesz wrócić do nieba.

– Ona musi wrócić – odezwał się z żarem Buniel. – Ludzki świat jest dla niej zbyt niebezpieczny.

– A ta anomalia czasowa? – spytał ją Zack. – Co o niej wiesz?

– To było dzieło Darafera – odparła cicho.

Buniel zeszywniał.

– Tego demona? Czego on od ciebie chce?

Westchnęła.

– Uważa mnie za upadłego anioła.

– Może nim jesteś – szepnął Zack.

Buniel uniósł rękę w stronę Zackriela; jego oczy pałały błękitem.

– Nie jest.

Zackriel cofnął się o krok, zdumiony.

– Czy ty mi grozisz, Uzdrowicielu?

– Bunny, proszę cię. – Marielle dotknęła go. – Nic mi nie jest. Darafer próbuje różnych sztuczek, żeby zaciągnąć mnie do piekła, ale odsyłam go skąd przyszedł.

– Zwróciła się do Zackriela. – Wiem, że we mnie nie wierzysz, ale ja udowodnię, że jestem godna.

Zack popatrzył na nią z troską i zerknął na Connora.

– Pilnuj szyi. – I zniknął.

Buniel uśmiechnął się do niej i wziął ją w objęcia.

– Bądź silna, Marielle. I uważaj na siebie.

– Ty też uważaj. – Uściskała go mocno. – Nie chcę, żebyś narobił sobie kłopotów, pomagając mi.

Odsunął się ze śmiechem.

– Potrafię o siebie zadbać. – Spojrzał na Connora, i znów na nią. – Masz dobre serce. Jeśli będziesz go słuchać, nie pożałujesz. – Rozłożył skrzydła i zniknął.

– Żegnaj – szepnęła. Już za nim tęskniła. I tęskniła za własnymi skrzydłami.

Podbiegła z powrotem do Connora i uklękła przy



nim.

– Jak się czujesz? – Położyła mu dłoń na piersi i poczuła, że poruszają ją spokojne, miarowe oddechy.

Okryła mu ramiona ciepłą szatą Buniela.

– Nie chcemy, żebyś zmarł.

Odgarnęła mu włosy z czoła.

– Pęknięta czaszka i wstrząs mózgu. Zdaje się, że twoja głowa nie jest tak twarda, jak sądziłam.

Dotknęła jego policzka.

– Powiem to, dopóki śpisz, żeby nie komplikować spraw. Kocham cię, Connorze Buchanan.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu.

Wyprostowała się z cichym okrzykiem.

– Ty nie śpisz.

Otworzył oczy.

– A wytłumaczysz mi, dlaczego marnujesz takie słowa na śpiącego faceta?

## Rozdział 18

Kochała go.

Serce Connora przepęłniała radość. Nie czuł jej zbyt często przez swoje czterysta czterdzieści dziewięć lat egzystencji, więc towarzyszył jej lęk. Lęk, że to nie potrwa. To nie mogło trwać. Ona w końcu wróci do nieba, gdzie było jej miejsce. Ale teraz postanowił cieszyć się tą chwilą. Kochała go.

Uśmiechnął się, wspominając noc, kiedy spacerowali po parku i jeździli na karuzeli. Kupił jej loda i stwardniał, patrząc, jak go je. Musiał skończyć z tym trzymaniem się na dystans. Powinni stworzyć razem więcej pięknych wspomnień, które mógłby pielęgnować, kiedy jej już nie będzie.

Kochała go.

Roześmiał się. Marielle miała zawstydzoną minę. I słusznie. Taka piękna anielica zakochała się w zimnokrwistym, starym, nieumarłym draniu. Jak to możliwe, że spotkało go takie szczęście? Lepiej go nie kwestionować i rozkoszować się chwilą. Oto leży sobie tutaj, pod drzewem...

Jego uśmiech zniknął. Co to za miejsce, u diabła? Spróbował sobie przypomnieć, ale w głowie miał mętlik.

W mózgu błysnęło mu wspomnienie. Ryczący klakson i oślepiające światła samochodu.

– Ciężarówka! – Poderwał się i skrzywił, bo zakłuło go w żebrach.

– Ostrożnie. – Dotknęła jego barku. – Możesz jeszcze być obolały.

Obolały po czym? Obejrzał ją od stóp do głów.

– Nie wpadłaś pod samochód?

– Nie, uratowałeś mnie. Wiem, że powinnam być wdzięczna, ale naprawdę, Connorze, jestem zła na samą myśl. Sam nie ruszyłeś się z jezdni. Musisz bardziej uważać. Umarłabym, gdyby ta ciężarówka cię przejechała.

Jego usta drgnęły.

– Bo mnie kochasz?

– Ja mówię poważnie. Nie waż się więcej narażać na takie niebezpieczeństwo.

– Jak się tu znalazłem? – Dotknął grubego białego płaszcza, który opadł mu na kolana. – I skąd to się wzięło?

– Bunny ci to dał. Pamiętasz, Buniel. Mój przyjaciel. Uzdrowiciel.

– Tak, pamiętam. – Zacisnął zęby, wyobrażając sobie jej idealnego, anielskiego chłopaka. – Co on tu robił? I dlaczego się rozbierał?

– Uzdrowił cię. – Spojrzała na niego cierpko. – Podziękuj mu, jak będziesz miał okazję. Miałaś pękniętą czaszkę, wstrząśnienie mózgu, połamane żebra, liczne stłuczenia...

– Byłem ranny? – Pomasował się po piersi. Nic dziwnego, że była trochę obolała. – Przejechała mnie ciężarówka?

– Nie. Udało mi się zdmuchnąć cię z drogi.

– Och, to świetnie. Dziękuję. – Uśmiechnął się. –  
Twoja ciężka praca nie poszła na marne.

– Chyba tak. – Pochyliła głowę, wciąż zawstydzona.

Connor obmacał swoją głowę. We włosach miał zaschniętą krew. Pęknięta czaszka. Nic dziwnego, że niewiele pamiętał.

– Więc jakim cudem się poraniłem?

– Otóż... hm... – Wskazała skaliste zbocze. – Droga jest tam. A ty... spadłeś tutaj.

– Spadłem z cholernego urwiska?! – Jak to możliwe, że był taki niezdarny? Dlaczego po prostu nie teleportował się w bezpieczne miejsce?

– To... to była moja wina. – Marielle zwiesiła głowę.

– Zdaje się, że włożyłam w podmuch trochę za dużo mocy, i...

– Zdmuchnęłaś mnie z urwiska? – krzyknął.

Skrzywiła się.

– To właściwie nie jest urwisko. Raczej... stromy stok.

Connor fuknął ze złością:

– To tak traktujesz mężczyznę, którego kochasz?

– Otóż, tak. – Wysunęła podbródek. – Musiałam cię ratować. A kiedy Darafer cię zamroził...

– Co? – Connor zerwał się na równe nogi. – Darafer tu był?

– Tam, na górze. – Wstała i wskazała drogę. – Zatrzymał czas. Unieruchomił cię tuż przed ciężarówką.

Connor pokręcił głową, uszom nie wierząc. To było zbyt dziwaczne.

– Zatrzymał czas?

– Tak. Unieruchomił wszystko z wyjątkiem siebie i... mnie.

Serce zaciążyło Connorowi jak kamień. Ona była w straszliwym niebezpieczeństwie, a on – on był kompletnie bezradny.

– Ale... – Zatoczył się do tyłu i wpadł na drzewo.

– Uważaj. – Chwyciła go za rękę. – Może ci się trochę kręcić w głowie po wstrząśnieniu mózgu.

– Nie. – Odsunął się na bok, wyrywając przedramię z jej dłoni.

Do diabła. Gniew wezbrał w jego wnętrzu. Ona próbowała się nim opiekować, próbowała go chronić.

To było jego zadanie! To on miał chronić ją! I zawiódł.

Tak jak zawiódł swoją żonę i dziecko.

– Jak możesz mnie kochać? Do cholery, byłem bezużyteczny!

Znieruchomiała, zaskoczona.

– Nie mów tak...

Odszedł kilka kroków.

– Byłem przy tobie przez cały czas, na wypadek gdyby ten drań się zjawił. A kiedy się zjawił, nie kiwnąłem palcem.

– To nie jest twoja wina. On ma moce, które przerastają nas oboje.

Connor podbiegł do niej i chwycił ją za ramiona.

– Zrobił ci krzywdę? Jeśli ten drań cię skrzywdził, to znajdę drogę do piekła i.

– Nie mów tak! – Przycisnęła dłoń do jego ust. – Nigdy nie próbuj z nim walczyć. Proszę cię.

Connor chwycił jej dłoń.

– Do czego ci jestem potrzebny, jeśli nie mogę cię chronić?

– Przecież mnie chronisz. Uratowałeś mnie przed ciężarówką. Uratowałeś mnie tamtej pierwszej nocy.

Ucałował wnętrze jej dłoni.

– Serce mi pęka na myśl, że nie potrafiłem cię obronić przed demonem.

– Nic mi nie jest. Darafer nie może mnie zabrać do piekła, dopóki się nie zgodzę, a nie zgodzę się nigdy. – Położyła dłonie na jego policzkach. – Nigdy mnie nie zawiodłeś. Jesteś dla mnie błogosławieństwem od pierwszej chwili, kiedy mnie znalazłeś.

– Och, dziewczyno. – Objął ją i mocno przytulił. Rozbolały go od tego zebra, ale nie mógł narzekać. Przecież wiedział, że ma ją tylko na chwilę.

– Wracamy do domu? – spytał.

– Tak. – Podniosła z ziemi białą szatę i strzepnęła ją. – Mieliśmy szczęście, że Bunny się tu zjawił. – Podniosła z ziemi telefon Connora; ekran z miejsca zaczął świecić. – Chciałam wezwać twoich przyjaciół na pomoc, ale nie wiedziałam jak.

– Później cię nauczę. – Schował telefon do sporranu

i znów wziął Marielle w ramiona. – To lecimy.

Connor rzucił podarty i brudny kilt na podłogę w łazience. Był już nie do naprawy. Koszulka, którą miał na sobie, też była w strzępach. Obadał skórzany sporran. Trochę podrapany, ale jeszcze ujdzie.

Szybko obejrzał swoje ciało. Nie licząc paru obolałych miejsc, wyglądało na to, że jest cały. Anielski chłopak Marielle skutecznie go poskładał. Connor nie wiedział, czy ma być wdzięczny, czy wściekły. Świadomość, że był unieruchomiony, a potem nieprzytomny, kiedy demony i anioły wpadały z wizytą, trochę go przerastała.

Wszedł pod prysznic i zapienił szamponem pokrwawione włosy. Postanowił być wściekły. O tak, to mu pasowało. Do licha, był wampirem. Nadnaturalną istotą, obdarzoną własnymi całkiem niezłymi mocami. Od wieków potrafił kontrolować umysły śmiertelników. Potrafił pokonać każdego śmiertelnika czy Malkontenta w bitwie. Był samcem alfa. Ostatnim ogniwem łańcucha pokarmowego.

A jednak już nie. Można go było zamrozić i unieszkodliwić. Jasna cholera! Jak miał pokonać wroga, który miał nad nim kontrolę?

Jak Marielle mogła mu ufać? Stał pod prysznicem, pozwalając, by gorąca woda lała mu się na głowę. Właśnie w tym leżał problem. Bał się, że ją zawiedzie. Zawiódł już dawniej i stracił żonę i małą córeczkę. A potem stracił duszę. Stał się zimnokrwistym draniem,

który żywi się innymi, by pozostać przy życiu.

Ale ona i tak cię kocha.

Zamknął oczy i przesunął twarz pod strumień wody. Jego anielica go kochała. Nazywała go błogosławieństwem.

Z westchnieniem zakręcił wodę. Miał tak mało czasu z Marielle.

Przebrał się w czyste ciuchy zostawione przez Howarda albo Phila: spodnie z kraciastej flaneli i koszulkę. Właściwie był to domek Howarda. On i Phil przyjeżdżali tu w czasie pełni księżyca, by móc się przeobrażać i polować. Ale teraz Phil przeobrażał się z młodymi wilkołakami w szkole, a Howard dołączał tam do nich. Connor uśmiechnął się, wyobrażając sobie wielkiego niedźwiedzia, polującego ze stadem wilków.

Zajrzał do sypialni, by sprawdzić, czy nie ma tam półnagiej Marielle. Albo całkiem nagiej. Pokój był pusty. Szkoda.

Kiedy wrócili do domku, ubłoceni i brudni, uparł się, żeby pierwsza wzięła prysznic. On potrzebował wypić butelkę krwi, żeby odzyskać siły.

Zwykle brał prysznic w swoim pokoju w podziemiach Romatechu, ale nie mógł zostawić Marielle samej, więc wykąpał się tutaj.

Boso przeszedł do dużego pokoju, wycierając włosy ręcznikiem. Ujrzał Marielle leżącą na kanapie, z głową opartą na miękkim podłokietniku. Kiedy się zbliżył, zauważył, że jest opatulona w biały płaszcz Buniela. W



dłoniach trzymała szklanego aniołka i przyglądała mu się, wodząc palcami po kryształowych skrzydłach.

Connor usiadł w drugim końcu kanapy, przy jej bosych stopach.

– Tęsknisz za niebem.

– Tak. – Usiadła i podwinęła nogi, żeby zrobić mu więcej miejsca. – To był mój dom od chwili, kiedy zostałam stworzona. – Podciągnęła płaszcz pod szyję i potarła policzkiem miękki biały materiał.

Bez wątpienia tęskniła też za swoim anielskim chłopakiem. Obrzucił wzrokiem wilgotne, jasne włosy, podwijające się na końcach, i jej świeżo umytą, śliczną twarz.

– W niebie też tak wyglądasz?

Uśmiechnęła się.

– Moja postać jest podobna, ale nie tak namacalna i szczegółowa. Tam jestem bardziej duchem.

– Ach tak. – Świetnie. Więc Buniel nie mógł jej dotykać ani całować.

– Brakuje mi skrzydeł. – Uniosła aniołka pod światło z sufitowej lampy. – Brakuje mi tego cudownego uczucia, kiedy śmigałam przez niebiosa i czułam pęd wiatru wokół mnie. Brakuje mi wolności. Tego, że mogłam polecieć, dokąd chciałam. – Z westchnieniem zwiesiła głowę. – Bardzo brakowało mi skrzydeł, kiedy leżałeś ranny, a ja nie mogłam cię zabrać w miejsce, gdzie otrzymałbyś pomoc.

– Nie lubisz czuć się bezradna. – Connor rzucił

ręcznik na stolik. – Znam to.

– Masz wiele wspaniałych mocy. – Marielle trąciła go bosą stopą. – Więc przestań się nad sobą uzalać.

Uśmiechnął się.

– Nie umiem latać, ale umiem lewitować. Masz ochotę trochę sobie podfrunąć? – Wskazał palcem w górę.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Jak wysoko potrafisz polecieć?

Wzruszył ramionami.

– Mars, Wenus. – Kiedy się roześmiała, uśmiechnął się do niej radośnie. – A uwierzysz, jak powiem, że na czubek komina?

Znów wybuchnęła śmiechem i była to muzyka dla jego duszy.

Wstał i wyciągnął rękę.

– Chodź.

Chwyciła jego dłoń i wyszła za nim na dwór.

Trawa chłodziła jego bose stopy. Zatrzymał się na środku polany.

– Dobrze, że masz to na sobie. – Opatulił ją szerszej obszernym płaszczem. – Pod spodem zauważył ciepłą piżamę. – Założę się, że na Marsie jest trochę zimno.

– Czy też na czubku komina. – Uśmiechnęła się do niego. – Więc jak to działa?

– Musisz się mnie trzymać. – Założył sobie jej ręce na szyję, a potem chwycił ją w pasie.

Zaczął powoli. Metr. Dwa metry.

Spojrzała w dół.

– Szybciej nie umiesz?

Kiedy poderwał się w górę jeszcze trzy metry, roześmiała się.

Objęła go mocniej za szyję.

– Podoba mi się. Dziękuję.

Powoli wzniósł się kolejnych kilka metrów.

Spojrzała w dół, zamyślona.

– Ciekawe, co będzie, jeśli pošlę powietrzną falę w ziemię?

Connor zmarszczył brwi.

– To chyba nie jest zbyt mądry pomysł.

– Oj, no przestań. – Wyciągnęła rękę w dół i bum!

Śmignęli jak rakieta prosto w niebo.

– Jasna cholera! – Przycisnął ją mocniej do siebie.

Marielle zapiszczała z radości.

– Tak! Właśnie tak to jest. Cudownie, prawda? – Wyciągnęła ręce na boki i wygięła plecy, zwracając twarz ku gwiazdom.

– Nie! – Przytrzymał ją kurczowo.

Zwalniali coraz bardziej, aż zawiśli w powietrzu. Serce Connora przestało łomotać tak gorączkowo. Spojrzał w dół. Chryste Panie, byli z półtora kilometra nad ziemią.

– Fajnie było, co? – Objęła go za szyję.

– Bałem się, że cię upuszczę.

Obrysowała palcem kontur jego zuchwy.

– Naprawdę tak się o mnie martwisz?

– Tak.

– Jesteś słodki. – Pocałowała go w policzek. – Ja się nie bałam ani przez chwilę. Ufam ci.

Poczuł, że twardnieje mu przyrodzenie. Cudownie. Dostawał wzdwoju półtora kilometra nad ziemią. A trzymał Marielle tak mocno, że nie mogła tego nie zauważyć.

– Chciałabym czegoś spróbować. – Wyciągnęła rękę w bok i wypuściła niewielką falę energii.

Polecieli w przeciwnym kierunku. Marielle powtórzyła ten manewr jeszcze kilkakrotnie, śmiejąc się za każdym razem, kiedy startowali. Po chwili Connor śmiał się razem z nią. Miała rację – przyjemnie było czuć pęd wiatru na twarzy i widzieć wokół siebie rozmigotaną kopułę gwiazd.

Uściskała go mocno.

– Dziękuję ci, Connorze. Bałam się, że już nigdy nie będę latać.

Otarł podbródek o jej skroń.

– Potrzeba było mocy nas obojga, żeby tego dokonać.

Odchyliła się do tyłu i uśmiechnęła do niego.

– Tworzymy zgrany zespół.

Teraz, kiedy już nie lecieli i nie śmiali się, znów dotarło do niego, jak mocno ją obejmuje. Jej ciało było przylepione do niego i wisieli tak w przestworzach, otoczeni gwiazdami.

A pod nimi rozpościerał się świat z posypką drzew, z plamami zielonych pastwisk. Minął ich jakiś ptak, obejrzał się z niedowierzaniem, po czym wrzasnął i odfrunął w popłochu.

Oboje się roześmiali.

– Dziękuję ci za to. – Pocałował ją w czoło. – Zapamiętam tę chwilę na zawsze.

– Ja też.

Wpatrzył się w jej piękną twarz.

– Chcę cię dotykać, ale nie mam odwagi cię puścić.

Przechyliła się do przodu i potarła nosem jego nos.

– Tak może być?

Wystarczyło, by jego przyrodzenie stwardniało jeszcze bardziej i by świat nabrał czerwonego odcienia. Pocałował ją w policzek.

– Naprawdę mnie kochasz?

– Tak. A co myśla... – Zamrugła, spłoszona. – Oczy ci świecą.

– Owszem. Jesteś cała różowa. – Jego spojrzenie skupiło się na wargach, w tej chwili tak czerwonych, tak kuszących. – Chcę cię pocałować.

Otworzyła szerzej oczy, ale nie odmówiła. Kiedy zbliżył twarz, rozchyliła usta, a kiedy dotknął ich wargami, stopniała pod jego dotykiem. Wsiąkł.

I spadli pół kilometra w dół.

Marielle pisnęła, kurczowo ściskając go za ramiona.

Connor odzyskał kontrolę i znów zawisł w powietrzu.

Odetchnęła głęboko.

– Wielkie nieba! Co to było?

Łomoczące serce dudniło mu w uszach.

– Przepraszam. Z... zdekoncentrowałem się i zapomniałem, że lewituję. – Spojrzał na ziemię. – Może powinniśmy wrócić na dół. Powoli. Wylądować łagodnie.

– Zamiast się rozbić? Dobry pomysł. – Roześmiała się. – Twoje oczy już nie świecą na czerwono.

– No tak. Przerazenie tak działa na mężczyznę.

Uśmiechnęła się radośnie.

– To była szalona przejażdżka. Dziękuję.

– Podobało ci się? – Powoli opuścił się na ziemię. Przychodziły mu do głowy inne szalone przejażdżki, które mogłyby jej się spodobać.

– Gdzie właściwie jesteśmy?

– To nie ma znaczenia. Zawsze mogę teleportować nas z powrotem do domku.

Wylądowali na środku zielonego pastwiska, otoczonego porośniętymi lasem górami. Pod stopami poczuł miękką, chłodną trawę.

Marielle puściła go i ruszyła po łące.

– Jakie piękne miejsce.

– Zostaniemy tu chwilę?

Odwróciła się. Włosy miała potargane od wiatru, policzki różowe od pędu powietrza.

Podszedł do niej.

– Jeśli teraz się zdekoncentruję, nie rozbijemy się o ziemię.

Uśmiechnęła się powoli.

– A na czym chciałbyś się skoncentrować?

Wziął ją w ramiona.

– Na sprawianiu ci przyjemności.

## Rozdział 19

Przecież sprawiasz mi przyjemność. – Marielle położyła dłonie na jego piersi. – Od wieków się tyle nie śmiałam.

– Skarbie, uwielbiam słuchać twojego śmiechu. – Odgarnął jej włosy z czoła. – Ale miałem nadzieję sprawić, że będziesz wzdychać i jęczeć.

– Aha. – Czy jego oczy znów robiły się czerwone? Brynley widocznie miała rację z zasadą trzech kroków. – Zakładam, że nie mówisz o karmieniu mnie czekoladą?

– Nie. – Delikatnie powiódł palcami po jej policzku i szyi. – Chcę ci sprawić przyjemność jako kobiecie.

Z trudem przełknęła ślinę, usiłując ignorować trzepot serca.

– Nie wiem, czy potrafię ci dać to, czego chcesz.

Pocałował ją w czoło.

– Jedyne, czego chcę, to poczuć, jak drżysz w moich ramionach. – Pocałował ją w policzek. – Chcę usłyszeć, jak jęczysz i krzyczysz.

– Jak krzyczę? – Odchyliła głowę do tyłu, kiedy wtulił twarz w jej szyję. Jęki mogła jeszcze zrozumieć. I drżenie. Nawet w tej chwili była tego bliska. Ale krzyki? – Dlaczego miałabym krzyczeć? To boli?

– Nie, nie zrobię ci krzywdy. – Przeciągnął językiem w górę jej szyi. Zadrzała.

– Connor, nie mogę się z tobą zjednoczyć.

– Wiem. – Połaskotał ją w ucho. – Niczego ci nie



zabiorę. Będę tylko dawał. – Skubnął ucho zębami.

– Och! – Serce jej załomotało. Miał ostre zęby. Ale kiedy wciągnął płatek ucha do ust i zaczął ssać, jęknęła. Nogi zadrżały pod nią i ogarnęła ją dziwaczna, przemożna ochota, by się położyć.

– Pozwolisz mi się dotykać? I całować?

– Tak. – Kurczowo ścisnęła jego ramiona. – Ale nie wiem, czy zdołam przyjąć zbyt wiele. Czuję się tak... słabo.

– Słabo? – Spojrzał na nią z niepokojem, a jego tęczyówki znów przybrały niebieską barwę. – Jesteś chora?

– Nie wiem. Nagle zrobiłam się jakaś taka wiotka. I trzęsą mi się kolana.

– Ach tak. – Oczy błysnęły mu wesoło. – Może powinnaś się położyć.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Wiem, co kombinujesz. Chcesz mnie zabrać z powrotem do domku i położyć się ze mną do łóżka. Zjawią się dziewczyny i zastaną nas tak, i znowu będzie wstyd. A kiedy padniesz spać, zaczną się na mnie złościć, że cię nie pogoniłam.

– Nie. Nie chcę iść z tobą do łóżka.

Serce zająknęło jej się w piersi.

– Nie? – Wielkie nieba, to było jeszcze bardziej denerwujące.

Roześmiał się.

– Nie złość się tak na mnie. Chcę się położyć z tobą

tutaj.

– Tutaj? – Rozejrzała się.

– Tak, pod gwiazdami. – Zdjął z niej anielską szatę i rozpostarł na trawie. Usiadł na jej brzegu i poklepał miejsce na środku. – Nie mówiłaś przypadkiem, że osłabły ci nogi?

– To się dzieje tylko, kiedy mnie całujesz. – Bez płaszcza było jej trochę chłodno, więc objęła własne ramiona.

– Zimno ci.

– Jest w porządku.

– Nie, widzę, że ci zimno. – Jego spojrzenie skupiło się na jej piersiach.

Spojrzała w dół i skrzywiła się, widząc, jak sterczą jej sutki. Kiedy popatrzyła na Connora, oczy świeciły mu na czerwono.

– Znowu?

Jego usta zadrgały od uśmiechu.

– To nawracający problem.

Fuknęła, oburzona.

– Brynley miała rację.

– Nie. Brynley sądziła, że zdoła mnie odpędzić, ale ja ciągle tu jestem. I ciągle czekam.

– Czekasz?

Uniósł brew, po czym chwycił jej spodnie od pizamy i ściągnął w dół.

Krzyknęła cicho, kiedy opadły jej do kostek; pozostała tylko w koszulce i małych, czarnych figach.

– Connorze!

Złapał ją w pasie i pociągnął na płaszc.

Zaczęła piszczeć i kopać.

– Co ty robisz?

Chwycił ją za udo, żeby przestała wierzgać, i pochylił się nad nią.

– Spytałem, czy mogę cię dotykać i całować, a ty się zgodziłaś. Czyżbyś zmieniła zdanie?

– Nie. – Puls huczał jej w uszach. – Ale tak szybko posuwasz się naprzód.

– Skarbie, ja nie liczę czasu w mileniach, tak jak ty. Chciałbym już zacząć. W tym stuleciu.

– Nie ociągałam się aż tak bardzo. – Oddech utknął jej w piersi, kiedy Connor zaczął obsypywać jej twarz lekkimi pocałunkami. – Jestem tylko trochę zdenerwowana, i tyle. – Jęknęła, kiedy musnął twarzą jej szyję. – A ty mnie przestraszyłeś, kiedy ściągnąłeś mi spodnie.

Uniósł głowę.

– No tak. – Szybko pocałował ją w usta. – Dzięki za przypomnienie.

– Hę? – Zamrugęła, kiedy nagle zsunął się do jej stóp.

Uśmiechnął się.

– Masz różowe paznokcie. – Pocałował ją w duży palec u nogi.

– Też mogłeś takie mieć – przypomniała mu. Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona tylko się

uśmiechnęła. – Moim zdaniem wyglądałeś bardzo przystojnie z różowymi paznokciami.

Skubnął palec zębami. Pisnęła i spróbowała zabrać stopę, ale chwycił ją za kostkę i nie puścił. Uniósł jej nogę wyżej i przewędrował ustami po łydce aż do kolana. Serce biło Marielle jak szalone, czuła trzepotanie w żołądku.

– Więc masz problem z kolanami, tak? – Uniósł nogę jeszcze wyżej i pocałował delikatną skórę w zgięciu kolana.

Zadrzała.

– To łaskocze. – To bardziej niż łaskotało. To wywoływało pożądliwe dreszcze, które przebiegały w górę jej nogi. Poczowała nieodpartą potrzebę zaciśnięcia ud, ale nie mogła, kiedy Connor trzymał jej nogę uniesioną tak wysoko.

Połąskotał językiem spód jej kolana, a tymczasem jego dłoń wędrowała w górę po udzie, coraz bliżej najwrażliwszego miejsca.

Marielle jęknęła. Nigdy nie czuła się tak bezbronna. Ani tak spragniona.

Puścił jej nogę, a potem podciągnął ją do pozycji siedzącej.

– Unieś ręce.

Zrobiła to i krzyknęła cicho, kiedy ściągnął z niej koszulkę i pchnął ją z powrotem na ziemię. I znów krzyknęła, kiedy zerwał z niej figi i rzucił je na bok.

– Wielkie nieba! Czy nie jesteś trochę zbyt...

gwałtowny?

– Twoim zdaniem działałam za szybko? – Ułożył się obok niej, z dłonią na jej brzuchu. Błądził spojrzeniem po jej ciele. – Już cię widziałem nago.

– Wtedy to było co innego. Przez większość czasu byłam nieprzytomna. – A jej ciało nie reagowało na niego tak intensywnie. Już samo to, jak patrzył, sprawiało, że drżała.

– Jesteś niesamowicie piękna – mruknął.

– Dziękuję. – Wielkie nieba, naprawdę ją sobie oglądał. Policzki jej zapłonęły. – Potrzebuję tylko chwili, żeby się przyzwycząić.

– Ach tak. – Przesunął spojrzenie na jej biust. – Widziałem już twoje piersi. I dotykałem ich.

Oddychała z trudem.

– Wiem.

Pochylił się bliżej, by przyjrzeć się dokładniej.

– Sutki ci stwardniały, aż się proszą, żeby je possać.

– Odsunął się. – Ale dam ci więcej czasu na przyzwyczajenie.

Otworzyła usta. Chciał ssać jej sutki? Nowa fala odczuć przebiegła po jej ciele i skupiła się w centrum, między nogami. Pojawiła się tam dziwna wilgoć. Tym razem Marielle zacisnęła uda.

Nozdrza Connora rozszerzyły się, palce przycisnęły brzuch.

– Dziewczyno, jeśli jeszcze trochę się poprzyzwyczajasz, dojdiesz beze mnie.

Objęła go rękami za szyję.

– Więc zrób to. Proszę.

Uśmiechnął się.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Pocałował ją powoli i intensywnie, skubiąc wargi, zataczając kręgi językiem w jej ustach. Odpowiedziała tym samym i szybko zatonała w świetle odczuć, w którym każdy jego dotyk wywoływał dreszcze, rozpalał iskry przyjemności.

Zaczął całować jej szyję i za każdym razem, kiedy jego język muskał skórę, czuła pulsowanie między udami. Była coraz bardziej zdesperowana, miała ochotę więc się, przyłgnąć do niego.

Pociągnęła go za koszulkę.

– Pozwól mi się dotykać.

Zdjął koszulkę i pochylił się, by wreszcie pocałować jej piersi. Marielle gładziła go po włosach, po nagich ramionach. Kiedy wciągnął sutek do ust, jęknęła i wbiła mu palce w plecy.

O tak, mówił serio z tym ssaniem. Między jej nogami zebrało się jeszcze więcej wilgoci, zaczęła się wiercić.

Connor odsunął głowę od jej piersi i znieruchomiał.

– Coś się stało? – spytała.

– Chcę widzieć twoją twarz, kiedy cię będę dotykał.

– Kiedy mnie będziesz... – Urwała, kiedy nagle dotarło do niej, co miał na myśli. Jego dłoń zjechała w dół, po jej brzuchu, do kępki włosów. Zaparło jej dech.

Zaczął ją powoli masować.

– Rozsuniesz dla mnie nogi?

Kiedy to zrobiła, uśmiechnął się.

– O, to dopiero jest piękny widok.

Drgnęła gwałtownie, kiedy poczuła, że jego palce dotykają jej w tym najwrażliwszym miejscu. Przycisnęła dłoń do piersi.

– Chyba mi serce pęknie.

Zabrał rękę.

– Potrzebujesz chwili, żeby się przyzwyczaić?

– Ani mi się waź!

Ze śmiechem położył dłoń z powrotem.

Skrzywiła się.

– Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. – Jęknęła, kiedy jego palce zaczęły pieścić fałdki. – Robię się dziwnie... chciwa.

– Chcesz więcej?

– Tak!

Połąskotał palcem bardzo czuły punkt, aż pisnęła.

Uśmiechnął się promiennie.

– To też ci się może spodobać. – Wsunął palec do jej wnętrza.

– Och! Och tak. – Zaczęła się więc, przyciskać do niego. Dziwne mrowienie rozeszło się po jej całym ciele. Jej powieki zatrzepotały i się zamknęły.

– Jesteś bardzo ciasna. I mokra. – Wsunął drugi palec. Kiedy zaczął nimi poruszać, coś obudziło się w niej. I zaczęło narastać, i narastać.

– Connorze, ja... ja...

Znów poruszył palcami, a kciukiem potarł ten wrażliwy punkt.

Krzyknęła. Przez sekundę myślała, że świat się skończył i że w niebie wybuchły wszystkie gwiazdy. Ale w końcu otworzyła oczy i przekonała się, że gwiazdy są tam, gdzie były. Ona sama wciąż była żywa, a jej ciałem wstrząsały niesamowite spazmy.

– *Qu'est-ce que tu as fait?*<sup>1</sup> – wysapała.

Connor pochylił się nad nią z uśmiechem.

– Mówisz po francusku.

– Och. *Lo siento.*<sup>2</sup> – Roztarła czoło. Hiszpański? – Chyba przepalił mi się bezpiecznik.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

– Kocham cię. Tak strasznie cię kocham.

– Naprawdę? – Uściskała go mocno. – Och, Connorze, ja też cię kocham.

Przeturlał się na plecy, pociągając ją za sobą.

– Dziewczyno. – Poczochrał jej włosy i pocałował ją w czubek głowy.

Ułożyła się wygodnie na jego piersi i oparła głowę na sercu, by posłuchać jego bicia. Zamknęła oczy. W jej umyśle błysnęła wizja kobiety. Ciemnowłosej kobiety, trzymającej w ramionach nowo narodzoną dziewczynkę. Były piękne. Odepchnęła od siebie tę myśl i ułożyła policzek na miękkich włosach porastających pierś Connora. Gdybyż ta chwila mogła trwać wiecznie. Nagle otworzyła oczy. Czy naprawdę tego chciała?



– *Je t'aime*<sup>3</sup> – szepnął Connor. Uniosła głowę.

– Znasz francuski? Potaknął skinieniem.

– I gaelicki. A ty?

– Potrafię rozmawiać z każdą istotą ludzką na ziemi.

Otworzył szeroko oczy i odwrócił wzrok.

– Chyba jestem zbyt chciwy, skoro chcę cię tylko dla siebie.

Uśmiechnęła się i przeciągnęła palcem po jego żuchwie.

– Sprawiasz, że też robię się chciwa. Pocałował ją w palec.

– Chcesz sobie jeszcze pokrzyzczyć?

Poczuła rumieniec na policzkach. Naprawdę krzyczała.

– To było dużo silniejsze niż się spodziewałam.

– Dopiero zaczęliśmy. Jeszcze cię nie posmakowałem i nie doprowadziłem do orgazmu ustami.

Zamrugła. Czy on miał na myśli seks oralny?

– Chcesz mi zrobić loda? Roześmiał się i nagle skrzywił.

– Oj.

– Co się stało?

– Nic.

Usiadła gwałtownie.

– Nie powinnam była tak się na tobie opierać. Pewnie ciągle masz obolałe zębra.

– Moim zębrom nic nie jest.

– Na pewno? – Przeciągnęła dłońmi po jego nagiej

klacie. – Jesteś taki muskularny i silny. – Powiodła palcami wąskim szlakiem włosów aż do pępka. – Taki piękny.

– Dziewczyno... – Zacisnął zęby.

Nagle podskoczyła.

– Connorze, coś się porusza w twoich spodniach.

– Nie zwracaj na to uwagi. Dziewczyno, nie!

Pochyliła się nad nim i ściągnęła niżej gumkę jego flanelowych spodni. Wystraszyła się, kiedy jego erekcja wyskoczyła z nich nagle.

– Och! – Padła w poprzek jego ud. – O rety! Wielkie nieba!

Connor jęknął i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Nie musisz mu się przyglądać z takim przerażeniem. Nie zrobi ci krzywdy.

– Jest... bardzo duży.

Connor parsknął.

– Ma pokojowe zamiary.

Zachichotała i trąciła go palcem.

Drgnął, a Connor z sykiem wciągnął powietrze.

Marielle usiadła prosto, zdumiona, jak silną reakcję wywołała. Z wielką ciekawością przyjrzała się erekcji. Czy mogłaby go doprowadzić do krzyku, tak jak on ją?

– Nie dotykaj mnie – mruknął Connor. – Zaraz eksploduję.

Eksploduje? To powinno być interesujące.

– Wiesz, jaki jest ze mną problem, Connorze. Nie umiem słuchać poleceń. – Otoczyła trzonek palcami i

pocałowała czubek.

– Jasna... – Connor zagryzł zęby ze zduszonym odgłosem.

Nie bardzo wiedziała, co robić, ale pamiętała, jak było jej przyjemnie, kiedy ssał jej piersi i łaskotał je językiem.

Przeciągnęła więc językiem przez całą długość trzonu, a potem wzięła go w usta.

Wyglądało na to, że robi, co trzeba, bo Connor zaczął jęczeć i chwytac ją za włosy.

– Dość! – Rzucił ją na anielski płaszcz i wsunął się między jej nogi.

Pocałował ją mocno, ocierając się o nią. To tarcie rozпалиło jej wrażliwą skórę. Oplotła go nogami i wbiła palce w jego plecy.

Pojawiło się więcej wilgoci, jego ruchy stały się śliskie. Głęboko w jej wnętrzu pojawił się pulsujący ból – ból pustki, która błagała o wypełnienie.

– Connorze. – Zapragnęła mieć go w sobie.

I dwoje stanie się jednością.

Wydał z siebie ochryply krzyk i zadrzał, bo znalazł spełnienie. Padł obok niej, obejmując ją mocno.

A ona obejmowała jego, wciąż oplatając go ramionami i nogami. Boże, nie wiedziała, że ten rodzaj miłości może być tak potężny. Tak niewiele brakowało, by błagała go, żeby ją wziął.

Oparła głowę na jego piersi, by móc słuchać dzikiego łomotu jego serca. Wizja powróciła.

Ciemnowłosa kobieta z dzieckiem na ręku. To dziecko Connora, zdała sobie nagle sprawę. Zagłębiała w czarną głębię jego duszy. Mury obronne zawaliły się z hukiem.

Fionulla. Tak brzmiało imię tej kobiety. Otaczało ją tyle miłości i smutku. Dlaczego kobieta, którą kochał, była jego największym wyrzutem sumienia?

Marielle usiadła.

– Connorze?

Jęknął z zamkniętymi oczami.

– Daj mi chwilkę.

– Nie wspomniałeś, że masz żonę.

## Rozdział 20

Connor drgnął, gwałtownie otworzył oczy.

– Co?

– Masz żo...

– Nie! – Poderwał się. Chryste Panie, równie dobrze mogła go walnąć pięścią w brzuch. – Nie jestem żonaty.

– I córkę.

Serce biło mu jak szalone. Nie mógł się wyprzeć córki. Żyła zaledwie kilka godzin, ale przez całą wieczność będzie jego piękną córeczką. Z trudem przełknął ślinę. Czy Marielle tak samo będzie postrzegać jego zmarłą żonę?

– Nie... nie mam żony. – Złapał spodnie i zaklął w duchu, usiłując wsadzić stopy we właściwe nogawki. Cholera, ręce mu się trzęsły.

– Ale miałeś.

Spojrzał na Marielle. Nie wyglądała na zdenerwowaną. Jak mogła być tak cholernie spokojna, kiedy on dostał pięścią w brzuch? Więcej. Dostał obuchem w łeb. Ale powoli, w miarę, jak trzeźwiał, robił się coraz bardziej wściekły.

– Kiedy się z tobą kochałem, szperałaś mi w głowie?  
– obruszył się.

– Nie. – Marielle zmarszczyła brwi i objęła swoje kolana. – Jeśli już musisz wiedzieć, to kochanie się budzi tak silne uczucia, że sama ledwie mogę myśleć. Stać mnie było tylko na parę przelotnych myśli, jakie to

wspaniałe i jaki jesteś cudowny. I jak bardzo cię kocham.

Jego serce przepełniła tęsknota. Wiedział, że jej odejście go zabije.

– Czuję to samo.

Czuły wyraz zmiękczył jej spojrzenie.

– Wiem, że to cię bardzo poruszyło i sprawiło, że forteca, którą zbudowałeś wokół serca, się zawaliła. Więc teraz, kiedy cię obejmowałam, po prostu je zobaczyłam. Twoją żonę i twoje dziecko.

Załoczył spodnie do końca.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Uważam, że były piękne. Czułam, jak bardzo je kochałeś.

– Umarły wieki temu. Nie ma sensu tego...

– Moim zdaniem jest sens. Bo z jakiegoś powodu one stanowią rdzeń twoich wyrzutów sumienia i tego bólu. Co się...

– Nie, nie będę o tym rozmawiał. – Do diabła, ta jej urażona mina sprawiała mu ból. – Przykro mi, Marielle, ale nie będę się spowiadał.

Zmrużyła oczy.

– Myślisz, że Ojciec Niebieski o tym nie wie?

– Oczywiście że wie. Dlatego jestem na piekielnej liście.

Skrzywiła się.

– Co za uparty człowiek. Ta lista nie jest wykuta w kamieniu. Można ją zmienić.

– Jestem straconym przypadkiem. Ale nie przejmuj

się. I tak pomogę ci wrócić do nieba.

Marielle prychnęła, oburzona.

– Myślisz, że martwię się tylko o siebie? Gdyby to była prawda, jaki byłby ze mnie anioł?

A jaki człowiek popełnia tak straszliwe zbrodnie? Nie mógł jej powiedzieć. Nie mógł znieść myśli, że straci jej miłość. To było jedyne światło w ciemności, w której tkwił.

– Powinniśmy wracać. – Wziął koszulkę, ale nagle zauważył, jak zabrudził Marielle. – Och, dziewczyno. – Wytarł koszulką jej brzuch i uda. – Nie przejmuj się tym. Moja sperma jest martwa.

Zesztywniała.

– Mogłabym mieć dziecko?

– Nie. Nie z moją...

– Ale mam wszystkie potrzebne części ciała. – Położyła dłoń na brzuchu i szeroko otworzyła oczy, przepełniona nagłym zachwytem. – Mogłabym sprowadzić na świat żywą istotę ludzką.

Connor głośno przełknął ślinę.

– Myślałem, że wracasz do nieba.

Zamrugła.

– A. Tak. Wracam do nieba. – Sięgnęła po swoją koszulkę. – Po prostu mnie to... zaskoczyło. Nie zdawałam sobie sprawy... – Założyła koszulkę przez głowę.

– Po powrocie będziemy musieli jeszcze raz wziąć prysznic. – Connor podał jej majtki i dół od piżamy. –

Dziewczyny mają świetny węch. W każdym razie na pewno wampirzyce. Myślę, że zmiennokształtna też.

Marielle ubrała się do reszty.

– Więc będą wiedziały, co zrobiliśmy?

– Tak. Kiedy się zjawia, ja muszę lecieć do Romatechu zobaczyć się z Angusem. Chyba jesteśmy gotowi na konfrontację z Malkontentami.

– Chcę lecieć z tobą. – Kiedy zaczął protestować, dotknęła jego barku. – Będę brała udział w bitwie. Mam prawo wiedzieć, co planujecie.

– No dobrze. – Wstał i podciągnął ją z ziemi.

Położyła dłonie na jego policzkach.

– Dziękuję, Connorze. Będę pielęgnować to wspomnienie. Zawsze będę pamiętać, jak kochałeś się ze mną pod gwiazdami.

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

– Też tego nie zapomnę.

– Żałuję, że nie potrafisz mi zaufać i pokazać mi tego bólu, który w sobie skrywasz.

Westchnął. Powinien był wiedzieć, że Marielle mu nie odpuści w tej sprawie. W głębi serca była Uzdrowicielką. Niestety nie mogła w żaden sposób zmyć jego grzechów.

On też nie.

Godzinę później Marielle siedziała w kącie pełnego wampirów biura ochrony firmy MacKay w Romatechu i słuchała, jak omawiają strategię wojenną. Starła się uważać, ale za każdym razem, kiedy spoglądała na



stojącego nieopodal Connora, przypominała sobie, jak się kochali. Ludzie byli naprawdę błogosławieni, że mogli dzielić z sobą akt miłosny, tak potężny i przyjemny. Od paru dni wiedziała, że ma kompletny zestaw kobiecych części intymnych, ale zajmowała się raczej wypieraniem ich ze świadomości, by zachować anielską niewinność niż zastanawianiem się, jakie korzyści mogą płynąć z ich używania.

Mogła tworzyć życie. Mogła wydawać na świat dzieci, jak Shanna. Była to intrygująca myśl. Kiedy znów spojrzała na Connora, poczuła ściskanie w sercu.

Nie, nie mogła tego zrobić. Nie mogła zostać tutaj. Znała Connora zaledwie od pięciu nocy. Jak to możliwe, że po tych pięciu nocach w ogóle zastanawiała się nad rezygnacją z wieczności w niebie? Musiała chyba być szalona. Albo bardzo zakochana.

Wróciły do niej słowa Vandy. Ile była skłonna poświęcić dla miłości? Potem w głowie zabrzmiały jej słowa Bunny'ego. Miała dobre serce. Jeśli będzie go słuchać, nie pożałuje.

Ale Bunny powiedział też, że ludzki świat jest dla niej zbyt niebezpieczny. Musiała się z tym zgodzić, patrząc, jak wampiry podają sobie miecze i noże, broń palną i amunicję. Gdzie tu miejsce na pokój i radość, których tak pragnęła? Jak mogła zrezygnować ze wspólnych śpiewów z Niebiańskimi Zastępami? Jak mogła zrezygnować ze skrzydeł, z szybowania w przestworzach?

Jej spojrzenie wróciło do Connora. Razem udało im się symulować lot. A kiedy kochali się z sobą, pokazał jej szczyty rozkoszy, jakich sobie nie wyobrażała. Sprawił, że miłość stała się tak realna, tak cielesna i fizyczna. I tak bardzo różniła się od łagodnego, kojącego uczucia, jakie znała w niebie. To było jak porównywanie manny z czekoladą. Pierwsza była nijaka, ale doskonale odżywcza; druga była eksplozją cudownej przyjemności. Ale ta pierwsza była niezmienna i wieczna, a druga ryzykowna i nieprzewidywalna.

– Do diabła, co on tu robi? – mruknął Phineas, wskazując jeden z monitorów na dalszej ścianie.

Z ponurych min i przekleństw wampirów Marielle wywnioskowała, że mężczyzna zbliżający się do głównego wejścia Romatechu nie był tu lubiany.

– Kto to jest? – spytała Connora.

– Ojciec Shanny, Sean Whelan – odszepnął, po czym podniósł głos: – Po co on tu przyszedł?

Angus westchnął.

– Ja go zaprosiłem. – Kiedy wampiry zaczęły protestować, podniósł rękę, żeby je uciszyć. – Był bardzo pomocny w namierzaniu miejsc, gdzie pożywiali się i mordowali Malkontenci. I używał swoich rządowych znajomości, żeby to tuszować. W zamian za współpracę chce wziąć udział w bitwie.

– Pogięło go – mruknął Phineas.

– Mówiłem mu, jakie to niebezpieczne. – Angus zawahał się. – Dziś być może zmieni zdanie w kwestii

współpracy z nami. Shanna powie mu, co się stało.

W sali zapadła cisza. Wszyscy obserwowali monitor, na którym Shanna z Romanem przywitała ojca przy wejściu, a potem poprowadziła go do sali niedaleko biura ochrony.

Marielle pomodliła się po cichu, żeby ojciec Shanny okazał współczucie i zrozumienie i by był wdzięczny, że jego córka żyje, nawet jako wampirzyca.

– Wszyscy rozumieją plan? – spytał Angus. Kiedy obecni kiwnęli głowami, mówił dalej: – Więc mamy wam jeszcze jedną rzecz do pokazania. To fragment dzisiejszego wydania *Na żywo wśród nieumarłych*. Emma?

Emma podeszła do ściany monitorów i wsunęła srebrny dysk w napęd.

– Skontaktowaliśmy się z menedżerem DVN. Twierdzi, że Corky nadaje te kawałki co noc z nieznanymi lokalizacji.

– Włączy się z Casimirem i dokumentuje jego podróż – dodał Angus.

Emma wcisnęła parę guzików.

– Moim zdaniem ona ma z nim romans.

Na ekranie pokazał się obraz. Jasnowłosa, biuściasta kobieta z mikrofonem stała przed ciemnym magazynem na pustej ulicy.

– Mówi Corky Courrant, na żywo z tournée z Casimirem. Cóż za ekscytująca podróż! Dzięki mojemu drogiemu Casimirowi na nowo odkryłam swoje

dziedzictwo. Koniec z butelkowaną krwią! Dziś zanurzę kły w przystojnym młodym śmiertelniku i napiję się do syta. Nie wyobrażacie sobie, jakie to podniecające, kiedy życie uchodzi ze śmiertelnika w waszych ramionach. Oto jest nasza prawdziwa natura, drodzy przyjaciele, i powinniśmy ją zaakceptować. Przestańcie pić te popłuczyny z Romatechu! Powinniśmy zająć należne nam miejsce istot wyższych. Zostaliśmy stworzeni na zdobywców!

Corky kiwnęła na operatora kamery, by szedł za nią, i otworzyła drzwi magazynu.

– Dziś mam wam do pokazania coś wyjątkowo ekscytującego. Choć to prawda, że Casimir i jego wyznawcy, łącznie ze mną, zabijają co wieczór paru śmiertelników, zapewniam was, że planuje coś o wiele bardziej doniosłego niż rzeź paru nieznaczących ludzi.

Poprowadziła kamerzystę ciemnym korytarzem do dużej sali. W marnym świetle widać było sterty drewna i rur. Kamera skierowała się na podłogę, gdzie spoczywało dwanaście ciał.

– Oto przestępcy, którzy przysięgli wierność Casimirowi – wyjaśniła Corky. – Dziś są jeszcze w wampirycznej śpiączce, ale jutro, kiedy te nowe wampiry się przebudzą, będą wygłodniałe! W pomieszczeniu obok mamy trzydziestu śmiertelników pod umysłową kontrolą. Jutro wieczorem, tuż po zachodzie słońca, odbędzie się tu dzika, krwawa uczta! A ja oczywiście będę tutaj i nagram to dla was.

Pokazała zęby w uśmiechu.

– Jutro ujrzycie jatkę i śmierć, drodzy przyjaciele! Śmiertelny świat wkrótce pokłoni się Casimirowi, który będzie nim władał. A ja będę jego królową!

Emma wcisnęła stop, ekran zgasł.

– Przystudiowaliśmy to nagranie dokładnie, próbując ustalić miejsce, ale nie ma tam żadnych szyldów, znaków. Teren wygląda na płaski, ale poza tym nie mamy nic. To może być magazyn w dowolnym mieście.

Angus zwrócił się do Marielle.

– Liczymy na ciebie, że wyczujesz tych umierających tak szybko, jak to możliwe, żebyśmy mogli teleportować się tam i powstrzymać ten morderczy szal.

Marielle skinęła głową.

– Już sama informacja, że to magazyn, pomoże mi się łatwiej zorientować.

– Connor teleportuje się tam z tobą – ciągnął Angus.

– Jak tylko potwierdzi, że to właściwe miejsce, reszta z nas podąży za wami, korzystając z jego nadajnika GPS.

– Już rozumiem, dlaczego nie wyczułam dzisiaj miejsca ich pobytu – oznajmiła Marielle. – Szukałam śmierci i zgrozy, ale do niczego takiego tam nie doszło. Ci ludzie zgodzili się na to sami i zostali wprowadzeni w śpiączkę... – Przerwały jej głośne krzyki na korytarzu.

Na monitorze widać było Seana Whelana, tłukącego pięściami w ściany.

– Nie przyjął tej wieści zbyt dobrze – mruknął Angus.

Emma otworzyła drzwi i wampiry wysypały się na korytarz. Connor wziął Marielle za rękę i poprowadził ją za resztą.

– Niech was szlag trafi! Niech was wszyscy diabli! – huknął na nich Sean, czerwony z wściekłości.

Marielle się skrzywiła. Jej modlitwa nie została wysłuchana.

– To nie jest ich wina – zauważyła cicho Shanna.

– Oczywiście, że to ich wina, do cholery! – Sean wycelował palec w Romana. – Zabiję cię za to.

Roman zmrużył oczy, zacisnął pięści.

– Nie! – krzyknęła Shanna przez łzy. – Roman mnie uratował! Umarłabym, gdyby mnie nie przemienił.

– W ogóle nie byłabyś zagrożona, gdybyś za niego nie wyszła! – Sean obrócił się na pięcie i jego spojrzenie padło na Connora. W jego oczach płonęła nienawiść. – To ty, cholerny draniu. To ty sprowadziłeś tu anioła śmierci. Ciebie też zabiję.

Marielle zrobiła krok naprzód, by wziąć na siebie odpowiedzialność, ale Connor ją przytrzymał.

– Proszę bardzo, stary głupcze. Spróbuj mnie zabić. Wyświadczę Shannie przysługę, jeśli ją od ciebie uwolnię.

– Connorze, nie – szepnęła Shanna.

Sean wycelował palec w Connora.

– To ja wyświadczę przysługę całemu światu, uwalniając go od ciebie.

Connor zacisnął zęby.

– To była moja wina. – Marielle uniosła głowę. – Jestem aniołem śmierci.

Sean zbladł.

Connor przesunął ją przed siebie.

– Może przywitasz się z nią jak należy, stary? No, podaj jej rękę.

Sean się cofnął.

Marielle wyrwała się Connorowi i posłała mu gniewne spojrzenie.

– To nie jest zabawne. – Zwróciła się do Seana. – Głęboko żałuję tego, co spotkało twoją córkę. Nigdy z rozmysłem nie skrzywdziłabym żadnej żywej istoty.

– To prawda – przyznała Shanna. – Marielle była nieprzytomna. To ja ją dotknęłam.

Sean powiódł po wszystkich wściekłym wzrokiem, aż wreszcie spojrzał na Angusa.

– Słyszałem, że jutro wieczorem będzie bitwa. Zabierzecie mnie z sobą.

Angus westchnął.

– To zbyt niebezpieczne...

– Mam to gdzieś! – krzyknął Sean. Zaciśnął pięści. – Muszę zabić jakieś wampiry. Muszę pomścić córkę. Jeśli mnie nie zabierzecie z sobą, zacznę zabijać was.

Connor prychnął drwiąco.

– Tylko spróbuj.

Angus uniół rękę.

– Dość. Zabierzemy cię jutro, Whelan. Ale ostrzegam, że walka będzie zażarta, na śmierć i życie.

Sean skinął głową.

– Liczę na to.

– Chodź ze mną – szepnął Connor do Marielle i pociągnął ją korytarzem do bocznego wyjścia.

– Coś nie tak?

– Wszystko – burknął. Pchnął drzwi i poprowadził ją do ogrodów. Puścił jej dłoń i ruszył w stronę altanki.

Obrócił się nagle.

– Nie chcę, żebyś brała udział w jutrzejszej bitwie.

Marielle zeszywniała.

– Muszę tam być. Tylko ja potrafię wyczuć śmierć.

– Tak, ale jak tylko zjawią się pozostali i zacznie się bitwa, masz stamtąd zniknąć. Poproszę Emmę, żeby teleportowała cię z powrotem tutaj, gdzie będziesz bezpieczna.

– Ale przecież ćwiczyłam samoobronę.

– To może nie wystarczyć! – Podszedł do niej. Jego oczy były pełne bólu. – Nie mogę cię narażać na takie niebezpieczeństwo. Za bardzo cię kocham.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Pokonanie Malkontentów i Casimira udowodni, że zasługuję na powrót do nieba. Jak mam pokazać swoją wartość, jeśli ucieknę, zanim bitwa w ogóle się zacznie? Jak mam cokolwiek zyskać, nic nie ryzykując?

Connor poruszył zuchwą.

– Odeślę cię do tego twojego nieba w taki czy inny sposób.

– Nie! To ja byłam nieposłuszna. I to ja muszę sobie



zasłużyć na powrót.

Przezcesał włosy dłonią.

– Nie jestem w stanie myśleć, że może ci się stać krzywda.

– Rozumiem. I czuję to samo. Gdyby cokolwiek ci się stało...

– Nic mi nie będzie, dziewczyno. Walczyłem w wielu bitwach.

Jęknęła.

– Wiem. Ale w jednej z nich zginąłeś, pamiętasz?

– Nie zginąłem. Byłem tylko... śmiertelnie ranny. – Skrzywił się gorzko. – To było ponad czterysta lat temu. Od tamtej pory bardzo się wyrobiłem.

Serce urosło jej w piersi. Tak bardzo go kochała. Podeszła do niego i położyła dłonie na jego twarzy.

– Polecę z tobą jutro. I nie pozwolę, żebyś sam stawiał czoło wrogowi.

Chwycił jej dłonie i ucałował je.

– W takim razie chcę, żebyś miała to przy sobie. – Wysunął sztylet z podkolanówki i włożył jej w dłoń.

Z przerażeniem spojrzała na ostrze.

– Connorze, wołałabym nie...

– Wiem, ale chcę, żebyś go miała. I chcę, żebyś go użyła, jeśli będziesz musiała. Inaczej nie zabiorę cię z sobą.

Sztylet leżał na jej dłoniach, zimny i obcy. Chciała odmówić, ale musiała wziąć udział w tej bitwie, by chronić Connora i udowodnić, że jest godna nieba.

– No dobrze. – Przyjęła skórzaną pochwę, którą dał jej Connor, i wsunęła w nią sztylet.

## Rozdział 21

Kopnij ich w jaja! – zawołała Brynley z werandy.

Marielle nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale widziała Connora nagiego i z bliska, więc miała jakieś takie pojęcie, o czym mówi zmiennokształtna. Była to jej szósta noc na Ziemi, jakieś pół godziny po zachodzie słońca. Marielle ćwiczyła obronne umiejętności na polanie przed domkiem myśliwskim.

– Owszem, to skuteczna strategia – przyznał cicho Connor, stojący obok niej. – Jeśli Malkontent dostanie cię w ręce, kopnij go kolanem w krocze. A potem przeszyj mu serce sztyletem.

Skrzywiła się. Nie chciała mówić Connorowi, że nie ma zamiaru nikogo zabijać. Ale czy zdoła przeżyć tę noc, wyłącznie broniąc się podmuchami powietrza? Jakoś będzie musiała tego dokonać. Bo czy przyjmą ją z powrotem w niebie, jeśli odbierze komuś życie?

– Czujesz ich już? – spytał Connor.

Zamknęła oczy i sięgnęła umysłem w dal. Zgony w szpitalach, śmierć w wypadkach samochodowych, kilka morderstw. Żadnego koszmarnego masowego mordy w magazynie.

– Nie, jeszcze nie.

Connor poklepał ją po ramieniu.

– Nie martw się. Prawdopodobnie są na zachód od nas i jeszcze się nie obudzili.

Marielle skinęła głową. Connor po przebudzeniu

natychmiast wypił butelkę krwi. Potem zaczął obwieszać się bronią. Claymore na plecach, sztylet w każdej skarpecie, jeszcze więcej noży i drewniane kołki w sporrannie, a do tego wszystkiego automatyczny pistolet naładowany srebrnymi kulami.

Jej dał pasek ze skórzaną pochewką. Sztylet w pochwie chował się sprytnie pod jej kurtką z kapturem.

Tymczasem wampiry i zmiennokształtni zbierali się w Romatechu. Angus zadzwonił, by zawiadomić Connora, że wszyscy są gotowi wyruszyć. Zjawił się też uzbrojony po zęby Sean Whelan.

Czekali więc aż nad Malkontentami zajdzie słońce, a tymczasem Connor uparł się, by Marielle ćwiczyła. Z radością zajmowała się treningiem. Inaczej za bardzo by się martwiła.

– Zabierzcie mnie z sobą! – krzyknęła Brynley po raz trzeci.

Connor jęknął.

– Powiedziałem ci, nie. Nie jesteś wyszkolona do bitwy.

– Dzisiaj jest pełnia. – Brynley nie dawała za wygraną. – I tak muszę się przeobrazić. Phil z wami leci i bierze z sobą trzech chłopaków ze szkoły. Carlos puszcza nawet tego nowego tygrysołaka. Dlaczego ja nie mogę?

Connor spojrzał na nią gniewnie.

– Oni są wyszkoleni. Ty nie.

– Potrafię powalić łosia w trzydzieści sekund!

– Mogę teleportować tylko jedną osobę, i to musi

być Marielle.

– To powiedz jakiemuś innemu wampirowi, żeby ruszył tutaj swoją zdechłą dupę i mnie teleportował – wypaliła Brynley. – Jeśli mnie zabierzesz, będę się trzymać blisko Marielle i pomogę jej się bronić.

Najwyraźniej było to właściwe zaklęcie, bo Connor wyjął komórkę ze sporranu i zadzwonił.

– Brynley – zaczęła Marielle. – To nie jest twoja walka. Nie musisz...

– Ale chcę. – Brynley posłała jej smutny uśmiech. – Zaslugujesz na wszelką pomoc, jaką możesz mieć.

Connor wrzucił telefon do sporranu.

– Phineas się zjawi. Zabierze cię do Romatechu i dołączysz do reszty.

Brynley skinęła głową.

– Dziękuję.

– Halo? – zawołał głos z wnętrza domku. Phineas wyrzwał przez drzwi. – A, tu jesteście. – Wyszedł na werandę. Miał miecz przypięty na plecach, tak jak Connor. Na biodrach miał pas z kaburą na pistolet i kilkoma pochwami na noże.

Obrzucił Brynley spojrzeniem i się uśmiechnął.

– No więc, czy to prawda, że musicie się rozebrać do naga przed przeobrażeniem?

Dziabnęła go palcem w pierś tak mocno, że zatoczył się do tyłu.

Roztarł obolałe miejsce.

– Co to miało być?

Brynley popatrzyła na niego ze złością.

– To był kołek, który Malkontent wbije ci w serce, kiedy będziesz się gapił na mój striptiz, kretynie.

Connor się roześmiał.

– Ma sporo racji.

– Tak, tak – mruknął Phineas. – Myślałby kto, że chcę patrzeć, jak całkiem fajna kobitka zamienia się w psa.

Brynley zamachnęła się, żeby dać mu w twarz, ale Phineas chwycił ją za nadgarstek.

– Jestem szybszy od ciebie, wilczyco.

Zmrużyła oczy.

– Za to ja paskudnie gryzę.

– Ja też. – Pociągnął ją w objęcia i pomachał do Connora. – Na razie, ziom. – Zniknął, zabierając z sobą Brynley.

– To było... interesujące – zauważyła Marielle.

– Owszem. – Connor wziął ją w ramiona. – Ale wreszcie jesteśmy sami.

Objęła go i położyła głowę na jego piersi. Poczowała, że pogłaskał jej włosy policzkiem.

– Marielle, poprosiłem Emmę, żeby miała na ciebie oko. Wasze stanowisko będzie przed magazynem, macie wyłapywać wszystkich, którzy nam uciekną. Niektóre ze świeżo przemienionych wampirów mogą próbować zwiewać pieszo. Nie będą jeszcze umieli się teleportować.

– Chcę być z tobą.

Pokręcił głową.

– Będziemy walczyć wręcz we wnętrzu magazynu. Twoje fale uderzeniowe na nic się tam nie przydadzą. Szkodziłabyś nam tak samo jak Malkontentom.

Przełknęła ślinę.

– Nie chcę się z tobą rozdzielać.

– Tak będzie najlepiej. Twoje zadanie to znaleźć Malkontentów. A potem pozwól nam robić swoje.

Skinęła głową.

Pocałował ją w usta. Był to długi, żarliwy pocałunek, od którego zmiękły jej kolana i zakręciło jej się w głowie. Czy to był pożegnalny pocałunek na wypadek, gdyby coś mu się stało?

Proszę Cię, Boże! Proszę, chroń go!

Connor puścił ją i wyjął komórkę ze sporranu.

– Spróbuj jeszcze raz. Teraz ich wyczuwasz?

Opuściła powieki i sięgnęła w dal. Śmierci przewijały się przed jej oczami. Wywołane chorobą. Wywołane wypadkami.

Zdrętwiała. Memphis, Tennessee. Wrzaski przerażenia. Trzydzieścioro ludzi umierających jednocześnie. W magazynie.

– Mam.

Connor zadzwonił szybko.

– Angusie, lecimy. Daj nam dziesięć sekund. – Schował telefon do sporranu i złapał Marielle.

Poczuła zimne ukłucie na czole, kiedy wpadł jak burza w jej umysł i uchwycił docelowe miejsce.

Wszystko poczerniało.

Wylądowali na pustej ulicy, marnie oświetlonej samotnymi latarniami na obu końcach. Wszystkie bliższe lampy zostały rozbite. Po prawej stronie ulicy znajdował się rząd porzuconych sklepów z wytłuczonymi witrynami; co poniektóre zabito deskami. Po lewej wznosił się wielki magazyn – ten sam, który widzieli w materiale Corky. Nikogo nie było widać, ale ulicę wypełniały krzyki.

Wokół nich zmaterializował się tuzin wampirów, korzystając z nadajnika Connora. Niektórzy zjawili się sami, niektórzy zabrali z sobą zmiennokształtnych i śmiertelników. Marielle rozpoznała ojca Shanny, który przybył z Romanem. Sean Whelan odepchnął się od wampira i wyjął broń: wielki pistolet i długi, ostry sztylet. Wampiry dobyły mieczy.

Robby po cichu poprowadził grupę na tyły magazynu.

Emma podbiegła do Marielle.

– Tędy – szepnęła. – Mamy pilnować zmiennokształtnych.

Marielle posłała odchodzącemu Connorowi ostatnie spojrzenie. Niech Bóg cię błogosławi i zachowa, pomodliła się w duchu.

Skinął głową, jakby ją usłyszał, po czym odwrócił się i wszedł za Angusem do magazynu.

Krew ścięła jej się w żyłach na dźwięk ich przerażającego okrzyku wojennego, po którym rozległy



się strzały i szczęk mieczy.

– Szybko! – Emma pociągnęła ją na drugą stronę ulicy, gdzie w zaułku między opuszczonymi sklepami zebrali się zmiennokształtni. – Po okolicy mogą krążyć malkontenckie straże – wyjaśniła. – Ja popilnuję tego końca uliczki. Ty pilnuj drugiego. Nie dopuszczaj nikogo w pobliże, dopóki zmiennokształtni nie będą gotowi.

Marielle dostrzegła kątem oka, jak zmiennokształtni się rozbierają. Odwróciła się, by pełnić straż. Zadrżała, gdy odgłosy bitwy w magazynie jeszcze bardziej przybrały na sile. Pośród strzałów i brzęku mieczy powietrze rozdarł wrzask. Skrzywiła się. Brzmiał tak ludzko. Miała nadzieję, że śmiertelnicy to przeżyją. I dobre wampiry. Connor. Serce ścisnął jej ostry ból. Nie zniosłaby jego straty.

– Tam jest jedna! Brać ją! – krzyknął męski głos na końcu ulicy.

Dostrzegła dwóch mężczyzn, tuż zanim zniknęli. Malkontenci. Nim zdążyła krzykiem ostrzec swoich, pojawili się tuż przed nią. Rzucili się na nią, ale cisnęła ich do tyłu z taką siłą, że wpadli na ścianę magazynu.

Ręce jej się trzęsły, krew łomotała w uszach. Wielkie nieba, mało brakowało!

Za jej plecami rozległ się potężny ryk.

Obróciła się na pięcie.

– Aaa! – Serce zabiło jej jak szalone.

Wielki grizzly stał na tylnych łapach i ryczał na nią. Zatoczyła się na bok i potknęła o połamany krawężnik.

Niedźwiedź opadł na cztery łapy i pobiegł w stronę magazynu. Po piętach deptały mu cztery potężne wilki, największa pantera i największy tygrys, jakie widziała w życiu.

Niedźwiedź i pantera zaatakowały dwóch Malkontentów, którymi wcześniej cisnęła o magazyn. Zwierzęta po prostu urwały im głowy. Wampiry przemieniły się w pył.

Marielle skręcił się żołądek. Zmiennokształtni wpadli do magazynu i po chwili kolejne wrzaski przeszły powietrze.

– Dobra robota. – Emma poklepała Marielle po plecach.

Samotny wilk potruchtał na drugi koniec zaułka i przysiadł na tylnych łapach.

– Brynley? – szepnęła Marielle.

Wilk spojrzał na nią, obnażył zęby i zawarczał.

Marielle cofnęła się, przestraszona.

– Do diabła. – Emma wyciągnęła nóż i cisnęła nim w coś za plecami Marielle.

Marielle obróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak nóż wbija się z głuchym odgłosem w serce Malkontenta i zmienia go w proch. Nóż z klekotem spadł na chodnik.

– Było blisko – mruknęła Emma. – Dzięki, Brynley.

Marielle przycisnęła dłoń do łomoczącego serca. Skręconym na supeł żołądkiem szarpnęły mdłości.

– Dobrze się czujesz, kochana? – spytała Emma. – Mogę cię w tej chwili teleportować do Romatechu.

Pokręciła głową.

– Nie zostawię Connora.

– Ach tak. – Emma zerknęła na nią z ciekawością, schylając się po nóż. Wyprostowała się gwałtownie. –  
Idą.

Stado nowo przemienionych, zdezorientowanych wampirów wypadło przez główne drzwi, wrzeszcząc i sycząc.

Kiedy Marielle uderzyła ich falą powietrzną, powpadali na siebie nawzajem i na ścianę magazynu.

Emma rzuciła się w ich stronę z kołkiem w każdej dłoni. Czterech obróciła w proch, zanim w ogóle pozbierali się z ziemi. Brynley też skoczyła na nich; szarpała i gryzła, aż zamieniali się w pył.

Z magazynu uciekało więcej wampirów. Marielle nie mogła ich zdmuchnąć, nie uderzając w Emmę i Brynley. Rozpoznała ojca Shanny, który wypadł z magazynu, wrzeszcząc i tnąc dookoła sztyletem.

Jakiś Malkontent oderwał się od grupy i pobiegł ulicą. Marielle przewróciła go podmuchem powietrza.

– Zabiję cię! – Sean Whelan pognał za nim. Wampir zerwał się. Sean wystrzelił, ale wielki pistolet tylko kliknął pusto. Sean rzucił broń i popędził na wampira ze sztyletem.

Malkontent chwycił uniesioną rękę Seana i zaczęli się z sobą szamotać; już po chwili tarzali się po ziemi.

– Boże, nie – szepnęła Marielle, podchodząc bliżej. Wampir pokonał Seana. Przygwoździł go do jezdni,

wyrwał mu sztylet z ręki i zatopił ostrze w jego piersi.

Marielle krzyknęła z przerażenia. Nie! Nie mogła pozwolić, żeby ojciec Shanny zginął.

Wampir wysunął kły i wbił je w szyję Seana. Marielle nie mogła go zdmuchnąć; zdmuchnęłaby również jego ofiarę.

Rozejrzała się gorączkowo. Emma i Brynley były zajęte zabijaniem wampirów przy drzwiach magazynu, a przeciwnik Seana leżał na nim i wysysał z niego krew.

Musiła to zrobić. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy wyciągnęła sztylet z pochwy u pasa. Boże, wybacz mi. Oceniała, gdzie znajduje się serce wampira i wbiła sztylet w jego plecy. Obrócił się w pył.

Odsunęła się o krok; ogarnęła ją fala mdłości. Sztylet upadł na chodnik.

– Co ty tu robisz, Marielle?

Obróciła się i ujrzała Zackriela, idącego w jej stronę.

– Czy Buniel tu jest? Może uleczyć tego człowieka?

– Wskazała ojca Shanny.

Zackriel spojrzał na Seana Whelana, a potem na minibitwę, którą toczyły Emma i Brynley, i pokręcił głową.

– Dziś nie będzie tu Uzdrowicieli. Tylko Wybawiciele.

Marielle z trudem przełknęła żółć, która podeszła jej do gardła.

– A co ze śmiertelnikami w magazynie?

– Wszyscy nie żyją. – Zackriel popatrzył na nią z

irytacją. – Naprawdę sądzisz, że to jest sposób na powrót do nieba?

Cofnęła się o krok i potknęła o upuszczony sztylet. Boże, co ona zrobiła?

– Zack... – Odwróciła się w jego stronę.

Ale już go nie było.

– Pomocy – wyrzucił Sean. Krew sączyła się z rany w jego brzuchu i z rozszarpanej szyi. Wyciągnął drżącą rękę.

– Przykro mi – szepnęła Marielle z oczami pełnymi łez. Nie mogła go nawet potrzymać za rękę, nie zabijając go.

Jego ręka opadła bezwładnie na twardej asfalt.

Ich strategia zadziałała, stwierdził Connor z satysfakcją, przebijając serce kolejnego Malkontenta. Zwolennicy Casimira padali jak muchy, kompletnie zaskoczeni. Corky Courrant i jej operator biegali z wrzaskiem dookoła, usiłując się chować za stertami drewna.

Connor spojrział na Romana, by się upewnić, czy były mnich nie potrzebuje pomocy. Ale Roman dobrze sobie radził. Jean-Luc Echarpe obstawiał jego tyły, tak jak to robił podczas wielkiej wampirycznej wojny.

Angus i Robby nacierali na krąg Malkontentów otaczających Casimira. Connor chciał do nich dołączyć, ale dwa razy musiał się zająć Malkontentami, którzy o mało nie zabili Seana Whelana. Ojciec Shanny walczył jak szaleniec, ryzykując w tak głupi sposób, że Connor

zastanawiał się, czy stary nie przyleciał tu popełnić samobójstwa.

Wiedział, że jest już po bitwie, kiedy zmiennokształtni wpadli do magazynu i większość żyjących jeszcze żółtodziobów popędziła z wrzaskiem do drzwi, szukając drogi ucieczki. Ci biedni głupcy sądzili, że zyskują nieśmiertelność, zostając sługami Casimira. Z pewnością byli w szoku, kiedy śmierć zajrzała im w oczy już następnej nocy.

Malkontentów szybko ubywało, więc Sean Whelan miał łatwiejsze zadanie. Walczył z nowym wampirem żałośnie nieporadnie posługującym się mieczem. Connor odwrócił się, by pomóc Angusowi i Robby'emu, którzy usiłowali pokonać paru najbardziej doświadczonych szermierzy Casimira.

Robby przebił się przez krąg i dosięgnął mieczem Casimira. Skaleczył mu bark.

Casimir teleportował się i krzyknął na nich ze stosu drewna:

– Mam dość krycia się przed wami! Jesteście jak stado szczurów, wiecznie kręcicie się dookoła i nie pozwalacie mi wypełnić mojego przeznaczenia! Chcę to skończyć, raz na zawsze. Jutro po zachodzie. Na Górze Rushmore.

Zniknął, a jego podwładni – ci którzy umieli się teleportować – zniknęli razem z nim. Zostało tylko paru nowicjuszy szukających drogi ucieczki.

Connor spojrział tam, gdzie ostatnio widział Seana

Whelana, ale nie było go. Ten głupiec widocznie wyszedł na dwór, by walczyć z żółtodziobami.

– Ostateczna bitwa? – Robby spojrzał na swojego pradziadka. – Jutro wieczorem?

Angus westchnął.

– Prawdopodobnie to pułapka.

Connor musiał się z nim zgodzić, ale ponieważ bitwa przeniosła się na ulicę, natychmiast pomyślał o Marielle. Wypadł na dwór, tnąc Malkontentów, którzy włązili mu w drogę.

Dotarł na ulicę i dostrzegł Marielle klęczącą przy jakimś ciele. Była cała i zdrowa!

– Marielle!

Kiedy uniosła głowę, zobaczył łzy na jej twarzy.

Podbiegł do niej.

– Marielle, wszystko dobrze?

Pokręciła głową.

– Modliłam się, ale żaden Uzdrowiciel nie przyleci.

Connor zatrzymał się jak wryty na widok Seana Whelana wykrwawiającego się na ulicy.

– O nie.

– Nawet Bunny się nie zjawi – płakała Marielle. – Odwrócili się ode mnie.

Connor obejrzał się na magazyn i zobaczył w wejściu swoich towarzyszy.

– Roman! Angus! Tutaj!

Grupka wampirów przybiegła do nich.

Connor ukląkł przy Marielle.

– Jego serce ledwie bije.  
– Niech to szlag. – Roman z pobladłą twarzą oglądał rany Whelana. – Shanna tego nie przeżyje.  
Angus odwrócił się do Robby’ego.  
– Ściągnij ją tutaj.  
Robby skinął głową i zniknął.  
– Cholera – mruknął Phineas. – Wiedziałem, że to szaleństwo, żeby on się tutaj pchał. – Spojrzał na Romana. – Zabierz go do Romatechu. Podaj mu krew.  
Roman pokręcił głową.  
– Umrze, zanim przygotujemy transfuzję. A ta rana brzucha... To nie jest coś, co się da załatać.  
Connor wstał.  
– Zagoiłaby się, gdyby był wampirem.  
Roman znieruchomiał.  
– Sugerujesz...  
– Tak – odparł Connor. – Ale jeśli mamy to zrobić, to lepiej się pospieszmy.  
Robby zjawił się z Shanną.  
Krzyknęła i padła na kolana przy ojcu.  
– Tato! – Dotknęła jego twarzy. – Boże, nie! Tato, proszę cię, nie umieraj w taki sposób. – Zwróciła na Romana oczy mokre od łez. – Nie możesz czegoś zrobić?  
Roman lekko pokręcił głową.  
– Zostało mu ledwie parę minut.  
Łzy płynęły po twarzy Shanny, kiedy patrzyła na wampiry.  
– Myślałam, że będziecie go chronić! Jak mogliście



do tego dopuścić?

Connor przestąpił z nogi na nogę. Do licha. Ocalił Whelanowi życie dwa razy dzisiejszej nocy. Myślał, że facet jest bezpieczny, skoro zostało tylko paru żółtodziobów.

– Tak mi przykro – szepnęła Marielle. Podniosła sztylet leżący obok. – Zabiłam tym wampira, który go zaatakował. Ale spóźniłam się.

Connorowi zapało dech w piersi. Marielle zabiła, żeby chronić Whelana? Nic dziwnego, że była taka blada i zdruzgotana.

– Może przetrwać, jeśli go przemienimy – zasugerował Angus.

Shanna się zachłysnęła.

– Stary – mruknął Phineas. – On nienawidzi wampirów.

– Może zobaczy nas w innym świetle, kiedy będzie jednym z nas – stwierdził Connor.

– To jest świetny argument – zgodził się Angus. – Nie będziemy musieli się więcej martwić, że obróci się przeciwko nam.

– Chyba że tak się wścieknie, kiedy obudzi się jako nieumarły, że od razu nas pozabija – burknął Phineas.

– Niewiarygodne, że o tym dyskutujecie jak o jakiejś decyzji biznesowej! – krzyknęła Shanna. – Że rozważacie za i przeciw, kiedy on umiera! To mój ojciec!

– Więc jak sądzisz? – spytał Robby. – Czy twój ojciec chciałby być jednym z nas, czy wolałby umrzeć?

Shanna zamrugęła.

– Ja... – Spojrzała na ojca, potem znów na wampiry.

– Tak. Tak, zróbcie to.

Wampiry spojrzały po sobie.

– Na co czekacie? – zapytała Shanna. – On umiera!

Zróbcie to!

Connor popatrzył na Angusa.

– Ty to zrób. To był twój pomysł.

– Nie, ty to pierwszy zasugerowałeś. Ty to zrób.

Connor spojrzał w dół, na Whelana. Wzdrygnął się na samą myśl, że miałby zatopić zęby w tym draniu.

– Ja go nie tknę. – Trącił Phineasa. – Ty to zrób.

– Ja nawet nie wiem jak! – Phineas dziabnął palcem Robby’ego. – Ty to zrób.

– Dlaczego ja? – Robby zwrócił się do Angusa. – Ty jesteś ekspertem. Ty to zrób.

Angus się skrzywił.

– Nie zrobię tego. Nienawidzę skurczybyka.

– Przestańcie! – wrzasnęła Shanna. – Wy... nieważne! Sama to zrobię.

– Shanna, ty nie wiesz jak – zaproponował Roman. – Niech to szlag. Zdaje się, że ja muszę to zrobić.

– Zdaje się?! – krzyknęła Shanna. – To twój teść. Pozwolisz mu tak po prostu umrzeć?

– Za każdym razem, kiedy mnie widzi, grozi, że mnie zabije. – Roman ukląkł u drugiego boku Seana. Pochylił się nad nim i się wzdrygnął.

– Co się stało? – spytała Shanna.

– Mam problem z wysunięciem kłów – mruknął.

Shanna dotknęła jego włosów.

– Zrób to dla mnie.

Roman wciąż się wahał.

– Próbuję.

– On cię nienawidzi – przypomniała miękko Shanna.

– Powiedział mi, że ma ochotę wpakować ci w serce rozżarzony pogrzebacz i zatańczyć na twoich popiołach.

– Co za drań! – Kły Romana wyskoczyły z dziąseł. Zatopił je w szyi Seana.

Marielle drgnęła. Wampiry kiwały głowami z aprobatą, ale ona odwróciła oczy.

Connor pomógł jej wstać.

– Nie musisz na to patrzeć. Zabiorę cię stąd.

– Wyjdzie z tego? – spytała.

– Nie będziemy mieć pewności aż do jutrzejszego wieczoru. – Poprowadził ją ulicą. – Wyglądasz jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Zabiorę cię z powrotem do domku. Weźmiesz prysznic, zjesz coś.

– Nie mogę jeść.

– To chociaż odpoczniesz. – Dotknął jej policzka. – Świetnie się spisałaś, skarbie.

Pokręciła głową.

– Obawiam się, że wszystko zepsułam. Teraz Archaniołowie już nigdy nie przyjmą mnie w niebie. Zabiłam żywą istotę.

– Nie, zabiłaś wampira, bezbożnego potwora, który i tak był już na wpół martwy i zaatakował śmiertelnika.

Twój odważny czyn być może uratował ojca Shanny.

– Wiem, że on był wampirem, ale miał ludzką duszę, Connorze, tak jak ty. A ja go zabiłam! Już nigdy nie wpuszczą mnie do nieba.

– Oczywiście że wpuszczą! No więc, zabiłaś jednego wstrętnego, morderczego Malkontenta. To nie to, co wyrznąć tuzin ludzi w przypiływie wściekłości!

Zachłysnęła się, zdumiona.

Connor się skrzywił. Do licha. Powiedział za dużo.

– Chodź. Wracajmy do domku. – Wziął ją w ramiona, żeby móc się z nią teleportować.

– Czekał. – Zmrużyła oczy. – Czy to masz na sumieniu, Connorze? To jest ten sekret, który ukrywasz?

## Rozdział 22

Do licha. Teraz ona już nigdy mu nie odpuści. Jak na słodkiego aniołka potrafiła być bardzo uparta. Connor zignorował jej pytanie i teleportował się z nią do domku.

– No, zmykaj. – Natychmiast zagonił ją w stronę sypialni. – Poczujesz się lepiej, jak weźmiesz prysznic.

– Ale ja...

– Szybciotko! Ja też potrzebuję się wykąpać. Jestem cały we krwi, flakach i popiele z martwych wampirów. – Kiedy się skrzywiła, szybko mówił dalej: – Nie nadaję się do towarzystwa. No leć! – Wepchnął ją do sypialni i zamknął drzwi.

Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał szum wody w łazience. Jak długo mógł ciągnąć taką farsę?

Podgrzał sobie butelkę i popijając krew ze szklanki, rozbroił się. Bitwa poszła dobrze. O ile się zorientował, wybili połowę małej armii Casimira. I – nie licząc Seana Whelana – nie odnieśli poważnych ran.

Cholerna szkoda, że nie zdołali uratować śmiertelników.

– Spoczywajcie w pokoju – mruknął i wypił za nich toast.

Przeszedł do kuchni i postawił pustą szklankę w zlewie obok butelki. W spizarni znalazł puszkę zupy, więc teraz podgrzał ją w garnku na kuchence. Postawił na blacie pustką miskę, wyjął łyżkę, i wreszcie usłyszał, że woda przestała płynąć.

Skoczył do garderoby, wyszukał sobie czystą koszulkę i flanelowe spodnie i zajrzał do sypialni. Pusta.

Zapukał w drzwi łazienki.

– Skończyłaś?

Wyjrzała zza drzwi, owinięta ręcznikiem.

– Moja kolej. – Pchnął drzwi i wszedł do środka. –

Masz czyste ubranie?

– Tak. – Wskazała sypialnię.

– W porządku. – Delikatnie wypchnął ją za drzwi. –

Na kuchence masz zupę.

– Umiesz gotować?

– Umiem otworzyć puszkę. Pa. – Zamknął drzwi.

– Ale Connorze...

Puścił wodę z prysznicą, żeby zagłuszyć jej głos. Rozebrał się i wszedł do kabiny. Jak długo mógł tu siedzieć? Trzy godziny? Prychnął.

On i jego niewyparzona gęba.

Zamknął oczy i długą chwilę stał pod gorącym strumieniem. Po prostu będzie musiał być stanowczy.

– Nie będę się spowiadał – szepnął.

Obrazy tamtej nocy przemknęły mu przez głowę, ale odepchnął je od siebie. Po co to wspominać? Zmarnował ze sto lat egzystencji, snując się bez celu i katując się żalem i wstydem. W końcu spróbował zacząć od nowa. Kupił małą posiadłość w szkockich górach, daleko od śmiertelników, którzy postrzegaliby go jako ohydneho potwora. Co wieczór teleportował się do miasta – Inverness czy Aberdeen – żeby wykraść parę szklanek

krwi. A potem wracał do domu i wędrował po okolicy. Smutek i samotność powoli doprowadzały go do rozpacz.

Odszukał Romana, który przemienił go ponad sto lat wcześniej. W ten sposób poznał Angusa, a potem Jeana-Luca w Paryżu. Ich walka z Casimirem stała się jego walką. Wyglądało na to, że jego egzystencja wreszcie ma godny cel.

Ale nigdy nie zdołał uciec przed tym, co zrobił.

Z westchnieniem sięgnął po mydło. Biedna Marielle. Miała wyrzuty sumienia, bo zabiła jednego głupiego Malkontenta; on już wieki temu stracił rachubę, ilu ich posłał na tamten świat. I nigdy nie miał z ich powodu wyrzutów sumienia. Wystarczyło pomyśleć, z ilu śmiertelników wyssali krew przez lata. A poza tym, kiedy zabijał Malkontentów, oni przeważnie robili, co w ich mocy, żeby zabić jego, więc właściwie była to samoobrona.

Splukał mydło. Jakże łatwo przeszedł do porządku dziennego nad tymi zabójstwami. Więc dlaczego tak go prześladowała ta jedna noc z 1543 roku? Bo to było złe. Wiedziałeś, że robisz źle, a i tak to zrobiłeś, pomyślał.

Wytarł się i założył na siebie czystą koszulkę i spodnie. Potem zaciągnął kosz z praniem do kuchni.

Marielle właśnie wstawiała pustą miskę do zlewu. Długie, wilgotne włosy miała rozpuszczone. Ubrana była w kraciatą, flanelową piżamę.

– Smakowała ci zupa? – Wrzucił kuchenne ścierki

do kosza z brudami.

– Tak, dziękuję. Możemy teraz porozmawiać?

– Musimy zrobić pranie. – Przeciągnął kosz do pomieszczenia gospodarczego i zaczął wrzucać ścierki i ubrania do pralki. Poczłł ściskanie w piersi na widok jej rzeczy przemieszanych z jego koszulkami i skarpetami.

Weszła za nim do pralni.

Nalał do pralki trochę płynu.

– Dziewczyny pokazały ci, jak to się robi?

– Nie.

Prychnął pogardliwie. Miały czas opowiedzieć jej o robieniu lodu i pomalować mu paznokcie na różowo.

– Przekręcasz tę gałkę, a potem... – Znieruchomiał, kiedy pochyliła się do przodu, by popatrzeć, i oparła dłoń o pralkę.

Nic się nie stało.

– A potem? – Spojrzała na niego pytająco.

Jej dotyk nie uruchamiał już urządzeń?

– Potem wciskasz ten guzik. – Włączył pralkę. Co sprawiło, że jej dotyk przestał być magiczny? Czy demon miał rację, mówiąc, że im dłużej pozostawała na ziemi, tym bardziej stawała się ludzka?

Do licha. A co będzie, jeśli skończy jej się czas, zanim on zdąży ją wyekspediować do nieba? Jakaś jego część nie chciała jej puszczać, ale większa, ta przyzwoitsza, była przerażona, że mógłby ją zawieść. Zawiódł już wszystkich, którzy liczyli na niego w przeszłości.



– Teraz możemy już porozmawiać? – spytała.

– Nie, musimy... załadować zmywarkę. – Przeszedł bosy do kuchni i bez pośpiechu splukał wszystkie naczynia ze zlewu, nim włożył je do zmywarki. Nawet wyszorował garnek, w którym podgrzewał zupę.

Kiedy zamknął zmywarkę, Marielle czekała na niego z mopem w dłoni. Wręczyła mu go.

– Chcesz teraz umyć podłogi? I pozamiatać werandę? I zdaje się, że przydałoby się wypolerować rogi łosia.

– Drwisz sobie ze mnie? Oparła mopa o kuchenne szafki.

– Chcę porozmawiać. Na pewno wiesz o czym.

– A ty na pewno wiesz, że nie chcę o tym rozmawiać. Przekrzywiła głowę na bok i przyglądała mu się przez chwilę.

– Dobra. – Odwróciła się i poszła do sypialni. Connor odetchnął z ulgą. Czy naprawdę wykręcił się tak łatwo?

Niecałą minutę później Marielle wyszła z sypialni z kocem w ręce. Na piżamę założyła kurtkę, a na stopy puchate kapcie.

Nie, wcale się nie wykręcił. Założył ręce na piersi.

– Wybierasz się dokądś?

– Chciałabym wrócić na łąkę, na której wczoraj się kochaliśmy. Możesz nas tam teleportować, tak?

– Ch... chyba bym mógł.

– Świetnie. Bo wisisz mi loda.

– Co?

Posłała mu niecierpliwe spojrzenie.

– Powiedziałeś, że mnie nie posmakowałeś i nie doprowadziłeś do orgazmu ustami. Zakładam, że propozycja jest aktualna?

Poczuł, że twardnieje.

– Ale... – Przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach. Spryciara bardzo szybko uczyła się, jak być człowiekiem.

– Więc to jest twoja strategia? Tak chcesz mnie zmusić do mówienia? Nie piszę się na to, jeśli o to ci chodzi.

Wzruszyła ramionami.

– Trudno. Więc loda też pewnie nie chcesz.

Minęło parę sekund.

– Pójdę po buty.

Po minucie wylądowali na zielonej łące pośród lesistych gór.

Marielle rozłożyła koc na ziemi, zrzuciła kapcie i wyciągnęła się wygodnie, wpatrzona w gwiazdy.

– Czy ty masz pojęcie, jaka jesteś piękna? – spytał miękko.

Podparła się na łokciach.

– Nie położysz się?

Connor westchnął i kopnął ziemię.

– Nie jestem ciebie wart. Przecież wiesz. Już się domyśliłaś, jak straszne rzeczy mam na sumieniu.

– Ja też mam. Uzdrowiłam dziecko, które wyrosło na seryjnego mordercę. A dzisiaj w nocy odebrałam komuś życie.

– By ratować inne. A tamto dziecko uzdrowiłaś ze współczucia. Twoje serce zawsze było czyste. A moje... – Odwrócił się.

– Wstydzisz się? Dlatego nie chcesz o tym mówić?  
Prychnął.

– Wstyd i wyrzuty sumienia ciążą mi na duszy, ale nie przeszkadzają mi przeżywać życia. Nie przeszkodziły mi zakochać się w tobie.

– Więc dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?  
Z trudem przełknął ślinę.

– Bo... się boję.

– Że zostaniesz ukarany? Że pójdziesz do piekła?

– Nie. – Spojrzał na nią. – Boję się, że stracę twoją miłość. Twój szacunek. Zniosę wszystko, tylko nie to.

Milczała przez chwilę.

– Zdaje się, że mnie obraziłeś.

– Jak?

– Widocznie uważasz, że moja miłość do ciebie jest bardzo mizerna. Płytką i... niegodną zaufania.

Zesztywniał.

– Nie powiedziałem czegoś takiego.

– Więc mnie przetestuj. Daj mi szansę się sprawdzić.

– A sobie szansę na utratę ciebie?

– Nie stracisz mnie. – Poklepała koc obok siebie. – Zaufaj mi. Proszę.

Usiadł obok niej z ciężkim sercem. Tak długo chował ten ból w sobie, że nie bardzo umiał go z siebie wyrzucić.

– Jeśli mnie znienawidzisz, nie będę miał ci tego za złe.

Pogłaskała go po plecach.

– Już dość długo sam siebie nienawidziłeś. Ja nie przyłożę do tego ręki.

Podciągnął nogi i założył ręce za kolana. Czy będzie mogła go jeszcze kochać? Z rozpaczą zdał sobie sprawę, że osiągnął punkt, kiedy musiał to wiedzieć. Musiał położyć kres temu bólowi. I musiał zyskać pewność co do jej miłości.

Wziął głęboki wdech.

– Miałem trzydzieści lat i byłem dumny, bo miałem własną ziemię i śliczną młodą żonę. Ale ziemia leżała przy granicy i pewien angielski lord twierdził, że należy do niego. Więc w 1542 roku poszedłem się bić pod Solway Moss.

– To wtedy Roman znalazł cię umierającego?

– Tak. Kiedy mnie przemienił, obaj z Angusem ostrzegali mnie, żebym nie wracał do domu. Mówili, że moja żona nie będzie umiała mnie zaakceptować. Coś takiego spotkało Angusa. Ale ja nie posłuchałem. Wróciłem do domu, a moja żona... przywitała mnie z radością.

– To dobrze. – Marielle pogłaskała go po plecach. – Cieszę się.

Westchnął.

– W tamtej chwili uważałem się za najszcześniejszego człowieka na świecie. Byłem

przerazającym, krwiożerczym potworem, a ona mimo to mnie chciała. Teraz się zastanawiam, czy miała jakikolwiek wybór. Kiedy zostałem przemieniony, była w szóstym miesiącu ciąży. Jej rodzice nie żyli. Nie miała dokąd pójść.

– Jestem pewna, że cię kochała – szepnęła Marielle.

– Byłoby dla niej lepiej, gdyby mnie odrzuciła. Nowina rozeszła się po wsi i ludzie zaczęli się bać o życie swoje i swoich dzieci. Pracowałem na polach w nocy, ale oni przychodzili i rzucali we mnie kamieniami, i krzyczeli, żebym sobie poszedł. Musiałem szukać sobie kryjówek do spania, żeby nie próbowali mnie zabić podczas śmiertelnego snu.

– Tak mi przykro.

Wzruszył ramionami.

– Piłem krew inwentarza i ciężko pracowałem na farmie. Myślałem, że kiedy urodzi się dziecko i wieśniacy przekonają się, że nikomu nie chcę zrobić krzywdy, dadzą nam spokój. Moja żona urodziła nocą, więc mogłem być przy niej i pomóc.

Objął swoje kolana.

– Nigdy nie zapomnę, jaką czułem radość, kiedy trzymałem w ramionach naszą małą córeczkę. Myślałem, że serce mi pęknie. Padłem spać, przekonany, że nikt nie może być szczęśliwszy ode mnie.

Wstał gwałtownie i oddalił się kilka kroków od koca.

– Co się stało? – spytała Marielle.

– Obudziłem się następnego wieczoru i pobiegłem

do domu, by sprawdzić, jak się mają Fionulla i moja córka. – Zamknął na moment oczy, pod powiekami przemknęło wspomnienie. – Chłopi ze wsi zabili je obie.

Marielle zachłysnęła się z przerażenia i wstała.

– Jak mogli? Dlaczego to zrobili?

– Wymyślili, że mieszkam tam tylko dla żony i dziecka. Więc zabili je, żeby się mnie pozbyć.

– Connorze, tak mi przykro. – Dotknęła jego ramienia.

Zachnął się.

– Myślisz, że to koniec tej historii? Że opłakałem żonę i córkę, a potem spokojnie odszedłem?

Marielle szeroko otworzyła oczy.

– O, płakałem, jeszcze jak. Krzyczałem i wyłem. Rozniosłem dom na drzazgi. Wpadłem w furję, jakiej nie potrafisz sobie wyobrazić. Lodowatą furję, która zabarwiła świat na niebiesko i zmroziła mi krew w żyłach. Wziąłem claymora, poszedłem do wsi i wyrznąłem wszystkich mężczyzn.

Marielle zbladła.

– Wiedziałem, że czynię źle, ale nie obchodziło mnie to. I tak to zrobiłem.

– Byłeś zrozpaczony – szepnęła.

– To nie jest usprawiedliwienie! – Zagryzł zęby. – Zabiłem ich wszystkich i sprawiło mi to ogromną satysfakcję.

– Nie... nie mówisz poważnie.

– Owszem, mówię! Były tam kobiety i dzieci

wrzeszczące z przerażenia, błagające mnie, żebym przestał, ale ja nie ustawałem, dopóki wszyscy mężczyźni we wsi nie byli martwi.

Łzy załśniły w oczach Marielle.

– Straszliwie cierpiałeś.

– Miłość potrafi robić straszliwe rzeczy. – Potarł czoło. – Moja żona umarła, bo mnie kochała. A ja wziąłem jej miłość i miłość niewinnego, malutkiego dziecka i zamieniłem je w ohydny szal zemsty. Skazałem swoją duszę na potępienie.

Po policzku Marielle spłynęła łza.

– Tak strasznie ci współczuję z powodu tego bólu, który musiałeś znieść...

– A co z bólem, który znosiły moja żona i córka? Co z wdowami i sierotami, które zostawiłem po sobie? Po kilku nocach dotarły do mnie wszystkie skutki mojej zbrodni. Kobiety i dzieci powoli umierały z głodu. Przeze mnie. Więc co noc chodziłem na polowanie i przynosiłem im jelenia albo garść królików. A one krzyczały z przerażenia, ilekroć się zbliżałem. W końcu wszystkie odeszły. Uciekły przed koszmarem, który im zgotowałem. – Westchnął. – Wieś przestała istnieć. Teraz nie ma tam nic, tylko puste pola. I grób, w którym złożyłem żonę i córeczkę.

– Tak strasznie wam współczuję – szepnęła. – Wszystkim.

Connor odchylił głowę do tyłu i spojrzał w gwiazdy. Jego serce stało się lżejsze, kiedy wyznał tajemnicę

swojej zbrodni, ale teraz miała się zacząć kara. Lada moment Marielle nazwie go okrutnym, podłym potworem.

Milczała.

Spojrzał na nią i zobaczył, że ma zamknięte oczy. Łzy błyszczały na jej policzkach, usta poruszały się bezgłośnie, jakby w modlitwie.

Wziął głęboki oddech i przygotował się na odrzucenie. Od zawsze wiedział, że nie jest jej godzien. Ale to nie przeszkadzało mu jej kochać. I wiedział, że nie przeszkodzi mu dotrzymać przyrzeczenia.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego ze smutkiem.

Serce mu się ścisnęło. Po raz pierwszy zobaczył w tych oczach jej wiek. Milenia bólu, radości i mądrości.

– Chcę, żeby to było jasne – oznajmiła cicho. – Nie życzę sobie więcej słyszeć, że twoja dusza jest skazana na potępienie. Uważasz się za Boga, skoro dokonujesz takiego osądu?

Zamrugął.

– Ale ja jestem potępiony. Nawet demon oświadczył, że ma mnie na liście.

– Demon każdemu powie, że ma go na liście. Ale on też nie jest Bogiem. Ta decyzja nie należy do niego.

Connor z trudem przełknął ślinę.

– Nie jesteś... przerażona tym, co zrobiłem?

– Jestem nieustannie przerażona tym, co robią ludzie. I nieustannie zdumiona. – Westchnęła. – Po co mam ci mówić, jak wielki był twój grzech, skoro sam to wiesz?



Ogromnie żałujesz tego, co zrobiłeś. Powinieneś poprosić Ojca Niebieskiego o wybaczenie. A potem zacząć życie na nowo.

– Nie zasługuję na nie.

Uśmiechnęła się.

– Może tobie się tak wydaje, ale On i tak cię kocha. I ja cię kocham, Connorze Buchanan. Zawsze będę cię kochać.

Serce zająknęło mu się w piersi.

– Ty... chyba nie mówisz poważnie.

Skrzywiła usta.

– Oj, masz rację. Zmieniłam zdanie. Teraz cię nienawidzę.

– Co?

Pacnęła go w ramię.

– Kiedy mówię, że cię kocham, powinieneś to przyjąć. Jeśli tego nie robisz, zarzucasz mi kłamstwo.

– Nie, nigdy bym... – Łzy zapiekły go w oczach. – Ciągle mnie kochasz?

Posłała mu niecierpliwe spojrzenie.

– Tylko człowiek o dobrym, szlachetnym sercu karałby sam siebie przez stulecia. Twoja żona i córka na pewno się nie cieszą, widząc, że pławisz się we własnym nieszczęściu.

– Wcale się nie pławię – burknął. – Dzisiaj wieczorem walczyłem w bitwie.

– Tak długo pielęgnowałeś w sobie tę czarną dziurę rozpaczy, że masz problem z przyjęciem miłości, kiedy

sama wpada ci w ręce. Pora przestać cierpieć. Masz tu kobietę, która cię kocha. – Marielle założyła ręce na piersi i fuknęła. – A ja zaczynam mieć już dość czekania na mojego loda.

Roześmiał się.

Posłała mu słoneczny uśmiech.

– No, od razu lepiej. Masz przed sobą wieki życia, Connorze Buchanan. Powinny być pełne miłości i śmiechu.

Wziął ją w ramiona i wtulił twarz w jej włosy, zraszając je łzami.

– Jesteś dla mnie światłem w ciemności. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię kocham.

– Staniesz się ze mną jednością? – szepnęła.

Odchylił się do tyłu.

– Ale my... nie możemy...

– Chcę tego. – Pogłaskała go po policzku, ocierając z niego łzy. – Jeśli uda mi się wrócić do nieba, to chcę mieć świadomość, że dałam ci wszystko, co mogłam dać.

– Ale jeśli to... zbruka twoją...

Dotknęła jego ust.

– Zrozumiałam, że zjednoczenie się z tobą nie może zbrukać naszej miłości. To jej celebracja.

Serce wezbrało mu w piersi; uścisnął jej dłoń.

– Podoba mi się twój sposób myślenia.

Uśmiechnęła się.

– Tak też sądziłam.

Marielle drgnęła, kiedy poczuła jego język na swoich

kobiecych częściach. Wielkie nieba! Kurczowo ścisnęła koc w palcach.

Connor był niesamowity ze swoją szybkością i zapalem. Błyskawicznymi ruchami rozebrał ją i siebie w kilka sekund.

A potem rzucił ją na koc i wywołał tornado odczuć, całując ją po całym ciele. Sutki miała czerwone i stwardniałe od ssania. Serce łomotało jej od zwariowanych rzeczy, które robił palcami. Wciąż jeszcze oszołomiona po orgazmie patrzyła, jak pocałunkami wytycza sobie drogę w górę po jej gołych nogach aż do ud.

I nagle... jego język. Wielkie nieba, co on wyczyniał z językiem. Sapała. Jęczała. Krzyczała o litość, a on nie przestawał, windował ją coraz wyżej i wyżej. Szybowała pod niebo, latała bez skrzydeł. Krzyknęła, ale zamiast spaść na ziemię, trafiła w jego ramiona.

– Och, Connorze. – Z trudem chwytiała powietrze. Serce tłukło jej się w piersi, ciałem wstrząsały dreszcze.

Pochylił się nad nią z uśmiechem.

– Dziś nie mówisz w obcych językach?

Odpowiedziała uśmiechem.

– *Magnifique.*

– Opleć mnie nogami.

– Hm? – Zrobiła, o co ją prosił, i drgnęła, kiedy poczuła, że na nią napiera. I dwoje stanęło się jednością, pomyślała. – Nie chcesz swojego loda?

– Chcę być w tobie. Teraz.

– Ach.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Zmieniłaś zdanie?

– Nie. – Pisnęła cicho, kiedy napał mocniej.  
Ścisnęła jego barki.

– Zadaję ci ból?

Pokręciła głową.

– Nie. Po prostu jest mi dziwnie. Jako anioł nigdy nie zwracałam uwagi na te sprawy. To wydawało mi się takie... nieważne. Ale teraz... widzę, że to wielka sprawa.

– Owszem. Niemąla.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich tyle miłości, tyle czułości.

– Kocham cię.

– Też cię kocham. – Oparł czoło o jej czoło.

I wszedł w nią. Krzyknęła cicho; i on jęknął, aż ich oddechy się zmieszały.

– Jesteś we mnie – szepnęła i uściskała go mocno rękami i nogami. Nawet jej wnętrze zacisnęło się mocno wokół niego.

Jęknął znów.

Ta odrobina bólu, którą poczuła, szybko zniknęła. Drobny dyskomfort, uczucie nadmiernego rozciągnięcia, przeminęło bez śladu. Uśmiechnęła się. I dwoje stało się jednością.

Poklepała go po plecach.

– Już mi z tobą wygodnie. Dziękuję.

– Wygodnie? – Oparł się na łokciach i popatrzył na

nią, marszcząc brwi. – Nie jesteś podniecona?

– Podniecona?

– Tak. Ja jestem tak podniecony, że zaraz eksploduję.

– Ach. Oczywiście. – To w taki sposób mężczyzna wlewał nasienie w kobietę. – Możesz skończyć, kiedy zechcesz. U mnie wszystko okej.

– Okej?

Uśmiechnęła się.

– Tak.

Zaklął pod nosem.

Nie wiedziała, co jest nie tak. Przecież stali się jednością. Jak mogła nie wiedzieć, co on myśli, skoro byli jednym ciałem?

– Chcesz się poczuć okej? – Wysunął się odrobinę i znów zanurzył.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To było okej? – Zaczął wykonywać koliste ruchy.

– Och! – Ścisnęła jego barki.

Wysunął się powoli i wbił z powrotem.

Pisnęła.

Złapał miarowy rytm.

– Już jest okej?

– Tak! – Wielkie nieba, znów jej to robił, znów kazał jej latać, ale teraz było jeszcze lepiej. On szybował razem z nią.

Wbijał się w nią raz po raz, a kiedy doszła z krzykiem, on też krzyknął i pozwolił sobie na spełnienie.

Jego orgazm, który poczuła w sobie, sprawił, że jej trwał bez końca.

Connor padł koło niej, dysząc ciężko.

Uśmiechnęła się i spojrzała na gwiazdy nad głową. Zrobiła to. Zjednoczyła się z Connorem. Teraz już na wieki będzie wiedziała, że są jednym ciałem.

Jej uśmiech zniknął. Jeśli Ojciec mógł wybaczyć Connorowi, to mógł wybaczyć i jej, i powiedzieć Archaniołom, żeby zabrali ją z powrotem do nieba.

Ale jak mogła teraz zostawić Connora?

## Rozdział 23

Kiedy Marielle usnęła w jego ramionach, Connor nie widział powodu, żeby ją ruszać. Zawinął na nią koc i pozwolił jej spać na swojej piersi, a sam patrzył w gwiazdy.

To był cud, że wciąż go kochała, i bardzo pragnął zatrzymać ją dla siebie na zawsze. Jednak jej najgorętszym pragnieniem było wrócić do nieba, a on przysiągł jej w tym pomóc. Nie zamierzał złamać przyrzeczenia, ale prześladowała go myśl, że kończy mu się czas. Jeśli Marielle stanie się zbyt ludzka, to czy Archaniołowie przyjmą ją z powrotem?

Po kilku godzinach się obudziła. Zebrali swoje rzeczy i Connor teleportował ich z powrotem do domku myśliwskiego.

Na komórce miał trzy nieodebrane połączenia i gniewnego SMS-a od Angusa. *Gdzie jesteś, do diabła?*

Podgrzał sobie butelkę krwi i zadzwonił.

– Do cholery, gdzie ty się podziewałeś? – spytał ze złością Angus. – Przegapiłeś naradę strategiczną w sprawie jutrzejszej bitwy.

– Musiałem strzec Marielle.

– Mogłeś zabrać ją tu z sobą. I powinieneś odbierać telefon, do licha. Martwiliśmy się, że coś się wam stało.

– Jak tam ojciec Shanny? – zapytał Connor, próbując zmienić temat.

– Jest w wampirycznej śpiączce, ale wygląda na to,

że rany mu się goją. Dopiero jutro będziemy wiedzieli na pewno, czy przetrwał przemianę.

– Nikt inny nie ucierpiał w bitwie?

– Nie, raptem parę skaleczeń i zadrapań, które zgoją się podczas śmiertelnego snu – odparł Angus. – Ja podarłem sobie kilt, i wyobraź sobie, kiedy próbowałem zamówić nowy przez Internet, odpisali, że mogą mi go dostać dopiero za trzy miesiące.

– Trzy miesiące? – Connor nigdy nie słyszał, żeby to trwało tak długo.

– Tak, podobno nagle zrobiła się moda na kilty. Czterdzieści trzy zamówienia z jakiegoś miasteczka w stanie Nowy Jork.

Connor się uśmiechnął. Chłopak z lodziarni widocznie powiedział paru kolegom i wieść się rozeszła.

– Nieważne. Chcę, żebyście ty i Marielle zjawili się tu jutro po zachodzie słońca – polecił Angus. – Wszyscy zbierają się w Romatechu. Mamy trochę czasu na przygotowanie, zanim słońce zajdzie nad Górą Rushmore.

– Myślisz, że to pułapka? – spytał Connor.

– Tak. Więc zjawimy się na miejscu w dwóch grupach. Jeśli pierwsza wpadnie w pułapkę, druga powinna być w stanie naprawić sytuację.

– Brzmi sensownie. To do zobaczenia jutro. – Connor się rozłączył.

Usiadł na kanapie obok Marielle.

– Wiemy, gdzie jutro znajdziemy Casimira.



Mogłabyś zostać tutaj...

– Chcę być z tobą.

Zaczesał jej włosy na plecy.

– Nie chcę cię narażać.

– Muszę być przy klęsce Casimira i Malkontentów. –

Oparła głowę na jego ramieniu. – To chyba nie jest przypadek, że Casimir wezwał was wszystkich właśnie na Górę Rushmore. Tam straciłam skrzydła. I wierzę, że odzyskam je w tym samym miejscu.

Connor jęknął w duchu. Więc miała nadzieję opuścić go już jutrzejszej nocy. Miał wielką ochotę błagać ją, żeby z nim została. Ale jak mógł? Jak mógł oczekiwać, że ona zrezygnuje z wieczności w niebie dla krótkiego życia śmiertelniczki? Jeśli naprawdę ją kochał, musiał pozwolić jej odejść.

– No nie, znowu – burknęła Marielle, kiedy Connor wręczył jej sztylet.

– Owszem, nie lecisz bez broni. – Zapiął jej pas na biodrach.

Był to siódmy dzień pobytu Marielle na ziemi – dzień, który śmiertelnicy nazywają piątkiem. Tuż przed świtem dziewczyny jak zwykle podrzuciły Brynley, która w ciągu dnia pilnowała domku.

Chwilę po zachodzie słońca Connor wyłonił się z garderoby i wypił duszkiem butelkę krwi. Teraz zbroił siebie i Marielle przed teleportacją do Romatechu.

– Też chcę lecieć! – oznajmiła Brynley. – Wczoraj w nocy byłam świetna.

Connor spojrział na nią z niepokojem.

– Jesteś w stanie znów się dzisiaj przeobrazić?

– Tak! Podczas pełni przeobrażam się trzy noce z rzędu. Powiedz Phineasowi, żeby ruszył swój twardy tyłek i wpadł tu po mnie.

Connor uniósł brew.

– Przekażę mu. – Złapał Marielle. – No to jazda.

– Nie zapomnijcie o mnie! – krzyknęła Brynley. – Skopię Phineasowi tyłek, jeśli się tu nie...

Świat poczerniał i krzyki Brynley umilkły. Marielle zatoczyła się, kiedy zmaterializowali się na terenie Romatechu.

– Chodź. – Connor wprowadził ją przez boczne drzwi. Zjawiało się tyle wampirów, że biuro ochrony MacKay UOD. i korytarze były zapchane.

– Kiedy się już uzbroicie, przechodźcie do stołówki!  
– wołał Angus.

Marielle i Connor też poszli do stołówki. Po drodze Connor przedstawiał jej grupę wampirów: Jacka, Zoltana, Mikhaila, Kyo i jakiegoś Russela, którego nazwał nowym. Przybyli z Europy Wschodniej, Rosji i Japonii. Connor wyjaśnił jej, jak teleportowali się przez wiele godzin na zachód, podążając nocą, by znaleźć się w Romatechu o odpowiedniej porze.

Potem przedstawił jej Jeana-Luca, Dougala, J.L.-a Rafferty'ego i Colberta. Ci mieszkali w Teksasie, Kalifornii i Luizjanie, więc po prostu spędzili dzień w Romatechu.

Przedstawiał jej akurat dwóch zmiennokształtnych, Carlosa i Rajiva, kiedy zauważył Phineasa i kiwnął na niego.

– Jo, co tam? – Phineas przywitał się z nim żółwikiem. Marielle też uniosła pięść i Phineas, szczerząc się radośnie, lekko puknął ją kostkami palców.

– Nieźle wyglądasz, aniołku.

– Brynley znowu chce walczyć – stwierdził Connor.

– Masz czas, żeby ją tu teleportować?

Marielle postarała się dokładnie powtórzyć słowa Brynley.

– Powiedziała, że masz ruszyć swój twardy tyłek i wpaść po nią.

Phineas zrobił wielkie oczy.

– Naprawdę tak powiedziała?

Connor parsknął i posłał Marielle kpiące spojrzenie.

– Chciałam tylko być precyzyjna – odparła Marielle.

– O ile pamiętam, dokładnie tak to brzmiało.

– Twardy, hm? – Phineas uśmiechnął się drwiąco.

Kiedy zadzwoniła jego komórka, wyjął ją z kieszeni. –

To pewnie ona. – Przyłożył telefon do ucha i obniżył timbre głosu. – Witaj, mała. Doktor Kieł jest do twojej dyspozycji. – Nagle podskoczył. – A, cześć, Angus. Tak.

Tak jest. Już się tym zajmuję. – Rozłączył się. – Cholera!

– Co się stało? – spytał Connor.

– W biurze uruchomił się alarm Stana – burknął Phineas, czerwieniąc się odrobinę. – Muszę sprawdzić, co jest grane. – Zniknął.

– Kto to jest Stan? – spytała Marielle. Nie podobała jej się zatroskana mina Connora.

– Stanislav to nasza wtyczka w rosyjskim klanie na Brooklynie – wyjaśnił Connor. – Może coś wie o planach Casimira na dzisiejszy wieczór.

– Ciągłe uważacie, że to pułapka?

Connor wzruszył ramionami.

– Być może. Ale Casimir i tak jest w gorszej sytuacji. Wczoraj stracił ponad połowę swoich ludzi. A my mamy mnóstwo doskonałych wojowników, więc nie powinniśmy wypuścić tej szansy z rąk. Tego drania trzeba zabić raz na zawsze.

Marielle skinęła głową. Nie dało się zaprzeczyć, że świat będzie o wiele bezpieczniejszym miejscem, kiedy Casimir zniknie.

– O, jest Roman.

Kiedy Roman wszedł do stołówki, powitał go grad pytań o żonę i teścia.

Roman uniósł rękę, by uciszyć tłum.

– Właśnie zostawiłem Shannę przy ojcu. Whelan ma się tak dobrze, jak można się spodziewać. Rana brzucha całkowicie się zagoiła.

– A jego paskudna osobowość? – spytał Jean-Luc.

Roman parsknął.

– Obawiam się, że na to nie ma lekarstwa.

– Jest wściekły? – chciał wiedzieć Jack.

Roman się uśmiechnął.

– Przyzwyczajają się do tej myśli. Wypił tylko jedną

butelkę krwi, potem poprosił o blissky. Jest... wytrącony z równowagi, ale nie tylko dlatego, że jest teraz nieumarłym. Złości się, że nie weźmie udziału w dzisiejszej bitwie.

Roman przebił się przez tłum, witając się z wampirami i zmiennokształtnymi. Wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz, marszcząc brwi. W końcu podszedł do Marielle i Connora. Uśmiechnął się do niej, Connora przywitał skinieniem głowy.

Connor odpowiedział mu skinieniem.

Marielle westchnęła. Najwyraźniej stosunki między nimi wciąż były napięte.

– Shanna poprosiła, żebym ci podziękował za uratowanie jej ojca – oznajmił Roman.

– Cieszę się, że Sean się dobrze czuje – odrzekła.

– Wczoraj Shanna była za bardzo zdenerwowana, by zdawać sobie sprawę, co zrobiłaś. – Roman popatrzył na nią ze współczuciem. – Z pewnością nie przyszło ci to łatwo.

Marielle kiwnęła głową. Nie chciała się przyznawać do swoich obaw, że zabicie wampira zniweczyło jej szanse na powrót do nieba.

– Kiedy wróciliśmy tu wczoraj w nocy, ojciec Andrew przyjechał, by pocieszyć Shannę i pomodlić się z nią – ciągnął Roman. – On ma niezwykły pogląd na tę sytuację. Uważa, że było ci pisane uratować Seana, tak jak ocaliłaś mnie, i że twój los w dalszym ciągu będzie związany z naszym.

Marielle spojrzała na Connora.

– Być może. – Wciąż nie była pewna, czy zdoła go zostawić.

Connor uniósł pytająco brwi.

Roman znów spojrzał na komórkę i westchnął.

– Nie wiem, dlaczego on nie odbiera. Widocznie wypadło mu coś pilnego w kościele.

– Próbujesz się dodzwonić do ojca Andrew? – spytał Connor.

– Tak – odparł Roman z chmurną miną. – Powinien tu już być. Chciał nas pobłogosławić, zanim wyruszymy.

– Czy wszyscy są gotowi?! – zawołał Angus, który wszedł właśnie do stołówki.

Obecni wydali radosny okrzyk.

– Usiądźcie – polecił Angus. Kiedy wszyscy już siedzieli, mówił dalej. – Zostaliście przydzieleni albo do mojej drużyny, albo drugiej, o wiele liczniejszej, prowadzonej przez Robby'ego. Druga drużyna, składająca się z wampirów i zmiennokształtnych, zjawi się na miejscu dziesięć minut po przybyciu pierwszej. Więc, pierwsza drużyno, jeśli wpadniemy w kłopoty, pamiętajcie, że musimy wytrzymać dziesięć minut.

Connor wziął Marielle za rękę i uściskał ją.

– Phil skontaktował się z zaprzyjaźnionymi wilkołakami z okolicy. Ustawili nam nadajnik w lesie niedaleko pomnika – wyjaśnił Angus. – To nasz punkt naprowadzania przy teleportacji.

Nagle do stołówki wpadł Phineas. Wszyscy

wyprostowali się niespokojnie.

– Nowiny? – spytał Angus.

– Tak – potwierdził Phineas. – Stan mówi, że Casimir dzwonił do Nadii. Ona i jej klan dostali rozkaz wzięcia udziału w bitwie.

Angus skinął głową.

– Casimir koniecznie chce zwiększyć liczebność swojego wojska.

– Stan powiedział, że jeśli będzie musiał kogoś zabić, to będzie to Malkontent – mówił dalej Phineas. – Więc prosi wszystkich obecnych, żeby pamiętali, po czyjej jest stronie i żeby go nie zabijać.

Angus parsknął.

– Więc wezwał cię głównie dlatego, że boi się o własną skórę.

Phineas wzruszył ramionami.

– Po części. Niepokoi go też Nadia. Casimir dał jej do wykonania jakieś specjalne zadanie. Stan nie wie, co to jest, ale mówi, że ona jest zachwycona.

Angus zaklął pod nosem.

Phineas zeszywniał nagle.

– Oj, muszę gdzieś wpaść.

Angus zmarszczył brwi.

– Zaraz ruszamy.

– Pospieszę się. Wielka, zła wilczyca potrzebuje podwózki. – Phineas zniknął.

– Czy on mówi o mojej siostrze? – zawołał Phil.

Wszyscy się roześmiali.

Kilka sekund później wampiry i zmiennokształtni obrócili się, żeby wyrzeć przez okna stołówki. Marielle podejrzewała, że zadziałał ich supersłuch, bo ona niczego nie usłyszała.

Na dworze, na boisku do koszykówki, wylądował Phineas z Brynley. Z wściekłą Brynley, która na niego wrzeszczała. Kiedy go odepchnęła, chwycił ją za ramię i zaciągnął pod drzwi stołówki.

– Nigdy więcej nie każ mi tyle czekać! – krzyknęła, kiedy je otworzył.

– A ty nigdy więcej nie próbuj mnie bić! – Phineas wepchnął ją do środka.

Brynley uniosła rękę, żeby dać mu w twarz, ale chwycił ją za nadgarstek.

– Kudłaty pysk – wysyczał.

– Pijawka – zawarczała ona.

Angus chrząknął.

Brynley rozejrzała się i zobaczyła, że wszyscy się na nich gapią. Poróżowiała na twarzy, ale uśmiechnęła się szeroko.

– No cześć! Jestem gotowa do bitwy.

– Właśnie widzimy – rzucił Angus z przekąsem. – Brynley, jesteś w drużynie numer dwa. Phineas, ty w numerze jeden.

Phineas skinął głową i puścił nadgarstek Brynley.

– Uważaj na siebie – wymamrotał.

Zerknęła na niego z zatroskaną miną.

– Ty też.



Odezwał się timer; jego pikanie rozległo się po stołówce.

Angus wcisnął guziczek na zegarku i kiwnął na swoją żonę, Emmę, żeby do niego dołączyła.

– No to czas na nas. Słońce właśnie zaszło nad Górą Rushmore. Drużyno numer jeden, ruszamy.

Marielle odprowadziła Connora do miejsca zbiórki pierwszej grupy.

Shanna wpadła do stołówki i podbiegła do męża w pierwszej drużynie.

– Wyruszacie już teraz?

– Tak. – Roman objął ją i pocałował w czoło. – Ojciec Andrew dotarł? – Kiedy Shanna pokręciła głową, spojrzał na Marielle. – Pobłogosławisz nas?

– Oczywiście. – Marielle pokiwała głową, nie chcąc się przyznać, że nikt już nie słucha jej modlitw. Wczoraj na próżno błagała, by Uzdrowiciel pomógł Seanowi Whelanowi.

Odchrząknęła.

– Niech Pan Bóg błogosławi nas i zachowa. Niech Jego światłość spływa na nas i niech pozwoli nam bezpiecznie wrócić do naszych bliskich.

Wszyscy mruknęli amen. Niektórzy się przeżegnali.

Marielle mocno uściskała Connora.

– Proszę cię, uważaj.

– Jeśli zrobi się nieciekawie, schowaj się w lesie. Nie daj się zabić. – Pocałował ją w skroń.

Roman odchrząknął.

Marielle odwróciła się i zobaczyła, że on i Shanna przyglądają się im z ciekawością.

– Muszę ją obejmować, żeby się z nią teleportować – burknął Connor.

– A ja muszę obejmować jego. – Marielle opłótła rękami jego szyję.

– A dlaczego musisz lecieć? – spytała Shanna.

– Muszę mieć swój udział w pokonaniu Casimira – odparła Marielle. – Wierzę, że to przekona Archaniołów, by przyjęli mnie z powrotem do nieba. I moim zdaniem to nie jest przypadek, że bitwa ma miejsce na Górze Rushmore, gdzie straciłam skrzydła. W tym samym miejscu powinnam je odzyskać.

– Ach, rozumiem. – Shanna popatrzyła na nią ze smutkiem. – Więc być może opuścisz nas dzisiaj?

– Być może. – Marielle poczuła, że ramiona Connora obejmują ją mocniej. – Nie mam pewności, czy to się uda.

Shanna uściskała ją, a potem znów objęła męża.

– Myślisz, że dzisiaj odejdziesz? – szepnął Connor.

– Nie wiem. Nie mam pewności, czy w ogóle uda mi się wrócić.

– Ale jeśli dzisiaj przyjdą po ciebie, to pójdziesz?

Na myśl, że zostawi Connora, łzy stanęły jej w oczach.

– Chyba tak.

– To dlatego chciałaś być ze mną zeszłej nocy. Myślałaś, że to nasza ostatnia szansa?

Mruganiem odpędziła łzy i skinęła głową.

– Zawsze będę cię kochać, Connorze.

– Pora na nas – oznajmił Angus.

Connor żarliwie uściskał Marielle i świat wokół poczerniał.

## Rozdział 24

Connor pomału podkradł się do przodu i wyjrzał zza drzewa. Casimir i mała grupka jego podwładnych stali na niewielkiej scenie u stóp Góry Rushmore. Przed nimi aluminiowe ławki widowni wspinały się po zboczu aż do tarasów widokowych i budynków mieszczących sklepy z pamiątkami i restauracje dla turystów.

Dostrzegł Corky i jej kamerzystę w połowie wysokości zbocza, na pierwszym z tarasów widokowych. Na ławkach poniżej siedzieli ludzie. Część z nich byli to Malkontenci z nożami. Pozostali byli śmiertelnikami, a sądząc po ich pustych twarzach, wszyscy byli pod wampiryczną kontrolą umysłów.

Cicho minął nieudolne strażę Casimira i śmignął z powrotem do Angusa i pierwszej drużyny.

– Zakładnicy – szepnął. – Około pięćdziesięciu pięciu śmiertelników. Siedzą na widowni, po jedenaścioro w każdym rzędzie. Za każdym rzędem śmiertelników siedzi rząd Malkontentów uzbrojonych w noże.

Emma się skrzywiła.

– Jeśli zaatakujemy, zaczną zabijać śmiertelników.

– Casimira otacza pięciu ochroniarzy – ciągnął Connor. – Po tej stronie, parę kroków w głąb lasu, jest trzech strażników, i pewnie jeszcze paru po drugiej stronie. Powinniśmy zdjąć ich w pierwszej kolejności.

Angus skinął głową.

– Jean-Luc, weź trzech ludzi i teleportujcie się na drugą stronę. Zabijcie wszystkich strażników. Po cichu.

– Rozumiem. – Jean-Luc kiwnął na Dougala, Iana i Phineasa, żeby szli za nim. We czwórkę ruszyli biegiem w górę zbocza.

– Poddam się Casimirowi – szepnął Roman.

Angus się wzdrygnął.

– Nie.

– Na mnie mu najbardziej zależy – upierał się Roman. – Poddam się, jeśli puści śmiertelników. To nam da trochę czasu do przybycia drugiej drużyny, a jeśli uda nam się uwolnić zakładników, nasi będą mogli zaatakować.

Angus westchnął.

– Zrobimy to dopiero w ostateczności. Najpierw pozbadźmy się strażników.

– Pokażę wam, gdzie są – szepnął Connor, wyciągając sztylet z pochwy w skarpecie.

Ruszył klucząc przez las z powrotem w stronę pomnika. Angus, Emma, Roman i Marielle szli za nim. Zatrzymał się, kiedy dostrzegł trzech strażników.

Pod stopą Marielle trzasnęła gałązka; strażnicy obrócili się w ich stronę. Marielle uderzyła w nich podmuchem powietrza, ale odrzuciła ich zaledwie parę kroków do tyłu.

Connor zauważył jej zdumioną minę, zanim cisnął sztyletem. Ostrze wbiło się w serce jednego ze strażników, obracając go w pył.

Zanim drugi strażnik zdążył krzyknąć ostrzeżenie, trzeci skręcił mu kark i zatopił nóż w jego sercu.

Angus znieruchomiał z uniesioną ręką, ze sztykletem gotowym do rzutu.

Trzeci strażnik odrzucił nóż i podniósł ręce.

– Nie zabijajcie mnie – szepnął po angielsku z silnym akcentem. – Jestem Stanislav.

– W porządku. – Angus opuścił rękę. – Co możesz nam powiedzieć?

– Casimir uważa, że się poddacie, żeby ratować śmiertelników. – Stan obejrzał ich z chmurną miną. – Jest was tylko tyłu?

– Nie – odparł Angus.

Stan skinął głową.

– Casimir popełnił błąd. Ustawił Malkontentów za śmiertelnikami, żeby podcięli im gardła, ale ostatni rząd to sami Malkontenci. Teleportujemy się za ich plecy...

– I załatwimy od razu cały rząd. Niezły plan. – Angus wyjął komórkę ze sporranu. – Przekażę to SMSem Jeanowi-Lucowi i spytam, czy zdjęli strażników.

Kiedy Angus czekał na odpowiedź, Connor zwrócił się do Marielle.

– Co się stało z twoją falą uderzeniową? – szepnął.

Skrzywiła się.

– Obawiam się, że tracę moc.

Stawała się człowiekiem. I była stanowczo zbyt bezbronna, żeby tu być.

– Zostań w lesie – szepnął do niej.

– Druga strona załatwiona. Ruszamy. – Angus kiwnął na swoją drużynę.

Connor obejrzał się, by sprawdzić, czy Marielle została. Uniosła rękę, machając mu bez przekonania.

Podeszli w górę zbocza, by zrównać się z ostatnim rzędem ławek. Z lasu po drugiej stronie błysnęło światło. Jean-Luc i jego ekipa byli gotowi.

Z obnażonymi mieczami wampiry teleportowały się za ostatni rząd Malkontentów i przeszły im serca.

Casimir i jego ochroniarze podnieśli krzyk i reszta jego armii odwróciła się w stronę napastników, dobywając broni. Śmiertelnicy siedzieli dziwnie nieruchomo, twarzami do przodu; ich umysły wciąż były pod wampiryczną kontrolą.

– Rzućcie broń – krzyknął Casimir. – Rzućcie albo zacznę zabijać zakładników.

Wampiry się zawahały.

Jeden z ochroniarzy Casimira wskazał palcem Stanislava.

– Zdrajca!

Casimir zmrużył oczy. Lewą rękę, z rękawiczką na dłoni, trzymał przy piersi zgiętą pod dziwnym kątem, ale prawą kiwnął na drugiego ze swoich goryli. Ochroniarz jak gdyby nigdy nic podszedł do ławki i poderznął gardło pierwszemu śmiertelnikowi.

Connor zaklął w duchu.

– Mam zabić następnego? – spytał Casimir.

Roman rzucił z brzękiem miecz.

– Poddaję się. Tak naprawdę chcesz mnie. Wypuść śmiertelników.

Casimir uśmiechnął się złośliwie.

– Puszczę po jednym śmiertelniku za śmierć każdego z was.

Connor spojrział na zegarek. Druga drużyna zjawi się za pięć minut. Musieli zyskać na czasie. Zabili już ponad tuzin ludzi Casimira, ale zostało jeszcze ze czterdziestu.

– Nie wierzę, że wypuścisz kogokolwiek! – krzyknął Angus.

– Udowodnię to. – Casimir wskazał Romana. – Jak tylko zabiję ciebie, puszczę pierwszego.

– Zgoda. – Roman powoli ruszył po schodach w dół, w stronę sceny.

Casimir wyszczerzył się wesoło i spojrział na Corky.

– Koniecznie to nagraj. Chcę oglądać śmierć Romana co noc.

– Robi się, skarbie! – odwrzasnęła Corky.

Roman dotarł na scenę.

– Sprawdzić, czy nie ma broni – rozkazał Casimir.

Dwaj ochroniarze obszukali Romana i znaleźli dwa noże, które rzucili na scenę.

Casimir prychnął drwiąco.

– Myślałeś, że mnie zabijesz, mnichu? Zawsze byłeś słabeuszem. – Kiwnął na swoich ludzi. – Dać mi go tu bliżej. I niech stoi przodem do kamery.

Ochroniarze przywlekli Romana do Casimira.

Connor spojrział na zegarek. Do licha. Jeszcze dwie



minuty. Uchwycił spojrzenie Angusa i lekkim ruchem głowy wskazał scenę.

Angus potaknął.

We dwóch teleportowali się na scenę i zabili dwóch ochroniarzy.

Casimir kurczowo chwycił Romana dłonią w rękawicze i zasłonił się nim jak tarczą.

– Zabić troje śmiertelników!

Trójka Malkontentów na widowni poderżnęła gardła trzem więźniom. Pozostali zakładnicy wciąż siedzieli nieruchomo, obojętnie.

– Rzućcie broń albo zabiję trzech kolejnych! – krzyknął Casimir.

Connor i Angus rzucili miecze na scenę. Podbiegła do nich grupka Malkontentów. Część z nich chwyciła ich miecze i rozbroiła ich do reszty, pozostali wykręcili im ręce za plecy.

Casimir się uśmiechnął.

– Angus i Connor. Dziękuję, że się przyłączyliście. Teraz będę mógł uwiecznić i waszą śmierć, kiedy już skończę z Romanem. – Zdrową ręką przyłożył nóż do gardła Romana. – Nagrywasz, Corky?

Corky wrzasnęła, kiedy jej operator wyfrunął nagle z tarasu widokowego i spadł sześć metrów niżej, na dolny poziom.

Connor zauważył Marielle, wślizgującą się z powrotem za drzewo. Widocznie zebrała dość mocy, by zdmuchnąć kamerzystę.

Corky uniosła się nad barierką i sfrunęła do swojego operatora.

– Ty głupku! – Wyrwała skądś nóż i dziabnęła go w serce, obracając w pył. – Jak śmiałeś zawieść naszego króla!

Sama podniosła kamerę i uśmiechnęła się szeroko.

– Działa, skarbie!

– Dziękuję, moja królowo. – Casimir spojrzał na Angusa, którego zegarek zaczął nagle pikać. – A to co ma być?

– To sygnał twojej ostatecznej klęski – odparł Angus.

Z głośnym krzykiem i pohukiwaniem wampiry i zmiennokształtni wypadli z lasu. Malkontenci zapomnieli zarzynać swoje śmiertelne ofiary, kiedy zobaczyli, że pędzi na nich olbrzymi grizzly, pięć wilków, pantera i tygrys.

Powietrze wypełniły wrzaski, ryki i szczęk mieczy. Connor wyrwał Romana z chwytu Casimira. Casimir odskoczył, wymachując nożem. Connor rozejrzał się, szukając jakiejś broni. Przypomniawszy sobie o mieczu, który zostawił na szczycie monumentu, ale ten był za daleko. Skoczył na Casimira z gołymi rękami, ale tchórz zniknął mu przed nosa.

– Niech to szlag! – Connor uchylił się, kiedy Malkontent zamachnął się na niego mieczem.

Śmiertelnicy na widowni ocknęli się i zaczęli krzyczeć. Casimir przestał panować nad ich umysłami,

kiedy się teleportował.

– Rzućcie broń! – huknął Casimir ze szczytu Góry Rushmore. – Rzućcie broń albo zabiję waszego księdza!

Connor spojrział w górę i zachłysnął się z przerażenia.

Walka ustała. Tylko śmiertelnicy biegli z wrzaskiem po schodach do wyjścia.

Casimir stał na czubku głowy George’a Washingtona z nożem w prawej ręce. Nadia wlokła w jego stronę ojca Andrew.

– Boże, nie – szepnął Roman.

– Rzućcie broń i poddajcie się! – wrzeszczał Casimir, przyciągając do siebie ojca Andrew.

– Nie róbcie tego! – krzyknął ksiądz.

Roman upuścił broń, którą odebrał wcześniej powalonemu Malkontentowi.

– Puść go! Weź mnie!

Wojownicy Angusa rzucili broń. Malkontenci wycelowali w nich ostrza mieczy.

Casimir wodził po nich gniewnym spojrzeniem.

– A teraz przysięgnijcie mi wierność.

– Puść go! – zawołał Roman. – Puść go, to przysięgnę.

– Nie! – krzyknął ojciec Andrew. – Nie rób tego, Romanie!

Casimir wybuchnął śmiechem.

– Przypominają mi się stare dobre czasy. Pamiętasz je, Romanie, prawda? Pamiętasz, jak najechałem twój

klasztor i wybiłem wszystkich mnichów? Wszystkich tych niewinnych starców, którzy cię wychowali?

Roman zbladł.

Casimir patrzył z góry z szyderczym uśmiechem.

– I tak cię zabiję, więc równie dobrze mogę najpierw popatrzeć, jak cierpisz. – Dźgnął ojca Andrew w pierś i zrzucił go z pomnika.

– Nie! – Roman uniósł się i chwycił księdza w ramiona.

Wściekłość wybuchła w Connorze – jego wzrok w ułamku sekundy zabarwił się na niebiesko, krew zlodowaciała w żyłach. Teleportował się na szczyt pomnika i chwycił miecz, który zostawił tutaj tydzień wcześniej. Z wojennym okrzykiem ściął głowę Nadii.

Casimir obrócił się na pięcie i wytrzeszczył oczy ze strachu.

– Stop! – krzyknęła Corky.

Connor obejrzał się za siebie; wciąż widział wszystko na niebiesko.

Corky teleportowała się na szczyt góry z kamerą.

– Jeśli go zabijesz, rozpowszechnię ten film w Internecie i wszyscy się dowiedzą, że wampiry istnieją naprawdę. – Uniosła kamerę. – Cały czas nagrywam.

– Rzuć miecz – syknął Casimir. – Nie chcesz, żeby cały świat się o nas dowiedział. To byłby koniec nas wszystkich.

Connor trząśł się z furii. Odwrócił się do Casimira.

– To jest twój koniec. – Przeszył mu pierś mieczem i

obrócił go w proch.

– Nie! – wrzasnęła Corky.

Connor obrócił się błyskawicznie, by zabić i ją, ale zniknęła, zabierając z sobą kamerę.

Marielle krzyknęła, kiedy ujrzała, że ojciec Andrew został dźgnięty nożem i zrzucony z urwiska.

– Bunny! Słyszysz mnie? Proszę cię, przybądź. Proszę cię, ratuj go. – Powtarzała w kółko swoje błaganie, pędząc w dół zbocza między drzewami.

Tymczasem bitwa rozgorzała na nowo. Wampiry i zmiennokształtni zaatakowali Malkontentów, krzyżąc i rycząc z wściekłości. Chwała Bogu, że śmiertelnikom udało się uciec.

Marielle dotarła na dół i przedarła się między walczącymi na scenę, gdzie Roman klęczał z ojcem Andrew w ramionach.

– Ojczy! – Padła obok niego na kolana. Łzy napłynęły jej do oczu. – Modlę się o przybycie Uzdrowiciela. Proszę, zostań z nami!

Roman zakrwawioną dłonią uciskał ranę księdza, ale krew nie przestawała płynąć.

– Zabiorę ojca do szpitala.

Ksiądz pokręcił głową. Twarz miał bladą, błyszczącą od potu.

– Nadszedł mój czas.

– Niech ojciec tak nie mówi! – krzyknął Roman. – Boże, nie powinienem był wciągać ojca w swój świat.

Ojciec Andrew uśmiechnął się blado.

– Nie żałuję ani chwili.

U boku Marielle zmaterializował się Connor ze zniekaną twarzą.

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć.

– Nic ci nie jest?

Lekko pokręcił głową, nie odrywając oczu od księdza.

– Pomściłem ojca. Mam nadzieję, że to zapewni ojcu spokój.

– Zabiłeś Casimira? – spytał Roman.

Ojciec Andrew zakaszlał i uniósł drżącą rękę do Connora.

– Synu, ty wiesz, czego tak naprawdę od ciebie chcę.

Connor wykrzywił usta w bolesnym grymasie. Nagle padł na kolana i chwycił dłoń księdza.

– Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem. Minęło... prawie pięćset lat od mojej ostatniej spowiedzi.

– Słucham cię – szepnął ojciec Andrew.

Łza spłynęła po policzku Connora.

– Ja... zamordowałem w przypiływie wściekłości. – Spojrzał na szczyt góry. – Dwukrotnie.

Ojciec Andrew skinął głową.

– Będę się za ciebie modlić. – Spojrzał na Marielle. – A teraz chcę, by wreszcie dotknął mnie anioł.

– Ojczy, nie. – Łzy lały jej się strumieniami. Z kącika ust księdza wypłynęła strużka krwi.

– Ja cierpię, dziecko. Proszę, pozwól mi odejść. Marielle spojrzała przez łzy na Romana, który skinął

głową. Po jego twarzy płynęła różowa łza.

– Dobra duszo, Ojciec bardzo cię kocha. – Marielle położyła drżącą dłoń na czole księdza.

Nie umarł. Jego dusza nie otworzyła się przed nią. Westchnął tylko i zapadł w bezbolesną śpiączkę. Marielle z cichym okrzykiem zabrała rękę. Czyżby nie była już Wybawicielką?

– Marielle. – Nieopodal pojawił się Zackriel. – Przeszedłem po tę duszę.

– Przestałam być aniołem? – szepnęła zdziwiona.

– Z kim ty rozmawiasz? – spytał Roman. Zackriel ukląkł przy niej.

– Jesteś bardzo bliska, by w pełni zostać śmiertelniczką. Po jej twarzy znów popłynęły łzy.

– Nie zabierzesz mnie dziś z sobą, prawda?

– To jeszcze nie jest twój czas. – Zackriel położył dłoń na czole ojca Andrew. – Dobra duszo, Ojciec bardzo cię kocha.

Marielle ujrzała, jak dusza księdza otwiera się i unosi. Zackriel podniósł się i stanął obok duchowej postaci ojca Andrew, który uśmiechał się do niej, Connora i Romana. Wstała i pokłoniła się księdzu.

– Bóg z tobą, dobra duszo. Zackriel objął księdza.

– Pora na nas.

– Czy kiedykolwiek będę mogła wrócić? – spytała Marielle.

Zackriel uśmiechnął się do niej smutno.

– To jeszcze jest możliwe. Ale tylko jeśli będziesz

tego bardzo chciała. – Rozpostarł skrzydła i zniknął, zabierając z sobą duszę ojca Andrew.

– Co tu się stało? – zapytał Connor.

Marielle patrzyła w gwiazdy, a po jej twarzy płynęły łzy.

– Ojciec Andrew idzie do nieba.



## Rozdział 25

Godzinę później wszyscy byli już z powrotem w stołówce Romatechu. Milcząca Marielle siedziała w rogu i obserwowała przyjaciół, którzy stali jej się tak bliscy przez siedem nocy na ziemi. Udało im się pokonać Malkontentów, ale nikt nie świętował.

Wampiry popijały z butelek blissky i bleer. Dla zmiennokształtnych była prawdziwa whisky i prawdziwe piwo.

Kiedy Connor odstawił ją tu z powrotem, uściskał ją żarliwie.

– Myślałem, że odejdziesz.

– Nie dzisiaj.

Klapnął na krzesło w stołówce. Przez ostatnią godzinę nie ruszył się i nie odezwał słowem.

Kiedy bitwa dobiegła końca, wampiry i zmiennokształtni po cichu uprzątnęli wszelkie ślady walki. Kupki prochu z martwych Malkontentów zamieciono do lasu. Pozbierano broń i odstawiono do Romatechu. Grupa wampirów przeczesła okolicę, wyszukując śmiertelników i wymazując im z umysłów wydarzenia tej nocy.

Roman teleportował ciało ojca Andrew do jego kościoła. Teraz wrócił do stołówki z czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

Shanna podbiegła, żeby go uściskać. Ona też miała zaczerwienione oczy.

– Co powiedziałaś księżom?

Roman westchnął.

– Że napadł na niego przestępca.

Shanna skinęła głową.

– Cóż, to chyba prawda.

Phineas trzasnął o stół butelką blissky.

– Przynajmniej pozbyliśmy się Casimira raz na zawsze.

Wszyscy obrócili głowy i spojrzeli na Connora.

Ale on wciąż milczał, pustym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń.

– Myślicie, że Corky naprawdę to zrobi? – spytał Ian.

– Co takiego? – spytała Radinka.

Ian niespokojnie poprawił się na krześle.

– Corky miała kamerę. Zagroziła, że jeśli Casimir zginie, ujawni nasze istnienie w Internecie.

– Do diabła – mruknął Gregori. – Przyniosę laptopa i sprawdzę, czy coś się nie pojawiło. – Z wampiryczną prędkością wybiegł z sali.

Connor zacisnął szczęki i rozmasował czoło.

Marielle poczuła ulgę, widząc, że się poruszył. Siedział jak skamieniały przez prawie godzinę.

– Moim zdaniem Connor dobrze zrobił – mruknął Phineas.

W sali zapanowała cisza.

– Zgadza się – potwierdziła Brynley. – Connor miał okazję i wykorzystał ją. Kto wie, kiedy nadarzyłaby

się następna.

Kolejna długa chwila ciszy.

Gregori wrócił z laptopem i zaczął przeszukiwać Internet.

Zmiennokształtni poszli do kuchni poszukać czegoś do jedzenia.

Roman napił się blissky.

– Pogrzeb ojca Andrew prawdopodobnie odbędzie się w ciągu dnia. Nie będziemy mogli go nawet odprowadzić.

Shanna poklepała go po ręce.

– Urządzimy mu pożegnanie tutaj.

Roman wstał i uniósł szklanę.

– Za ojca Andrew. Nie zapomnijmy o nim i niech spoczywa w pokoju.

Wszyscy wstali i unieśli drinki w toaście za ojca Andrew. Potem salę znów ogarnęła cisza.

– O cholera – mruknął Gregori, ściągając na siebie uwagę obecnych. – Corky umieściła film na YouTube. – Włączył filmik i w stołówce rozległ się pełen złości głos prezenterki.

– Oto on! Niezbity dowód, że wampiry istnieją! Widzicie niebieskie, płonące oczy wampira z mieczem? I widzicie, co się dzieje, kiedy zabija drugiego wampira? Pył!

Brynley parsknęła.

– Nikt w to nie uwierzy. Nikt tego nawet nie obejrzy.

Gregori się skrzywił.

– Jest w necie dopiero trzy minuty i ma już tysiąc wejść. Jeśli filmik zdobędzie popularność, mamy przechłapanie.

Connor wstał nagle i wyszedł przez szklane drzwi do ogrodu.

Marielle poszła za nim.

– Connorze!

Ruszył w stronę lasu.

– Connorze, proszę cię. Porozmawiaj ze mną.

Zwolnił i się zatrzymał.

Wciąż stał do niej plecami, ale widziała napięcie w jego sztywnym kręgosłupie i zaciśniętych pięściach.

– Wiem, że jesteś wzburzony.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłem? – Obrócił się twarzą do niej. Jego oczy przepęłniał ból. – Skazałem wszystkich moich przyjaciół na śmierć.

Marielle drgnęła.

– Nie może być aż tak źle.

– Jest. Od początku istnienia wampirów priorytetem było zachowanie naszej egzystencji w tajemnicy. – Prychnął. – Boże, ile razy sam trulem na ten temat moim kolegom? Nigdy bym nie uwierzył, że to ja...

Podeszła do niego.

– Coś wymyślimy.

– Świat będzie chciał nas unicestwić. – Usta Connora wykrzywił grymas bólu. – Zawiodłem moich przyjaciół. Zawiodłem wszystkich, których znałem.

Wzrok Marielle zmącił się od łez.

– Connorze, proszę cię. Nie rób sobie tego.

Wyprostował plecy.

– Ale ciebie nie zawiodę. Wyprawię cię z powrotem do nieba. – Zniknął.

– Nie! – Podbiegła kilka kroków, ale jego już nie było. – Connorze! Connorze! – Z płaczem osunęła się na ziemię.

A jeśli wszystko straciła? Connora. Skrzydła. Swój niebiański dom.

W końcu podniosła się na nogi i wróciła pod drzwi stołówki.

– Mam już dość płaczu. – Wytarła twarz. Czuła się stara. I zmęczona. I ludzka.

Weszła do środka.

Wszyscy rozmawiali o nowym problemie. Ktoś włączył telewizor; w wiadomościach była mowa o filmiku. Na belce w dole ekranu biegł napis: *Istnienie wampirów jest udowodnione!*

Do kawiarni wszedł Sean Whelan.

– Cisza! Nie ma czasu na panikę.

W sali zrobiło się cicho.

Sean popatrzył gniewnie na telewizor.

– Co za idiotyczna historia. Skontaktuję się z moimi wtyczkami w rządzie i poproszę, żeby ogłosili, że to jedno wielkie oszustwo.

– Zrobią to? – spytał Roman.

Sean prychnął pogardliwie.

– Za pieniądze zrobią wszystko. Być może paru

kluczowym osobom będę musiał powiedzieć, że wampiry istnieją, ale postaram się, by uznali za korzystne utrzymanie sprawy w sekrecie.

Angus zmrużył oczy.

– Dlaczego nam pomagasz, Whelan?

Sean spojrział ze złością na Angusa, potem na Romana.

– Bo teraz jestem jednym z was. – Odwrócił się i ruszył do drzwi. – Natychmiast zacznę negocjacje.

– Idziemy z tobą. – Angus i Emma pobiegli z nim.

Wszyscy znów zaczęli rozmawiać, ale teraz w ich głosach pojawiła się nadzieja.

Marielle westchnęła. Szkoda, że Connor nie został.

Następnej nocy Marielle spacerowała po ogrodach Romatechu. Płakała tak dużo, że teraz oczy miała suche jak pustynia. Serce ścisnął jej nieustający ból.

Po raz pierwszy w całej swojej egzystencji zaznała bólu żałoby. Wcześniej zabierała dusze do nieba i był to czas radości i połączenia z bliskimi.

Teraz czuła, czym jest rozdzielenie. Czuła to ostro i boleśnie. Ojciec Andrew na zawsze odszedł z tego świata.

I gdzie był Connor? Czy cierpiał gdzieś w samotności? Czy znów skrył się w tej czarnej otchłani rozpacz i wyrzutów sumienia?

Szła przez ogród różany, tu i ówdzie zrywając kwiat. Wampiry i zmiennokształtni porzuchodzili się do domów. Ona spędziła noc w Romatechu. Shanna dała jej

pokój w podziemiach, bo Marielle nie miała się gdzie podziać.

Znalazła cementową ławkę pod drzewem i usiadła. Serce pękało jej ze współczucia dla nowych przyjaciół, którzy byli w żałobie. Pękało jej przez Connora. Dlaczego się z nią nie skontaktował? Czy nie wiedział, że ona go kocha i że nie musi cierpieć sam?

– Jak się miewasz? – spytała Shanna, podchodząc do niej niepostrzeżenie.

Marielle westchnęła.

– Jestem zmęczona płaczem.

– Wiem, co masz na myśli. – Shanna klapnęła na ławkę obok niej. – Jest sobotni wieczór, a nie ma mszy. Co my zrobimy bez ojca Andrew?

– Zebrałam dla niego te kwiaty. – Marielle uniosła bukiet.

– Są śliczne. Wstawimy je do wazonu w kaplicy.

Marielle opuściła kwiaty i się przygarbiła.

– Ciągłe żyją. Nie zbrązowiały i nie umarły.

Shanna przyjrzała jej się z ciekawością.

– A spodziewałaś się, że tak będzie?

Marielle skinęła głową.

– Tak się działo, kiedy byłam Wybawicielką.

– Nie jesteś już aniołem śmierci?

Łzy zapiekły ją w oczach. No nie, znowu.

– Chyba w ogóle już nie jestem aniołem.

Shanna gwałtownie wciągnęła powietrze. Położyła dłoń na plecach Marielle.

– Tak mi przykro.

Marielle otarła łzę.

– To takie straszne być człowiekiem? – spytała Shanna.

– To... trudne.

– Wiem, skarbie. – Shanna pogłaskała ją po plecach.

– Myślisz, że nie zdołasz już wrócić do nieba?

Marielle westchnęła.

– Zack powiedział, że to jeszcze możliwe.

– No widzisz! – Shanna się uśmiechnęła. – Nie wolno ci tracić nadziei.

– Myślałam, że jeśli pomogę wam pokonać Casimira, zasłużę na powrót do nieba, ale się myliłam. Zackriel powiedział, że mogę wrócić, jeśli będę tego bardzo chciała, ale ja nie wiem jak.

Shanna zmrużyła oczy.

– Jeśli będziesz naprawdę chciała. Może w tym problem. – Spojrzała znacząco na Marielle. – Naprawdę tego chcesz?

Po plecach Marielle przebiegł dreszcz, dostała gęsiej skórki. Wielkie nieba. Czyżby to wątpliwości trzymały ją na ziemi? Nie, nie wątpliwości.

Miłość. Miłość do Connora.

W niedzielny wieczór, krótko po zachodzie słońca, Marielle obudziło łomotanie do drzwi jej pokoju w Romatechu. Kiedy wyjrzała, za progiem zobaczyła Angusa i Emmę.

– Właśnie dzwonił Connor – oznajmił Angus. –



Chce, żebym cię do niego zabrał.

– Och. – Serce zabiło jej żywiej.

– Ubierz się szybko – poprosiła Emma. – Musicie ruszać natychmiast.

– Tak! Tak, oczywiście. – Zamknęła drzwi i pobiegła do łazienki. Connor chciał się z nią zobaczyć! Umyła twarz, wyszorowała zęby, uczesała włosy i założyła czyste ciuchy, które dała jej Shanna. Wbiła nogi w buty, złapała kurtkę i wybiegła na korytarz.

– No dobra. – Angus chwycił ją w pasie. – Muszę cię tam teleportować.

– Powodzenia – życzyła im Emma z zatroskaną miną.

– Coś się stało? – spytała Marielle. Angus westchnął.

– Rozmawiał ze mną jakoś dziwnie. Nie brzmiało to dobrze. Trzymaj się mnie, dziewczyno.

Złapała go za ramiona.

– A dokąd lecimy?

– Do domu Connora w Szkocji – odparł Angus i świat dookoła poczerniał.

## Rozdział 26

Marielle biegła przez pastwisko w świetle księżyca. Angus postawił ją koło dużego domu z szarego kamienia, a potem wskazał na północ.

– Connor zapowiedział, że będzie przy kamiennym kręgu. To jest tam, za wzgórzem. – Angus popatrzył na nią z troską. – Wrócę jutro wieczorem i sprawdzę, czy wszystko u was w porządku. – Zniknął.

Nim Marielle dotarła do wzgórza, była już nieźle zasapana. W Szkocji było dość zimno, ale rozgrzał ją bieg. Wspięła się na wzgórze, brodząc we wrzosach sięgających kolan. Otwierające się kwiaty wypełniały jej nozdrza słodkim zapachem. Dotarła na szczyt i się zatrzymała.

Było tu pięknie. Pod nią rozciągała się zielona łąka otoczona górami. Na niebie migotały gwiazdy. Pośrodku łąki stał krąg szarych głazów. Dostrzegła samotną postać w jego centrum.

– Connorze!

Odwrócił się ku niej. Uśmiechnął się, ale jego twarz była blada i spięta.

Marielle zbiegła po zboczu, do kręgu. Kamienie były prastare i piękne; oparła dłoń o jeden z nich, by złapać oddech.

Fala ciepła wpłynęła w jej rękę. To kamień rozpoznał w niej bratnią starożytną istotę. Kiedy oparła się o niego, użyczył jej trochę swojej siły. Pod jej dłonią

mała kępka brązowego, uschłego porostu zzieleniała i ożyła.

Marielle zamrugła. Czyżby wróciła jej moc uzdrawiania?

– Dobrze się czujesz, dziewczyno? – spytał Connor.

– Ach... tak. – Odepchnęła się od kamienia. – Martwiłam się o ciebie.

– Miałem parę spraw do załatwienia. – Wyprostował plecy i uniósł głowę, jakby szedł do bitwy. – Marielle. Minął ledwie tydzień, od kiedy cię znalazłem, ale moja miłość do ciebie będzie wieczna.

Powoli ruszyła w jego stronę.

– Ja też cię kocham. – Niespokojny dreszcz przebiegł jej po plecach. Coś tu było nie tak.

– Złożyłem ci przyrzeczenie i znalazłem sposób, by go dotrzymać. – Uśmiechnął się, ale ból w jego oczach kazał jej przystanąć.

– Co ty zrobiłeś, Connorze?

Wskazał coś za sobą.

Zza kamienia wyłonił się Darafer. Wszedł do kręgu; jego zielone oczy pałały triumfem.

– Nie – szepnęła Marielle.

– Odkryłem, że przychodzą, jeśli zawołać ich po imieniu. – Connor wskazał coś z prawej.

Do kamiennego kręgu weszli Zackriel i Buniel.

– Connorze – szepnęła Marielle. – Co ty robisz?

– Naprawiam, co zepsułem. Darafer zapewnił, że ma moc wymazać wszystkie wiadomości o wampirach.

Świat znów będzie bezpieczny dla moich przyjaciół.

Marielle zadrżała.

– Nie wierz mu.

– I w zasadzie nic mnie to nie kosztowało. –  
Wyprostował się z determinacją. – I tak byłem na  
piekielnej liście.

Marielle pokręciła głową. Łzy napływały jej do oczu.

– Nie rób tego. Błagam cię. Nie idź z nim.

Oczy Connora też napełniły się łzami.

– Przykro mi. To jedyny sposób.

Darafer wystąpił naprzód i rozłożył czarne skrzydła.

Wyciągnął rękę do Connora.

– Chodź. Już czas.

– Nie! – krzyknęła Marielle.

Connor zwrócił się do demona.

– Jest tylko jeden warunek. Nigdy więcej nie  
będziesz próbował zabrać Marielle do piekła. – Spojrzał  
na Zackriela i Buniela. – A jeśli pójdę z demonem,  
musicie zabrać ją z powrotem do nieba.

Darafer zaklął i grzotnął pięścią w jeden z kamieni.  
Z trzaskiem złożył skrzydła.

Zackriel się uśmiechnął.

Buniel wybuchnął śmiechem.

– Connorze, w ten sposób nigdy nie pójdziesz do  
piekła.

Zackriel skinął głową.

– Tylko w jednym wypadku demon nie może zabrać  
do piekła duszy, nawet gdy sama się na to zgadza. Dzieje

się tak wtedy, kiedy ta dusza poświęca się, żeby ratować inną.

– Ale... – Connor zrobił krok w stronę aniołów. – Musicie ją z sobą zabrać.

Krąg wypełniło oślepiające, białe światło. Marielle zacisnęła powieki.

Kiedy światło złagodniało, otworzyła oczy i zobaczyła Archanioła spływającego na ziemię.

– Gabriel – szepnęła.

Connor przysunął się do niej z osłupiałą miną.

– On... on tu jest po to, żeby cię zabrać do nieba?

– Nie wiem. – Pochyliła głowę, by okazać szacunek Archaniołowi.

Connor poszedł za jej przykładem.

Gabriel skinął jej głową.

– Dobry aniele, Ojciec bardzo cię kocha. – Uśmiechnął się. – Nigdy cię nie opuścił. Zawsze był przy tobie.

– Chcesz powiedzieć, że nie jest już wygnana? – spytał Buniel.

– Tak naprawdę nigdy nie była wygnana – odparł Gabriel. – Zawsze postępowała tak, jak chciał Ojciec.

Darafer parsknął.

– Mówiłem jej, że się nią posługujecie.

Gabriel spojrzał twardo na demona.

Darafer przestąpił z nogi na nogę i skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

Gabriel zwrócił się do Marielle.

– Jeśli masz obawy, że byłaś manipulowana, to zapewniam cię, że tak nie było. Ojciec miał nadzieję, że będziesz czynić to, co czyniłaś przez wieki. To prawda, że stworzył cię z inklinacją do buntu i takiego właśnie postępowania. Ale masz też wolną wolę i wszystkie decyzje zawsze były tylko twoje. A ponieważ podejmowałaś je samodzielnie, są tym cenniejsze dla Ojca. Jest z ciebie ogromnie zadowolony.

Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Dziękuję.

– Błogosławiony ten, kto znajdzie swoje przeznaczenie i wypełni je. – Gabriel posłał Daraferowi znaczące spojrzenie.

Darafer zbladł.

– Już mnie tu nie ma. – Rozłożył skrzydła i zniknął.

– Skoro Marielle nie była wygnana, to czy może wrócić do nieba? – spytał Connor, zerkając nerwowo na Archanioła.

– Może, jeśli takie jest jej życzenie. – Gabriel się uśmiechnął. – Connorze Buchanan, tu nigdy nie chodziło o zbawienie Marielle. Chodziło o twoje zbawienie.

Connor drgnął.

Gabriel położył mu dłoń na głowie.

– Dobra duszo, Ojciec bardzo cię kocha.

– I może mi przebaczyć? – szepnął Connor.

– Udowodniłeś, że jesteś godny przebaczenia. Proście, a będzie wam dane. – Gabriel cofnął się o krok i spojrzał na Marielle. – Podjęłaś już decyzję?

Skinęła głową i otarła łzy.

– Zostaję tutaj, z Connorem.

– Co takiego? – Connor spojrział na nią. – Nie! Nie możesz tego zrobić.

– To moja decyzja.

– Nie. Nie pozwolę ci na to. Nie możesz dla mnie zrezygnować z nieba. To twój dom.

Uśmiechnęła się.

– Mój dom jest tutaj, z tobą.

– Nie! Nie możesz zrezygnować z nieśmiertelności. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś umarła przeze mnie. Straciłem już w ten sposób jedną żonę. Nie zniosę, jeśli to się powtórzy!

– Cicho już! – Gabriel spojrział na niego z irytacją. – Sprawa jest prosta. Marielle Quadriduum, czy bierzesz sobie Connora Buchanana za męża?

– Tak.

– Connorze, czy bierzesz sobie Marielle za żonę?

– Tak, ale...

– Dość! – Gabriel położył dłonie na ich głowach. – Będziecie mężem i żoną, każde będzie żyło tak długo jak drugie i pozostanie takim, jakie jest teraz. – Odsunął się. – Może być?

– Ona... ona jest nieśmiertelna? – spytał Connor.

– Na tyle, na ile ty jesteś. – Gabriel spojrział na niego kpiąco. – Możesz umrzeć, ale nie mam ochoty oglądać cię w najbliższym czasie.

– Dziękuję. – Marielle się pokłoniła.

Gabriel uśmiechnął się radośnie.

– To ja dziękuję tobie. Ojciec jest bardzo zadowolony. – Rozpostarł skrzydła i zniknął w błysku światła.

– Gratulacje! – Buniel podbiegł, żeby uciskać Marielle.

Zackriel zbliżył się powoli.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Kazano mi odebrać ci skrzydła. Nie chciałem zadawać ci bólu, ale miałem nadzieję, że dzięki tobie Casimir zostanie pokonany. – Uśmiechnął się. – Brawo, Marielle.

– Dziękuję, Zack.

Skłonił głowę.

– Niech wasze dni będą błogosławione. – Rozłożył skrzydła i zniknął.

– Jesteś mężatką! – Buniel uśmiechał się do niej radośnie.

Marielle się roześmiała.

– Na to wygląda. – Spojrzała na Connora, który stał obok, lekko ogłuszony. – Nie masz nic przeciwko, prawda?

– A skąd. – Przeciągnął dłonią po włosach. – Jasna cho... Wybaczcie. – Spojrzał na nich przepaszająco. – Myślałem, że trafię dzisiaj do piekła.

– Bo trafiłeś – zażartował Buniel. – Nazywa się małżeństwo.

Marielle pacnęła Buniela w ramię.

– Jak śmiesz. Małżeństwo to święty sakrament.



Connor wpatrywał się w nią, zdumiony.

– Myślałem, że będę w piekle, a jestem w niebie.

Marielle uściskała go.

– Jesteśmy małżeństwem, Connorze!

Uśmiechnął się radośnie.

– Na to wychodzi.

Buniel się roześmiał.

– Zostawiam was z ostatnim błogosławieństwem. –

Położył dłonie na ich głowach i w końcu się cofnął. – No, jesteście całkowicie uleczeni. Idźcie i się rozmnażajcie. – Spojrzał znacząco na Connora. – Tej nocy.

Rozpostarł skrzydła i zniknął.

– Żegnaj, Bunny – szepnęła Marielle.

– Co on miał na myśli, mówiąc „tej nocy”? – spytał Connor. – Stwierdził też, że jestem całkowicie uleczeni. – Dotknął językiem kłów. – Nie, ciągle jestem wampirem.

Marielle się uśmiechnęła.

– Sądzę, że uleczył twoje nasienie. Do następnego śmiertelnego snu.

Connor zrobił wielkie oczy.

– Chcesz powiedzieć na tę noc? Moglibyśmy... Jezu Chryste! – Wziął Marielle na ręce i wyszedł z kamiennego kręgu.

Roześmiała się.

– Tak powiedział. Idźcie i się rozmnażajcie.

– Nie ma sprawy. – Connor biegł po zboczu, trzymając ją w ramionach. – Myślę, że ten jeden raz

powinniśmy posłuchać rozkazu.

Znów się roześmiała.

Dotarł na szczyt wzgórza.

– Tam jest twój dom. Mam nadzieję, że ci się podoba.

Spojrzała na wielki, kamienny dom.

– Jest cudowny.

Connor ruszył w dół zbocza, w stronę domu.

Do licha. Powinienem cię teleportować prosto do sypialni.

– Lubię być noszona przez mojego męża.

– No tak, ale moglibyśmy już tam być. Zdążyłbym cię już rozebrać i miałbym cię nagą w łóżku.

Skinęła głową.

– Widzę, że zasada trzech kroków ciągle obowiązuje.

– O co chodzi z tą zasadą? Roześmiała się.

– Później ci powiem. – Pocałowała go w policzek. –

Kocham cię, Connorze Buchanan.

Uśmiechnął się radośnie.

– Kocham cię, Marielle... Buchanan.

## Podziękowania

*Wiem, ryzykuję zarzut, że się powtarzam, bo w każdej kolejnej książce dziękuję tej samej grupie osób, ale naprawdę jestem wzruszona, że ci kochani ludzie wciąż mnie wspierają i strzegą. Jestem im taka wdzięczna! Przede wszystkim ogromnie dziękuję mojej drogiej przyjaciółce i agentce, Michelle Grajkowski, która jest ze mną już od dziesięciu książek i uwierzyła we mnie, jeszcze na długo zanim Roman złamał sobie kiel. Dziękuję także Erice Tsang, którą zachwycił złamany kiel Romana i która od tej pory jest moim wspaniałym wydawcą. Dziękuję, kochana ekipo z wydawnictwa Avon/HarperCollins, od korekty i marketingu po reklamę i grafikę. Ogromnie dziękuję moim krytykom – M.J-owi, Sandy i Vicky – bo dzięki nim zachowuję zdrowe (względnie) zmysły. Mężowi i dzieciom – zawsze jesteście przy mnie. I ogromnie, ogromnie dziękuję Wam, Czytelnicy! Dziękuję za entuzjazm i wsparcie, które sprawiły, że moja seria liczy sobie aż dziesięć książek. Z takimi Czytelnikami nieumarli mogą żyć wiecznie!*

## Przypisy

<sup>1</sup> (fr.) Co ty zrobiłeś?

<sup>2</sup> (hiszp.) Przepraszam.

<sup>3</sup> (fr.) Kocham cię.